

# Małe kobietki



LOUISA MAY ALCOTT

## Małe kobiety

TLUM. ZOFIA GRABOWSKA

### ROZDZIAŁ I. PIELGRZYMKI

— Co mi za Boże Narodzenie bez podarków! — mruknęła Ludka, leżąc na dywanie przed kominkiem.

— To straszne być ubogą! — westchnęła Małgosia, spoglądając na swą starą suknię.

— Bardzo jest nieładnie, że niektóre dziewczęta mają mnóstwo pięknych rzeczy, a inne nie mają nic — dodała Amelka z gniewną miną.

— Mamy przecież ojca, mamę i siebie nawzajem — z zadowoleniem odezwała się Eliza ze swego kącika.

Ich cztery młode twarzyczki, oświecone ogniem z kominka, rozjaśniły się na te wesołe słowa, lecz sposepniały znowu, gdy Ludka rzekła:

— Nie mamy teraz ojca i długi czas nie będziemy go miały. — Wprawdzie nie powiedziała „może nigdy”, ale wszystkie dodały to w duchu, ponieważ był daleko na wojnie.

Milczały przez chwilę, po czym Małgosia odezwała się innym tonem.

— Wiecie, że mama dlatego radzi, byśmy sobie tym razem nie dawały podarków, że zima będzie sroga; więc jej zdaniem nie powinnyśmy wydawać pieniędzy na przyjemności, kiedy nasze wojsko tak cierpi. Prawda, że nie zdołamy wiele uczynić, ale małe poświęcenia są w naszej możliwości i wypada nam ich dokonać z dobrej woli. Obawiam się jednak, że się na to nie zdobędę — mówiła, potrząsając główką, jak gdyby z żalem myślała o wszystkich ładnych rzeczach, które jej były potrzebne.

— Nie przypuszczam, żeby nasze małe oszczędności przydały się na coś; dałybyśmy po dolarze, więc jakaż stąd ulga dla wojska? Zgadzam się na to, by nic nie dostać od mamy i od was, ale chciałabym sobie kupić *Ondynę*<sup>1</sup>, bo już tak dawno mam na nią ochotę — rzekła Ludka zamilowana w książkach.

— Ja swoje pieniądze przeznaczałam na nuty — rzekła Eliza z cichym westchnieniem, usłyszonym tylko przez miotełkę i rączkę od tygielka.

— A mnie są potrzebne ołówki Fabera<sup>2</sup> i muszę ich sobie kupić ładne pudełko — odezwała się Amelka stanowczo.

— Mama nie miała na myśli naszych pieniędzy i nie chciałyby, żebyśmy się wszystkiego wyrzekły. Niech każda kupi, co jej potrzebne, żeby sobie zrobić przyjemność. Spodziewam się, że zasługujemy na to, pracując tak ciężko! — zawołała Ludka, oglądając sobie obcasy u bucików z miną chłopaka.

— Ja z pewnością zasługuję, ucząc te nieznośne dzieci prawie cały dzień, kiedy sama chciałabym się bawić w domu — odezwała się znowu żalonym tonem Małgosia.

— Moja praca dwa razy uciążliwsza od twojej; jakby ci było, gdybyś siedziała godzinami zamknięta z nerwową, kapryśną, starą jejmością, która się tobą posługuje, ze wszystkiego jest niezadowolona i tak cię męczy, że wyskoczyłabyś chętnie oknem albo dałabyś jej policzek.

Bieda

Ojciec

Poświęcenie

Pieniądz

Praca

<sup>1</sup>*Ondyna* (ang. *Undine*) — romantyczna baśń Friedricha Fouque o wodnej rusalce; wydana w 1811, posłużyła za libretto oper E.T.A. Hoffmana i A. Lortziga oraz zainspirowała H. Ch. Andersena do napisania *Małej syrenki*. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*Faber* — niemieckie przedsiębiorstwo produkujące artykuły piśmiennicze, zał. w 1761 przez Kaspara Fabera, od 1900 noszące nazwę Faber-Castell. [przypis edytorski]

— Przykro, kiedy nas ktoś drażni, ale zdaje mi się, że zmywanie talerzy i pilnowanie porządku jest najgorszą pracą na świecie. Dlatego jestem kwaśna i tak mi sztywnieją palce, że nie mogę grać — rzekła Elżbietka, spoglądając na szorstkie rączki z westchnieniem, które tym razem mogło być usłyszane przez wszystkich.

— Nie wierzę, by któraś z was cierpiała tyle co ja! — zawołała Amelka. — Nie jesteście zmuszone chodzić do szkoły z niegrzecznymi dziewczętami, które was prześladują, gdy nie umiecie lekcji, wyśmiewają wasze ubranie, pogardzają waszym ojcem, jeżeli nie jest bogaty, i znieważają was za brzydki nos.

— Czy nie chciałabyś mieć tych pieniędzy Ludko, co papa stracił, gdyśmy były małe? Ach, mój Boże! Jakżebyśmy były szczęśliwe i dobre, gdyby nie te troski! — powiedziała Małgosia, pamiętająca lepsze czasy.

— Mówiłaś parę dni temu, żeśmy daleko szczęśliwsze od dzieci państwa King, bo one ciągle się biją i kłóć, chociaż mają pieniądze.

— Prawda Elżbietko, mówiłam to i sądzę, że tak jest, bo choć musimy pracować, obmyślamy sobie też rozrywki i stanowimy wesołą kupkę, jakby się wyraziła Ludka.

— Ona używa takich gminnych słów — zauważyła Amelka, rzucając gromiące spojrzenie na długą postać rozciągniętą na dywanie.

Ludka w tej chwili usiadła, włożyła ręce w kieszenie od fartuszk i zaczęła gwizdać.

— Daj spokój, Ludko, to przystoi chłopcu.

— Dlatego też gwizdź.

— Nic cierpię ordynarnych, nieeleganckich dziewcząt.

— A ja nienawidzę przesadnych i wymuszonych dzieciaków.

— Ptaszki w swoich gniazdkach żyją w zgodzie — zaśpiewała pojednawczo Elżbietka z taką zabawną miną, że oba szorstkie głosy wybuchnęły śmiechem i zaraz ustało „dziobanie się ptasząt”.

— Doprawdy, moje dziewczęta, obie zasługujecie na polajanie — rzekła Małgosia, zaczynając gromić tonem starszej siostry. — Ty, Ludko, jesteś już w tym wieku, że nie powinnaś dokazywać jak chłopiec i wypada ci już inaczej się zachowywać. Póki byłaś małą dziewczynką, to uchodziło, ale teraz kiedy tak wyrosłaś i upinasz już włosy, powinnaś pamiętać, że jesteś młodą panną.

— Nie jestem! I jeżeli upinanie włosów czyni mnie doroślejszą, to będę nosiła warkocz do dwudziestu lat! — zawołała, zrzucając siatkę i rozwieszając ciemnoblonde grzywe. — Nie cierpię tej myśli, że dorosnę, zostanę panną March, będę nosić długie suknie i wyglądać tak sztywno jak aster chiński. Wystarczy, że jestem dziewczyną, kiedy lubię męskie zabawy, zajęcia i sposób życia. Nie mogę się uspokoić z żalu, że nie chłopiec, a teraz gorzej mi niż kiedykolwiek, bo umieram z chęci walczenia przy boku papy, a muszę siedzieć w domu z robotą na drutach, jak zniedołężniała baba. — Mówiąc to, pociągnęła tak mocno niebieską skarpetkę, że druty zadzwoniły jakby kastaniety<sup>3</sup>, a kłębek upadł na ziemię.

— Biednaś ty, Ludko! Co za szkoda! Lecz nie ma na to rady; staraj się więc porzucić na odgrywaniu roli naszego brata — rzekła Eliza, głaszcząc szorstkie włosy na głowie wspartej o jej kolana, rączką przyjemną w dotknięciu, pomimo zmywania talerzy i okurzania sprzętów.

— Ty zaś, Amelko — mówiła dalej Małgosia — jesteś zbyt wykwintna i wymuszona. Te pretensjonalne miny są teraz zabawne, ale jak się ich nie będziesz wystrzegać, to wyrośniesz na przesadzoną gąskę! Lubię twoje dobre maniery i wykwintne wysławianie się, gdy nie próbujesz być elegancka, ale twoje niedorzeczne wyrazy stawiam na równi z gminnymi słowami Ludki.

— Kiedy Ludka jest chłopakiem, Amelka gąską, czymże ja jestem, jeśli laska? — rzekła Eliza, chcąc przyjąć swoją część polajania.

— Ty jesteś pieszczołką i niczym więcej — odpowiedziała Małgosia z zapalem i żadna z siostr nie zaprzeczyła, bo „myszka” była ukochaną całej rodziny.

Ponieważ młode czytelniczki lubią wiedzieć, „jak kto wygląda”, skorzystamy z tej chwili, żeby dać lekki szkic tych czterech dziewczynek, siedzących o szarej godzinie z ro-

<sup>3</sup>kastaniety — instrument muzyczny składający się z pary drewnianych płytek w kształcie muszelek, czasem przymocowanych do drewnianej rękójści; uderzane o siebie wydają „stukający” dźwięk. [przypis edytorski]

Szkola

Szczęście

Dorosłość

Smutek



botą na drutach, podczas gdy śnieg grudniowy pada cicho na dworze, a ogień trzeszczy wesoło na kominku. Był to miły pokój, pomimo spłowiałego dywanu i bardzo prostych mebli; wisiało bowiem na ścianach parę dobrych obrazów, na półkach było dużo książek, w oknach kwitły hiacynty i cierniki i nappełniała go przyjemna atmosfera domowego spokoju.

Małgorzata, najstarsza z dziewcząt, miała lat szesnaście; była bardzo ładna, pulchna i biała. Oczy miała duże, włosy gęste, ciemnoblond, usta kształtne i ręczki białe, którymi się trochę pyszniła. Piętnastoletnia Ludka była bardzo wysoka, szczupła i smągła; zawsze jej zawadzały długie kończyny i nie wiedziała, co z nimi robić. Miała stanowcze usta, komiczny nos, bystre, szare oczy, które zdawały się wszystko widzieć i bywały to gwałtowne, to śmiejące się, to zamyślane. Gęste, długie włosy stanowiły jej główną ozdobę, ale zazwyczaj zwijala je w siatkę, żeby nie przeszkadzały. Ramiona miała szerokie, ręce i nogi duże, ubranie wisiało na niej bez wdzięku i we wszystkim miała niezgrabną minę dziewczynki, która prędko wyrasta na kobietę i jest z tego niezadowolona. Elżbietka była to trzynastoletnia dziewczynka, różowa, z główką zawsze ładnie uczesaną i z jasnymi oczkami. Miała nieśmiałe obejście, lękliwy głos i spokojną fizjonomię, którą rzadko co wzburzało. Ojciec nazywał ją „cichą” i to miano pasowało do niej wybornie, bo zdawała się żyć we własnym, szczęśliwym świecie, odważając się obcować tylko z tą małą garstką osób, które posiadały jej ufność i przywiązanie. Amelka, chociaż najmłodsza, była najważniejszą osobą, przynajmniej we własnym przekonaniu. Była to dziewczeczka kształtna, biała jak śnieg, z niebieskimi oczami i z główką w złocistych loczkach. Błada, szczupła, zawsze zachowywała się jak dorosła panna, dbała o swe maniery. Co się tyczy charakterów tych czterech siostr, to każdy sam je pozna.

Zegar wybił szóstą, a Elżbietka, wyczyściwszy kominek, postawiła pantofle, żeby się ogrzały. Widok tego starego obuwia sprawił jakieś miłe wrażenie na dziewczętach, bo miała nadejść matka, a wszystkim było pilno ją przywitać. Małgosia przestała gromić i zapaliła lampę; Amelka wstała z fotela, chociaż jej nikt o to nie prosił, a Ludka zapomniała o swym znużeniu, gdy usiadła bliżej ognia, żeby trzymać i wygrzewać pantofle.

— Zupełnie już zniszczone, mama koniecznie potrzebuje nowych.

— Kupię jej za swojego dolara — rzekła Eliza.

— Nie, ja kupię! — wykrzyknęła Amelka.

— Ja jestem najstarsza. — odezwała się Małgosia, ale Ludka przerwała stanowczym tonem:

— Odkąd papa wyjechał, ja jestem jedynym mężczyzną w naszej rodzinie i sama zaopatrzę ją w pantofle, bo odjeżdżając, powierzył ją moim szczególnym staraniom.

— Powiem wam, co zrobić — rzekła Eliza — niech każda podaruje jej coś na kolędę, a sobie za to nic już nie kupujemy.

— To pomysł godny ciebie, moja droga! I cóż jej damy?

Przez chwilę zastanawiały się pilnie, po czym Małgosia oznajmiła:

— Ja dam parę ładnych rękawiczek — jak gdyby jej własne śliczne ręczki nasunęły tę myśl.

— Ja najpiękniejsze pantofle, jakie tylko znajdę! — wykrzyknęła Ludka.

— Ja kilka obrębionych chustek do nosa — rzekła Eliza.

— Ja flaszeczkę wody kolońskiej, bo ją lubi; niedrogo będzie kosztować, więc jeszcze sobie coś kupię — dodała Amelka.

— W jaki sposób podarujemy te rzeczy? — zapytała Małgosia.

— Położymy je na stole, potem wprowadzimy mamę i będziemy patrzeć, jak otwiera paczki. Nie pamiętasz, że tak zawsze bywało w nasze urodziny? — odparła Ludka.

— Tak się lękałam, ile razy przyszła na mnie kolej usiąść w fotelu z koroną na głowie, a wyście mnie obstępowały z podarkami i całusami. Prezenty i pieszczoty sprawiały mi przyjemność, ale mnie to straszło, że się przyglądacie, jak odwijam paczki — powiedziała Eliza, przypiekając zarazem twarzyczkę i grzanki do herbaty.

— Zostawmy mamę w przekonaniu, że to wszystko kupujemy dla siebie, a potem zrobimy jej niespodziankę. Musimy przejrzeć sklepy jutro po południu, Małgosiu, i mamy mnóstwo jeszcze przygotowań do zabawy na wieczór Bożego Narodzenia — rzekła Ludka, przechadzając się po pokoju z rękami założonymi w tył i z nosem do góry.

Strach

— Ostatni raz to robię; jestem już za stara na takie rzeczy — odezwała się Małgosia, która nie przestała być dzieckiem, gdy szło o obmyślenie zabawy.

— Wiem, że się tego nie wyrzekniesz, póki będziesz mogła występować w białej sukni, z rozpuszczonymi włosami i w klejnotach ze złotego papieru. Nie mamy lepszej aktorki od ciebie i wszystko przepadnie, gdy zejdziesz ze sceny — rzekła Ludka i dodała: — Trzeba zrobić próbę dziś wieczorem; chodź, Amelko, odegrać scenę omdlenia, boś w niej sztywna jak pień.

— Nic na to nie poradzę; nigdy nie widziałam, jak się mdleje, a nie mam ochoty zsinieć, szernieć i paść na wznak, jak ty. Jeżeli będę umiała rzucić się swobodnie na ziemię, to dobrze, a jeżeli nie, to padnę z wdziękiem na krzesło. Nic sobie nie będę z tego robiła, kiedy Hugo podejździe z pistoletem — odezwała się Amelka, która wcale nie miała talentu dramatycznego i wybrano ją tylko z powodu jej małego wzrostu, by krzyczącą mógł ją wynieść ze sceny bohater sztuki.

— Zrób w ten sposób: załam tak ręce i przejdź przez pokój chwiejnym krokiem, wylając przeraźliwie: „Rodrygu, ratuj mnie! ratuj mnie!”.

I dla przykładu Ludka wyszła z melodramatycznym i naprawdę przenikającym krzykiem.

Amelka starała się ją naśladować, ale ręce trzymała przed sobą sztywno, szła jakby na sprężynach i wydała taki okrzyk, jakby ukłuto ją szpilką, a nie z trwogi i przerażenia. Ludka rozpaczliwie jęknęła, Małgosia roześmiała się na całe gardło, a Eliza przypaliła bułkę, wpatrzywszy się z zajęciem w tę zabawną scenę.

— Nic nie pomaga. Odegraj to najlepiej jak zdołasz, ale jak cię publiczność wygwizdże, to nie miej żalu do mnie! Teraz chodź ty, Małgosiu.

Odtąd szło gładziej, bo Don Pedro wyzywał świat jednym tchem w dwustronicowej mowie, czarownica Agara z olśniewającym efektem odśpiewała uroczyste zaklęcie nad patelnią smażących się grzanek, Rodryg zerwał swe więzy z prawdziwie męską siłą, a Hugo, dziko krzycząc „ha! ha!”, skończył życie w mękach trucizny i wyrzutów sumienia.

— Pierwszy raz tak się nam udało — rzekła Małgorzata, gdy zmarły złoczyńca usiadł i rozcierał sobie łokcie.

— Nie pojmuję, jak możesz pisać i grać tak wspaniale, Ludko. Prawdziwy Szekspir z ciebie! — zawołała Eliza, silnie przekonana, że jej siostry są we wszystkim genialne.

— Niezupełnie — odparła skromnie Ludka — wprawdzie kłątwa czarownicy i liryczna tragedia to ładne rzeczy, ale chciałabym spróbować *Makbeta*<sup>4</sup>, gdybyśmy miały kłapę w podłodze dla Banka. Zawsze pragnęłam roli z zabijaniem. „Czy sztylet widzę przed sobą?” — wyrzekła, przewracając oczyma i dysząc jak pewna artystka, którą widziała na scenie.

— Nie, to widelec włożony w mamy pantofel zamiast w grzanek. Oto Elizy popisy sceniczne! — zawołała Małgosia i próba skończyła się ogólnym śmiechem.

— Ciesz mi to, żeście tak wesołe! — odezwał się ożywiony głos we drzwiach, a publiczność i aktorzy obrócili się, by powitać wysoką panią z matczyną twarzą i z tak miłym wyrazem twarzy, jak gdyby każdego pytała: „Czy mogę ci być pomocna?” Nie była to szczególnie piękna osoba, ale matki zawsze się podobają swoim dzieciom; dziewczętom zdawało się też, że jej szary płaszczyk i niemodny kapelusik okrywają najwspanialszą kobietę na świecie.

Matka

— Jak spędziłyście dzień, moje drogie? Tak wiele było do roboty z przygotowaniem wysyłek na jutro, że nie przyszłam na obiad do domu. Czy był tu ktoś, Elizo? Jak z twoim katarem, Małgosiu? Ludwisiu, zdajesz się na śmierć zmęczona. Dziecię, chodź mnie pocałować.

Matka

Zadając te matczyne pytania, pani March zdjęła z siebie przemokłe rzeczy, włożyła ogrzane pantofle i usiadłszy w fotelu, wzięła Amelkę na kolana, ciesząc się na najmilszą godzinę w swym pracowitym dniu. Dziewczęta krzątały się; każda chciała jej oddać jakąś przysługę i zapewnić wygodę. Małgosia przygotowała stół do herbaty; Ludka przyniosła drewna i ustawiła krzesła, wylewając i przewracając z hałasem wszystko, czego tknęła;

<sup>4</sup>*Makbet* — tragedia Szekspira o walecznym wodzu szkockim, którego ambicja i żądza władzy wiodą na drogę zbrodni, powodując w końcu katastrofę. W jednej ze scen Makbetowi ukazuje się duch jego przyjaciela, Banka, zamordowanego z jego rozkazu. [przypis edytorski]

Eliza cicho i gorliwie kręciła się między pokojem a kuchnią, Amelka zaś wydawała im rozkazy, siedząc sama z założonymi rękami.

Gdy się zebrały wokoło stołu, pani March rzekła ze szczególnie uszczęśliwioną twarzą: — Mam przysmak, który dostaniecie po kolacji.

Żywy, wesoły uśmiech przebiegł dokoła jak promień słońca. Eliza klasnęła w ręce, nie zważając, że trzyma gorący biszkopt; Ludka podrzuciła w górę serwetę z okrzykiem: „List! List!”.

— Tak, długi i miły list. Jest zdrowy i lepiej przechodzi zimową porę, niż przypuszczaliśmy. Przesyła serdeczne życzenia na Boże Narodzenie i specjalną wiadomość dla was, dziewczęta — rzekła pani March, trzymając się za kieszeń, jak gdyby w niej miała skarb.

— Pośpieszmy się z jedzeniem. Nie obracaj tak delikatnie palcami i nie pieść się z talerzem, Amelko! — wykrzyknęła Ludka i z wielkiego pośpiechu do „przysmaku” zakrzuszyła się herbatą i upuściła kromkę chleba na dywan, masłem do dołu.

Eliza przestała jeść i usunęła się do swego kącika, z góry ciesząc się na rozkosz, jaka je miała spotkać, gdy wszystkie będą gotowe.

— Ojciec wydaje mi się tak wspaniały, że poszedł na wojnę jako kapelan, będąc za stary na żołnierza! — powiedziała Małgosia z zapalem.

— Jakżebym chciała pójść na dobosza, *wivan*, jakże się to nazywa? Albo na sanitariuszkę, żeby być razem i czuwać nad nim! — zawołała Ludka.

— To musi być bardzo nieprzyjemne sypiać w namiocie, jadać różne niesmaczne rzeczy i pić z cynowego kubka — westchnęła Amelka.

— Mamo, kiedy ojciec wróci? — spytała Eliza drżącym nieco głosem.

— Niejeden miesiąc jeszcze upłynie, moja droga; chyba żeby zachorował. Póki tylko zdoła, będzie wiernie pełnił obowiązki, a my nie będziemy go prosić, żeby skrócił swój pobyt choćby o jeden dzień, kiedy tam jest potrzebny. Chodźcie teraz wysłuchać listu.

Przysunęły się wszystkie do kominka, matka w fotelu z Elizą u nóg, Małgosia i Amelka uczone na poręczach, a Ludka wsparta o jego grzbiet, żeby nikt nie widział jej wzruszenia, gdyby list był czyły.

W owych ciężkich czasach mało który list nie był czyły, zwłaszcza te przesyłane przez ojców rodziny. Pan March niewiele wspominał o trudach i niebezpieczeństwach, ani nawet o tęsknocie do kraju, z którą musiał walczyć. List był wesoły, ufny, pełen żywych opisów obozowego życia, marszów i wojennych nowin; tylko przy końcu wyrwały się z serca słowa zdradzające miłość ojcowską i tęsknotę do córeczek i do domu:

Obdziel je pozdrowieniem i uściskiem. Powiedz, że o nich myślę co dzień i modłę się za nie co wieczór, a w każdej chwili czerpię największą pociechę z ich przywiązania. Rok czekania na zobaczenie się z nimi wydaje mi się bardzo długim czasem, ale przypomnij im, że możemy wszyscy pracować nad tym, aby te ciężkie dni nie zostały zmarnowane. Wiem, że wszystko, co piszę, utkwii im w pamięci, że będą dla ciebie kochającymi dziećmi, że będą wiernie pełnić obowiązki, mężnie walczyć z wewnętrznym nieprzyjacielem i pokonywać siebie tak pięknie, abym gdy powrócę, mógł jeszcze bardziej kochać moje małe kobietki i bardziej chlubić się nimi.

W tym miejscu wszystkie rozczuliły się; Ludka nie wstydziła się wielkiej łzy, która jej spadła na nos; Amelka zaś, nie zważając, że psuje sobie loki, ukryła twarzyczkę na ramieniu matki i z łkaniem rzekła:

— Jestem samolubną świnką, ale będę się szczerze starała poprawić, żeby się ojciec kiedyś na mnie nie zawiódł.

— Wszystkie się poprawimy! — wykrzyknęła Małgosia. — Ja za wiele myślę o mojej powierzchowności i nie cierpię pracy, ale już tak nie będzie, jeżeli mi się powiodą usiłowania.

— Ja będę się starała być „małą kobietką”, jak mnie ojciec lubi nazywać, i przestanę być szorstka i dzika; będę pełnić tutaj obowiązki, zamiast ich szukać gdzie indziej — rzekła Ludka, dodając w duchu, że pokonywanie swego temperamentu jest daleko cięższym zadaniem niż wzięcie do niewoli paru buntowników.

Eliza, nic nie mówiąc, obtarła oczy niebieską skarpetką i zaczęła czym prędzej obracać drutami, aby bez straty czasu pełnić obowiązek znajdujący się najbliżej. W głębi cichej

List, Radość

Ojciec

List

Wojna

Rozstanie, Tęsknota

duszy postanowiła przy tym, że będzie taka, jakiej ojciec spodziewa się zastać, gdy za rok wróci szczęśliwie do domu.

Pani March przerwała milczenie, panując po słowach Ludwisi, mówiąc swym wesołym głosem:

— Czy pamiętacie, jak się bawiliście w pielgrzymki, będąc małymi dziewczynkami? Nic was tak nie cieszyło, jak kiedy każdej uwiązałam na szyi worek na brzemiona<sup>5</sup>, dałam kapelusz, kij i zwitek papieru i pozwoliłam wędrować po całym domu — od piwnicy, która była „Grodem zniszczenia” aż do dachu, gdzie składałyście wszystkie swe ładne rzeczy, aby stworzyć „Gród niebiański”.

— Jakież to było zabawne, zwłaszcza kiedyśmy się wybierały na lwy, na walkę z Apollionem i z wilkołakami, które znajdowały się w dolinie — rzekła Ludka.

— Lubiłam miejsce, gdzieśmy zdejmowały brzemiona i ciskały ze schodów — odezwała się Małgosia.

— A dla mnie najlepsza chwila była, kiedyśmy wychodziły, śpiewając z radości wśród promieni słońca, na płaski dach, gdzie były kwiaty, krzewy i inne ładne rzeczy — powiedziała Eliza z uśmiechem, jak gdyby te lube czasy powróciły dla niej.

— Ja niewiele pamiętam prócz tego, że się bałam piwnicy i ciemnego wejścia, ale za to lubiłam ciastka i mleko, któreśmy znajdowały na dachu. Gdyby nie to, że jestem za duża na takie rzeczy, chętnie bym się jeszcze w to bawiła — rzekła Amelka, która zaczynała mówić o porzuceniu dziecinnych rozrywek w poważnym wieku lat dwunastu.

— Nie jesteśmy na to nigdy za duże, moja droga, bo w ten czy w inny sposób zawsze się w to bawimy. Nasze brzemiona są tu, droga jest przed nami, a dążenia do doskonalenia się i do szczęścia to przewodnicy, którzy nas wiodą przez liczne troski i pomyłki do spokoju, stanowiącego prawdziwy „Gród Niebiański”. A więc, moje małe pielgrzymki, rozpocznijcie to znowu, nie żartem, lecz serio, a zobaczymy, jak daleko zajdzie każda, zanim ojciec wróci do domu.

— Mamo, ale gdzie są naprawdę nasze brzemiona? — spytała Amelka, biorąc rzeczy bardzo ściśle.

— Każda z was oprócz Elizy powiedziała, jakie teraz dźwiga brzemię; ona zapewne nie ma żadnego.

— Owszem: talerze, kurze, zazdrość wobec dziewczynek posiadających ładne fortepiany i lękanie się ludzi.

Brzemię Elizy było tak zabawne, że wszystkim chciało się śmiać, ale się powstrzymały, żeby jej nie obrazić.

— Zróbmy tak — rzekła Małgosia, zamyślając się — będzie to tylko inna nazwa doskonalenia się, i zabawa ta może nam być pomocna; bo chociaż chcemy być dobre, ciężka to praca, zapominamy się i nie robimy wszystkiego, co jest w naszej mocy.

— Byłyśmy dziś wieczorem w Otchłani Rozpaczy, ale mama przyszła i wydobyła nas. Więc co mamy teraz robić? — zapytała Ludka, uradowana myślą, że coś romantycznego osłodzi jej nudne obowiązki.

— Zajrzyjcie pod poduszki w poranek Bożego Narodzenia, to znajdziecie książki, które wam posłużą za przewodników — odpowiedziała pani March.

Podczas gdy stara Anna sprzątała ze stołu, rozmawiały o tym nowym planie. Następnie wydobyły cztery koszyczki do robót i igły przemykały się po prześcieradłach, które dziewczęta szyły dla ciotki March. Było to niezajmujące szycie, ale żadna nie narzekała tego wieczora. Przyjęły plan Ludki, żeby podzielić długie szwy na cztery części i nazwać je Europą, Azją, Afryką i Ameryką; w ten sposób poszło im doskonale, zwłaszcza gdy rozmawiały o różnych krajach, wyszywając sobie drogę po nich.

O dziesiątej przestały pracować i jak zwykle śpiewały przed pójściem spać. Jedna tylko Eliza potrafiła wydobywać tony ze starego fortepianu, i delikatnie dotykając poźółkłych klawiszy, przyjemnie wtórowała ich prostym śpiewom. Głos Małgosi przypominał flet i ona wraz z matką kierowała tym małym chórem; Amelka odzywała się jak świerszczyk, a Ludka przeskakiwała z nuty na nutę według upodobania — to popisywała się wejściem

<sup>5</sup>brzemię — ciężar, ładunek dźwigany na plecach albo przed sobą. [przypis edytorski]

Wspomnienia

Trud

Dobro

głosu w niewłaściwym miejscu, to zrobiła tryl<sup>6</sup> w najsmutniejszych tonach. Śpiew ten stał się domowym zwyczajem od ich najwcześniejszych lat, bo matka była z natury śpiewaczką. Jak skowronek śpiewem zaczynała dzień i śpiewem go kończyła, bo dziewczęta nigdy nie uznawały się za zbyt duże na tę domową kołysankę.

Obyczaje

## ROZDZIAŁ II. WESOŁE ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA

Ludka obudziła się pierwsza, o szarym świcie w świąteczny poranek. Nie było rozwieszonych pończoch przy kominku, więc przez chwilę doznawała tak przykrego uczucia, jak przed laty, kiedy jej pończoszka spadła na ziemię pod ciężarem zawartych w niej łąkości. Potem, przypomniawszy sobie obietnicę matki, wyciągnęła spod poduszki książeczkę w pąsowej oprawie. Bardzo dobrze ją знаła, była to bowiem piękna i stara historia najdoskonalszego żywota, jaki kiedykolwiek istniał, i Ludka uczuła, że to najlepszy przewodnik dla pielgrzymki wybierającej się w długą podróż. Obudziwszy Małgosię życzeniem wesołych świąt, poleciła jej sięgnąć pod poduszkę. Ukazała się książka w zielonej okładce, z takim samym obrazkiem w środku i z kilkoma słowami napisanymi przez matkę, co czyniło ten podarek bardzo cennym w ich oczach. Następnie Eliza i Amelka zbudziły się i poszukawszy, także znalazły książeczki, jedna popielatą, druga niebieską. Siedziały wszystkie, oglądając dary i gawędząc o nich, a tymczasem zorza różowiła ze wschodzącym dniem.

Pomimo drobnych próżnostek Małgosia miała słodką i religijną naturę i bezwiednie wpływała nią na siostry, zwłaszcza na Ludkę, która ją kochała serdecznie i chętnie słuchała jej łagodnych rad.

— Dziewczęta — odezwała się Małgosia, poważnie spoglądając na główkę leżącą obok niej i na dwie inne ubrane w nocne czepeczki w przyległym pokoju — mama pragnie, żeby te książki czytać, kochać i pamiętać; musimy wziąć się do nich natychmiast. Dawniej byliśmy im wierne, ale odkąd ojciec wyjechał, i te wszystkie rozruchy wojenne nas wykoleiły, zaniedbałyśmy wiele rzeczy. Możecie postąpić, jak wam się podoba, lecz co do mnie, będę mieć tę książkę tu na stole i czytać ją po trochu co rano zaraz po przebudzeniu się, gdyż wiem, że to pójdzie na użytek i będzie mi pomocą w ciągu dnia.

Książka

Otworzywszy nową książeczkę, zaczęła czytać wraz z Ludką, która ją objęła za szyję i miała spokojny wyraz, rzadko widziany na jej ruchliwej twarzy.

— Jaka Małgosia jest dobra! I my, Amelko, zróbmy to; pomogę ci w trudnych słowach, a czego nie zrozumiemy, to siostry nam wytłumaczą — szepnęła Eliza, na której nowe książeczki i przykład siostr wywarły wielkie wrażenie.

— Cieszę się, że moja jest niebieska — rzekła Amelka.

Po chwili w pokojach ucichło i było tylko słychać ostrożne przewracanie kartek, a zimowe słońce zakradało się do środka, dotykając główek i poważnych twarzątek ze świątecznymi pozdrowieniami.

— Gdzie mama? — zapytała Małgosia, gdy w pół godziny potem zbiegły na dół z Ludką, żeby podziękować za podarki.

— Bóg jeden wie. Przyszło jakieś biedactwo po prośbie, a mama zaraz poszła przekonąć się, czego tam w domu potrzeba. Nie znalazłaby się druga kobieta na świecie tak pochopna do dawania jedzenia, napoju, ubrania i opału — odpowiedziała Anna, która będąc u państwa March od urodzenia się Małgosi, była uważana bardziej za przyjaciółkę niż za służącą.

Matka, Dobro

— Niedługo pewnie wróci, więc zrób ciastka i miej wszystko w pogotowiu — rzekła Małgosia, spoglądając na podarki złożone w koszyku pod sofą, aby je można prędko wydobyć we właściwym czasie.

— Gdzie jest Amelki flaszeczka z wodą kolońską? — dodała, nie spostrzegając jej.

— Amelka wzięła przed chwilą, żeby obwiązać wstążeczką, czy coś takiego — odparła Ludka, tańcząc po pokoju, by się trochę rozchodzily nowe pantofle.

— Jak ładnie wyglądają moje chustki, nieprawdaż? Anna mi je uprała i uprasowała, a ja sama oznaczyłam — rzekła Eliza, dumnie spoglądając na trochę nierówne litery, które ją kosztowały tyle trudu.

<sup>6</sup>tryl — rodzaj ozdóbki muzycznego polegającego na szybkim powtarzaniu dwóch sąsiadujących dźwięków. [przypis edytorski]



— Niechże ją Pan Bóg ma w swojej opiece! Wyhaftowała „mama” zamiast „M. March”, jakież to zabawne! — wykrzyknęła Ludka, biorąc jedną chustkę do ręki.

— Czy tak niedobrze? Zdawało mi się, że będzie lepiej, bo pierwsze litery Małgosi są „M. M.”, a ja nie chcę, żeby ich używał ktoś inny prócz mamy — rzekła Elżbietka, nieco zmieszana.

— Dobrze zrobiłaś, moja droga; to piękna myśl i rozsądna, bo nikt się już nie może omylić. Wiem, że mamie to się bardzo spodoba — rzekła Małgosia i mrugnęła na Ludkę, a uśmiechnęła się do Elizy.

— Mama idzie! Schowajcie koszyk, prędko! — zawołała Ludka, gdy trzasnęły drzwi, a w sieni zabrzmiały kroki.

Amelka weszła śpiesznie i zmieszała się trochę, widząc, że wszystkie siostry na nią czekają.

— Gdzie byłaś? Co chowasz za sobą? — spytała Małgosia ze zdziwieniem, zauważając po kapturku i płaszczku, że leniwa Amelka wyszła tak wcześnie.

— Nie śmieję się ze mnie, Ludko. Nie chciałam, żeby ktoś wiedział o tym przed czasem. Poszłam tylko zamienić małą flaszeczkę na dużą. Wydałam na nią wszystkie pieniądze i będę się szczerze starała nie być już samolubna.

Mówiąc to, Amelka pokazała ładną flaszkę w miejsce małej, a to staranie by o sobie zapomnieć, nadawało jej tak poważną i pokorną minkę, że Małgosia uściskała ją, Ludka nazwała „pocziwym sercem”, a Eliza urwała z okna najpiękniejszą różę, by nią ozdobić wspaniałą butelkę.

— Widzicie, zawstydziłam się mego podarku po rannym czytaniu i zaraz po rozmowie o poprawieniu się, więc wstawszy, zaraz pobiegłam za róg domu i zamieniłam butelkę. Tak się cieszę, bo teraz mój podarek najładniejszy!

Frontowe drzwi znowu trzasnęły; koszyk poszedł pod sofę, a dziewczęta otoczyły stół, niecierpliwie gotując się do śniadania.

— Życzymy ci wesołych świąt, mamo! Abyś ich dużo przeżyła! Dziękujemy za książki; czytałyśmy już trochę i co dzień będziemy to robić! — wołały chórem.

— Wesołych świąt życzę wam, dziewczątka moje! Cieszy mnie, żeście zaczęły od razu, i mam nadzieję, że wytrwacie. Ale zanim usiądziemy, muszę wam coś powiedzieć: niedaleko stąd leży biedna kobieta z nowo narodzonym dzieckiem, a sześcioro drobiazgu siedzi skurczonych w jednym łóżku, chroniąc się od zimna, bo nie mają opału. Nawet jeść nic nie mają, więc najstarszy chłopiec przyszedł mi opowiedzieć o tej biedzie. Czy chcecie, moje dziewczęta, dać im swoje śniadanie jako podarek świąteczny?

Były nadzwyczaj głodne po godzinnym blisko wyczekiwaniu, więc przez chwilę nie odezwała się żadna; lecz tylko przez chwilę — bo Ludka wykrzyknęła zaraz z zapalem:

— Jak to dobrze, mamo, że przysłaś, zanim wzięłyśmy się do jedzenia!

— Czy będę mogła pomóc zanieść te rzeczy biednym dzieciom? — błagalnie zapytała Eliza.

— Ja wezmę śmietankę i ciastka — dodała Amelka, oddając bohatercko to, co najlepiej lubiła.

Małgosia już układała kawałki chleba z masłem na dużym talerzu.

— Spodziewałam się tego — rzekła pani March z uśmiechem zadowolenia. — Wezmę was ze sobą do pomocy; wróciwszy, posilimy się mlekiem i chlebem, a reszty dopełni obiad.

Wkrótce wszystko było gotowe i pochód wyruszył w drogę. Szczęściem była to wczesna godzina, szły bocznymi uliczkami, więc niewiele osób je widziało i nikt nie wyśmiał tej zabawnej wycieczki.

Zastały pokój nędzny, pusty, z potłuczonymi oknami, nieogrzany. Na brudnym posłaniu leżała chora matka z kwilącym niemowlęciem, a grono głodnych dzieci tuliło się pod starą koldrą, aby się ogrzać. Jakże spojrzały ich wielkie oczy, a sine usteczka uśmiechnęły się na widok naszych dziewcząt!

— Ach, *mein Gott!*<sup>7</sup> Anioły do nas przyszły! — wykrzyknęła biedna kobieta, płacząc z radości.

<sup>7</sup>*mein Gott* (niem.) — mój Boże. [przypis edytorski]

Pochlebstwo

Bieda

Poświęcenie

Bieda

— Zabawne anioły w kapturach i mitenkach<sup>8</sup> — rzekła Ludka, pobudzając wszystkich do śmiechu.

W kilka minut potem zdawało się istotnie, że jakieś dobre duchy wzięły się do dzieła. Anna, która przyniosła drzewo, rozpałała ogień i zatkała potłuczone szyby starymi kapeluszami i własną chustką. Pani March dała matce herbaty, kaszki i pocieszyła ją obietnicą, że będzie o niej pamiętać, a niemowlę ubrała z taką tkliwością jak swoje. Tymczasem dziewczęta zastawiły stół, posadziły dzieci wkoło ognia i karmiły je jak głodne pisklęta, przy czym śmiały się, szczebiotały, usiłując daremnie zrozumieć ich łamaną i komiczną angielszczyznę.

„*Das ist gut!*”<sup>9</sup>... „*die Engelkinder!*”<sup>10</sup> — wołały biedactwa, jedząc i rozgrzewając czerwone rączki przy rozkosznym ogniu. Dziewczęta jeszcze nigdy nie były nazywane „anielskimi dziećmi” i bardzo im się to podobało, zwłaszcza Ludce, uważanej od urodzenia za „Sancha”<sup>11</sup>. Była to bardzo przyjemna uczta, chociaż nie brały w niej udziału, i gdy odeszły, zostawiając pociechę, zdaje mi się, że w całym mieście nie było czterech weselszych osób niż te głodne dziewczynki, które oddały swe śniadanie, poprzestając na mleku z chlebem w poranek Bożego Narodzenia.

— To znaczy, że bardziej kochamy sąsiadów niż siebie, i mnie się to podoba — odezwała się Małgosia, gdy układały podarki, a matka wybierała na górze odzież dla biednych Humłów.

Ubogie były ich dary, ale dowodziły wielkiego przywiązania, a stojące na środku stołu duże wazony pąsowych róż, białych chryzantem i pnączy winorośli, nadawały mu elegancki wygląd.

— Mama idzie! Zagraj, Elizo! Otwórz drzwi, Amelko! Winszujemy! winszujemy! — wołała Ludka, skacząc wkoło, podczas gdy Małgosia wybiegła, żeby poprowadzić matkę do honorowego miejsca.

Eliza zagrała wesołego marsza, Amelka otworzyła drzwi, a Małgosia z wielką godnością odgrywała rolę eskorty. Pani March zdziwiło i wzruszyło to wszystko; uśmiechając się, przez lzy spoglądała na podarki i czytała przypięte do nich karteczki.

Najpierw wzięła pantofle, potem włożyła do kieszeni chustkę do nosa, skropioną wodą kolońską od Amelki; różę przypięła do stanika, a o ładnych rękawiczkach powiedziała, że są doskonale utrafione.

Dużo było śmiechu, całusów, objaśnień i tej prostoty i serdeczności, które sprawiają, że domowe uroczystości tak są miłe w chwili, tak słodkie we wspomnieniu. Następnie wzięły się wszystkie do roboty.

Miłosierny uczynek i domowa uroczystość zajęły tyle czasu, że resztę dnia dziewczęta poświęciły na wieczorną zabawę. Będąc zbyt młode, żeby często chodziły do teatru, a nie dosyć bogate, by wydawać wiele pieniędzy na amatorskie przedstawienia, nadrabiały własnymi pomysłami; a ponieważ potrzeba jest matką wynalazków, doskonale sobie radziły. Niektóre ich wyroby były bardzo zręczne: tekturowe gitary, starożytny lampy ze staroświeckich maselniczek oklejanych srebrnym papierem, świetne szaty ze starego perkalu przystrojone błyszczącymi punkcikami z cyny, zdjętej ze słoików od marynaty. Meble zazwyczaj przewracały do góry nogami, a obszerny pokój służył za scenę ich niewinnych rozrywek.

Ponieważ dopuszczano tylko płęć kobietą, Ludka do woli mogła odgrywać role męskie i rozkoszować się parą grubych butów, które jej dała przyjaciółka, znająca pewną panią, która znowu знаła pewnego aktora. Te buty, stary floret<sup>12</sup> i kaftan z rozcinanymi rękawami, rzeczy, których niegdyś pewien artysta używał do obrazu, były to największe skarby Ludki i popisywała się nimi przy każdej sposobności. Z powodu małego grona dwie główne aktorki musiały podejmować się kilku ról w jednej sztuce. Niezaprzeczenie zasługiwały na uznanie za ciężką pracę, uczyły się bowiem trzech lub czterech ról,

<sup>8</sup>*mitenki* a. *mitynki* (z fr.) — rękawiczki bez palców lub kryjące palce tylko do połowy; używane przez kobiety od XVIII w., często ozdobne, z delikatnych materiałów, koronki, wyszywane itp., sięgające do nadgarstka lub dalej, do łokcia. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*Das ist gut* (niem.) — To jest dobre. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*die Engelkinder* (niem.) — anielskie dzieci. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*Sancho Pansa* — postać z *Don Kichota* Cervantesa, otyły, prostoduszny i przyziemny giermek głównego bohatera. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*floret* — broń szermiercza. [przypis edytorski]

wkładały coraz to inne kostiumy i jeszcze urządzały scenę. Było to wyborne ćwiczenie dla pamięci, niewinna rozrywka i zajęcie na wiele godzin, które zeszyby na próżniactwie, w samotności lub w niekorzystnym towarzystwie.

W wieczór Bożego Narodzenia kilkanaście pań wgramoliło się na łóżko służące za parter i siedziało za firanką z żółto-niebieskiego perkalu<sup>13</sup> w najpochlebniejszym oczekiwaniu. Za kurtyną było dużo szeptów, łoskotu, trochę śwędu od lamp i niekiedy słyszeć się dawał chichot Amelki dochodzący prawie do konwulsji w tej gorączkowej chwili. Nareszcie odezwał się dzwonek, rozsunęły się firanki i zaczęto liryczną tragedię.

Stosownie do ogłoszenia na afiszu był tam ciemny las, wyobrażony przez kilka krzewów w donicach i zieloną tkaninę rozeslaną na ziemi. W oddali widać było jaskinię, której za dach służyły koce, a za ściany — komody. W środku stał rozpalony piecyk, czarna, stara czarownica stała pochylona nad czarnym garnkiem. Na scenie było ciemno, a ogień z piecyka sprawiał świetny efekt, zwłaszcza że gdy czarownica podnosiła pokrywę, z garnka wydobywała się prawdziwa para. Poświęcono chwilę na zaspokojenie pierwszego wrażenia, po czym zjawił się rozbójnik Hugo, z brzękającym mieczem przy boku, w kapeluszu o szerokich skrzydłach, z czarną brodą, w tajemniczym płaszczu, i wyżej wspomnianych butach. Przeszedł się kilka razy, wielce wzburzony, potem uderzył się w czoło i wybuchnął dzikim krzykiem, że nienawidzi Rodriga, kocha Zarę i zamierza zabić pierwszego, a pozyskać drugą. Ostre tony i krzyk sprawiały wielkie wrażenie i publiczność obsypała go oklaskami, gdy umilkł, żeby odetchnąć. Ukłoniwszy się z miną artysty przyzwyczajonego do pochwał, zbliżył się do jaskini i rozkazał Agarze, by wyszła, wołając: „Chodź tu, ulubienico! Potrzebna mi jesteś!”

Wyszła Małgosia z siwą końską grzywą rozpuszczoną na twarzy, w szacie o barwach czerwonych i czarnych, w płaszczu z kabalistycznymi znakami i z kijem w ręku. Hugo zażądał od niej miłosnego napoju dla Zary, a trucizny dla Rodryga. Agara piękną, dramatyczną arią zaczęła przywoływać ducha, mającego przynieść napój miłosny:

Wypieszczony tchnieniem róż, wykarmiony rosy lżą,  
Zstąp, powiewny duchu biały;  
Gromowładne berło złóż, śpiesz wypelnić prośbę mą,  
Rzuc palaców swych kryształy!

W księżycową jasną noc, gdy ucichnie ludzki gwar,  
I natura we śnie spocznie,  
Ześlij płyn, którego moc i magiczny władzy czar  
Działać będzie niewidocznie.

Dała się słyszeć cicha muzyka, po czym w głębi jaskini ukazała się mała postać odziana w mglistą biel, z błyszczącymi skrzydłami, ze złocistym włosiem i w wieńcu z róż na głowie. Poruszając laseczką, zaśpiewała:

Z górnych krain, z srebrnych bram,  
Otulonych śnieżną mgłą,  
Zszedłem, by wysłuchać cię;  
Lecz talizman, który mam,  
Straci wkrótce wartość swą,  
Jeśli go użyjesz źle.

I rzuciwszy złoconą fiaszeczkę u nóg czarownicy, duch znikł. Drugi śpiew Agary wywołał kolejną zjawę, nieprzyjemną — bo z hukiem pojawił się brzydki, czarny chochlik. Ponurym głosem dał odpowiedź, rzucił ciemną butelkę w Hugona, po czym znikł z szyczerzym śmiechem. Hugo odśpiewał podziękowanie, schował fiaszeczkę w buty i odszedł, Agara zaś oznajmiła publiczności, że ponieważ zabił w przeszłości kilku jej przyjaciół, postanowiła krzyżować mu plany i zemścić się. Potem kurtyna opadła, a publiczność odпочywała, jadła słodczyce i rozprawiała o sztuce.

<sup>13</sup>perkal — cienkie płótno bawełniane. [przypis edytorski]

Sporo trwało stukanie, zanim kurtyna znów się podniosła, ale nikt nie szemrał na zwłokę, bo urządzenie sceny okazało się arcydziełem. Była to rzecz naprawdę wspaniała! Wieża sięgała aż do sufitu. W połowie wysokości znajdowało się okno z palącą się lampą, a spoza białej firanki ukazała się Zara w pięknej srebrno-błękitnej sukni, oczekująca Rodryga. Przybył w świetnym stroju: w kapeluszu z piórami, w czerwonym płaszczu, w ciemnoblonde loczkach, w butach naturalnie, i z gitarą w ręku. Ukłąkł u stóp wieży, zaśpiewał czułym głosem serenadę, Zara odpowiedziała — i po tej śpiewanej rozmowie przystała na ucieczkę. Tu nastąpił wielki efekt: Rodryg wydobył drabinkę linową o pięciu szczeblach, podrzucił w górę jeden koniec i poprosił, żeby Zara zeszła. Lękliwie wydostała się przez okno, oparła rękę na jego ramieniu i już miała z wdziękiem zeskoczyć, kiedy „biedna, biedna Zara!” — zapomniała o ogonie od sukni, który zaczepił o okno. Wieża zachwiała się, pochyliła naprzód, padła z łoskotem i pochowała nieszczęsnych kochanków w ruinach!

Powstał ogólny krzyk, gdy skórzane buty gwałtownie wydobywały się z gruzów, a złocista główka wychyliła się, wołając: „Mówiłam ci, mówiłam!”. Don Pedro, srogi ojciec, z zadziwiającą przytomnością umysłu przyskoczył i szybkim ruchem odciągnął córkę na bok.

— Nie śmieć się i graj, jak gdyby nic nie zaszło! — powiedział i rozkazawszy Rodrygowi wstać, wygnał go z królestwa ze wzgardą i gniewem. Rodryg lekcewał starość i nie chciał się ruszyć, chociaż zmieszany był zwaleniem mu się wieży na głowę. Ten zuchwały przykład rozognił Zarę. Ona także odezwała się wyzywająco do ojca, który skazał ich na najgłębsze więzienie w zamku. Mały, tęgi dozorca przyniósł łańcuchy i odprowadził ich z bardzo wystraszoną miną, widocznie zapominając, co ma powiedzieć.

W akcie trzecim przedstawiono zamek. Agara zjawia się z postanowieniem, że uwolni kochanków i odbierze Hugonowi życie. Usłyszawszy, że ten nadchodzi, kryje się i widzi, jak on nalewa eliksiry do dwóch czar win i każe nieśmiało dozorczy zanieść je więźniom do celi, z oznajmieniem, że wkrótce sam przyjdzie. Sługa bierze na bok Hugona, żeby mu coś powiedzieć, Agara zaś zamienia czary na inne, nieszkodliwe. Sługa Ferdynand zabiera je ze sobą, a Agara stawia na powrót zatrutą czarę przeznaczoną dla Rodryga. Hugo, chcąc zwilżyć gardło po długim śpiewie, wypija zabójczy napój, traci przytomność, zaciska pięści, szamoce się pewien czas — wreszcie pada i umiera. Agara oznajmia mu, co uczyniła, w arii szczególnie silnej i pięknej.

Ta scena była naprawdę przejmująca, chociaż ktoś mógłby zarzucić, że kiedy długie, gęste włosy nagle spadły z głowy nikczemnika, zepsuł się efekt jego śmierci. Gdy go wywołano przed kurtynę, zachował się bardzo stosownie, prowadząc za rękę Agarę, której śpiew wzbudził większy podziw niż całe widowisko razem wzięte.

W akcie czwartym Rodryg jest bliski samobójstwa z rozpacz, powiedziano mu bowiem, że Zara go porzuciła. Gdy właśnie przykład miecz do piersi, pod jego oknem odzywa się melodyjna pieśń, oznajmiająca, że Zara jest wierna, ale grozi jej niebezpieczeństwo, i że jeżeli zechce, może ją ocalić. Ktoś wrzuca mu przez okno klucz, którym otwiera drzwi. W uniesieniu radości zrywa z siebie więzy i wybiega, by odnaleźć i uratować panią swego serca.

Akt piąty zaczyna się burzliwą sceną między Zarą a Don Pedrem, który żąda, by wstąpiła do klasztoru; ale ona słuchać nie chce i po wruszającej prośbie bliska jest omdlenia, kiedy Rodryg wpada i oświadcza się o jej rękę. Don Pedro odmawia, ponieważ Rodryg nie jest bogaty; obaj krzyczą, gestykują przeraźliwie i nie mogą się zgodzić. Rodryg właśnie zamierza wynieść wyczerpaną Zarę, gdy ów nieśmiały sługa wchodzi z listem i z workiem od Agary, która tajemniczo zniknęła. List zawiadamia, że przekazuje młodemu kochankowi niezmierny majątek, a Don Pedrze grozi strasznym losem, jeżeli nie przyzwoli na ich szczęście. Otwierają worek i kilkanaście kwart<sup>14</sup> srebrnych monet spada jak deszcz na scenę, aż cała połyskuje. To zupełnie uspokaja „srogiego ojca”. Daje przyzwolenie bez szemrania; wszyscy łączą się w wesoły chór, a kurtyna opada na kochanków klęczących z romantycznym wdziękiem, by odebrać błogosławieństwo od Don Pedra.

Nastąpiły burzliwe oklaski, ale przerwała je niespodziana rzecz; oto składane łóżko stanowiące parter nagle zamknęło się i przykryło całą publiczność. Rodryg i Don Pedro

<sup>14</sup>kwarta — jednostka objętości. [przypis edytorski]

pobiegli z pomocą i wszystkie dziewczęta wydobyto bez szwanku, chociaż niektóre ze śmiechu nie mogły mówić. Zaledwie zamęt zaczął opadać, ukazała się Anna „z ukłonem od pani March i prośbą, aby panny zeszły na kolację”.

Było to niespodzianką nawet dla aktorek, i ujrawszy stół, spoglądały na siebie z rozkosznym zdziwieniem. Bardzo to było podobne do „mamy”, że im przygotowała balik, ale nie widziały tak wykwintnej uczyty od czasów dostatku! Były aż dwa półmiski białych i różowych lodów, ciastka, owoce i ulubione cukierki francuskie, a na środku stołu cztery wielkie bukiety z ciepłarnianych kwiatów.

Tamując oddech, patrzyły to na stół, to na matkę, która wyglądała na niezmiernie ucieszoną.

— Czy to czary? — spytała Amelka.

— To święty Mikołaj — odezwała się Eliza.

— To dzieło mamy! — rzekła Małgosia z uśmiechem, słodkim pomimo siwej brody i białych brwi.

— Pewnie ciotka March zdobyła się na dobry figiel i przysłała kolację — wykrzyknęła Ludka z nagłym natchnieniem.

— Wszystkie się mylicie; to ofiarował stary pan Laurence — odparła pani March.

— Dziadek Artura? Skąd mu to przyszło do głowy? Przecież go nie znamy! — wykrzyknęła Małgosia.

— Anna opowiedziała jednej z jego służących o waszej wędrowce ze śniadaniem i podobało mu się to, chociaż jest dziwakiem. Znał mego ojca przed laty, więc napisał grzecznie dziś po południu, wyrażając nadzieję, że mu pozwolę okazać życzliwość dla mych dzieci przesłaniem kilku drobnostek na uczczenie tego dnia. Nie mogłam odmówić, macie więc ucztę wieczorną w nagrodę za mleko z chlebem na śniadanie.

— Jestem pewna, że ten chłopiec poddał mu tę myśl! Chciałabym się z nim zapoznać, bo to wyborny chłopak! Zdaje się, że on także ma na to ochotę, ale jest nieśmiały, a Małgosia taka sztywna, że nie pozwala nam mówić z sobą, gdy się spotykamy — rzekła Ludka, podczas kiedy talerze obchodziły wkoło, a lody zaczynały znikać ze stołu wśród okrzyków radości.

— Czy mówisz o tej rodzinie mieszkającej obok w dużym domu? — spytała jedna z dziewcząt. — Moja mama zna starego pana Laurence’a, ale mówi, że on jest bardzo dumny i że nie lubi zadawać się z sąsiadami. Trzyma wnuka w zamknięciu z wyjątkiem chwil, kiedy jeździ konno lub przechadza się z nauczycielem, i strasznie dużo każe mu się uczyć. Zapraszałyśmy go na zabawy, ale nie przyszedł. Mama powiada, że jest bardzo miły, chociaż do nas dziewcząt nigdy się nie odzywa.

— Jak przyniósł raz kota, który nam uciekł, rozmawialiśmy przez płot o różnych grach, ale zobaczywszy zbliżającą się Małgosię, zaraz uciekł. Chciałabym go poznać, bo jestem pewna, że mu potrzeba rozrywek — rzekła Ludka.

— Podoba mi się, bo ma maniery małego gentlemana i nie mam nic przeciw temu, żebyście się z nim poznały przy sposobności. Sam przyniósł kwiaty i byłabym go zaprosiła, ale nie miałam pewności, co się dzieje na górze. Wyglądał na smutnego, kiedy odchodził, słysząc gwarłą zabawę, bo jej pewnie w domu nie miewa.

— Szczęście, że tego nie zrobiłaś, mamo! — rzekła Ludka, ze śmiechem spoglądając na swe buty. — Ale innym razem urządzimy taką sztukę, żeby ją mógł zobaczyć. Może nawet weźmie udział; czy to nie byłoby przyjemne?

— Jeszcze nigdy nie miałam bukietu; jaki ładny! — powiedziała Małgosia, przyglądając się kwiatom z wielkim zainteresowaniem.

— Ładne te kwiaty, lecz milsze mi róże od Elizy! — rzekła pani March, wachając na pół zwiędły bukiet, przypięty do stanika.

Eliza przytuliła się do niej i szepnęła miękko:

— Chciałabym posłać mój bukiet ojcu, bo się boję, że dla niego święta Bożego Narodzenia będą mniej wesołe niż dla nas...

### ROZDZIAŁ III. MŁODY LAURENCE

— Ludko, Ludko! Gdzie jesteś? — wołała Małgosia, stojąc przed schodami na poddasze.

— Tutaj — odrzekł niewyraźny głos na górze.



Wpadłszy na poddasze, Małgosia spostrzegła, że siostra zajada jabłka i ze łzami czyta przy słonecznym oknie *Dziedzica Redcliffe'u*<sup>15</sup>, leżąc owinięta w szal na starej sofie o trzech nogach. Było to ulubione schronienie Ludki; chętnie się tam usuwała z półtuzinem renetek<sup>16</sup> i z ładną książką, aby używać ciszy i towarzystwa ulubionego szczura, który mieszkał w pobliżu i wcale na nią nie zważał. Gdy ukazała Małgosia się, wsunął się do swej dziury, a Ludka, obtarłszy oczy, wyczekiwała, co od niej usłyszy.

— Ach, jakież to zabawne! Patrz, zupełnie urzędowe zaproszenie do pani Gardiner na jutrzejszy wieczór! — wykrzyknęła Małgosia, podnosząc w górę drogocenny bilet, po czym przeczytała z dzieciinną radością: — „Pani Gardiner prosi, żeby panna March i panna Ludwika sprawiły jej tę przyjemność i przyszły na wieczorek taneczny w Sylwestra”. Mama pozwala nam pójść, ale w co się ubierzemy?

— Po co pytać? Wiesz, że weźmiemy popelinowe suknie, bo nie mamy nic innego — odrzekła Ludka z pełnymi ustami.

— Gdybym tylko miała jedwabną suknię — westchnęła Małgosia. — Mama mówi, że może dostanę, jak będę mieć osiemnaście lat, ale to długo czekać dwa lata!

— Nasze popelinowe suknie wyglądają jak jedwabne i jak dla nas są wystarczająco ładne. Twoja jest jak nowa; ale zapomniałam, że moja przypalona i rozdarta! Cóż ja pocznę? Przypalenie okropnie widoczne, a nie mogę nic wyjąć.

— Musisz siedzieć jak najspokojniej i nie obracać się tyłem, przednie bryty<sup>17</sup> są całkiem dobre. Wezmę nową wstążeczkę na głowę, mama mi pożyczy szpilki z perełką, trzewiczki mam ładne, i rękawiczki ujdą, chociaż nie tak ładne, jak bym chciała.

— Ja swoje zniszczyłam lemoniada, a nie mogę kupić innych, więc pójdę bez rękawiczek — rzekła Ludka, nietroszcząca się wiele o ubranie.

— Musisz mieć, bo inaczej nie pójdę! — zawołała Małgosia stanowczo. — Rękawiczki są najważniejsze ze wszystkiego. Nie można bez nich tańczyć, a gdybyś nie tańczyła, toby mnie tak zmartwiło.

— To zostanę w domu. Nie bardzo dbam o wieczorki taneczne. Co to za przyjemność kręcić się w kółko? Ja lubię skakać i biegać.

— Nie możesz prosić mamy o nowe, bo to dużo kosztuje, a tyś taka niedbała; jak zniszczyłaś tamte, zapowiedziała ci, że innych tej zimy nie kupi. Czy nie mogłabyś sobie jakoś poradzić? — zapytała Małgosia troskliwie.

— Mogę je trzymać zwinięte w ręku, żeby nikt nie widział, że są poplamione, nic więcej nie wymyślę. Nie! Powiem ci, jak to możemy urządzić: każda włoży jedną dobrą, a w ręku będzie trzymała złą; rozumiesz?

— Masz większe ręce od moich, to mi ją strasznie rozciągniesz — odezwała się Małgosia, bo rękawiczki były jej słabą stroną.

— A więc pójdę z gołymi rękami. Nie dbam o to, co ludzie powiedzą! — zawołała Ludka, biorąc się na powrót do książki.

— Możesz ją sobie wziąć, możesz! Tylko nie splam i obchodź się z nią dobrze. Nie trzymaj rąk za sobą, nie wpatruj się w nie, nie wołaj: „Krzysztofie Kolumbie!”, dobrze?

— Nie martw się o mnie, będę sztywna jak talerz i będę się starała uniknąć biedy. Teraz idź, odpowiedz na bilecik i daj mi skończyć tę wspaniałą powieść.

Małgosia poszła napisać: „przyjmują z podziękowaniem”. Potem oglądała suknię i śpiewała wesoło, obszywając ją swą jedyną frezą z prawdziwej koronki. Ludka tymczasem kończyła powieść, jadła jabłka i bawiła się ze szczurem.

W noworoczny wieczór bawialny pokój był pusty, bo młodsze dziewczęta służyły za garderobiane, a starsze były zajęte ważną sprawą „ubierania się na zabawę”. Chociaż toalety miały skromne, dużo było biegania na górę i z góry, dużo śmiechu i szczebiotu. W jednej chwili silna woń przypalonych włosów napełniła cały dom. Małgosia chciała mieć kilka loczków nad czołem, a Ludka podjęła się przypiec papiloty żelaznymi szczypcami.

— Czy powinno się tak dymić? — spytała Eliza, siedząc na łóżeczku.

— To wilgoć się wysusza — odparła Ludka.

<sup>15</sup>*Dziedzic Redcliffe'u* — *The Heir of Redcliffe* (1853), powieść romantyczna autorstwa Charlotte Mary Yonge, niezwykle popularna w drugiej połowie XIX w. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*renetka* — inaczej: reneta, stara odmiana winno-kwaskowatych jabłek. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*bryt* — pas tkaniny lub klin; z brytów zszywa się np. spódnice. [przypis edytorski]

— Jaki dziwny zapach! Zupełnie jak spalonego pierza! — zauważyła Amelka, gładząc swe loki z zadowoleniem.

— Zdejmę teraz papiery, to zobaczycie masę maleńkich loczków — rzekła Ludka, kładąc żelazko.

Zdjęła je wprawdzie, ale się nie ukazała „masa loczków”, bo włosy odpadły wraz z papiertami, a przerażona fryzjerka położyła przed swą ofiarą cały szereg spalonych paczek.

— Ach, ach, ach! Coś ty zrobiła! Wszystko przepadło! Nie mogę pójść na zabawę! Moje włosy, ach, moje włosy! — wołała z płaczem Małgosia, spoglądając rozpaczliwie na nierówne strzępki nad czołem.

— Takie już moje szczęście! Nie trzeba było mnie o to prosić. Ja wszystko psuję. Bardzo mi przykro, przypaliłam, bo żelazko było za gorące — mówiła z żalem biedna Ludwisia, patrząc przez łzy na czarne pierożki.

— Nic się nie zepsuło, tylko ufryzuj się i przewiąż wstążkę tak, żeby koniec zachodził trochę na czoło. To ostatnia moda, widziałam dużo panien tak uczesanych — rzekła Amelka, żeby ją pocieszyć.

— Dobrze mi tak. Dlaczego chciałam się przystroić? Żałuję, że dotykałam włosów! — wykrzyknęła Małgosia porywczo.

— Ja także, takie były miękkie i ładne! Ale niedługo odrosną! — powiedziała Eliza i podeszła ucałować i ukoić ostrzyżoną owieczkę.

Po różnych drobnych niepowodzeniach Małgosia ubrała się nareszcie, a Ludka przy pomocy siostr uczesała się i włożyła suknię. Bardzo dobrze wyglądały w swych skromnych strojach. Małgosia miała suknię z srebrzystego materiału, niebieską aksamitkę we włosach, koronkowe falbanki i szpilkę z perełką. Ludka była w sukni orzechowej, w sztywnym męskim kołnierzyku i w białych chryzantemach, które były jej jedyną ozdobą. Każda włożyła jedną ładną jasną rękawiczkę, a w ręku trzymała splamioną, i wszystkie uznały, że robią to „zupełnie swobodnie i dobrze”. Małgosi trzewiczki na wysokich korkach były strasznie ciasne i cisnęły ją, chociaż nie chciała tego przyznać, a Ludce wszystkie dziewiętnaście szpilek zdawały się wbite w głowę, co było niezbyt przyjemne. Ale, mój Boże, raczej umrzeć, niż nie być elegancką!

— Bawcie się dobrze, kochane — rzekła pani March, gdy szły wystrojone ulicą. — Nie jedzcie wiele na kolację i wróćcie do domu o jedenastej, zaraz jak przyślę po was Annę.

Gdy tylko zamknięto za nimi bramę, odezwała się jeszcze przez okno:

— Dziewczęta, dziewczęta! Czy wzięłyście ładne chusteczki do nosa?

— Tak, tak, maleńkie i ładne, a Małgosia swoją skropiła wodą kolońską! — krzyknęła Ludka, dodając ze śmiechem gdy się oddaliły: — Zdaje mi się, że mama zapytałaby o to, gdybyśmy uciekały przed trzęsieniem ziemi.

— To jedno z jej arystokratycznych upodobań i zupełnie właściwe, bo prawdziwą damę zawsze poznaje się po świeżych rękawiczkach i chustce do nosa — odparła Małgosia, która także miała sporo maleńkich „upodobań arystokratycznych”.

— Nie zapomnij, Ludko, schować tylny bryt. Czy moja szarfa dobrze leży? A uczesanie czy nie bardzo źle wygląda? — pytała Małgosia przy gotowni<sup>18</sup> pani Gardiner, odchodząc od lustra po długim przeglądaniu się.

— Wiem, że zapomnę, ale jak zobaczysz, że robię coś niestosownego, to mrugnij, dobrze? — odrzekła Ludka, prostując sobie kołnierzyk i naprędce gładząc włosy szczotką.

— Nie wypada mrugać, ale podniosę w górę brwi, jeżeli będzie coś złego, a opuszczę je w dół, jak wszystko będzie w porządku. Pamiętaj trzymać się prosto i stawiać drobne kroki. Jeżeli cię komuś przedstawią, nie podawaj ręki do uścisku, to niepotrzebne.

— Jakim sposobem uczysz się tych pięknych manier? Ja w żaden sposób nie mogę! Słuchaj, jakaś wesoła muzyka!

Zeszły na dół trochę nieśmiało, gdyż rzadko bywały na zabawach, a chociaż to małe zgromadzenie było nieformalne, dla nich stanowiło ważne wydarzenie. Pani Gardiner, dama poważna i niemłoda, przywitała je uprzejmie i poleciła najstarszej ze swych sześciu córek. Małgosia знаła Salusię, więc bardzo szybko poczuła się swobodnie, ale Ludka, nielubiąca towarzystwa dziewcząt, stała na uboczu, pilnie ukrywając pod ścianą tylny

<sup>18</sup>gotownia (daw.) — stół z lustrem i przyborami do robienia toalety (toaletka). [przypis edytorski]

bryt, i tak się czuła nie na miejscu, jak konik w kwiatowym ogrodzie. Kilku wesołych chłopców rozprawiało w innej części pokoju o ślizgawce, Ludka więc miała wielką ochotę przyłączyć się do nich, bo ślizganie się było jej największą rozkoszą. Zatelegrafowała swoje życzenie do Małgosi, która tak groźnie podniosła brwi w górę, że nie śmiała się ruszyć. Nikt nie podszedł z nią rozmawiać, gromadka stojąca w jej pobliżu powoli rozproszyła się, a wreszcie pozostała sama. Nie mogła swobodnie krążyć ani się bawić, obawiając się, że ktoś zobaczy przypalony bryt, więc się tylko przyglądała innym z niejaką rozpaczą, póki nie zaczęto tańczyć. Małgosia zaraz została zaproszona i jej ciasne trzewiczki tak żywo się obracały, że nikt by nie odgadł, jaki ból znosi z uśmiechem; Ludka spostrzegła, że jakiś wysoki, rudy młodzieniec zmierza do jej kąta, i obawiając się, aby jej nie poprosił do tańca, usunęła się za firankę, żeby się spokojnie przyglądać i bawić. Na nieszczęście ktoś inny nieśmiały wybrał to samo schronienie, bo gdy firanka opadła za nią, znalazła się twarz w twarz z młodym Laurence'em.

— Mój Boże, nie widziałam, że tu ktoś jest! — wyjąkała, chcąc się wycofać tak prędko, jak się tam schowała.

Ale chłopiec roześmiał się i rzekł żartobliwie, chociaż zdawał się trochę przestraszony:

— Proszę na mnie nie zważać, możesz pani zostać, jeżeli masz ochotę.

— Czy nie będę przeszkadzać?

— Bynajmniej. Schroniłem się tu tylko dlatego, że znając mało osób, byłem z początku jakiś nieswój.

— Ja tak samo. Zostań pan, chyba że wolisz odejść.

Chłopiec usiadł na powrót i przyglądał się swym butom, ale Ludka, chcąc się okazać grzeczna i swobodna, rzekła:

— Zdaje mi się, że pana już widziałam, mieszkasz obok nas, nieprawdaż?

— Po sąsiedzku. — Spojrzał na nią i roześmiał się głośno, bo jej sztywne zachowanie się bawiło go w porównaniu z tamtą rozmową o krykicie, gdy odniósł do domu jej kota.

To ją zupełnie ośmieliło. Roześmiała się także i rzekła serdecznie:

— Tak nas ucieszył pana podarek na Boże Narodzenie.

— To mój dziadek go przysłał.

— Ale pan mu nasunął tę myśl, nieprawdaż?

— Jak się ma kotek, panno March? — zapytał, przymuszając się do poważnej miny, chociaż czarne oczy błyskały mu figlarnie.

— Zdrow, dziękuję ci, panie Laurence, ale ja nie jestem panną March, tylko Ludką — odrzekła panienska.

— A ja nie jestem panem Laurence, tylko Arturem. Na pierwsze imię dano mi Teodor, ale go nie lubię, bo koledzy nazywali mnie Dora; postanowiłem więc, żeby mi mówili Arturze.

— Ja także nienawidzę mego imienia — takie sentymentalne! Chciałabym, żeby mi wszyscy mówili Ludwiko, zamiast Ludko. Jak pan tego dokonałeś, że chłopcy przestali cię nazywać Dorą?

— Przykazałem im.

— Ja nie mogę przykazać ciotce March, więc chyba muszę to znosić — i westchnęła z rezygnacją.

— Czy nie lubisz tańczyć, Ludko?

— Dostyc lubię, jak dużo jest miejsca i wszyscy są weseli. Ale w takim salonie z pewnością przewróciłabym coś, deptałabym po nogach, albo niezawodnie przydarzyłoby mi się coś równie okropnego. Unikam więc guza i wszelkie powodzenia zostawiam Małgosi. A pan, czy nie tańczysz?

— Czasami, ale długi czas byłem za granicą i od niedawna jestem z powrotem, więc się tu nie obeznałem ze wszystkim.

— Za granicą! — wykrzyknęła Ludka. — Opowiedz mi pan coś! Ja tak serdecznie lubię słuchać opisów podróży.

Artur widocznie sam nie wiedział, od czego zacząć, ale ciekawe pytania Ludki wprowadziły go wkrótce na tor. Opowiadał jej więc, że oddano go do szkoły w Vevey<sup>19</sup>, gdzie

<sup>19</sup>Vevey — szwajcarskie miasto położone nad Jeziorem Genewskim. [przypis edytorski]

chłopcy nigdy nie noszą kapeluszy i mają flotę ze statków na jeziorze, a w czasie wakacji wybierają się z nauczycielami na pieszą wędrowkę po Szwajcarii.

— Jakżeby tam chciała być! — wykrzyknęła Ludka. — Czy byłeś pan w Paryżu?

— Spędziłeś tam zeszłą zimę.

— I mówisz po francusku?

— W Vevey nie wolno nam było inaczej mówić.

— Powiedz coś, żebym usłyszała. Umieję czytać, ale nie mogę się nauczyć wymowy.

— *Quel nom a cette jeune demoiselle en les pantoufles jolies?* — rzekł usłużnie Artur.

— Jak ładnie mówisz! To znaczy: kim jest ta panienska w pięknych pantofelkach, nieprawdaż?

— *Oui, mademoiselle.*

— To moja siostra Małgorzata, o czym dobrze wiedziałeś. Czy ci się podoba?

— Bardzo. Przypomina mi niemieckie dziewczęta, bo ma taką świeżą cerę, spokojne rysy i tańczy z dystyncją<sup>20</sup>.

Ludka zarumieniła się, słysząc tę pochwałę, i zapamiętała ją, żeby powtórzyć siostrze. Tak długo razem przyglądali się towarzystwu, udzielali sobie uwag i gawędzili, że zdawało im się, iż ich łączy dawna znajomość. Artur prędko otrząsnął się z nieśmiałości, bo męskie obejście Ludki bawiło go i dodawało mu swobody. Ona także odzyskała wesołość, gdyż zapomniała o sukni i nikt na nią nie podnosił brwi. Polubiła bardzo młodego Laurence'a i raz po raz przyglądała mu się bacznie, żeby go opisać dziewczętom. Nie miały braci, a kuzynów bardzo mało, więc znajomość z chłopcem była dla nich nowością. „Kręcące się czarne włosy — powtarzała sobie — ciemna cera, duże czarne oczy, długi nos, ładne zęby, małe ręce i nogi, wzrost taki jak mój. Bardzo grzeczny, jak na chłopca, i przy tym wesoły. Ciekawam, ile ma lat?”

Miała to pytanie na końcu języka, lecz powstrzymała się w porę, z niezwykłym taktem starając się tego dowiedzieć określną drogą.

— Pewno niedługo wstąpisz do kolegium<sup>21</sup>? Widzę, że harujesz nad książkami, to jest, chciałam powiedzieć, że studiujesz pilnie. — I zarumieniła się ze wstydu, że to straszne „harujesz” wymknęło jej się z ust.

Artur uśmiechnął się, ale go to widać nie obraziło, i odpowiedział, wzruszając ramionami:

— Dopiero za dwa, trzy lata, w każdym razie nie prędzej, aż skończę siedemnaście lat.

— Masz dopiero piętnaście? — zapytała, spoglądając na dużego chłopca, któremu dawała już siedemnaście lat.

— W przyszłym miesiącu skończę szesnaście.

— Jakżeby tam chciała chodzić do kolegium. A ty nie masz ochoty, jak mi się zdaje?

— Najmniejszej. Tam młodzież włóczy się tylko dniem i nocą, i w ogóle nie podoba mi się jej tryb życia.

— A co ci się podoba?

— Mieszkać we Włoszech i żyć według swoich upodobań.

Ludka miała wielką ochotę zapytać, jakie one są, ale jakoś surowo ściągnęła czarne brwi, więc chcąc zmienić temat rozmowy, zaczęła wybijać takt stopą i rzekła: — Wspaniała polka, czemu jej nie spróbujesz?

— Służę ci — odpowiedział z dziwnym, krótkim ukłonem, na francuski sposób.

— Nie mogę, powiedziałam Małgosi, że nie będę tańczyć z powodu... — zatrzymała się, niepewna widocznie, czy mówić, czy się roześmiać.

— Z powodu? — ciekawie zapytał Artur.

— Nie powiesz nikomu?

— Nigdy!

— Otóż, przyszedł mi do głowy nieszczęśliwy pomysł stanąć przed kominkiem i przybliżyć sobie tę suknię. Chociaż jest starannie naprawiona, to widać różnicę i Małgosia zaleciła mi siedzieć spokojnie, żeby nikt tego nie zobaczył. Możesz się śmiać, jeżeli chcesz, wiem, że to zabawne.

<sup>20</sup>dystynkcja — tu: dystygowane, wytworne zachowanie. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>kolegium (ang. college) — szkoła wyższa w krajach anglosaskich, szczególnie w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. [przypis edytorski]

Artur nie śmiał się jednak, tylko patrzył w ziemię przez chwilę i z dziwnym wyrazem twarzy powiedział bardzo mile:

— Mniejsza o to, posłuchaj, jak sobie poradzimy. Tam, z drugiej strony pokojów, jest długa sień, możemy swobodnie tańczyć i nikt nas nie zobaczy. Chodźmy!

Ludka podziękowała i poszła chętnie, żalując, że nie ma dwóch czystych rękawiczek, bo spostrzegła, że jej tancerz wkłada śliczne, perłowego koloru. Sień była pusta i doskonale im było tańczyć polkę. Artur dobrze tańczył i nauczył ją niemieckiego *pas*<sup>22</sup>, które zachwyliło ją, bo jest skoczne i pełne życia. Gdy muzyka zamilkła, usiedli na schodach, żeby odpocząć, i Artur opisywał jakąś zabawę heidelberską<sup>23</sup>, kiedy pojawiła się Małgosia. Na dany znak Ludka chętnie poszła do jednego z bocznych pokojów, gdzie zastała siostrę, która leżąc z bladą twarzą na sofie, trzymała się za stopę.

— Zwichnęłam sobie kostkę. Ten głupi obcas wykręcił się i okropnie cierpię. Tak boli, że trudno mi stać, i nie wiem, jak wrócę do domu — rzekła, wijąc się na sofie.

— Wiedziałam, że pokaleczysz nogi przez te niedorzeczne korki. Przykro mi, ale nie widzę innego sposobu, jak żebyś wsiadła do powozu albo tu przenocowała — odparła Ludka, ostrożnie głaszcząc biedną kostkę.

— Nie mogę nająć powozu, bo to dużo kosztuje, a pewnie nawet nie dostałabym, gdyż prawie wszyscy przybyli tu własnymi ekwipażami<sup>24</sup>; wreszcie, do stajni jest daleko i nie mam kogo posłać.

— Ja pójdę.

— Nie, nie. Już po dziesiątej i panują egipskie ciemności. Nie mogę tu zostać, bo jest pełno osób i u Salusi przenocuje kilka panienek. Poleżę, póki Anna nie przyjdzie, a potem będę musiała iść piechotą.

— Poproszę Artura, żeby poszedł — rzekła Ludka i uspokoił ją ten pomysł.

— Zmiluj się, nie rób tego! Nie proś go i nie mów nikomu. Podaj mi tylko kalosze, a te trzewiki wsuń między nasze rzeczy. Nie mogę już tańczyć, więc jak tylko będzie po kolacji, czatuj na Annę i zaraz powiedz mi, jak przyjdzie.

— Teraz właśnie przechodzą do jadalni, ale ja wolę zostać z tobą, nie pójdę.

— Owszem, moja droga, idź i przynieś mi kawy. Taka jestem zmęczona, że nie mogę się ruszyć.

Położyła się, chowając starannie nogi obute w kalosze, a Ludka pobiegła do jadalni, przebywszy chiński gabinet i pokoik, gdzie stary pan Gardiner posilał się na osobności. Sięgnęła po kawę, lecz natychmiast rozlała ją na przedni bryt sukni.

— Ach, mój Boże, jaka jestem niezręczna! — wykrzyknęła, wycierając plamy rękawiczką Małgosi.

— Czy mogę w czymś pomóc? — odezwał się przyjazny głos. Był to Artur, z filiżanką kawy w jednej ręce, a z talerzykiem lodów w drugiej.

— Chciałam wziąć coś dla Małgosi, która nie może tu przyjść, bo jest bardzo zmęczona. Ktoś mnie potrącił i oto w jakim pięknym stanie jestem — odpowiedziała, patrząc smutno na poplamioną suknię i zniszczoną rękawiczkę.

— Co za szkoda! Rozglądałem się właśnie, komu by to podać; czy mogę zanieść siostrze?

— O, dziękuję, pokażę panu zaraz, gdzie ona jest. Sama nie zaniosę, bo narobiłabym sobie nowej biedy.

Wskazała mu drogę, zaś Artur, jakby przyuczony służyć damom, przystawił stoliczek, przyniósł drugą porcję lodów i kawy dla Ludki i tak był grzeczny, że nawet wymagająca Małgosia nazwała go „miłym chłopcem”. Zabawiali się cukierkami, dewizami i właśnie doskonale im szła spokojna gra w szeptanego z inną młodzieżą, która się do nich przyłączyła, kiedy zjawiła się Anna. Małgosia, zapominając o nodze, wstała tak żywo, że musiała się chwycić Ludki i krzyknęła z bólu.

— Cicho, nic nie mów! — szepnęła, dodając głośno: — skrzyłam sobie trochę nogę, nic więcej — i kulejąc, poszła na górę po rzeczy.

Anna łajała, Małgosia płakała, a Ludka traciła głowę. Wreszcie postanowiła sama się tym zająć. Zbiegła zatem na dół i spotkawszy służącego, poprosiła go o sprowadzenie

<sup>22</sup>*pas* (fr.) — krok, tu: krok taneczny. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*Heidelberg* — miasto w południowo-wschodniej części Niemiec. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*ekwipaż* (z fr.) — lekki pojazd konny. [przypis edytorski]



powozu, ale powiedział jej, że został wynajęty i nie zna tej okolicy. Oglądała się więc znowu za jakąś pomocą, kiedy Artur, usłyszawszy, o co chodzi, podszedł, żeby zaoferować powóz swego dziadka, który właśnie zajechał.

— Jeszcze tak wcześnie, nie możesz się wybierać — rzekła Ludka, wahając się, czy przyjmując propozycję, chociaż jej odpowiadała.

— Zwykle wracam wcześnie do domu. Niech mi będzie wolno odwieźć panie, przecież mi to nawet po drodze, zresztą podobno deszcz pada.

To ją przekonało na koniec. Opowiedziawszy mu o przykrym wypadku Małgosi, z wdzięcznością przyjęła grzeczną przysługę i pobiegła na górę po towarzyszkę. Anna miała koci wstręt do deszczu, nie sprzeciwiała się zatem i powróciły wygodnym, zamkniętym powozem, w którym było im wesoło i miło. Artur usiadł na koźle, więc Małgosia mogła wyciągnąć nogę i swobodnie rozmawiały o wieczorku.

— Ja się doskonale zabawiłam, a ty? — spytała Ludka, rozpinając włosy i układając się wygodnie.

— Ja także, póki mnie noga nie rozboleła. Anusia Muffat, przyjaciółka Salusi, polubiła mnie sobie i prosi, żebyśmy razem przyjechały do niej na tydzień. Wejdzie w świat z otwarciem opery i jeżeli mama pozwoli pojechać, to czekają mnie świetne zabawy — powiedziała Małgosia, uśmiechając się do tej myśli.

— Widziałam, jak tańczyłaś z tym rudym mężczyzną, od którego uciekłam. Czy jest miły?

— O bardzo! To kasztanowate włosy, nie rude. Był niezmiernie greczny i tańczyłam z nim wyborną redowę<sup>25</sup>.

— Wyglądał jak szarańcza w konwulsjach, robiąc to nowe *pas*. Nie mogliśmy się z Arturem powstrzymać od śmiechu. Słyszałaś?

— Nie, ale zachowaliście się bardzo niegrzecznie. Coście robili cały czas w tym ukryciu?

Ludka opowiedziała swoje przygody, a kiedy skończyła, powóz stanął przed domem. Serdecznie podziękowały Arturowi, życzyły mu dobrej nocy i po cichu wsunęły się do sieni, żeby nikogo nie obudzić. Ale gdy drzwi skrzypnęły, ukazały się dwa nocne czepeczki i dwa rozespiane, lecz ciekawe głosy zawołały:

— Opowiadajcie o wieczorze! Opowiadajcie o wieczorze!

Ludka z wielką „nieznajomością manier”, według Małgosi, schowała trochę cukierków dla dziewczynek, które wkrótce usnęły, wysłuchawszy najważniejszych wydarzeń.

— Zdaje mi się, że jestem wielką panią: powracam z zabawy powozem, siedzę sobie w negliżu, a garderobiana mi posługuje — rzekła Małgosia, podczas gdy siostra okładała jej nogę arniką<sup>26</sup> i czesała włosy.

— Nie sądzę, żeby wielkie panie bawiły się choć trochę lepiej od nas, mimo przypalonych włosów, starych sukien, jednej rękawiczki na każdą i ciasnych trzewików, w których wykręcamy sobie nogi, skoro jesteśmy tak nierozsądne, żeby je nosić.

Zdaje się, że Ludka miała słuszność.

## ROZDZIAŁ IV. BRZEMIONA

— Ach, Boże, jakże przykro będzie znowu wziąć brzemiona na siebie i pójść dalej w drogę! — westchnęła Małgosia nazajutrz po wieczorku. Święta bowiem już minęły, a tydzień wakacyjny nie usposobił jej do chętnego pełnienia obowiązku, którego nigdy nie lubiła.

— Chciałabym, żeby ciągle trwało Boże Narodzenie albo Nowy Rok. Czy to by nie było przyjemne? — odezwała się Ludwisia, okropnie ziewając.

— Nie bawiłybyśmy się tak dobrze jak teraz, ale to musi być miło używać do syta uczt, bukietów, wieczorów, jeździć powozem, czytać, chodzić sobie swobodnie i nie pracować. Inni ludzie tak żyją i zawsze zazdroszczę dziewczętom spędzającym czas w ten sposób. Ja tak lubię przepych — mówiła Małgosia, przyglądając się dwóm zszarzałym sukniom.

— Nam to nie jest dane, więc nie narzekajmy. Zarzucmy raczej brzemiona na barki i dźwigajmy je tak wesoło jak mama. Przyznaję, że ciotka March jest bardzo przykra, ale

Zabawa, Pozycja społeczna

Trud

Zazdrość, Pozycja społeczna

Trud

<sup>25</sup>*redowa* — rodzaj czeskiego tańca. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*arnika* — roślina stosowana w ziołolecznictwie przy stłuczeniach. [przypis edytorski]

może gdy się przestanę uskarżać, spadnie ze mnie to brzemię albo się stanie tak lekkie, że go nie będę czuła.

Ta myśl ożywiła Ludkę i wprawiła ją w dobry humor, ale Małgosia nie wypogodziła twarzy, bo brzemię, złożone z czworga zepsutych dzieci, wydawało jej się jeszcze dokuczliwsze niż dawniej. Tego ranka nie miała nawet serca, by ozdobić się niebieską wstążeczką na szyi i ładnym uczesaniem.

— Co z tego, że będę ładnie wyglądać, kiedy mnie zobaczą tylko te nieznośne dzieciaki i skoro nikt o to nie dba, czy jestem piękna — mruzczała, zamykając z trzaskiem szufladę. — Będę musiała pracować, męczyć się całymi dniami, zaledwie od czasu do czasu używać rozrywki, zestarzeję się, zbrzydnę i skwaśnieję tylko dlatego, że jestem uboga i że nie mogę używać życia jak inne dziewczęta. To okropne.

Zeszła na dół z niezadowoloną twarzą i wcale nie była przyjemna przy śniadaniu. Tego dnia wszystkie zdawały się nieswoje i skłonne do utyskiwań. Elizę bolała głowa, położyła się więc na sofie, pocieszając się kotką z trojgiem kociąt. Amelkę niecierpliwiło, że nie umie lekcji i że nie może znaleźć kaloszy. Ludce chciało się gwizdać i hałasować, przygotowując się. Panią March była bardzo zajęta skończeniem listu, który chciała zaraz wysłać. Anna gderała, bo nie służyło jej późne kładzenie się.

— Cóż za skwaszone grono! — wykrzyknęła Ludka ze złości, wylała bowiem atrament, zerwała sznurowadła od bucików i usiadła na swym kapeluszu.

— A tyś najkwaśniejsza ze wszystkich! — odrzekła Amelka i obmyła te niepowodzenia łzą, która spadła na talerz.

— Elizo, jeżeli nie będziesz trzymać tych szkaradnych kotów w piwnicy, to je potopię! — zawołała gniewnie Małgosia, na próżno chcąc się pozbyć kota, który uwiesił się jej na karku i ciążył jak kamień młyński, a nie mogła go schwytać.

Ludka śmiała się, Małgosia gderała, Eliza kwiliła, a Amelka stękała, że nie może sobie przypomnieć, ile to jest dziewięć razy dwanaście.

— Dziewczęta, dziewczęta! Uciszcie się na chwilę. Muszę wysłać ten list pierwszym pociągiem, a przeszkadzacie mi swoją wrzawą! — zawołała pani March, przekreślając już trzecie pomyłone zdanie.

Nastąpiła chwilowa cisza, ale ją przerwała Anna, która wpadła, postawiła na stole gorące jabłka w cieście i uciekła. Ciastka te weszły tam od dawna w zwyczaj i były nazywane przez dziewczęta „mufkami”, nie miały bowiem innych. Bardzo im było przyjemnie w chłodne poranki, trzymając je, grzać sobie ręce i Anna nigdy nie zapomniała ich upiec, choćby była najbardziej zajęta i kwaśna, bo je czekała długa, zimna przechadzka, a biedaczki nie dostawały już innej przekąski, choć rzadko wracały do domu przed trzecią.

— Przytul swoje koty i pozbadź się bólu głowy, Elizo. Bądź zdrowa, mamó. Wyglądałyśmy dziś na nieznośną gromadę urwisów, ale wrócimy dobre jak anioły. Chodźże, Małgosiu! — i rzekłszy to, Ludka wyskoczyła, czując w głębi serca, że pielgrzymki nie wybierają się w drogę tak, jakby należało.

Dochodząc do rogu domu, zawsze się oglądały, bo matka stawiała w oknie, żeby się uklonić, uśmiechnąć i pozdrowić je ręką. Zdawało się, że bez tego nie mogłyby przetrwać dnia, bo niezależnie od ich nastroju ostatni rzut oka na matczyną twarz działał zawsze jak promień słońca.

— Gdyby mama pokazała nam pięść zamiast przesyłać pocałunek od ust, to byłoby bardzo sprawiedliwe, bo jesteśmy niewdzięczne ladaco! — zawołała Ludka, ciesząc się, że błoto i zimno będzie dla nich zasłużoną karą.

— Nie używaj takich brzydkich wyrazów! — odezwała się Małgosia spod gęstej woalki, w którą się owinęła jak mniszka znudzona światem.

— Lubię dobre, silne wyrazy, które coś znaczą — odparła Ludwisia, chwytając kapelus, który zeskokczył jej z głowy, jak gdyby chciał odfrunąć.

— Nazywaj siebie jak ci się podoba, lecz ja nie jestem ani urwisem, ani ladaco, i nie chcę takich przydomków.

— Jesteś dziś struta i cierpka dlatego, że nie możesz opływać w zbytkach, biedaczko! Poczekaj, jak zrobię majątek, to będziesz miała powozy, lody, trzewiki na wysokich obcasach, bukiety i rudyh kawalerów do tańca.

— Jakaś ty komiczna, Ludko! — rzekła Małgosia i roześmiała się z tych bredni, co jej sprawiło mimowolną ulgę.

Bieda, Praca

Matka

— To szczęście, bo gdybym była zgnębiona i smutna jak ty, w ładnym byłybyśmy stanie. Dzięki Bogu, zawsze upatrzę coś zabawnego, co mnie wprawia w dobry humor. Przestań narzekać i wróć wesoło do domu, to będzie najlepiej.

Dla dodania siostrze odwagi, poklepała ją po ramieniu na pożegnanie, każda szła bowiem w inną stronę z gorącym jabłkiem w rękę, zmuszając się do wesołości mimo wietrznej pogody, ciężkiej pracy, jaka ich czekała, i niezaspokojonych pragnień.

Gdy pan March stracił majątek, próbując przyjść z pomocą przyjacielowi, dwie starsze córki prosiły, żeby im wolno było zarabiać przynajmniej na własne utrzymanie. Rodzice zgodzili się, uważając, że dla dzieci nie jest zbyt wcześnie wprawiać się w energię, pracowitość i niezależność. Wzięły się więc do dzieła ze szczerymi chęciami, które zwykle pokonują wszelkie przeszkody. Małgorzata znalazła pracę jako bona<sup>27</sup> i czuła się bogata, otrzymując skromne wynagrodzenie. Kochała się w luksusie i ubóstwo było jej głównym kłopotem. Trudniej jej było je znosić niż innym dzieciom, pamiętała bowiem czasy, kiedy dom rodziców był dostatni, życie swobodne i przyjemne, a wszelki brak nieznamy. Pokonywała w sobie zazdrość i niezadowolenie, ale było to bardzo naturalne, że tak młoda dziewczyna pragnęła wykwintnych strojów, wesołych znajomych, starannej edukacji i swobodnego życia. U państwa King widywała co dzień przedmioty swych marzeń, bo ich starsze córki bawiły się. Przyglądała się tam balowym strojom i bukietom, słuchała wesołego szczebiotania o teatrach, koncertach, ślizgawkach i różnych rozrywkach. Widziała pieniądze marnowane na drobiazgi, które dla niej byłyby tak cenne. Biedna Małgosia rzadko się skarżyła, ale poczucie niesprawiedliwości czyniło ją czasem gorzką, bo nie przekonała się jeszcze, jak bogata jest w te dary, które jako jedyne mogą życie uszczęśliwić.

Ludka akurat odpowiadała ciotce March, która była kulawa i potrzebowała opieki aktywnej osoby. Ta bezdzietna pani chciała adoptować któreś z dzieci państwa March, gdy popadli w nieszczęście, i odmowa bardzo ją uraziła. Gdy znajomi straszili, że pominie ich w testamencie, ci niepraktyczni ludzie odpowiadali:

— Za tuzin fortun nie oddalibyśmy żadnej z córek. W dostatkach czy w ubóstwie będziemy się trzymać razem, szukając szczęścia jedni w drugich.

Stara jejmość przez pewien czas nie chciała z nimi rozmawiać, ale gdy kiedyś zastała Ludkę u znajomych, spodobała jej się komiczna twarzyczka i śmiałe obejście, spytała więc, czy nie zechce zostać jej towarzyszką. Nie nęciło to wcale Ludki, ale przyjęła propozycję, nie mając lepszych widoków, i powszechnie dziwiono się potem, że tak umie dogadzać gderliwej krewnej. Bywały niekiedy burze i Ludka szła do domu z postanowieniem, że już tego dłużej nie będzie znosić, ale ciotka March żywo brała się do rzeczy i wzywała ją tak nalegająco, że nie mogła odmówić, bo w głębi serca dosyć lubiła porywczą jejmość.

Zapewne głównie nęciła ją tam piękna biblioteka, zostawiona od śmierci wuja March na łup kurzu i pajęczyn. Ludka pamiętała poczciwego staruszka, który jej pozwalał budować koleje żelazne i mosty z grubych słowników, opowiadał historie o dziwacznych obrządkach w łacińskich księgach i kupował jej pierniki, ile razy spotkał ją na ulicy. Ciemny, zakurzony pokój, popiersia wyglądające sponad dużych szaf, wygodne krzesła, globusy, a co najlepsze, pustynia książek, wśród której mogła wędrować, gdzie chciała — czyniły dla niej bibliotekę przybytkiem szczęścia. Kiedy tylko ciotka March zapadała w drzemkę albo zajęta była gośćmi, Ludka śpieszyła do cichego schronienia i sadowiąc się w wielkim fotelu, połykała poezje, romanse, historie, podróże, obrazki. Ale ta radość, jak każda na świecie, nie trwała długo, bo skoro doszła do jądra powieści, do najpiękniejszego wiersza w poemacie lub do niebezpiecznej przygody podróżnika, krzykliwy głos wołał: „Lud-wi-ko! Lud-wi-ko!” i musiała opuszczać raj, żeby związać nici, myć pudła lub godzinami czytać *Eseje* Belshama<sup>28</sup>.

Jej marzeniem było dokonać jakiegoś znakomitego czynu. Co by to miało być, nie miała pojęcia i zostawiała wybór na później. Tymczasem zaś najbardziej ją smuciło, że nie może tyle czytać, biegać i jeździć konno, ile by chciała. Często nabawiała się kłopotów przez żywy temperament, ostry język i ruchliwy umysł, a jej życie było serią wzlotów i upadków, zarówno komicznych, jak i żalonych. Ponieważ wynagrodzenie, które

<sup>27</sup>bona (daw.) — domowa wychowawczyni małych dzieci. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>Belsham, William (1752–1827) — angielski pisarz, polityk i historyk, autor m.in. zbioru rozpraw pt. *Essays, Philosophical, Historical, and Literary* (1789). [przypis edytorski]

Praca

Bogactwo

Bieda

Szczęście

Szczęście

Książka

Szczęście, Praca

otrzymała u ciotki March było dla niej najpożądniejszą rzeczą, myśl, że pracuje na swoje utrzymanie, uszczęśliwiała ją mimo ciągłego „Lud-wi-ko!”.

Eliza była zbyt lękliwa, żeby chodzić do szkoły. Rodzice próbowali ją posłać, ale było to dla niej takim cierpieniem, że nadal ojciec uczył ją w domu. Nawet gdy odjechał, a matce przyszło poświęcać swój czas i trudy w Towarzystwie Opieki nad Rannymi, pilnie sama pracowała nad sobą. Zamiłowana w zajęciach domowych, utrzymywała z Anną porządek w domu i czuwała nad wygodami swych pracowników, nie dla nagrody, lecz dla zjednania sobie miłości. Długie, ciche dni nie schodziły jej samotnie i beczynn timer, bo zaludniała swój światek urojonymi przyjaciółmi, a natura stworzyła ją pracowitą pszczołką. Co rano budziła ze snu i ubierała sześć lalek, nie przestała bowiem jeszcze kochać swych pieszczoszek, chociaż ani jedna nie było już cała ani ładna. Odziedziczyła je po starszych siostrach, które wyrosły z tych figurek, i po Amelce, gdyż ona nie lubiła nic starego i brzydkiego. Eliza kochała je właśnie z powodu ich niedoli i założyła szpital dla chorych lalek. Nigdy nie wbijała szpilek w ich watowane kończyny, nie mówiła do nich ostro, nie biła. Nawet najwstrętniejszej nie zasmucała zaniedbaniem, wszystkie karmiła, ubierała, niańczyła, pieściła, ze stałym uczuciem. Jakaś pogruchotana lalka, należąca przedtem do Ludki, skolatana burzliwym życiem, poszła do worka z gałganami, a Eliza, wyrwawszy ją z tego smutnego miejsca, udzieliła jej u siebie schronienia. Główkę bez wierzchołka ubrała w ładny czepeczek, brak rąk i nóg ukryła pod koldrą i poświęciła tej kalece najlepsze łóźko. Gdyby ktoś widział, jakimi staraniami została otoczona ta lalka, sądzę, że byłby wzruszony, choćby go nawet brała chęć do śmiechu. Przynosiła jej bukiety, czytywała głośno, wynosiła pod swym płaszczykiem na świeże powietrze, śpiewała do snu i przed położeniem jej całowała tkliwie brzydką twarz, szepcząc:

Lalka

— Mam nadzieję, że będziesz dobrze spała, moja droga biedaczko.

Eliza miała swe troski, jak wszyscy na świecie, a nie będąc aniołem, tylko bardzo ziemską dziewczynką, często poplakawała, że nie może brać lekcji muzyki i mieć pięknego fortepianu. Tak serdecznie kochała muzykę, tak się pilnie uczyła, tak cierpliwie ćwiczyła na brzęczącym starym instrumencie, że się zdawało, iż koniecznie powinien jej ktoś dopomóc, nie mówiąc już o ciotce March. Jednakże nikt tego nie uczynił i nikt nie widział, że kiedy była sama, ścierała łzy z poźólkłych klawiszy, które nie chciały wydawać tonu. Przy pracy śpiewała jak skowronek, nigdy się nie czuła zbyt zmęczona, by grać mamie i dziewczętom, i nie tracąc nadziei, co dzień mówiła sobie: „Wiem, że jeżeli zaślę, to kiedyś dostaną swoją muzykę”.

Muzyka

Dużo jest takich Elizek na świecie, nieśmiałe i ciche siedzą w kącie, póki ich ktoś nie potrzebuje, i żyją tak wesoło dla innych, że nikt nie widzi ich poświęcenia. Dopiero gdy ten świerszcz domowego ogniska przestaje się odzywać i niknie jego słodka, promienna obecność, zostają tylko cisza i cienie.

Poświęcenie

Gdyby ktoś zapytał Amelki, co jest największą troską jej życia, od razu odpowiedziałaby: „nos”. Kiedy była jeszcze małym dzieckiem, Ludka wepchnęła ją przypadkiem do piwnicy z węglem, i Amelka utrzymywała, że to jej na zawsze zeszpeciło nos. Nie był on duży ani czerwony, jak biednej „Petrei”, tylko trochę płaski, i żadne szczypanie w świecie nie sprawiłoby, że zyskałby arystokratyczny koniec. Nikt o to nie dbał prócz niej samej; nawet rósł on pięknie, lecz ubolewała, że nie ma greckiego nosa i na pociechę rysowała ich mnóstwo jak najudatniejszych.

Siostry nazywały ją małym Rafaelem<sup>29</sup>; miała bowiem rzeczywisty talent do rysunku i nic jej tak nie uszczęśliwowało jak naśladowanie kwiatów i dziwaczne ilustrowanie czarodziejskich bajek i powieści. Nauczyciele narzekali, że zamiast dodawania znajdują na jej tabliczce<sup>30</sup> zwierzęta, na pustych stronach atlasu mapy, a w książkach śmieszne karykatury. Na lekcjach starała się jak najlepiej i wzorowym zachowaniem unikała wszelkiej nagany. Koleżanki lubiły ją za łagodność i miłe zachowanie. Podziwiała jej minki, maniery i talenty, bo oprócz rysunku umiała zagrać dwanaście melodii, robić na szydełku

<sup>29</sup>Rafael Santi (1483–1520) — włoski malarz, rysownik, architekt, jeden z najważniejszych twórców późnego renesansu. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Nauczyciele narzekali, że zamiast dodawania znajdują na jej tabliczce... — dawniej zestaw złożony z rysika i łupkowej, ścieralnej tabliczki służył do nauki pisania i rachowania uczniom początkowych klas w szkołach elementarnych (podstawowych); zeszytów oraz maczanych w atramencie piór używano dopiero w następnych latach nauki. [przypis edytorski]

i czytać po francusku, przekręcając wymowę najwyżej w dwóch trzecich wyrazów. Jakimś żalonym i wzruszającym tonem zwykła mówić: „Jak papa był bogaty, robiliśmy to a to”; lubiła też używać jak najdłuższych wyrazów, co dziewczęta nazywały „najwyższą elegancją”.

Amelka łatwo mogła stać się rozpuszczoną dziewczynką, bo ją wszyscy psuli, dlatego próżność i samolubstwo rozwijały się w niej swobodnie. Jedna tylko rzecz poskramiała jej miłość własną: musiała dodzierać ubrania swej kuzynki Florencji, której mama nie miała dobrego smaku. Biedna Amelka z bólem serca wkładała czerwony kapelusz zamiast niebieskiego albo suknię, w której było jej nie do twarzy, i fartuszek nieodpowiedni do całego stroju. Wszystko było porządne, dobrze zrobione i nowe, ale artystyczne oczy Amelki cierpiały, zwłaszcza tej zimy, kiedy miała szkolny mundurek z fioletowego materiału w żółte kropki i bez lamówki.

Bieda

Pewnego razu powiedziała ze łzami w oczach do Małgosi: „Cała moja pociecha w tym, że mama nie robi mi fałd u sukni, jak jestem niegrzeczna. Matka Maryni Parks radzi sobie w ten sposób i to jest okropne, moja droga, bo czasami Marynia tak zawini, że ma suknię po kolana i nie może przyjść do szkoły. Gdy myślę o tej *degradacji*, wolę znieść nawet mój płaski nos i fioletową suknię w żółte kropki”.

Małgosia była powierniczką i kierowniczką Amelki, a dzięki dziwnemu przyciąganiu przeciwnościw Ludkę ukochała Eliza. Tylko jej ta nieśmiała dziewczyna opowiadała swe myśli i nieświadomie wywierała największy wpływ na dużą, krnąbrną i nieprzystępną siostrę. Dwie starsze dziewczynki kochały się bardzo, ale każda wzięła jedną z młodszych w opiekę i czuwały nad nimi według swego sposobu widzenia. Bawiły się w matki, jak zwykły się wyrażać, i w miejsce odrzuconych lalek zajęły się siostrami z macierzyńskim instynktem małych kobietek.

Siostra

— Czy macie coś do powiedzenia? Taki dziś był przykry dzień, że umieram z tęsknoty za rozrywką — rzekła Małgosia, gdy siedziały razem przy wieczornym szyciu.

— Ja miałam szczególnie przejścia z ciotką, ale radziłam sobie, jak mogłam, o czym się zaraz przekonacie — odezwała się Ludka, niezmiernie lubiąca opowiadać historie. — Czytałam właśnie wiecznego Belshama, z przerwami jak zwykle, bo ciotka zaraz drzemie, a ja biorę czym prędzej jakąś miłą książkę i polykam ją chciwie, póki się nie ocknie. Dziś stało się inaczej, bo opanowała mnie senność, zanim zaczęła się kiwać, i tak ziewnęłam, że zapytała, dlaczego otwieram usta, jak gdybym chciała połknąć całą książkę na raz.

— Połknęłabym chętnie, żeby z nią skończyć — odrzekłam, starając się nie być zbyt zuchwała.

Udzieliła mi wówczas długiej nauki o moich grzechach i kazała rozmyślać o nich, póki się nie przedzremie. Gdy tylko czepek zsunął się jej na bok, wyjęłam z kieszeni *Wikarego z Wakefieldu*<sup>31</sup> i czytałam, jednym okiem patrząc na książkę, a drugim na ciotkę. Właśnie dotarłam do tego, gdy wszyscy wpadli do wody, i przez zapomnienie roześmiałam się głośno. Ciotka obudziła się i odzyskawszy humor po drzemce, poprosiła, żeby przeczytać kawałek, żeby przekonała się, co to za blahe dzieło przekładałam nad szacownego i pouczającego Belshama. Wywiązałam się jak mogłam najlepiej, żeby ją zadowolić, rzekła więc:

Książka

— Nie rozumiem, o co chodzi, zacznij od samego początku, moje dziecko.

Staralam się czytać, żeby przedstawić rodzinę Primrose w jak najkorzystniejszym świetle, ale przez złośliwy figiel w bardzo ciekawym miejscu rzekłam słodko:

— Obawiam się, że to panią nudzi, może mam przestać czytać?

Wzięła robótkę, którą wypuściła z rąk, ostro spojrzęła na mnie przez okulary i powiedziała zwięźle, jak to jest jej zwyczajem:

— Skończ panna rozdział i nie bądź zuchwała.

— Czy przyznała, że jej się to podoba? — spytała Małgosia.

— Gdzież tam! Nie. Tylko dała spokój Belshamowi, a gdy tam pobiegłam wziąć rękawiczki po południu, tak była zajęta *Wikarym*, że nie usłyszała, jak śmieję się i tańczę w sieni z radości, że się zbliżają wakacje. Jakie przyjemne mogłaby spędzić życie, gdyby

Pozycja społeczna

<sup>31</sup> *Wikary z Wakefieldu* — inaczej: *Pleban z Wakefieldu*, powieść irlandzkiego autora Olivera Goldsmitha, opublikowana w 1766, popularna w erze wiktoriańskiej. [przypis edytorski]



tylko chciała! Jednakże nie bardzo jej zazdroszczę pieniędzy, bo uważam, że bogaci mają troski równie jak ubodzy — dodała Ludka.

— Przypominam sobie, że i ja mam coś do powiedzenia — rzekła Małgosia. — Nie będzie to tak zabawna historia jak Ludwisi, ale mi dała wiele do myślenia, gdy wracałam do domu. Zastałam dziś u Kingów cały dom w poruszeniu i jedno z dzieci powiedziało mi, że starszy brat zrobił coś okropnego i papa go wypędził. Słyszałam jak pani King płakała, pan King odzywał się bardzo donośnym głosem, a Gracja i Helena odwróciły się, przechodząc koło mnie, żebym nie widziała ich czerwonych oczu. Naturalnie, że o nic nie pytałam, ale tak mi ich było żal i prawie cieszyłam się, że nie mam niegodziwych braci, którzy by żyli nagannie i hańbili rodzinę.

— Zdaje mi się, że zawstydzenie w szkole jest daleko gorsze od tego, co mogą zrobić niegodziwi chłopcy — rzekła Amelka, potrząsając główką, jak gdyby miała wielkie doświadczenie życiowe. — Zuzia Perkins przyszła dziś do szkoły w ładnym czerwonym pierścionku z karneolu<sup>32</sup>, na który wzięła mnie straszna ochota. Otóż rysowała ona portret pana Davisa z potwornym nosem i z garbem, a z ust wychodziły mu słowa: „Panienko, mam na was oko”. Śmiałyśmy się wszystkie, wtem jego oko spoczęło na nas i kazał by Zuzia przyniosła swoją tabliczkę. Była *spa-ra-li-žo-wa-na* ze strachu, ale poszła — i zgadnijcie, co zrobił! Chwycił ją za ucho! Wyobraźcie sobie, co za okropność! Poprowadził ją na podest, gdzie się odpowiada na lekcjach, i kazał stać pół godziny, tak trzymając tabliczkę, żeby ją każdy mógł widzieć.

— Czy dziewczęta się śmiały? — spytała Ludka, której się podobał ten figiel.

— Czy się śmiały! Ani jedna. Siedziały cicho jak myszki, a Zuzia niemało łez wylała, widziałam dobrze. Nie zazdrościłam jej wówczas, bo czułam, że po tym co zaszło, miliony karneolowych pierścionków nie dałyby mi szczęścia. Nigdy, nigdy nie wytrzymałabym tak bolesnego upokorzenia.

Skończywszy tę opowieść, zabrała się do roboty, dumna ze swoich cnót i z pomyślnie wypowiedzianych jednym tchem dwóch długich wyrazów.

— Ja widziałam dziś rano rzecz, która mi się podobała, i miałam ją opowiedzieć przy obiedzie, ale mi wypadła z pamięci — rzekła Eliza porządkując w koszyku Ludki, gdzie wszystko było poprzewracane. — Poszłam kupić trochę ostryg dla Anny i zastałam w sklepie pana Laurence, ale mnie nie widział, bo stałam za baryłką, a on rozmawiał z panem Cutterem, rybakiem. Jakaś biedna kobieta weszła z konewką i szczotką do szorowania i zapytała pana Cuttera, czy nie pozwoliłby umyć czegoś w sklepie za kawałek ryby, bo nie dopisała jej robota, więc nie ma obiadu dla dzieci. W pośpiechu odrzekł: „Nie”. Zabierała się do odejścia z miną wygłodzoną i smutną, kiedy pan Laurence podał jej dużą rybę na zakrzywionym końcu laski. Tak była ucieszona i zdziwiona, że czym prędzej wzięła ją w ręce i dziękowała kilkakrotnie. Pan Laurence zalecił, żeby ją poszła gotować, więc pośpieszyła z radością! Czy to nie pięknie z jego strony? Ach, taka była zabawna, gdy ściskając tę grubą rybę, rzekła: „Mam nadzieję, że się panu dostanie wygodne łóżko w niebie”.

Uśmiawszy się z historii Elizy, poprosiły, żeby matka coś opowiedziała, więc zastanowiła się chwilę i rzekła poważnie:

— Gdy siedziałam dziś rano w koszarach nad krajaniem kurtek z niebieskiej flaneli, przejmował mnie wielki niepokój o ojca i myślałam nad tym, jak byłybyśmy samotne i pozbawione opieki, gdyby mu się coś stało. Chociaż to nie było rozsądnie, dręczyłam się bez ustanku, aż przyszedł jakiś stary mężczyzna zamówić jakieś rzeczy. Usiadł przy mnie i zaczęliśmy rozmowę, zdawał się bowiem biedny, znużony i niespokojny.

— Czy macie synów w wojsku? — zapytałam, bo kartka, którą przyniósł, nie była przeznaczona dla mnie.

— Tak, pani, miałem czterech, ale trzech zabito, a do czwartego, który zostaje w szpitalu waszyngtońskim, wybieram się teraz — odrzekł spokojnie.

— Uczyliście pan wiele dla kraju — powiedziała przejęta już szacunkiem, nie litością.

— Ani trochę więcej, niż powinienem, pani.

Mówił tak wesoło, miał twarz tak otwartą i zdawał się tak uradowany, że ich oddał

Brat

Kara

Dobro

Ojciec, Mąż

Wojna, Poświęcenie

Bogactwo, Szczęście

<sup>32</sup>karneol — kamień półszlachetny, czerwona, półprzezroczysta odmiana chalcedonu. [przypis edytorski]

wszystkich, że się wstydiłam za siebie. Ja oddałam jednego człowieka i to zdawało mi się za wiele, on zaś poświęcił czterech bez skargi. Ja mam wszystkie córki, które mnie pocieszają w domu, a jego ostatni syn czeka daleko, żeby go pożegnać może. Uczułam się tak bogata, tak szczęśliwa, myśląc o moich skarbach, że zrobiłam mu ładną paczkę, dałam trochę pieniędzy i serdecznie podziękowałam za odebraną naukę.

— Mamo, opowiedz jeszcze jakąś historię, także z moralną nauką. Lubię o nich myśleć potem, jeżeli są prawdziwe i niezbyt kaznodziejskie — rzekła Ludka po chwili milczenia.

Pani March uśmiechnęła się i zaraz wzięła się do opowiadania, bawiąc bowiem od dawna historiami swą gromadkę, wiedziała, czym sprawić jej przyjemność.

— Dawno temu były sobie cztery dziewczęta: miały co jeść, co pić i w co się ubrać; miały różne wygody i rozrywki, dobrych przyjaciół i serdecznie kochających rodziców, lecz mimo to nie były zadowolone. — Tu słuchaczki spojrzały na siebie spod oka, po czym zaczęły pilnie szyć. — Te dziewczęta chciały być dobre, czyniły śliczne postanowienia, ale nie bardzo dotrzymywały i ciągle mówiły: „gdybyśmy miały to”, albo „gdybyśmy mogły zrobić tamto”, zupełnie zapominając, jak wiele już mają i jak dużo przyjemnych rzeczy mogą robić. Zapytały więc pewną starą kobietę, jakie czary pomogłyby im znaleźć szczęście, ona zaś rzekła: „Gdy was ogarnia niezadowolenie, myślcie o posiadanych skarbach i przejmujcie się wdzięcznością”.

Tu Ludka spojrzała żywo, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale się nie odezwała, domyślając się, że historia jeszcze niezakończona.

— Ponieważ to były rozsądne dziewczęta, postanowiły wypróbować radę i wkrótce przekonały się, jak dalece były w błędzie. Jedna odkryła, że pieniądze nie zabezpieczają bogatych rodzin od hańby i zmartwień; druga, że chociaż uboga, mając młodość, zdrowie i wesołe usposobienie, daleko jest szczęśliwsza od pewnej kapryśnej, słabej starej jejmości, niemogącej używać swych dostatków; trzecia, że chociaż nieprzyjemnie pomagać w kuchni, jeszcze boleśniej żebrać o obiad; czwarta zaś, że nawet karneolowe pierścionki nie są tyle warte, co dobre postępowanie. Zgodziły się więc, żeby nie narzekać, poprzestawać na otrzymywanych darach i aby im nie zostały odjęte, zasługiwać na nie. Zdaje mi się, że nigdy nie miały pożałować tego, iż usłuchały rady owej starej kobiety.

— To bardzo złośliwie z twojej strony, mamo, że do nas zwróciłaś tę historię i powiedziałaś kazanie zamiast bajeczki! — zawołała Małgosia.

— Lubię takie kazania, ojciec w podobny sposób do nas przemawiał — rzekła Eliza z zadumą, wpinając igły w poduszczyk Ludki.

— Ja narzekam mniej od innych, a teraz będę jeszcze ostrożniejsza, bo mnie tego nauczyło upokorzenie Ludki — rzekła Amelka sentencjonalnie.

— Potrzebną nam była ta lekcja i zapamiętamy ją, a gdybyśmy zapomniały, słusznie byś nam mówiła jak stara Chloe w *Chacie Wujka Toma*<sup>33</sup>: „Myślcie o swoich skarbach, dzieci, myślcie o swoich skarbach!” — dodała Ludka, która nie mogła się powstrzymać od żartu, chociaż wzięła sobie to kazanie do serca na równi z siostrami.

## ROZDZIAŁ V. SAŚIEDZI

— Cóż ty znowu myślisz robić, Ludko? — zapytała Małgosia pewnego popołudnia, gdy padał śnieg, widząc, że siostra biegnie w podskokach przez śnieg ubrana w kalosze, starą salopę<sup>34</sup> i kaptur — z miotłą w jednej ręce, a z łopatą w drugiej.

— Wyjdę dla ruchu — odrzekła Ludwisia z figlarnym spojrzeniem.

— Zdaje mi się, że dosyć przeszłaś się dwa razy dziś rano. Na dworze zimno i ponuro, zostań lepiej ze mną przy kominku, tu ciepło i sucho — rzekła Małgosia z dreszczem.

— Dziękuję za radę. Nie umiem siedzieć spokojnie przez cały dzień i nie jestem kotem, żebym się lubiła wygrzewać przy ogniu. Lubię przygody, idę więc jakiejś poszukać.

Małgosia grzała dalej nogi i czytała *Ivanhoe*<sup>35</sup>, a Ludka zaczęła wymiatać ścieżki z wielką energią. Śnieg był lekki i prędko zrobiła dróżkę wokół ogrodu dla Elizy, żeby po

<sup>33</sup>*Chata Wujka Toma* — powieść amerykańskiej autorki Harriet Beecher Stowe, wydana w 1852, poruszająca temat niewolnictwa w ówczesnych Stanach Zjednoczonych. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*salopa* — długa ocieplana peleryna z szerokimi rękawami i rękawami, noszona w XVIII i XIX w. przez kobiety. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*Ivanhoe* — popularna powieść historyczna Waltera Scotta, opublikowana w 1819 roku. [przypis edytorski]

zachodzie słońca wyprowadziła chore lalki na powietrze. Ogród ten przedzielał domy państwa March i pana Laurence. Stały one na przedmieściu, wśród gajów, łąk, dużych sadów i spokojnych ulic, więc było tam spokojnie jak na wsi. Obie posiadłości rozdzielał niski płot. Z jednej strony stał stary, ciemny domek, lichy, ogołocony z wina, które w lecie pokrywało ściany, i z otaczających go kwiatów. Z drugiej strony wznosiła się poważna kamienica, jawnie świadcząca o wszelkich wygodach i zbytkach, od wielkich wozowni i dobrze utrzymanych ogrodów, aż do cieplarni i wspaniale urządzonych pokoi, które widać było spoza firanek.

Mimo to zdawał się ten dom opuszczony i martwy. Nie było dzieci bawiących się na trawniku, w oknie nie uśmiechała się matczyna twarz i prócz starego pana Laurence'a i jego wnuka prawie nikogo nie było tam widać.

Dla żywej wyobraźni Ludki dom ten wydawał się zaczarowanym pałacem, pełnym przepychu i rozkoszy, z których nikt nie korzysta. Od dawna pragnęła przyjrzeć się jego tajonej świetności i poznać młodego Laurence'a, który widocznie także miał na to ochotę, ale nie wiedział, jak się wziąć do rzeczy. Od owego wieczorku spędzonego razem była jeszcze ciekawsza. Układała sobie, jak się z nim zaprzyjaźnić, ale od pewnego czasu nie pokazywał się i zaczęła przypuszczać, że nie ma go w domu, kiedy pewnego dnia wysledziła smagłą twarz w oknie na piętrze, patrzącą smutno na ich ogród, gdzie Amelka z Elizą rzucały w siebie śnieżkami.

„Ten chłopiec tęskni za towarzystwem i rozrywką — pomyślała. — Dziadek nie wie, czego mu trzeba, i trzyma go w zamknięciu. Przydałoby mu się grono wesołych chłopców do zabawy lub ktokolwiek młody i żwawy. Mam wielką ochotę pójść i powiedzieć to staremu gentlemanowi”.

Ta myśl jej się podobała, lubiła bowiem śmiało przedsięwzięcia i zawsze gorszyła Małgosię dziwnym postępowaniem. Nie zapomniała swego planu i gdy nastąpiło śnieżyste popołudnie, postanowiła próbować. Zobaczywszy, że pan Laurence wyjechał, miała chęć przekroczyć płot, ale się powstrzymała jeszcze, aby rozejrzeć się dokoła. Wszędzie panował spokój: firanki dolnych okien były opuszczone, służba się nie pokazywała i nie było widać żywej duszy prócz kędzierzawej czarnej głowy, wspartej na szczupłej ręce w oknie na górze.

„To on! — pomyślała. — Biedny chłopiec! Zupełnie sam i chory, w taki smutny dzień! To okropne! Rzucę śnieżką, żeby spojrzął, a wtedy powiem mu jakieś życzliwe słowo”.

Garść miękkiego śniegu poleciała w górę i chłopiec zaraz się obrócił, pokazując twarz, która w jednej chwili straciła obojętny wyraz. Duże oczy ożywiły się, usta zaczęły się uśmiechać. Ludka ukloniła się z uśmiechem i wywijając w powietrzu miotłę, wołając:

— Jak się masz? Czyś chory?

Artur otworzył okno i wrzasnął przeraźliwie jak kruk:

— Lepiej mi, dziękuję! Strasznie się przeziębilem i od tygodnia siedzę w zamknięciu.

— Żal mi cię! Czym się zabawiasz?

— Niczym, nudno mi jak w grobie.

— Czytasz?

— Mało, bo mi nie wolno.

— Czy ktoś nie mógłby czytać ci na głos?

— Czasem dziadek to robi, ale moje książki go nie zajmują, a nie chcę prosić bez ustanku Brooke'a.

— Odwiedzał cię ktoś przynajmniej?

— Nie chciałem nikogo widywać. Chłopcy zaraz hałasują, a ja mam osłabioną głowę.

— Czy nie ma jakiejś miłej dziewczynki, która by czytywała i bawiła cię? Dziewczęta są ciche i lubią doglądać chorych.

— Nie znam żadnej.

— Znasz mnie! — zawołała, a potem roześmiała się i umilkła.

— Prawda! Czy przyjdiesz? Bądź tak dobra! — krzyknął Artur.

— Nie jestem miła i cicha, ale przyjdę, jeżeli mama pozwoli. Pójdę się zapytać. Bądź dobrym chłopcem, zamknij okno i czekaj na mnie.

Po tych słowach zarzuciła miotłę na ramię i poszła do domu, zaciekawiona, co tam na to powiedzą. Artura gorączkowała trochę myśl, że będzie miał gościa, i robił żywe przygotowania, bo jak mówiła pani March, był to mały „gentleman”. Dla uczczenia Ludki

przyglądał kędzierzawą czuprynę, wziął świeży kołnierzyk<sup>36</sup> i starał się uporządkować pokój, który mimo licznej służby wcale nie był czysto utrzymany. Po chwili dał się słyszeć głośny dzwonek, potem śmiały głos, pytający o „pana Artura”, i wreszcie zadziwiona służąca przyszła oznajmić „jakąś panienkę”.

— Dobrze, wprowadź ją na górę, to panna Ludwika — rzekł Artur, idąc ku drzwiom swego pokoiku na spotkanie.

Po chwili ukazała się Ludka, z twarzyczką różową, śmiałą, spokojna i swobodna. W jednej ręce miała przykryty talerz, a w drugiej troje kociąt.

— Oto mnie masz z całym brzemieniem — rzekła. — Mama się kłania i cieszy się, że ci się mogą na coś przydać. Małgosia prosiła, żebym ci przyniosła *blanc-manger*<sup>37</sup> jej roboty, a przyrządza je bardzo dobrze. Eliza przysłała koty w nadziei, że ci sprawią przyjemność. Wiedziała, że będziesz na nie krzychał, ale nie mogłam odmówić, bo koniecznie chciała ci się czymś przysłużyć.

Zabawna pożyczka Elizy okazała się bardzo pożyteczna, bo żartując z kotów, zapomniał Artur o nieśmiałości i od razu stał się towarzyski.

— To zbyt ładne do zjedzenia — rzekł, uśmiechając się mile, gdy Ludka odkrywszy talerz pokazała *blanc-manger* w wienku z zielonych liści i szkarłatnych kwiatów, z ulubionego przez Amelkę geranium<sup>38</sup>.

— Bynajmniej, to tylko dowody życzliwości moich sióstr. Powiedz służącej, żeby zachowała ten przysmak do herbaty. Możesz go zjeść, bo to zdrowe, a przy tym miękkie, więc się prześlizgnie przez chore gardło. Jaki ładny pokój!

— Mógłby być ładny, gdyby go dobrze utrzymywano, ale służba jest leniwa, a ja nie umiem zmuszać jej do porządku, zresztą mężczy mnie to.

— Doprowadzę go do ładu w dwie minuty, trzeba tylko wymieść sprzed kominka, o tak; te rzeczy postawić prosto na wierzchu — tak; te książki położyć tu, flaszki tu, a sofę odwrócić od światła i trochę przetrzepać poduszki. Teraz jesteś urządzony.

I tak było rzeczywiście, bo śmiejąc się i gawędząc, postawiła każdy przedmiot na właściwym miejscu i nadała zupełnie inny wygląd pokojowi. Artur przyglądał się jej w pełnym szacunku milczeniu, a gdy zaprowadziła go do sofy, usiadł, westchnął z zadowoleniem i rzekł, przejęty wdzięcznością:

— Jakaś ty dobra! Tego właśnie było trzeba. Teraz bądź łaskawa usiąść na tym dużym fotelu i pozwól, żebym cię czymś zabawił.

— To ja raczej chciałabym cię rozerwać. Może poczytałabym głośno? — zapytała, chciwie spoglądając na ponętne książki, leżące w pobliżu.

— Dziękuję, znam to wszystko i jeżeli nie masz nic przeciw temu, wołałbym rozmawiać — odparł Artur.

— Bynajmniej, gotowa jestem cały dzień mówić, jeżeli mi nie przerwiesz. Eliza powiada, że nigdy nie wiem, kiedy umilknąć.

— Czy Eliza to ta różowa, która dużo siedzi w domu, a czasem wychodzi z koszykiem w rękę? — zapytał Artur ciekawie.

— Tak, to Eliza, to moja ukochana, najlepsza w świecie dziewczynka!

— Ta ładna to Małgosia, a ta w loczkach to Amelka, o ile mi się zdaje.

— Jak do tego doszedłeś?

Artur zarumienił się, lecz odpowiedział szczerze:

— Widzisz, ja często słyszę, jak wołacie jedna drugą, i siedząc tu samotnie, trudno mi się wstrzymać od spoglądania na wasz dom, bo mi się zawsze zdaje, że się tak dobrze bawicie. Przepraszam za moją niegrzeczność, ale czasem zapominacie spuścić frankę przy oknie z kwiatami, a gdy nie zapalam lampy, to wyglądacie jak obrazek. Ogień płonie na kominku, a wy siedzicie z matką wkoło stołu; jej twarz jest na wprost okna i wygląda tak słodko za kwiatami, że nie mogę oderwać oczu. Ja nie mam matki, jak wiesz. — Mówiąc to, rozniecał ogień, żeby ukryć lekkie drżenie ust, którego nie mógł opanować.

Samotność

<sup>36</sup>wziął świeży kołnierzyk — dawniej bardzo popularne były kołnierzyki przypinane do koszuli. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*blanc-manger* (z fr.) — danie deserowe, galaretka ze słodzonego mleka zagęszczonego żelatyną. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*geranium* — pelargonja pachnąca. [przypis edytorski]

Smutny, tęskny wyraz jego oczu przeniknął gorące serce Ludki. Ponieważ była chowana z największą prostotą, niedorzeczne myśli nie mąciły jej głowy i w piętnastym roku pozostała niewinna i otwarta jak dziecko.

Artur był słaby i osamotniony, ona więc, czując się bogata w miłość rodzinną i szczęście, chciała mu udzielić swych skarbów. Jej smągła twarz przybrała bardzo przyjazny wyraz, a ostry głos stał się niezwykle łagodny, gdy rzekła:

— Już nigdy nie będziemy spuszczać franki i pozwalam ci patrzeć, ile tylko zechcesz, ale wolałabym, żebyś do nas przyszedł, zamiast się przyglądać przez okno. Mama jest taka dobra, że będzie ci z nią doskonale. Eliza zaśpiewa, jak ją poproszę, Amelka zatańczy, a ja z Małgosią rozśmieszymy cię scenicznym występem i zabawimy się wybornie. Czy dziadek by nie pozwolił?

— Sądzę, że nie będzie miał nic przeciw temu, jeżeli twoja matka go poprosi. Jest bardzo dobry, chociaż się nie wydaje taki, i często pozwala robić, co mi się podoba, tylko boi się, żebym nie był ciężarem dla obcych — rzekł Artur, ożywiając się coraz bardziej.

— Nie jesteśmy obce, tylko twoje sąsiadki, i nie myśl, żebyś nam ciążył. Same chciałyśmy cię poznać i od dawna próbowałam doprowadzić to do skutku. Wprowadziwszy się tutaj, poznałyśmy wszystkich sąsiadów prócz was.

— Widzisz, dziadka interesują tylko książki i mało zwraca uwagi na to, co się wokół niego dzieje. Mój nauczyciel, pan Brooke, nie mieszka tu, więc nie mając z kim wychodzić, siedzę w domu i radzę sobie, jak mogę.

— To źle, powinieneś się rozruszać i korzystać ze wszystkich zaprosin, wówczas namiętność ci się znajomości. Nie martw się tym, że jesteś nieśmiały, bo jak zaczniesz widywać ludzi, to ci przejdzie.

Artur znowu się zarumienił, ale Ludka go nie obraziła, bo miała zbyt dobre chęci, żeby brał za złe jej odważne słowa.

Nastąpiło krótkie milczenie. Ludka z przyjemnością rozglądała się wokół, Artur zaś wpatrywał się w ogień. Wreszcie, chcąc zmienić przedmiot rozmowy, zapytał:

— Czy ci się podoba w twojej szkole?

— Nie chodzę do szkoły. Już pracuję, opiekując się moją ciotką, starą i cierpką osobą.

Artur otworzył usta, żeby zadać nowe pytanie, ale przypomniał sobie w porę, że to niegrzecznie zanadto wypytwać o cudze sprawy, zamknął je z zakłopotaną miną. Ludce podobała się ta oznaka dobrego wychowania, przy tym miała ochotę pośmiać się z ciotki March, więc opisywała mu w żywych barwach kapryśną jejmość, jej tłustego pudła, papugę gadającą po hiszpańsku i bibliotekę, w której się rozkoszowała. Artur ubawił się bardzo i gdy opowiedziała o sztywnym, starym gentlemanie, który kiedyś przyszedł oświadczyć się ciotce March, a w środku pięknej przemowy Polly rozgniewała go bardzo, zerwawszy mu perukę z głowy — chłopiec tak się uśmieł, że służąca wsunęła głowę, żeby zobaczyć, co się tam stało.

— Ach, jak mi z tym dobrze! Opowiedz coś jeszcze, proszę! — odezwał się, odrywając od poduszki czerwoną, ożywioną twarz.

Ludka, dumna z powodzenia, opowiadała o swych zabawach, planach, nadziejach, obawach o ojca i o najciekawszych zdarzeniach małego świątka, w którym żyła z siostrami. Potem rozmawiali o książkach i z radością przekonała się, że oboje tak samo je lubią, a nawet Artur czytał więcej niż ona.

— Skoro tak je lubisz, to chodźmy do biblioteki. Dziadka nie ma w domu, więc nie musisz się obawiać — rzekł Artur i podniósł się.

— Ja się nikogo nie boję — odparła, potrząsając głową.

— Tak mi się zdaje! — zawołał chłopiec, patrząc na nią z wielkim uwielbieniem, chociaż myślał sobie, że mogłaby się trochę bać starego gentlemana, gdyby go zastała w złym usposobieniu.

Ponieważ w całym domu było ciepło jak w lecie, Artur prowadził Ludkę z pokoju do pokoju, zatrzymując się, gdy ją coś zaciekawiło. Na koniec weszli do biblioteki, gdzie zaczęła klaskać i podskakiwać, jak zwykle, kiedy była czymś zachwycona. Pełno tam było książek, obrazów, posągów, pięknych szaf ze starymi monetami i z osobliwościami. Stały fotele do drzemki, dziwaczne stoliki i brzozy, a co najlepsze, był tam wielki kominek wyłożony dokoła osobliwymi kafkami.

Bogactwo, Szczęście



— Jakież tu bogactwo! — westchnęła Ludka i rzuciła się na głęboki aksamitny fotel, rozglądając się dokoła z mocno zadowoloną miną.

— Teodorze Laurence, powinieneś być najszczęśliwszy na świecie — dodała z naciśkiem.

— Chłopiec nie może żyć z samymi tylko książkami — rzekł Artur, potrząsając głową, i usiadł naprzeciw niej na stole.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo odezwał się dzwonek, a Ludka podskoczyła w górę, wołając z przest్రachem:

— Boże! Czy to nie twój dziadek?

— A choćby i on? Przecież się nikogo nie boisz! — odrzekł figlarnie.

— Zdaje mi się, że trochę się go boję, ale nie wiem dlaczego. Mama pozwoliła mi przyjść i nie sądzę, żebyś się przez to czuł gorzej — rzekła, chcąc się uspokoić, jednak nie odrywała oczu od drzwi.

— Dużo mi lepiej i dziękuję ci bardzo. Obawiam się tylko, że się zmęczyłaś rozmową, a taka była przyjemna, że nigdy bym jej nie przerwał — rzekł Artur z wdzięcznością.

— Doktor przyszedł do pana — rzekła służąca, przywołując go znakiem.

— Czy nie pogniewasz się, jak odejdę na chwilę? Sądzę, że wypada mi z nim się zobaczyć — rzekł Artur.

— Nie uważaj na mnie, tak mi tu dobrze jak świerszczowi — odpowiedziała Ludka.

Artur odszedł, ona zaś, pozostawszy sama, stanęła przed pięknym portretem starego gentlemana. Drzwi się otworzyły znowu, a Ludka, nie odwracając głowy, powiedziała stanowczym głosem:

— Teraz jestem pewna, że bym się nie bała, bo te oczy są poczciwe, choć usta cierpkie i chociaż tak wygląda, jak gdyby miał strasznie silną wolę. Nie jest tak piękny jak mój dziadek, ale mi się podoba.

— Dziękuję pani — rzekł chrapliwy głos za nią.

Ku swemu zakłopotowaniu ujrzała starego pana Laurence'a.

Biedna Ludka tak się zarumieniła, że już nie mogła być czerwieńsza, a serce zaczęło jej bić nieznośnie, gdy sobie przypomniała własne słowa.

Przez chwilę miała szaloną chęć uciec do domu, ale to byłoby tchórzostwem, dziewczęta wyśmiałyby ją, więc postanowiła zostać i o ile zdoła najlepiej, wydobyć się z kłopotu. Powtórne spojrzenie przekonało ją, że żywe oczy wyglądają spod krzaczastych siwych brwi jeszcze poczciwiej niż malowane i jakieś figlarnie ich mruganie odjęło jej dużo trwogi. Po tym strasznym milczeniu stary gentleman rzekł nagle jeszcze grubszym głosem:

— Więc nie boisz się mnie pani, tak?

— Nie bardzo.

— I uważasz, że nie tak ładny jak twój dziadek?

— Niezupełnie.

— I że mam strasznie silną wolę?

— Powiedziałam tylko, że mi się tak zdaje.

— Jednak podobam ci się?

— Tak, panie.

Ta odpowiedź ujęła starego gentlemana. Roześmiał się, uściśnął jej rękę, wziął pod brodę, obrócił ku sobie jej twarz, przyjrzał się uważnie, puścił ją, skinął głową i rzekł:

— Odziedziczyłaś rozum dziadka, ale nie masz jego ujmującej powierzchowności. Był pięknym mężczyzną, moja droga, ale co ważniejsze, był zacny i uczciwy. Szczyciłem się jego przyjaźnią.

— Dziękuję panu. — Te słowa podobały się Ludce, więc odzyskała zupełną swobodę.

— Co pani robiłaś z moim chłopcem? — zapytał nagle.

— Staralam się być dobrą sąsiadką — rzekła i opowiedziała historię swych odwiedzin.

— Pewnie sądzisz, że trzeba mu trochę wesołości, czy tak?

— Tak, panie. Wydaje mi się nieco osamotniony i może przydałoby mu się młode towarzystwo. Jesteśmy tylko dziewczętami, ale chciałybyśmy mu się przysłużyć czymś, pamiętając jaki wspaniały podarek przysłał nam pan na święta Bożego Narodzenia — powiedziała żywo.

— Ta, ta, ta. Nie moje to dzieło, ale mego chłopca. Jakże się ma ta biedna kobieta?

— Zdrowa — odparła Ludka i zaczęła swoją szybką mową opowiadać, że matka zainteresowała rodziną Humlów bogatszych znajomych.

— Jej ojciec w taki sam sposób spełniał dobre uczynki. Przyjdę kiedyś odwiedzić matkę pani, proszę jej to powiedzieć. Dzwonek wzywa nas już na herbatę, bo teraz pijamy ją wcześniej ze względu na chłopca. Zejdź pani z nami jako dobra sąsiadka.

— Jeżeli pan sobie życzy.

— Czy prosiłbym, gdyby było inaczej? — odrzekł i podał jej rękę ze staroświecką grzecznością.

„Co by Małgosia na to powiedziała?” — myślała Ludka, schodząc na dół, i oczy jej się śmiały na myśl, że będzie to wszystko opowiadać w domu.

— Co się stało temu chłopcu, na Boga? — rzekł stary gentleman, gdy Artur zbiegł żywo ze schodów i stanął zdumiony na widok Ludki, idącej pod rękę z jego dziadkiem.

— Nie wiedziałem, że powróciłeś, sir — odezwał się, gdy Ludwisia rzuciła na niego triumfujące spojrzenie.

— I dlatego pewnie tak podskakujesz. Chodź na herbatę mój panie, i zachowaj się, jak przystoi gentlemanowi.

Pociągnawszy chłopca za włosy, co oznaczało pieszczotę, poszedł dalej. Artur, idąc tuż za nim, wyprawiał tak komiczne miny, że Ludka o mało nie wybuchnęła śmiechem.

Stary gentleman niewiele mówił, pijąc swe cztery filiżanki herbaty, ale przyglądał się dwojgu młodym, którzy szczebiotali jak starzy znajomi. Nie uszła jego oczom korzystna zmiana w Arturze: na twarz wystąpiły mu kolory, światło i życie, ruchy nabrały żywości, śmiech stał się serdeczny i wesoły.

„Ona ma słuszną rację, chłopiec jest osamotniony i te dziewczynki mogą mu oddać wielką przysługę” — myślał pan Laurence, patrząc i przysłuchując się. Podobała mu się Ludka z powodu jej oryginalnego, śmiałego obejścia, przy tym zdawała się rozumieć chłopca prawie tak dobrze, jak gdyby sama nim była.

Gdyby Laurence’owie byli „sztywni i dumni”, jak zwykła wyrażać się Ludka, nie podobałaby im się wcale, bo wobec takich ludzi była zawsze lękliwa i nieswoja, ale widząc, że są naturalni i swobodni, była sobą i wywarła dobre wrażenie.

Po herbacie chciała odejść, ale Artur obiecał jej jeszcze coś pokazać i zaprowadził do cieplarni, oświetlonej na jej przybycie. Rozglądała się jakby w zaczarowanym miejscu, chodząc po ścieżkach, sprawiały jej rozkosz kwitnące ściany, łagodne światło, wilgotne, miłe powietrze, cudowne winorośla i drzewa, zwieszające się nad jej głową. Tymczasem zaś jej nowy przyjaciel pozrywał najpiękniejsze kwiaty, związał je w bukiet i rzekł z żywieniem na twarzy, tak miłym dla Ludki:

— Bądź łaskawa oddać to mamie i powiedz, że mi się bardzo podobało przysłane przez nią lekarstwo.

Wyszedszy stamtąd, zastali pana Laurence’a stojącego przed kominkiem w wielkim salonie, lecz uwagę Ludki zupełnie pochłonął duży fortepian, który tam stał otwarty.

— Czy grasz? — zapytała, zwracając się do Artura ze szczególnym szacunkiem.

— Czasami — odpowiedział skromnie.

— Zagraj teraz, chciałabym cię usłyszeć, żeby opowiedzieć Elizie.

— Nie chcesz dać przykładu pierwszej?

— Nie umiem grać. Jestem za głupia, żeby się uczyć muzyki, ale ją z całego serca lubię.

Artur grał, a Ludka słuchała, zanurzając rozkosznie nos w herbacianych różach i heliotropach<sup>39</sup>. Jej szacunek i cześć dla „młodego Laurence’a” wzmożyły się bardzo, bo grał szczególnie dobrze i nie ograniczył się na jednej sztuce. Pragnęła, żeby Eliza usłyszała go kiedyś, ale się nie odezwała z tym życzeniem, tylko tak go chwaliła, że aż się zawstydził i dziadek przyszedł mu na pomoc:

— Dostyc już, dostyc moja pani, zaszkodzi mu tak duża ilość słodczy. Wprawdzie nieźle gra, ale mam nadzieję, że nie gorzej wywiąże się z ważniejszych nauk. Odchodzisz? Bardzo jestem zobowiązany za pamięć i spodziewam się, że jeszcze kiedyś przyjdiesz. Moje uszanowanie mamie. Dobrej nocy, doktorze Ludwiku.

<sup>39</sup>heliotrop — roślina o silnym, waniliowym zapachu. [przypis edytorski]

Serdecznie uściśnął ją za rękę, ale zdradzał jakieś niezadowolenie. Gdy wyszli do sieni, Ludka zapytała Artura:

— Czy nie powiedziałam przypadkiem czegoś złego?

Ale on przecząco potrząsnął głową i rzekł:

— To ze mnie jest niezadowolony, bo nie lubi słuchać mojego grania.

— Dlaczego?

— Powiem innego dnia; teraz Jan odprowadzi cię do domu, kiedy ja nie mogę.

— Nie trzeba, nie jestem dorosłą panną i mam tylko parę kroków przed sobą. Pamiętaj o swoim zdrowiu!

— Dobrze, ale mam nadzieję, że przyjdiesz jeszcze.

— Jeżeli i ty nas odwiedzisz po wyzdrowieniu.

— Bardzo chętnie.

— Dobranoc, Arturze.

— Dobranoc, Ludko, dobranoc.

Gdy Ludka opowiadała w domu swoje przygody, wszystkie nabrały chęci na wybranie się do wielkiej kamienicy po drugiej stronie płotu, bo tak matka, jak siostry znajdowały tam dla siebie coś pociągającego. Pani March pragnęła pomówić o swym ojcu ze starym gentlemanem, który go jeszcze nie zapomniał, Małgosia chciała się przechadzać po ciepłarni, Eliza wzdychała do wielkiego fortepianu, Amelka ciekawa była pięknych obrazów i posągów.

— Mamo, dlaczego pan Laurence był niezadowolony, że Artur gra? — zapytała Ludka, będąc badawczego usposobienia.

— Nie wiem na pewno, ale zdaje mi się, iż to dlatego, że syn jego ożenił się z Włoszką, artystką muzyczną, która nie podobała się staremu, bo jest bardzo dumny. Ta pani była dobra, miła i wykształcona, ale jej nie lubił i ani razu nie widział syna po jego ożenieniu się. Oboje zmarli, gdy Artur był małym dzieckiem, i wówczas dziadek wziął go do siebie. Sądzę, że chłopiec, jako urodzony we Włoszech, nie jest bardzo silny, i staruszek jest tak troskliwy dlatego, że się go boi utracić. To upodobanie w muzyce jest naturalne w Arturze, odziedziczył je bowiem po matce, i zapewne dziadek lęka się, żeby nie chciał zostać muzykiem. W każdym razie przypomina mu swym talentem kobietę, której nie lubił. Dlatego był taki „rozgorzały”, jak mówi Ludka.

— Mój Boże, jakież to romantyczne! — wykrzyknęła Małgosia.

— Jakże to niedorzeczne! — odrzekła Ludka. — Niech będzie muzykiem, jeżeli chce, to lepiej, niż mu zatruwać życie, posyłając do kolegium, którego nienawidzi.

— Pewnie dlatego ma takie ładne, czarne oczy i piękne maniery, bo Włosi zawsze są pełni wdzięku — rzekła nieco sentymentalnie Małgosia.

— Co ty wiesz o jego oczach i manierach? Jeszcze prawie z nim nie rozmawiałaś! — zawołała niesentymentalna Ludka.

— Widziałam go na wieczorku, a to co mówisz o nim, dowodzi, że się umie znaleźć<sup>40</sup>. Ładne były jego słówka o lekarstwie, przysłanym przez mamę.

— Zapewne przez to rozumiał *blanc-manger*.

— Jakaś ty niedorzeczna, moje dziecko, ma się rozumieć, że ciebie miał na myśli.

— Doprawdy? — rzekła Ludka, otwierając wielkie oczy, jak gdyby jej to wcale nie przyszło do głowy.

— Jak żyję, nie widziałam takiej dziewczyny! Nie poznajesz się na komplementach — powiedziała Małgosia z miną dorosłej panny, obeznanej z takimi rzeczami.

— Według mnie komplementy nie mają sensu i będę ci wdzięczna, jak przestaniesz psuć mi przyjemność takimi bredniami. Artur to miły chłopiec, lubię go, ale nie chciałabym mieć sentymentalnego upodobania w komplementach i tym podobnych głupstwach. Wszystkie będziemy dobre dla niego, bo on nie ma matki, i będzie nas mógł odwiedzać, prawda, mamo?

— Tak, moja Ludko, twój mały przyjaciel będzie mile widziany i spodziewam się, że Małgosia nie zapomni, iż dzieci powinny być dziećmi jak najdłużej.

— Ja siebie nie nazywam dzieckiem, ale też nie uważam się za dorosłą pannę — odezwała się Amelka. — Cóż ty powiesz, Elizo?

<sup>40</sup>umieć się znaleźć — umieć się zachować. [przypis edytorski]

— Ja myślałam o naszej „pielgrzymce” — odpowiedziała Eliza, która nie słyszała ani słowa. — Gdyśmy się wydobyły z „przepaści” postanowieniem poprawy, wyszłyśmy na strome wzgórze mocą usiłowań, a ten dom pełen przepysznych rzeczy będzie może naszym „pięknym pałacem”.

Trud

— Musimy wprzód pokonać lwy — rzekła Ludka, mająca na to widoczną ochotę.

## ROZDZIAŁ VI. ELIZA ZNAJDUJE „PIĘKNY PAŁAC”

Duża kamienica okazała się „Pięknym pałacem”, ale sporo czasu upłynęło, zanim się tam dostały i Eliza obawiała się pokonywania lwów. Stary pan Laurence był z nich największym, ale gdy je odwiedził, gdy powiedział coś wesołego i miłego każdej dziewczynce i pogawędził o dawnych czasach z matką, żadna go się nie bała prócz nieśmiałej Elizy. Drugim lwem okazało się to, że one były ubogie, Artur zaś bogaty, gdyż nieśmiało przyjmowały grzeczności, nie mogąc ich odwzajemnić. Po jakimś czasie przekonały się jednak, że uważa je za swoje dobrodziejki i sam nie wie, jak objawić wdzięczność pani March za matczyne przyjęcie, a dziewczętom za wesołe towarzystwo i uciechy, jakich doznawał w ich ubogim domku. Wkrótce zapomniały więc o swojej dumie i nie zastanawiały się nad tym, która strona wyświadcza więcej przysług.

Trud

Pozycja społeczna

Różne pomysły rzeczy zdarzyły się w owym czasie, a ich nowa przyjaźń wzrastała jak trawa na wiosnę. Wszystkie lubiły Artura, a on się zwierzył nauczycielowi, że panny March to „doskonałości”. Z uroczym zapalem młodości wzięły samotnego chłopca do swojego grona i zajmowały się nim gorliwie, jemu zaś niewinne towarzystwo tych serdecznych dziewcząt wydawało się czarujące. Nigdy nie znał matki i nie miał siostr, więc łatwo mogły na niego wpływać, a pracowitością i ruchliwością zawstydzaly go, że wiedzie tak ociężałe życie. Znużony był książkami i obcowanie z ludźmi wydawało mu się tak zajmującą rzeczą, że sprawozdania pana Brooke stały się bardzo niepoehlebne, bo Artur wałęsał się i ciągle uciekał do domu pani March.

Przyjaźń

— Nie troszcz się pan, daj mu wakacje, a później odzyskas ten czas — mówił stary gentleman. — Ta nasza dobra sąsiadka powiada, że za wiele się uczył i że mu potrzeba młodego towarzystwa, rozrywek i ruchu. Zdaje mi się, że ma słuszność i że rozpieszczęłem chłopca, jak gdybym był jego babką. Pozwól mu robić co zechce, póki mu z tym dobrze. Nie może pobłądzić w tym małym zakonie, a pani March więcej zrobi mu dobrego niż my obaj.

Jakże się bawiło to młode grono! Urządzali żywe obrazy, ślizgawki, kuligi, a jakie przyjemne wieczory bywały w starym bawialnym pokoju, jakie zebrania w wielkim domu! Małgosia mogła się do woli przechadzać po cieplarni i rozkoszować się bukietami, Ludka łakomie korzystała z biblioteki i swymi sądami pobudzała starego gentlemana do konwulsyjnego śmiechu, Amelka kopiowała obrazy i używała piękna, Artur zaś z elegancją odgrywał rolę gospodarza.

Strach

Eliza, chociaż tęskniła do wielkiego fortepianu, nie zdołała zebrać się na odwagę i chodzić do „przybytku szczęścia”, tak bowiem Małgosia nazywała ten dom. Poszła raz z Ludką, ale stary gentleman, nie wiedząc o jej wadzie, wpatrzył się w nią tak bystro spod ciężkich powiek i przemówił tak głośno, że się przelęknęła i uciekła, oznajmiając matce, że już tam nigdy nie pójdzie, pomimo kochanego fortepianu. Żadne namowy ani ponęty nie mogły pokonać tej lęklności, aż nareszcie, gdy jakimś tajemniczym sposobem dotarło to do uszu pana Laurence’a, postanowił wdać się w sprawę. Pewnego razu, będąc u pani March, zręcznie naprowadził rozmowę na muzykę i opowiadał o różnych wielkich śpiewakach i pięknych instrumentach. Takie to były śliczne anegdoty, że Eliza nie mogła wytrzymać w dalekim kącie i przysuwała się coraz bliżej jakby oczarowana. Stanąwszy za jego krzesłem, słuchała z oczami szeroko rozwartymi i z twarzą rozgrzaną tym niezwykłym postępkim. Pan Laurence, nie zwracając na nią wcale uwagi, jak gdyby to była tylko mucha, mówił dalej o lekcjach i nauczycielach Artura. Nagle, jakby mu to dopiero przyszło na myśl, rzekł do pani March:

— Mój chłopiec zaniedbuje teraz muzykę i cieszę się, bo zaczynał ją nazbyt kochać, ale fortepian cierpi na tym, że nie jest używany. Czy któraś z dziewcząt pani nie zechciałaby przyjść czasem i poćwiczyć, żeby się nie rozstrajał?

Muzyka

Eliza postąpiła krok naprzód i mocno zacisnęła rączki, żeby się powstrzymać od kląśnięcia, bo było to pokusą nie do zwalczenia i myśl o ćwiczeniu się na tym wspaniałym instrumencie zupełnie odebrała jej oddech. Zanim pani March zdołała odpowiedzieć, pan Laurence rzekł dalej z jakimś dwuznacznym uśmiechem, potrząsając przy tym głową:

— Nie potrzebowałaby z nikim się widzieć ani rozmawiać, niech tylko przyjdzie, kiedy zechce. Ja siedzę zamknięty w pracowni na drugim końcu domu, Artur bardzo dużo wychodzi, a służba po godzinie dziewiątej nigdy nie zbliża się do bawialnego pokoju. — Rzekłszy to, powstał, żeby odejść, a Eliza postanowiła odezwać się, bo to ostatnie zapewnienie nie zostawiało już nic do życzenia. — Niech pani będzie łaskawa powtórzyć panienkom, co mówiłem, a jeżeli nie zechcą przychodzić, ha, to trudno!

Wtem mała rączka wsunęła się w jego rękę i Eliza spojrzała na niego wzrokiem pełnym wdzięczności, mówiąc jak zwykle z powagą, ale nieśmiało:

— Ach, panie, my chcemy, bardzo, bardzo chcemy.

— Czy to ty jesteś tą muzykalną dziewczynką? — zapytał, spoglądając na nią mile.

— Ja jestem Eliza, serdecznie lubię muzykę i będę przychodziła, jeżeli pan jest pewny, że mnie nikt nie usłyszy i że nikomu nie przeszkodzę — dodała z obawy, że jest niegrzeczna, lecz mówiła to z drżeniem wobec własnej śmiałości.

— Żywa dusza cię nie usłyszy, moja droga. W domu jest pusto do południa, więc przychodź i bębnij, ile zechcesz, będę ci za to wdzięczny.

— Jaki pan dobry!

Zarumieniła się jak róża pod jego wzrokiem, ale się już nie lękała i z radością uściśnęła jego wielką rękę, bo brakło jej słów, żeby podziękować.

Stary gentleman z lekka odgarnął jej włosy i pochyliwszy się, pocałował ją, mówiąc tonem rzadko przez niego używanym:

— Miałem kiedyś dziewczynkę z takimi oczami jak twoje. Niech cię Bóg błogosławi, moja droga. Żegnam panią.

Odszedł z wielkim pośpiechem, a Eliza nacieszywszy się z matką swym szczęściem, pobięła oznajmić tę ważną wiadomość gromadce lalek, bo siostr nie było w domu. Jakże wesoło śpiewała tego wieczora i jak się z niej dziewczęta śmiały, gdy obudziła w nocy Amelkę, grając przez sen po jej twarzy jakby po fortepianie. Nazajutrz, gdy zobaczyła, że obaj panowie, stary i młody, wyszli z domu, po dwu czy trzykrotnym cofaniu się, szczęśliwie dotarła do bocznych drzwi i cicho jak myszka weszła do bawialnego pokoju, gdzie stało jej bożyszcze. Ma się rozumieć zupełnie przypadkiem jakieś ładne nuty leżały na fortepianie. Często nasłuchując i oglądając się wokoło, drżącymi palcami dotknęła nareszcie wielkiego instrumentu i natychmiast zapomniała o swej lękliwości, o sobie i o wszystkim, tylko się oddała niewysłowionej rozkoszy, jaką jej sprawiała muzyka, bo to był niejako głos ukochanego przyjaciela.

Pozostała tam, póki Anna nie przysłała ją wezwać na obiad, ale nie miała apetytu, więc siedziała tylko, uśmiechając się błogo do wszystkich.

Odtąd ciemny kapturek prawie co dzień przemycił się przez płot i wielki salon był nawiedzany przez muzykalnego ducha, który przychodził i znikał. Nie wiedziała, że pan Laurence otwierał często drzwi od pracowni, żeby słuchać swoich ulubionych utworów, i że Artur stoi na straży w sieni, żeby nie dopuszczać służby. Nie domyślała się też, że ćwiczenia i nowe nuty umyślnie dla niej leżą na pulpicie, a gdy stary gentleman mówił u nich w domu o muzyce, myślała sobie tylko: „Jaki on dobry, że opowiada o rzeczach, które mogą być dla mnie pożyteczne”. Radowała się całym sercem i przekonała się, co nie zawsze bywa, że się spełniło jej największe życzenie. Może dlatego, że umiała być wdzięczna za ten dar, otrzymała jeszcze większy, w każdym razie oba były zasłużone.

— Mamo, wyhaftuję panu Laurence'owi pantofle. Taki jest dobry, że się muszę odwdzięczyć, a nie wiem, w jaki by inny sposób. Czy pozwolisz? — zapytała w kilka tygodni po jego pamiętnych odwiedzinach.

— Dobrze, moja droga, sprawisz mu wielką przyjemność i odwzajemnisz się ładnie za dobroć. Dziewczęta ci pomogą, a ja wszystko zapłacę — rzekła pani March, mając szczególną przyjemność w spełnianiu życzeń Elizy, która rzadko prosiła o coś dla siebie.

Po wielu ważnych naradach z Malgosią i Ludką wzór został wybrany, materiały kupione i pantofle zaczęte. Bukiet z jasnych bratków na ciemniejszym purpurowym tle uznały za bardzo właściwy i piękny, a Eliza pracowała rano i wieczór, opuszczając tylko

Radość

Muzyka

Muzyka, Dar

to, co trudniejsze. Tak szybko obracała igłą, że je skończyła, zanim kogoś znudziły. Następnie napisała krótki i prosty bilecik i pewnego ranka przy pomocy Artura pantofle znalazły się na biurku pana Laurence'a, zanim wstał z łóżka.

Gdy minęła pierwsza chwila gorączki, zaczęła oczekiwać, co dalej nastąpi. Minął cały dzień i część następnego, a nie odebrała żadnej wiadomości i ogarnął ją strach, że jej kapryśny przyjaciel się obraził. Nazajutrz po południu wyszła, żeby porobić sprawunki i wyprowadzić, według codziennego zwyczaju, chorą i biedną lalkę Joasię na świeże powietrze. Wracając, zobaczyła trzy, nie, cztery osoby wyglądające z okien pokoju bawialnego. Gdy tylko ją spostrzegły, zaczęły dawać znaki, radośnie wołając:

— Masz list od starego gentlemana, chodź prędko przeczytać!

— Ach, Elizo, on ci przysłał! — odezwała się Amelka, gestykulując ze zbyteczną energią, ale nie rzekła nic więcej, bo Ludka przerwała, spychając ją z okna.

Eliza pośpieszyła, zniecierpliwiona zwłoką. Przy drzwiach siostry porwały ją i w triumfalnym pochodzie zaprowadziły do pokoju bawialnego, wołając wszystkie razem: „Patrz, patrz!”. Eliza spojrzała na wskazywane przez nie miejsce i zbladła ze zdziwienia i radości. Stał tam bowiem gabinetowy fortepianik, a jego blat i leżący na błyszczącym wierzchu list nosiły jej imię i nazwisko.

— Dla mnie? — wyjąkała, chwytając się Ludki, bo gotowa była upaść ze wzruszenia.

— Tak, dla ciebie, moja droga! Czy to nie wspaniale z jego strony? Czy ci się nie wydaje najlepszym w świecie staruszkim? Masz klucz w liście. Nie otworzyliśmy go, ale umieramy z ciekawości, co zawiera — zawołała Ludka, ściskając siostrę, i podała jej list.

— Przeczytaj, ja nie mogę, tak mi jakoś dziwnie. Ach, to za wiele dobrego! — rzekła i ukryła twarz w fartuszkę Ludki, zupełnie wzruszona podarkiem.

Ludka otworzyła kopertę i zaczęła śmiać się z pierwszych słów:

Do panny March  
*Droga pani!*

— Jak to ładnie brzmi! Chciałabym, żeby ktoś tak do mnie napisał — rzekła Amelka, której ten staroświecki adres<sup>41</sup> wydał się bardzo elegancki.

Miałem niejedne pantofle w życiu, ale żadne mi się tak nie podobały jak twoje

czytała dalej Ludka.

Bratek jest moim ulubionym kwiatkiem i będzie mi zawsze przypominał miłą osobkę, która mi go ofiarowała. Lubię spłacać długi, pozwól więc „staremu gentlemanowi”, żeby ci przesłał rzecz, która niegdyś należała do wnuczki, już dziś nieżyjącej. Serdeczne podziękowanie i najlepsze życzenie zasyła

*wdzięczny przyjaciel i pokorny sługa*  
*James Laurence*

— Elizo, to zaszczyt, z którego możesz być dumna! Artur mi opowiadał, jak pan Laurence był przywiązany do tego dziecka, jak starannie przechowuje wszystkie pamiątki. Pomyśl tylko, daje ci fortepian! A to dlatego, że masz duże niebieskie oczy i że lubisz muzykę — rzekła Ludka, starając się uspokoić drżącą i wzruszoną Elizę.

— Spójrz na te zgrabne podstawki do lichtarzy<sup>42</sup>, na tę zieloną materię ze złotą różą w środku, na śliczny pulpit i taboret. Niczego nie brakuje — dodała Małgosia i otworzywszy fortepian, wskazała jego ozdoby.

— „Pokorny sługa, James Laurence” — tylko pomyśl, że on do ciebie tak napisał! Opowiedziałam to zdarzenie dziewczętom i wydaje się im zachwycające! — rzekła Amelka bardzo przejęta listem.

<sup>41</sup>adres — tu: zwrot, nagłówek listu. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>lichtarz (z niem.) — podstawka do osadzenia pojedynczej świecy, świecznik. [przypis edytorski]

— Wypróbuj go, kochana, niech usłyszymy dźwięk tego pieścidełka — odezwała się Anna, biorąca zawsze udział w domowych radościach i smutkach.

Eliza grała, a wszyscy zawyrokowali, że im się nie zdarzyło słyszeć tak znakomitego fortepianu. Widocznie został na nowo nastrojony i doprowadzony do porządku. Ale mimo wszelkich zalet zdaje mi się, że głównie zdołała go pochylona nad nim Eliza, gdy ze szczęściem i lubością dotykała pięknych czarnych i białych klawiszy i naciskała błyszczące pedały.

— Musisz mu podziękować — rzekła Ludka żartobliwie, bo jej nie przyszło na myśl, żeby dziecię rzeczywiście poszło.

— Pójdę, i to zaraz, nim się wystraszę tej myśli — i ku największemu zdumieniu zebranej rodziny, przeszła śmiało przez ogród, przez płot, i stanęła u drzwi Laurence'ów.

— Niech umrę, jeżeli widziałam coś dziwniejszego na świecie! Ten fortepian zawrócił jej w głowie. Nigdy by nie poszła, gdyby była przy zdrowych zmysłach! — wykrzyknęła Anna, śledząc ją wzrokiem, a dziewczęta oniemiały na widok tego cudu.

Ich zdumienie byłoby jeszcze większe, gdyby zobaczyły, co Eliza robiła potem. Może nie zechcecie wierzyć, ale zapukała do drzwi pracowni, nie dając sobie czasu do namysłu, a gdy chrapliwy głos odezwał się: „Proszę wejść”, poszła prosto ku panu Laurence'owi, który się zdawał tym zmieszany, i rzekła drżącym głosem, wyciągnąwszy rączkę:

— Przyszłam podziękować panu za... — ale nie dokończyła, bo patrzył na nią tak przyjaźnie, że zapomniała mowy i pamiętając tylko, iż stracił ukochaną wnuczkę, objęła go rączkami za szyję i pocałowała.

Gdyby dach spadł nagle z domu, stary gentleman nie byłby bardziej zdumiony, ale mu się to podobało. O tak, dziwnie mu się to podobało! I tak był wzruszony i uradowany tym poufałym uściskiem, że cała jego szorstkość zniknęła. Wziął Elizę na kolana i oparł swój zwiędły policzek na jej różowej twarzyczce, doznając takiego uczucia, jak gdyby odzyskał wnuczkę.

Od tej chwili przestała się go lękać i rozmawiała tak swobodnie, jak gdyby się znali całe życie — bo miłość usuwa bojaźń, a wdzięczność umie pokonać dumę. Odprowadził ją do bramy ich domu, uściśnął serdecznie za ręce, dotknął kapelusza i wrócił do siebie poważny, wyprostowany, jak przystało pięknemu niegdyś wojakowi.

Zobaczywszy to, Ludka zaczęła wesoło tańczyć, Amelka o mało nie wypadła z okna ze zdziwienia, a Małgosia wykrzyknęła, podnosząc ręce w górę:

— To chyba koniec świata!

## ROZDZIAŁ VII. AMELKI „DOLINA UPOKORZENIA”

— Ten chłopiec to prawdziwy cyklop<sup>43</sup>, nieprawda? — rzekła Amelka pewnego dnia, gdy Artur pędził na koniu, wywijając szpicrutą.

— Jak śmiesz to mówić, kiedy ma oczy, i w dodatku bardzo ładne! — zawołała Ludwisia, drażliwa na najmniejszą uwagę o swym przyjacielu.

— Nie mówię o jego oczach i nie wiem, czemu się unosisz, gdy chwałę, że dobrze jeździ konno.

— Ach, Boże, ta gąska chciała powiedzieć centaur<sup>44</sup>, a nazwała go cyklopem! — wykrzyknęła Ludka, parskając śmiechem.

— Nie potrzebujesz być taka przykra, to tylko „*lapse lingy*”<sup>45</sup>, jak mówi pan Davis — odrzekła Amelka, rozśmieszając jeszcze bardziej tą łaciną. — Chciałabym mieć trochę tych pieniędzy, które Artur wydał na konia — dodała jakby do siebie, ale w nadziei, że siostra ją usłyszy.

— Dlaczego? — zapytała przyjaźnie Małgosia, bo Ludkę wypędził drugi wybuch śmiechu po tej powtórnej pomyłce Amelki.

— Są mi potrzebne! Jestem strasznie zadłużona, a dopiero za miesiąc otrzymam pieniądze na drobne wydatki.

<sup>43</sup>cyklop (mit. gr.) — olbrzym z jednym okiem na środku czoła; najsłynniejszym cyklopem był pasterz Polifem, ludożerca, oślepiony przez Odysusza. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>centaur (mit. gr.) — dzika istota o końskim ciele z ludzkim torsem i głową. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*lapse lingy* — Amelka ma na myśli łacińskie *lapsus linguae*, oznaczające błąd w wypowiedzi mówionej. [przypis edytorski]

— Zadłużona jesteś, Amelko? Co to znaczy? — spytała surowo Małgosia.

— Jestem winnam przynajmniej tudzin marynowanych cytryn, a nie mogę się za nie odwdziżyć, póki nie będę miała pieniędzy, bo mama zakazała brać na kredyt w sklepie.

— Powiedz mi wszystko, czy teraz są w modzie marynowane cytryny? Dawniej była modna guma na piłki? — spytała Małgosia, powstrzymując się od śmiechu z poważnej, urzędowej miny Amelki.

— Panienki zawsze kupują sobie coś do jedzenia i trzeba robić jak one, bo inaczej posądzą o skąpstwo. Teraz są w zwyczaju marynowane cytryny, ssą je w czasie lekcji, chowając głowę pod ławkę, i wymieniają je w kąciku za ołówki, pierścionki ze szklanym oczkiem, papierowe lalki i tym podobne rzeczy. Jak panienka lubi koleżankę, to daje jej marynowaną cytrynę, jeżeli jest na którąś pogniwana, zjada sama w jej oczach i nie pozwala jej nawet obliczać. Wszystkie częstują się kolejno i mnie dawały już tyle razy, a nie mogłam się odwzajemnić, chociaż koniecznie wypada, bo jak wiesz, to są długi honorowe.

— Ile ci trzeba na kupienie cytrynek i odzyskanie dobrej opinii? — zapytała Małgosia, wyjmując woreczek.

— Ćwierć dolara wystarczy aż nadto i zostanie jeszcze kilka centów na poczęstowanie ciebie. Czy lubisz cytrynki?

— Nie bardzo, możesz zachować dla siebie moją częśćkę. Masz tu pieniądze, ale je oszczędzaj, bo to niezbyt wielka suma, jak widzisz.

— Dziękuję ci! Jak miło musi być mieć pieniądze na drobne wydatki! Będzie to dla mnie wielka uczta, bo w tym tygodniu nawet nie skosztowałam cytrynki. Przykro mi było przyjmować, nie mogąc się odwdziżyć, a doprawdy, że już mi tęskno.

Nazajutrz Amelka spóźniła się trochę do szkoły, ale nie mogąc oprzeć się pokusie, z dumą łatwą do wybaczenia pokazała wilgotną paczkę z starego papieru, zanim schowała ją w najgłębszym kącie ławki. Przez kilka minut całą gromadkę przebiegała wieść, że Amelka March kupiła dwadzieścia cztery wyborne marynowane cytrynki — zjadła jedną po drodze — i ma zamiar częstować. Ta wiadomość całkiem pochłonęła uwagę jej koleżanek. Kasia Brown zaprosiła ją na następną swoją ucztę, Marynia Kingsley nalegała, żeby używała jej zegarka do wakacji, a Jenny Snow, złośliwa panienka, która jej nieszlachetnie docinała, że nie miewa cytrynek, schowawszy czym prędzej swą broń, oświadczyła, że robi jej kilka trudnych zadań arytmetycznych. Ale Amelka nie zapomniała jej gryzących uwag o „pewnych osobach, których nosy nie są nadto płaskie, żeby wachać cudze cytrynki, i które chociaż zadzierają głowę, nie są zbyt dumne, żeby o nie prosić”. Amelka zniweczyła też nadzieję „małej Snow” wzgardliwym telegramem: „Niepotrzebnie zrobiłaś się tak grzeczna, bo nic nie dostaniesz”.

Właśnie tego ranka pewna dostojna osoba zwiedzała szkołę i pochwaliła Amelkę za kolorowaną mapę. Ten zaszczyt rozjątrzył pannę Snow, a wbił w dumę pannę March, która puszyła się jak paw. Ale niestety, niestety, duma kroczy przed upadkiem i mściwa Snow z wielką zręcznością postawiła rzeczy odwrotnie. Gdy gość po zwykłej liczbie komplementów uklonił się i odszedł, Jenny pod pozorem, że chce zapytać o coś ważnego, zawiadomiła nauczyciela, pana Davis, że Amelka March ma w ławce marynowane cytrynki.

A rzecz miała się tak, że pan Davis, uważając ten przysmak za kontrabandę<sup>46</sup>, uroczyście przysiągł, że publicznie ukarze uczennicę, która się dopuści tego nadużycia. Ten wytrzymały człowiek po długiej i zażartej walce wygnał już gumę, zrobił fajerwerk ze skonfiskowanych romansów, zniósł prywatną pocztę, zakazał wykrzywania się, przydomków, karykatur — i zrobił to wszystko, co było w mocy pojedynczego człowieka, utrzymywał bowiem kilkadziesiąt dziewcząt w karności. Bóg świadkiem, chłopcy dosyć wystawiają na próbę cierpliwość ludzką, ale dziewczęta daleko bardziej dręczą, zwłaszcza nerwowych mężczyzn. Pan Davis umiał dużo greki, łaciny, algebry i różnych „ologii”, więc był nazywany dobrym nauczycielem, a obojętność, moralność, uczucia i przykład nie były uważane za rzeczy wielkiej wagi. Była to najniezwyklejsza chwila do oskarżenia Amelki i Jenny to wiedziała. Pan Davis widocznie napił się rano zbyt mocnej kawy, panował wschodni wiatr, wzmagający jego newralgię<sup>47</sup>, uczennice nie okazywały mu dosyć szacunku i z tych

<sup>46</sup>kontrabanda — przemyt, rzeczy nielegalnie przewożone przez granicę. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>newralgia — ból powodowany przez nerwy. [przypis edytorski]



wszystkich powodów, mówiąc dosadnym, choć nieeleganckim językiem pensjonarek, był zły jak czarownica, a mrukliwy jak niedźwiedź. Słowo „cytryny” było jak iskra na beczkę prochu: zapalała mu twarz i z taką siłą uderzył w stół, że Jenny poskoczyła na swoje miejsce z niezwykle szybkością.

— Panny, bądźcie łaskawe uważać!

Na ten surowy rozkaz ustał szmer i pięćdziesiąt par niebieskich, czarnych, szarych i ciemnych oczu posłusznie wpatrzyło się w jego groźne oblicze.

— Panno March, proszę do mego stołu.

Amelka usłuchała go na pozór spokojnie, lecz w głębi przejęta była trwogą, bo cytrynki ciążyły jej na sumieniu.

— Proszę przynieść cytryny, które są w ławce.

To niespodziane polecenie powstrzymało ją na miejscu.

— Nie bierz wszystkich — szepnęła sąsiadka, obdarzona wielką przytomnością umysłu.

Amelka szybko odłożyła pół tuzina, resztę zaś położyła przed panem Davisem w przekonaniu, że każdy człowiek mający ludzkie serce zmięknie, skoro ta rozkoszna woń uderzy jego nos. Na nieszczęście, pan Davis czuł szczególną nienawiść do modnej marynaty, a ten wstręt wzbudził w nim jeszcze większą złość.

— Czy nie ma więcej?

— Jest jeszcze trochę — wyjąkała Amelka.

— Natychmiast przynieś resztę.

Usłuchała, patrząc rozpaczliwie na paczkę.

— Czy z pewnością nie ma więcej?

— Ja nigdy nie kłamię.

— Przekonuję się. Teraz bierz po dwie sztuki tego szkaradziństwa i wyrzucaj przez okno.

Wszystkie dziewczęta westchnęły, aż powstał lekki podmuch, gdy zniknęła ostatnia nadzieja i odebrano przysmak ich łaknącym ustom. Amelka, czerwona ze wstydu i złości, szła do okna i wracała dwanaście śmiertelnych razy, a za każdym razem para cytrynek, wyglądających tak pulchnie i soczyście, wypadła na ulicę. Żal panienek był tym większy, że z ich uczt korzystały z okrzykami radości irlandzkie dzieci, ich zawzięci wrogowie. Tego, tego już było za wiele. Wszystkie rzuciły zapalczywe lub żalosne spojrzenia na nieubłaganego Davisa, a jedna z nich, namiętna miłośniczka cytrynek, zalała się łzami.

Gdy Amelka wróciła z ostatniej wędrówki, pan Davis chrząknął złowrogo i rzekł z naciskiem:

— Pamiętacie panny, co wam powiedziałem przed tygodniem? Przykro mi, że się to stało, lecz nigdy nie pozwałam przekraczać moich przepisów i nigdy nie łamię danego słowa. Panno March, wyciągnij rękę.

Amelka zadrżała i schowała obie ręce za siebie, zwracając ku niemu błagalne spojrzenie, przemawiające lepiej niż słowa, na które nie mogła się zdobyć. Była ulubienicą Davisa, nazywanego „starym”, i według mego przekonania, byłby złamał słowo, gdyby nie to, że oburzenie jednej krnąbrnej panny objawiło się gwizdnięciem, które, chociaż było ciche, rozjątrzyło gniewliwego jegomościa i przypieczętowało wyrok na winowajczynię.

— Poddaj rękę, panno March! — oto jaką odpowiedź dostała na swą niemą prośbę.

Zbyt dumna, żeby płakać lub uniewinniać się, zacisnęła zęby, wyzywająco odrzuciła w tył głowę i bez jęku wycierpiała dotkliwe plagi w wątlą dłoń. Nie trwało to długo, a uderzenia były niezbyt bolesne, ale pierwszy raz w życiu ktoś ją uderzył i tak się wstydziła, jak gdyby ją rzucił na ziemię.

— Teraz będziesz stała na podeście do przerwy — rzekł pan Davis, chcąc działać stanowczo.

Straszny wyrok! Dosyć już było przykro wrócić na miejsce i widzieć litościwe twarze przyjaciółek, a zadowolone nieprzyjaciółek, których wprawdzie miała niewiele, ale patrzeć na całą szkołę po tej świeżej hańbie zdawało się jej niepodobieństwem i przez chwilę doznawała wrażenia, jak gdyby mogła tylko paść na ziemię z sercem pękającym od płaczu. Gorzkie poczucie doznanej krzywdy i myśl o Jenny Snow dopomagały jej znieść to z pozornym spokojem. Stojąc na hańbiącym miejscu, wlepiała oczy w komin od piecyka,

Kara

Przemoc, Uczeń, Nauczyciel

Hańba

nad którym zdawało jej się, że widzi morze twarzyczek. Była tak nieruchoma i błada, że dziewczętom z trudnością udawało się pracować wobec tej zropaczonej osóbkii.

Przez kwadrans ta dumna i wrażliwa dziewczynka cierpiała taki wstyd i ból, że nigdy ich nie zapomniała. Innym mogło się to wydawać rzeczą zabawną lub śmieszną, ale dla niej była to ciężka próba, bo przez dwanaście lat swego życia była wychowywana z miłością i nigdy jeszcze nie spotkał jej taki cios. Zapomniała, że pali ją ręka i boli serce, bo ją dręczyła myśl:

„Będę musiała powiedzieć to w domu i będę tak się wstydzić za mnie!”

Ten kwadrans wydał się jej godziną, ale nareszcie minął i słowo „przerwa” nigdy jeszcze tak mile jej nie zabrzmiało.

— Możesz odejść, panno March! — powiedział pan Davis, czując sam, że ma zakłopotaną minę.

Nieprędko zapomniał pełne wyrzutu spojrzenie Amelki, gdy nie odzywając się do nikogo, poszła prosto do przedpokoju, wzięła ubranie i opuściła to miejsce z silnym postanowieniem, że już tam nie wróci. Kiedy wróciła do domu, była w smutnym stanie i gdy starsze dziewczęta przybyły trochę później, przejęte oburzeniem, zaczęły się zaraz naradzać. Pani March niewiele mówiła, lecz była zaszepiona i pocieszała smutną córeczkę, jak mogła najczulej. Małgosia zmoczyła bolącą rękę gliceryną i łzami, Eliza czuła, że nawet ukochane koty nie byłyby dla niej balsamem na takie zmartwienie, zagniewana Ludka odezwała się z pomysłem, żeby niezwłocznie zaarrestować pana Davisa, Anna zaś wygrażała pięścią „nikczemnikowi” i tak gniotła kartofle na obiad, jak gdyby jego miała pod tłuczkiem.

Prócz koleżanek nikt nie spostrzegł wyjścia Amelki, ale bystrookie dziewczęta zauważyły, iż po południu pan Davis był cichy, łagodny i niezwykle nerwowy. Przed samym końcem lekcji zjawiała się Ludka i z surową twarzą zbliżyła się do stolika, położyła list od matki, zabrała resztę rzeczy Amelki i wyszła, starannie obcierając błoto z obuwia na słomiance leżącej przy drzwiach, jak gdyby strząsała z nóg proch tego miejsca.

— Dobrze, pozwolę ci nie chodzić do szkoły, ale musisz co dzień uczyć się trochę z Elizą — rzekła pani March tego wieczoru. — Nie popieram kar cielesnych, szczególnie dla dziewcząt. Nie podoba mi się też sposób nauczania pana Davisa i towarzystwo, jakie tam miałaś, ale zanim cię posłę do innej szkoły, zapytam ojca o radę.

— To dobrze. Chciałabym, żeby wszystkie uczennice opuściły jego przestarzałą szkołę i obrócili ją w niwecz. Do szału mnie doprowadza myśl o tych doskonałych cytrynach — rzekła Amelka i westchnęła z miną męczennicy.

— Nie żałuję, żeś je straciła, bo przekroczyłaś przepisy i zasłużyłaś na karę za nieposłuszeństwo — surowo powiedziała matka.

Dziewczę, spodziewając się tylko współczucia, zmieszało się na te słowa.

— Czyżbyś była, mamo, zadowolona, że mnie spotkał wstyd wobec całej szkoły? — wykrzyknęła Amelka.

— Nie wybrałabym tej kary — odparła matka — ale kto wie, czy ona nie skuteczniejsza dla ciebie niż łagodna. Robisz się nadto próżna i zarozumiała, moja droga, i czas się poprawić. Masz dużo drobnych zalet i przymiotów, ale nie należy się nimi chlępić, bo chlępliwość psuje najpiękniejszą naturę. Prawdziwy talent lub przymiot nie mogą długo zostawać w ukryciu, a gdyby nawet i tak było, to nas powinna zadowalać świadomość, że je posiadamy i wprowadzamy w czyn. Największym wdziękiem każdej potęgi jest skromność.

— Tak jest — odezwał się Artur, grający w szachy z Ludką — znałem kiedyś dziewczynkę obdarzoną prawdziwym talentem do muzyki, ale nie wiedziała o nim. Nie zgadywała, jak miłe rzeczy komponuje w samotności, i gdyby nawet ktoś jej powiedział, to by nie uwierzyła.

— Chciałabym ją znać, może by mi pomogła, bo jestem tak nieudolna — rzekła Eliza, która stała przy nim, słuchając pilnie.

— Znasz ją i pomaga ci lepiej, niżby zdołał ktoś inny — odpowiedział Artur z tak figlarnym spojrzeniem wesołych czarnych oczu, że nagle zarumieniła się i ukryła twarz w poduszce od sofy, odurzona tym niespodzianym odkryciem.

Ludka pozwoliła Arturowi wygrać partię za tę pochwałę, lecz Eliza nie chciała już usiąść do fortepianu. Za to Artur ślicznie śpiewał i bardzo był wesoły, rzadko bowiem

Szkola

Kara

pokazywał posępną stronę swego usposobienia pannom March. Gdy odszedł, Amelka, która cały wieczór była zamyślona, rzekła nagle, jakby ją zajęła nowa myśl:

— Czy Artur jest wykształconym chłopcem?

— O tak, odebrał doskonałą edukację i ma wielki talent do muzyki. Będzie z niego dzielny człowiek, jeżeli się nie zepsuje i nie rozpieści — odrzekła matka.

— I nie jest zarozumiały? — spytała Amelka.

— Wcale nie. Dlatego taki miły i tak go wszyscy kochamy.

— Rozumiem. To ładnie być wykształconym i eleganckim, a nie popisywać się ani chęłpic — dodała Amelka w zamyśleniu.

— Te zalety przebijają się zawsze w rozmowie i w zachowaniu, pomimo skromności, ale nie ma potrzeby się przechwalać — powiedziała pani March.

— Tak samo jak byłoby niewłaściwe, gdybyśmy włożyły wszystkie kapelusze, suknie i wstążki, jakie mamy, żeby pokazać je ludziom — dorzuciła Ludka i nauka moralna zakończyła się śmiechem.

## ROZDZIAŁ VIII. LUDKA STACZA WALKI Z SOBĄ

— Dokąd idziecie, dziewczęta? — zapytała Amelka, wchodząc do ich pokoju pewnej soboty po południu; zastała je bowiem tajemniczo gotujące się do wyjścia, co obudziło jej ciekawość.

— Mniejsza o to, małe dziewczynki nie powinny zadawać pytań — cierpko odrzekła Ludka.

W młodocianym wieku nic nas tak nie gniewa, jak takie słowa lub jeszcze gorsze polecenie: „Idź stąd, moja droga.” Po tej zniewadze Amelka podniosła głowę i postanowiła zbadać tajemnicę, choćby jej przyszło poświęcić na to godzinę. Zwróciwszy się do Małgosi, która nigdy nie potrafiła długo jej odmawiać, rzekła pieszczotliwie:

— Powiedz mi! Zdaje mi się, że mogłabyś mnie wziąć ze sobą! Eliza bawi się lalkami, a ja nie mam co robić i taka jestem samotna.

— Nie mogę, moja droga, bo nie jesteś zaproszona! — odezwała się Małgosia, a Ludka przerwała jej niecierpliwie:

— Małgosiu, nie mów, bo nam wszystko zepsujesz. Nie możesz pójść, Amelko, więc nie bądź dzieckiem i nie napieraj się.

— Idziecie gdzieś z Arturem, wiem dobrze. Szeptaliście ze sobą i śmieliście się na sofie wczoraj wieczorem, ale umilkliście, gdy weszłam. Może nie idziecie z nim?

— Owszem, ale siedź cicho i przestań przeszkadzać!

Amelka przygryzła wprawdzie język, lecz korzystała z oczu i ujrzała, że Małgosia wsuwa wachlarz do kieszeni.

— Wiem, wiem! Idziecie do teatru na *Siedem zamków!* — wykrzyknęła, dodając stanowczym tonem: — Ja też pójdę, bo mama powiada, że mogę być na tej sztuce. Dostałam już pieniądze na drobne wydatki i bardzo jest brzydko, żeście mi wpięrow nie powiedziały.

— Posłuchaj mnie chwilkę i bądź grzecznym dzieckiem — rzekła Małgosia, chcąc ją uspokoić. — Mama nie chce, żebyś poszła w tym tygodniu do teatru, bo twoje oczy nie zniosłyby jeszcze światła tej czarodziejskiej sztuki. W przyszłym tygodniu możesz pójść z Elizą i Anną i będziecie się dobrze bawić.

— Bawiłabym się dwa razy lepiej z wami i z Arturem! Weźcie mnie ze sobą. Tak długo siedziałam w domu z powodu kataru, że umieram z tęsknoty za rozrywką. Weź mnie, Małgosiu! Będę odtąd taka grzeczna! — prosiła, strojąc żalną minę.

— Może by ją wziąć? Nie sądzę, żeby mama się gniewała, jak ją dobrze otulimy — odezwała się Małgosia.

— Jeżeli ona pójdzie, to ja zostanę, a jak ja nie pójdę, to Artur będzie niezadowolony. Przy tym bardzo niegrzecznie ciągnąć ze sobą Amelkę, kiedy zaprosił tylko nas. Nie sądzę, żeby się chciała tam wciskać, gdzie jej nie chcą — cierpko rzekła Ludka, nie lubiąca czuwać nad ruchliwym dzieckiem, gdy miała ochotę zabawić się sama.

Jej ton i zachowanie rozgniewały Amelkę, która zaczęła wkładać buciki, i powiedziała z naciskiem:

— Pójdę. Małgosia mówi, że mogę pójść, i ponieważ zapłacę za siebie, to Arturowi nic do tego.

— Nie możesz siedzieć obok nas, bo mamy zamówione miejsca. Musiałabyś siedzieć sama i albo Artur zechce ci ustąpić swego krzesła i zepsuje nam to zabawę, albo weźmie inny numer dla ciebie, co byłoby nieprzyzwoite, kiedy nie byłaś proszona. Nie ruszysz ani kroku w żadną stronę, więc stój, gdzie jesteś — gderła Ludka jeszcze kwaśniej, bo z pośpiechu ukuła się w palec.

Amelka, siedząc na podłodze z jednym bucikiem na nóżce, rozplakała się. Małgosia zaczęła ją przekonywać, kiedy Artur zawołał z dołu i dziewczęta zbiegły, zostawiając szlochającą siostrę, bo od czasu do czasu zapominała, że chce być dorosła i zachowywała się jak rozpieszczone dziecko. Gdy wesoła gromadka już miała wychodzić, Amelka groźnie zawołała przez poręcz schodów:

— Pożałujesz, Ludko March, zobaczysz!

— Nie dbam o to! — odparła Ludwisia, trzaskając za sobą drzwiami.

Doskonale się zabawili na *Siedmiu zamkach diamentowego jeziora*, było to bowiem przedstawienie tak świetne i zdumiewające, jak tylko można było pragnąć. Jednakże pomimo komicznych czerwonych diabełków, przebiegłych karłów, wspaniałych księżąt i księżniczek, Ludka czuła kroplę goryczy w przyjemności. Złote loki królowej wieszczek przypomniały jej Amelkę, i w antraktach<sup>48</sup> zastanawiała się, co też jej siostrzyczka robi, „żeby ona pożałowała”. Często dochodziło między nimi do sprzeczek, bo obie były żywego temperamentu i skłonne do uniesień, gdy je ktoś rozdrażnił. Amelka dręczyła Ludkę, ta zaś drażniła Amelkę, skąd zdarzały się wybuchy, których się obie potem wstydziły. Ludka, chociaż starsza, mniej potrafiła nad sobą panować i ciężko jej było poskramiać krnąbrne usposobienie, wywołujące przykre skutki. Jej gniew nigdy jednak nie trwał długo, wyznawała winę ze szczerą skruchą i starała się poprawić. Siostry mówiły, że lubią, gdy Ludkę opanuje wściekłość, bo się potem robi z niej anioł. Biedna Ludka wszelkimi siłami starała się być grzeczna, ale wewnętrzny nieprzyjaciel zawsze był gotów rozgorzeć i ją zdradzić, więc chyba tylko długoletnia praca mogła go pokonać.

Wróciwszy do domu, zastały Amelkę czytającą w pokoju bawialnym. Gdy weszła, przybrała obrażoną minę, nie podniosła oczu znad książki, nie zadała ani jednego pytania. Może ciekawość zwalczyłaby gniew, gdyby nie było Elizy, która się dopytywała i otrzymała żywy opis sztuki. Ludka poszła zaraz na górę, żeby zdjąć swój najładniejszy kapelusz, i najpierw rzuciła okiem na biurko, bo gdy się pokłócili ostatnim razem, Amelka ulżyła sobie przewróceniem jej szuflady do góry dnem. Ale wszystko było na miejscu, więc objąwszy szybkim rzutem oka skrytki, woreczki i szkatułki, Ludwisia powiedziała sobie, że jej siostra wybaczyła krzywdę i puściła ją w niepamięć.

Myliła się jednak, nazajutrz bowiem dokonała odkrycia, które wywołało burzę. Małgosia, Eliza i Amelka siedziały razem przed wieczorem, kiedy Ludka wpadła z rozgonioną twarzą do pokoju i spytała zdyszana:

— Czy kto zabrał moją powieść?

Małgosia i Eliza zaprzeczyły z zadziwieniem, Amelka zaś rozniecała ogień i nie odzywała się. Ludwisia, spostrzegłszy, że się rumieni, w jednej chwili na nią napadła:

— Amelko, tyś ją wzięła.

— Nie wzięłam.

— Ale wiesz, gdzie jest.

— Nie wiem.

— Kłamiesz! — wykrzyknęła Ludka, chwytając ją z tak groźną twarzą za ramiona, że mogłaby przestraszyć daleko śmielsze dziecko.

— Nie kłamie, nie wzięłam jej, nie wiem, gdzie jest, i nic mnie to nie obchodzi.

— Wiesz coś i lepiej, żebyś od razu powiedziała, bo cię zmuszę. — Mówiąc to, potrząsnęła nią z lekka.

— Karć, ile chcesz, nigdy nie odzyskasz tej głupiej starej książki! — zawołała Amelka, również rozjątrzona.

— Dlaczego?

— Bo ją spaliłam.

Kłótnia

Gniew

Zemsta

<sup>48</sup>antrakt — przerwa między jednym a drugim aktem w sztuce teatralnej, operze, koncercie. [przypis edytorski]

— Jak to, moją ulubioną książkę, nad którą pracowałam, by dokończyć przed powrotem ojca? Naprawdę ją spaliłaś? — zawołała Ludka, blednąc bardzo, podczas gdy jej oczy pałały ogniem, a ręce nerwowo ścisnęły Amelkę.

— Tak, spaliłam! Powiedziałam, że cię zmuszę, żebyś żałowała wczorajszego zachowania, i zmusiłam cię — tak!

Nie dokończyła mówić, bo Ludka, ulegając gorącemu temperamentowi, tak nią wstrząsnęła, że aż jej zęby zadzwoniły.

— Ty niegodziwa, niegodziwa dziewczyno! — krzyknęła, przejęta żalem i gniewem. — Nie będę już mogła napisać tej książki i póki życia, nie daruję ci tego.

Małgosia przybiegła na pomoc Amelce, a Eliza starała się uspokoić Ludkę, ale ona, wytargawszy siostrę za ucho na pożegnanie, wybiegła z pokoju, schroniła się na poddasze, usiadła na starej sofie i wiodła dalej walkę we własnej duszy.

Na dole ucichła burza, przyszła bowiem pani March i wysłuchawszy historii, prędko rozbudziła w Amelce poczucie krzywdy wyrządzonej siostrze. Książka stanowiła dumę Ludki i cała rodzina widziała w niej bardzo obiecujący utwór. Były to tylko czarodziejskie powiastki, ale opracowała je starannie, oddając się całym sercem temu dziełu, w nadziei, że je kiedyś wydrukują. Właśnie przepisała rękopis na czysto i zniszczyła stary, więc ognisko Amelki zniweczyło ukochaną kilkuletnią pracę. Innym ta strata wydawała się mała, ale dla Ludki była straszną klęską, której nie spodziewała się sobie wynagrodzić. Eliza była tak zasmucona, jak gdyby zdechł jej kot, a Małgosia nie chciała nawet bronić swej pieśniczki. Pani March miała poważną, smutną twarz, a Amelka czuła, że nikt nie będzie jej kochać, póki nie przeprosi za czyn, którego sama najbardziej żałowała.

Gdy zadzwoniono na herbatę, Ludka ukazała się z twarzą tak ponurą i odpychającą, że Amelka straciła do reszty odwagę, ale rzekła pokornie:

— Wybacz mi, Ludwisiu, bardzo, bardzo mi przykro.

— Nigdy nie wybaczę — odparła surowo i odtąd Amelka przestała dla niej istnieć.

Nikt nie wspominał o tym wielkim zmartwieniu, nawet pani March, bo wiedziała z doświadczenia, że gdy Ludka jest tak usposobiona, wszelkie słowa stają się daremne i najrozsądniej jest czekać, póki jakiś drobny wypadek lub jej szlachetna natura nie złagodzą żalu i nie położą końca niezgodzie. Wieczór nie był przyjemny, bo choć szyły jak zazwyczaj, a matka czytała głośno wyjątki z Bremerowej<sup>49</sup>, Waltera Scotta<sup>50</sup> i pani Edgeworth<sup>51</sup>, czegoś brakowało i spokój domowy został przerwany. Najwięcej dało się to odczuć, gdy przyszła chwila śpiewu, bo Eliza zdobyła się tylko na przygrywanie, Ludka stała milcząca jak kamień, a Amelka była zgnębiona, więc Małgosia z matką stanowiły cały chór. Chciały śpiewać wesoło jak skowronki, ale ich dźwięczne głosy nie jednoczyły się jak zwykle i szły niezgodnie.

Całując Ludkę na dobranoc, pani March łagodnie szepnęła:

— Moja droga, nie daj słońcu zająć nad twym gniewem<sup>52</sup>. Przebaczcie sobie nawzajem, dopomóżcie sobie i od jutra zacznij dzieło na nowo.

Ludka chciała oprzeć głowę na matczynym łonie i wypłakać smutek i gniew, ale lzy dowodzą słabości, przy tym tak głęboko czuła obrazę, że naprawdę jeszcze nie mogła całkiem wybaczyć. Powstrzymując się gwałtem od płaczu, potrząsnęła głową i widząc, że Amelka słucha, szorstko odrzekła:

— To był szkaradny postępek, więc nie zasługuję na przebaczenie.

Powiedziawszy te słowa, położyła się i nie było już śmiechu ani poufnej gawędy tego wieczoru.

Amelka bardzo była obrażona, że jej pojednawcze kroki zostały odepchnięte. Zaczęła żałować upokorzenia się, jeszcze żywiej czuła doznaną krzywdę i niezdolnie pyszniła się swą wysoką cnotą. Ludka ciągle wyglądała jak gradowa chmura i wszystko się tego dnia nie wiodło. Ranek był bardzo zimny, upuściła do rynsztoka smaczne smażone jabłko, ciotka March kaprysiła, Małgosia zamyślała się, Eliza, przyszedłszy do domu, przymuszała

<sup>49</sup> Bremer, Fredrika (1801–1865) — szwedzka pisarka i feministka. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> Scott, Walter (1771–1832) — szkocki autor powieści historycznych (m.in. *Ivanhoe*, *Rob Roy*) i poeta, bardzo popularny w swojej epoce. [przypis edytorski]

<sup>51</sup> Edgeworth, Maria (1767–1849) — pisarka pochodzenia angielsko-irlandzkiego, autorka utworów dla dorosłych i dzieci. [przypis edytorski]

<sup>52</sup> *nie daj słońcu zająć nad twym gniewem* — wyrażenie z biblijnego *Listu do Efezjan* 4, 26. [przypis edytorski]

się do zmartwionej, smutnej miny, Amelka robiła uwagi o osobach, które ciągle mówią, że chciałyby się doskonalić, a jednak nie korzystają z cudzych zbawiennych przykładów.

„Wszyscy tacy nieznośni, pójdę poprosić Artura, żebyśmy się ślizgali. On jest zawsze miły, wesoły i wiem, że mi przywróci dobry humor” — pomyślała Ludka i poszła.

Amelka, usłyszawszy łoskot łyżew, wyjąkała z niecierpliwym okrzykiem:

— Otóż masz! Obiecała, że pójdę z nią kolejnym razem, bo to już ostatni lód, ale nie warto prosić takiej złošnicy.

— Nie mów tak. Byłaś bardzo niedobra i trudno jej wybaczyć stratę ukochanej książki, ale myślę, że mogłaby się na to zdobyć i pewno zechce, jak spróbujesz w dobrej chwili — rzekła Małgosia. — Idź za nimi, ale nic nie mów, póki się Ludka nie rozweseli przy Arturze. Wówczas dopiero pocałuj ją lub uściskaj. Pewna jestem, że się pogodzi całym sercem.

— Spróbuję — rzekła Amelka, bo podobał się jej ten pomysł, i wybrawszy się śpiesznie, dogoniła przyjaciół, którzy właśnie znikali za wzgórzem.

Do rzeki było niedaleko, ale już byli gotowi, zanim Amelka ich dogoniła. Ludka, zobaczywszy ją nadchodzącą, odwróciła się, Artur zaś nie spostrzegł jej, mocno zajęty ślizganiem się wzdłuż brzegu, by sprawdzić lód, bo niedawno odtajała woda i znowu ją mróz ścisnął.

— Posunę się do pierwszego zakrętu i zobaczę, czy wszystko w porządku, zanim zaczniemy się ścigać. — Usłyszała Amelka, gdy puścił się w bieg, w surducie<sup>53</sup> i czapce z futrem, co mu nadawało wygląd młodego Rosjanina.

Ludka słyszała, że siostrzyczka wzdycha, tupie nogami, gryzie palce, podczas gdy ona przyczepia łyżwy, ale nie obróciła się i z wolna posuwała się zygzakiem w dół rzeki, doznając gorzkiego, przykrego zadowolenia, że Amelka cierpi. Napawała się gniewem, aż się wzmógł i ją opanował, bo złe myśli i złe uczucia zawsze nad nami górują, jeżeli ich nie pokonamy od razu. Gdy Artur zawrócił się przy zakręcie rzeki i krzyknął za siebie:

— Trzymaj się blisko brzegu, bo pośrodku jest niebezpiecznie!

Ludwisia usłyszała, lecz do Amelki nie dotarły te słowa, bo właśnie puściła się w bieg. Ludka obejrzała się przez ramię, ale mały demon, którego w sobie żywiła, szepnął jej do ucha: „Mniejsza o to, czy słyszała czy nie, niech sama dba o siebie”.

Artur znikł za zakrętem rzeki, Ludka dotarła do tego miejsca, a Amelka została w tyle, dążąc do gładkiego lodu pośrodku. Przez chwilę Ludka spokojnie stała z dziwnym uczuciem w sercu. Potem postanowiła iść dalej, ale coś ją wstrzymało i obróciła głowę, właśnie gdy Amelka w górę podniosła ręce i padła. Dał się słyszeć trzask słabego lodu, plusk wody i krzyk, wydobywający się z głębi serca Ludki, skamieniałej ze strachu. Próbowwała zawołać Artura, ale nie mogła wydobyć głosu, chciała biec, lecz nogi straciły władzę i przez sekundę zdołała tylko stać nieruchoma, patrząc z przerażoną twarzą na błękitny kapturek, wznoszący się nad czarną wodą. Artur żywo przesunął się koło niej i zawołał:

— Przynieś drąg! Prędko, prędko!

Jak tego dokonała, nie wiedziała sama, lecz przez kilka minut pracowała jak szalona, ślepo słuchając Artura, który zachował zimną krew i leżąc na płask, przytrzymał Amelkę ręką i łyżwą, dopóki Ludka nie wyjęła drąga z płotu, i razem dopiero wydobyli dziecko, bardziej wylękle niż poszkodowane.

— Teraz musimy ją jak najprędzej dostawić do domu. Włóż na nią nasze rzeczy, a ja zdejmę te nieszczęsne łyżwy — wołał Artur i otulał Amelkę swoim paltem, ciągnąc mocno sznurki, tak poplątane jak nigdy.

Przynieśli Amelkę do domu drżącą, przemoczoną i zapłakaną. Po tych emocjach zasnęła przy dobrym ogniu, owinięta w kołdry. Póki trwało zamieszanie, Ludka prawie się nie odezwała, biegła tylko z błądą, dziką twarzą, na wpół rozebrana, w podartej sukni. Ręce miała pokaleczone i skrwawione od lodu, drąga i upartych klamer. Gdy Amelka spokojnie usnęła i wszystko w domu ucichło, pani March, siedząca przy łóżku, zawołała Ludkę i zaczęła jej obwiązywać poranione ręce.

Gniew

Niebezpieczeństwo

<sup>53</sup>*surdut* — rodzaj dwurzędowej marynarki, popularnej na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

— Czy na pewno nie grozi jej niebezpieczeństwo? — szepnęła Ludka, patrząc ze skrucną na złocistą główkę, która mogła zniknąć dla niej na zawsze pod zwodniczym lodem.

— Z całą pewnością, moja droga. Nie zraniła się i pewnie się nawet nie zaziębi, boście ją troskliwie okryli i prędko przynieśli do domu! — odparła matka wesoło.

— Artur zrobił to wszystko, nie ja, bo ją zostawiłam własnym siłom. Mamo, gdyby umarła, to byłaby moja wina. — Padła koło łóżeczka, gwałtownie płacząc, i ze skrucną opisywała całe zdarzenie. Gorzko oskarżała swoje twarde serce i z łkaniem wyrażała wdzięczność, że oszczędzono jej tak ciężkiej i zasłużonej kary.

— Mój szkaradny temperament jest temu winien! Staram się go hamować i czasem zdaje mi się, że go już poskromiłam, lecz właśnie w takiej chwili następuje jeszcze gorszy wybuch. Ach, mamo! Co ja mam robić? Co robić? — wołała biedna z rozpaczą.

— Czuwaj nad sobą i módl się, moja droga. Nie ustawaj w wysiłkach i nie sądź, że nie zdołasz pokonać wad — rzekła pani March, obejmując zaczerwienioną twarzyczkę, i ucałowała tak tklawie zroszony policzek, że Ludka jeszcze serdeczniej się rozplakała.

— Ty nie wiesz, mamo, nie możesz się nawet domyślać, jak mi z tym źle. Gdy wpadnę w szał, zdaje mi się, że mogłabym się wszystkiego dopuścić. Robię się tak dzika, że z radością zadawałabym największe przykrości. Boję się, że jakimś strasznym czynem zatruję sobie życie i wszyscy będą mnie nienawidzić. Ach, matko, pomóż mi!

— Pomogę, dziecko moje, pomogę. Nie płacz tak gorzko, ale zapamiętaj dzisiejszy dzień i z całej duszy postanów, że się już nie powtórzy. Ludko droga, wszyscy miewamy pokusy, i daleko większe niż twoje. Czasem całe życie schodzi na ich pokonywaniu. Myślisz, że twój temperament jest najgorszy w świecie, a tymczasem mój był taki sam.

— Twój, matko? Jak to? Przecież ty się nigdy nie gniewasz! — Ludka ze zdziwienia przez chwilę zapomniała o dręczącym ją sumieniu.

— Przez czterdzieści lat starałam się go wyleczyć, ale zdołałam tylko nieco poskromić. Nie ma dnia, żeby mnie nie ogarniał gniew, lecz nauczyłam się nie okazywać go i mam nadzieję, że kiedyś zupełnie go wykorzenię, chociażby mnie to miało kosztować drugie czterdzieści lat.

Cierpliwy i pokorny wyraz twarzy, którą tak bardzo kochała, był lepszą lekcją dla Ludki niż najrozumniejsze kazanie, najostrzejsze wymówki. Od razu ją pocieszyło współczucie, zaufanie i świadomość, że matka ma takie same wady i stara się je poprawić. Stała się cierplwsza w stosunku do swoich ułomności i wzmocniła w sobie chęć wyleczenia się z nich, chociaż piętnastoletniej dziewczynie czterdziestoletni okres czuwania nad sobą i modlenia się wydawał się bardzo długi.

— Mamo, czy ty z gniewu zaciskasz czasem tak mocno usta i wychodzisz z pokoju, gdy ciotka March gdera albo cię ludzie drażnią? — zapytała Ludka, czując, że ta rozmowa jeszcze bardziej zbliża ją i przywiązuje do matki.

— Tak, nauczyłam się hamować porywcze słowa, a gdy czuję, że mogą się wymknąć mimo woli, odchodzę na chwilę i strofuję się, że taka słaba i zła — rzekła pani March z westchnieniem i uśmiechając się, porządkowała roztargane włosy Ludki.

— Jakim sposobem nauczyłaś się milczeć, mamo? Na tym najbardziej mi zależy, bo zanim się spostrzeżę, już mi się wyrwie ostre słowo, a im więcej mówię, tym gorsza się robię, tak dalece, że sprawia mi to przyjemność, gdy obrażam ludzi, wygaduję straszne rzeczy. Powiedz mi, jak sobie radzisz, mamo droga?

— Moja droga matka dopomagała mi w tym zazwyczaj.

— Tak samo, jak ty nam — przerwała Ludka, całując ją z wdzięcznością.

— Ale ją straciłam, będąc niewiele starsza od ciebie, i przez kilka lat musiałam walczyć sama, bo duma nie pozwalała spowiadać się komuś innemu z moich słabości. Ciężkie czasy przeszłam, moja Ludko, i wylałam dużo gorzkich łez nad swoją niemocą, nie widząc postępu mimo usiłowań. Potem zjawił się twój ojciec i byłam taka szczęśliwa, że łatwo mi było być dobrą. Ale gdy miałam cztery córeczki wkoło siebie, dawne pokusy wróciły, bo nie jestem cierpliwa z natury i bardzo się dręczyłam, gdy czegoś moim dzieciom brakło.

— Biedna matko! Któż ci wówczas pomagał?

— Twój ojciec, Ludko. On nigdy nie traci cierpliwości, nigdy nie wątpi, nie narzeka, lecz zawsze ufa, pracuje i czeka z taką pogodą duszy, że wstyd mnie ogarnia, gdy się inaczej zachowuję. On mi dopomagał, pocieszał mnie i nauczał, że dla przykładu muszę się starać

Pokora

Gniew

Pokusa

Gniew

Gniew

Matka

Pokusa

Ojciec, Mąż, Córka

o cnoty, których pragnę dla moich dziewczynek. Łatwiej mi przychodziło czynić to dla was niż dla siebie. Przestraszony lub zadziwiony wzrok którejs z was, gdy się szorstko odezwałam, powstrzymywał mnie bardziej niż wszelkie słowa, a miłość, poszanowanie i ufność moich dzieci były najśłodszą nagrodą za to, że usiłowałam stać się kobietą godną naśladowania.

— Ach, mamo, chciałabym być choć w połowie tak dobra jak ty! — wykrzyknęła Ludka bardzo wzruszona.

— Mam nadzieję, że będziesz daleko lepsza, moja droga, ale musisz „czuwać nad swym wewnętrznym nieprzyjacielem” — jak zwykł mówić ojciec, bo ci zasępi albo zatruje życie. Otrzymałaś przestrożę, zapamiętaj ją więc i staraj się z duszy i z serca opanować żywy temperament, zanim ci spowoduje większe troski i wyrzuty sumienia niż dziś doznałaś.

— Postanawiam spróbować, mamo, szczerze postanawiam, ale musisz mi pomagać, przypominać i powstrzymywać od uniesień. Widziałam nieraz, że ojciec z palcem na ustach wpatrywał się w ciebie z bardzo życzliwą, ale surową twarzą i zawsze zaciskałaś wówczas usta albo wychodziłaś z pokoju. Czy to było napominanie z jego strony? — spytała Ludka łagodnie.

— Tak, prosiłam, żeby mi pomagał w ten sposób. Nigdy o tym nie zapominał i bronił mnie przed szorstkimi słowami tym znakiem i życzliwym spojrzeniem.

Ludka spostrzegła, że matce oczy zachodzą łzami i usta drżą, gdy mówi. Bojąc się, że powiedziała zbyt wiele, szepnęła z niepokojem:

— Czy to źle, że cię obserwowałam i że wspomniałam o tym? Nie chciałam być niedelikatna, ale tak miło jest mówić ci wszystko, co myślę, i czuć się tutaj bezpieczną i szczęśliwą.

— Możesz mi wszystko mówić, moja Ludko, bo to jest dla mnie największym szczęściem i chlubą, gdy czuję, że moje dziewczęta ufają mi i wiedzą, jak je kocham.

— Myślałam, że cię zmartwiłam.

— Nie, moja droga, ale rozmowa o ojcu przypomniła mi, jak bardzo tęsknię, jak wiele mu zawdzięczam i jak wiernie powinnam czuwać i pracować, żeby zastał swe córeczki bezpieczne i dobre.

— Jednak namawiałaś go do wyjazdu i nie płakałaś przy rozstaniu, a teraz nie narzekasz i nie okazujesz, że ci brak jakiejś pomocy — rzekła Ludka z podziwem.

— Oddałam, co mam najlepszego, ukochanemu krajowi i wstrzymywałam łzy, póki ojciec nie odjechał. Dlaczego mam narzekać, kiedy oboje spełniliśmy prosty obowiązek i z pewnością tym szczęśliwsi będziemy, gdy się skończy? Co się tyczy pomocy, to mam ją od jeszcze lepszego przyjaciela niż twój ojciec. On mnie pociesza i wspiera. Moje dziecię, dla ciebie troski i pokusy dopiero się zaczynają i może ich być dużo, ale je pokonasz i przeżyjesz wszystkie, jeżeli się nauczysz oceniać potęgę i miłosierdzie Niebieskiego Ojca. Im bardziej będziesz Go kochać i ufać Mu, tym się staniesz mniej zależna od ludzkiej władzy i mądrości. Jego miłość i opieka nigdy się nie nuży i nie zmienia, nie może ci być odebrana, lecz może się stać źródłem życiodajnego spokoju, szczęścia i siły. Wierz w to całym sercem, polecaj Bogu drobne troski, nadzieje, grzechy i smutki tak śmiało i ufnie, jak mnie je opowiadasz.

Ludka w milczeniu mocniej uściśnęła matkę i wśród panującej ciszy wyrwała jej się z serca modlitwa bez słów, najszczęstsza, na jaką się kiedykolwiek zdobyła. W tej smutnej, a jednak błogiej godzinie poznała bowiem nie tylko gorycz wyrzutów sumienia i rozpacz, lecz także słodycz zaparcia się siebie i panowania nad sobą. Poprowadzona za rękę przez matkę, zbliżyła się bardziej do przyjaciela, który przyjmuje każde dziecię z miłością silniejszą niż ojcowska i tkliwszą niż macierzyńska.

Amelka poruszała się i wzdychała przez sen, a Ludka, jak gdyby chcąc zaraz naprawić swój błąd, patrzyła na nią z takim wyrazem twarzy, jakiego nigdy nie miała.

— Pozwoliłam słońcu zająć nad moim gniewem, nie chciałam jej wybaczyć, a dziś, gdyby nie Artur, byłoby za późno! Jak mogłam być tak złą! — rzekła półgłosem, pochylona nad siostrą, ostrożnie głaszcząc wilgotne włosy rozrzucone na poduszce.

Zdawało się, że Amelka usłyszała te słowa, otworzyła bowiem oczy i wyciągnęła ramię z uśmiechem przenikającym na wskroś serce Ludki. Nie powiedziały ani słowa, lecz uściśnęły się mocno pomimo kołder i wszystko zostało wybaczone i zapomniane w jednym serdecznym pocałunku.

Bezpieczeństwo

Szczęście

Miłość, Matka

Matka

Ojciec

Ojczyzna

Wiara, Pokusa

Bóg



## ROZDZIAŁ IX. MAŁGOSIA WYBIERA SIĘ NA „JARMARK PRÓŻNOŚCI”

— Nie mogło się stać nic lepszego niż to, że dzieci dostały odry właśnie teraz — rzekła Małgosia w pewien kwietniowy dzień, pakując z siostrami podróżny kufer w swym pokoju.

— A jak to ładnie ze strony Anusi Moffat, że nie zapomniała obietnicy.

— Dwa tygodnie zabaw to będzie wspaniała sprawa! — odezwała się Ludka, podobna do wiatraka, gdy układała suknie długimi rękami.

— I pogoda ładna. Tak mi się to podoba! — dodała Eliza, składając porządnie wstążeczki na szyję i do włosów w swym najładniejszym pudełku, które pożyczała na tę ważną okazję.

— Ja też bym chętnie pojechała, żeby się bawić i ubierać w te piękne rzeczy — rzekła Amelka z pełnymi ustami szpilek, gdyż artystycznie napychała poduszczkę siostry.

— Wolałabym, żebyście wszystkie jechały, ale skoro nie możecie, zapamiętam swoje przygody, żeby je opowiedzieć, gdy wrócę. Przynajmniej tym się wam odpłacę za tę dobroć, że pożyczacie mi swoje rzeczy i pomagacie w pakowaniu się — rzekła Małgosia, patrząc na skromną wyprawę, której nie brakowało niczego, o ile jej się zdawało.

— Co ci mama dała ze skrzyni? — spytała Amelka, która nie była obecna przy otwarciu cedrowego kufra, gdzie pani March przechowywała dla córek szczątki dawnej świetności: jedwabne pończochy, pięknie rzeźbiony wachlarz i niebieską szarfę. — Miałam ochotę na jedwabną liliową suknię, ale nie ma czasu jej przerobić, więc muszę przestać na mojej starej tarlatanowej<sup>54</sup>.

— Będzie ładnie wyglądała na mojej nowej muślinowej spódnicy i szarfa ją ozdobi. Żałuję, że połamałam koralową bransoletę, bo mogłabyś ją wziąć! — powiedziała Ludka, która lubiła obdarowywać i pożyczać, ale jej rzeczy były zawsze w tak złym stanie, że nikt z nich nie mógł korzystać.

— W tej skrzyni jest ładna staroświecka perła, ale mama mówi, że naturalne kwiaty lepiej zdobią młodą panienkę, a Artur obiecał mi ich dosyłać, ile tylko zechcę — odparła Małgosia. — Więc cóż wezmę ze sobą? Na spacery nową czarną suknię, ufryzuj mi pióro do kapelusza, Elizo, na niedzielę i mniejsze przyjęcia popielinową, za ciężka na wiosnę, prawda? Jedwabna fiołkowa byłaby taka ładna, ach, Boże!

— Mniejsza o to. Masz tarlatanową na wielkie zabawy, a w bieli zawsze wyglądasz jak anioł — powiedziała Amelka, przyglądając się skarbczykowi ozdób, w których kochała się jej dusza.

— Stanik przy niej niewycięty i ogon za krótki, ale ujdzie. Niebieska suknia domowa tak dobrze wygląda po odwróceniu i przystrojeniu, że mi się zdaje, iż kupiłam nową. Jedwabne okrycie trochę niemodne, a kapelusz nie taki jak Salusi. Nie chciałam nic powiedzieć, ale się bardzo zawiodłam na parasolce. Prosiłam mamę o czarną z białą rączką, a przez zapomnienie kupiła zieloną z brzydką, żółtawą laską. Jest trwała i porządna, więc nie powinnam narzekać, ale wiem, że będę się jej wstydić przy jedwabnej parasolce Anusi, ze złożonym czubkiem — rzekła, wdychając, i spojrzała bardzo niechętnym wzrokiem na swą parasolkę.

— Zamień ją — doradziła Ludka.

— Nie będę tak niemądra, żeby obrazić mamę, kiedy sobie zadała tyle trudu, by mi to wszystko kupić. To nierozsądne z mojej strony i nie chcę się tym kierować. Największą moją pociechą są jedwabne pończochy i para długich rękawiczek. Kochana jesteś, Ludko, że pożyczasz mi swoich. Zdaje mi się, że jestem tak bogata, a nawet elegancka, mając dwie pary nowych i jedną upraną na częstszy użytek.

Mówiąc to, rzuciła weselsze spojrzenie na pudełko z rękawiczkami.

— Anusia Moffat ma niebieskie i różowe kokardy przy nocnych czepczkach, czy nie przypiełabyś mi także jakichś, Ludko? — zapytała, gdy Eliza wniosła stos śnieżnych muślinów, prosto z rąk Anny.

— Nie, wykwentne czepki nie uchodzą przy skromnych i nieozdobionych sukniach. Ubogie osoby nie powinny się stroić — rzekła Ludka stanowczo.

<sup>54</sup>tarlatanowa — wykonana z tarlatanu: szytywnej, krochmalonej tkaniny. [przypis edytorski]

— Ciekawa jestem, czy będę kiedyś tak szczęśliwa, żeby mieć prawdziwe koronki przy sukniach i kokardy przy czepeczkach? — odezwała się Małgosia niecierpliwie.

— Powiedziałaś parę dni temu, że będziesz zupełnie szczęśliwa, jeżeli tylko pojedziesz do Anusi Moffat — zauważyła Eliza po swojemu spokojnie.

— Prawda, powiedziałam, jestem szczęśliwa i nie będę utyskiwała. Ale zdaje mi się, że im więcej ktoś ma, tym więcej pragnie, prawda? Już wszystko upakowałam prócz balowej sukni, bo tę mamie zostawiam — rzekła Małgosia weselej, spoglądając na napelniony do połowy kufer i na tarlatanową białą suknię, odświeżoną już i naprawioną, którą pretensjonalnie nazywała swoim „strojem balowym”.

Nazajutrz piękny był dzień i Małgosia wyjechała wesoło na dwa tygodnie nowych wrażeń i rozrywek. Pani March niechętnie przystała na te odwiedziny, obawiając się, że wróci jeszcze mniej zadowolona ze swego stanu, ale tak nalegająco prosiła, przy tym Salusia obiecała czuwać nad nią, a nadzieja przyjemności tak była rozkoszna po całej zimie ciężkiej pracy, że wreszcie matka uległa, a córka pojechała skosztować pierwszy raz światowego życia.

Dom państwa Moffat był istotnie bardzo światowy i modny i naiwną Małgosię z początku olśnił blask i elegancja. Pomimo błahego życia byli to dobrzy ludzie, więc prędko odzyskała swobodę. Może czuła, nie umiejąc sobie z tego zdać sprawy, że to nie są osoby szczególnie wykształcone i inteligentne i że mimo pozłoty widać, z jak lichego materiału są stworzone. Prawdę mówiąc, było jej przyjemnie jadać smacznie, jeździć pięknym powozem, chodzić co dzień w najładniejszej ze swych sukien i nic nie robić, tylko się bawić. Bardzo jej to przypadało do smaku i wkrótce zaczęła naśladować zachowanie i rozmowy swego otoczenia: stroiła minki, wdzięczyła się, używała francuskich wyrażań, fryzowała włosy, ubierała się, rozprawiała o modach, o ile mogła najlepiej. Im więcej ładnych rzeczy widziała u Anusi Moffat, tym bardziej zazdrościła i wzdychała do bogactw. Rodzinny dom wydawał się jej nagi i smutny, praca cięższa niż dawniej i uważała się za bardzo ubogą i pokrzywdzoną mimo jedwabnych pończoch i nowych rękawiczek.

Jednak nie miała wiele czasu na szemranie, bo tak jak jej dwie towarzyszki bardzo była zajęta „bawieniem się”. Zwiedzanie sklepów, przechadzki, przejażdżki i wizyty zapępiały całe dni, wieczory zaś spędzały w teatrze, w operze lub w domu z gośćmi, bo Anusia miała dużo znajomości i potrafiła z nich korzystać. Jej starsze siostry były wspaniałymi pannami, a jedna z nich miała narzeczonego, który wydawał się Małgosi niezmiernie interesujący i romantyczny. Pan Moffat, tłusty, wesoły gentleman, znał jej ojca, zaś jego żona, tłusta, stara dama, polubiła ją nie mniej niż córka. Wszyscy ją pieścili i niewiele brakowało, żeby się przewróciło w głowie „stokrotce”, tak ją tam bowiem nazywano.

Gdy nadszedł wieczór przeznaczony na „małe przyjęcie”, Małgosia przekonała się, że jej suknia popelinowa nie ujdzie, bo dziewczęta ubrały się lekko i ślicznie wyglądały. Wydobyła więc tarlatanową, która się zdawała jeszcze starsza i uboższa przy nowej krepowej sukience Salusi.

Małgosia spostrzegła, że panienki to spoglądają na jej strój, to na siebie, i zaczęła ją palić twarz, gdyż obok łagodnego charakteru miała wiele dumy. Wprost nie powiedziały ani słowa, tylko Salusia zaproponowała, że ją uczesze, Anusia chciała jej zawiązać szarfę, a Bella, narzeczone, pochwaliła jej białe ręce. Lecz Małgosia widziała w tych grzecznościach tylko litość nad ubóstwem i ciężko jej było na sercu, gdy stała samotnie, podczas kiedy inne dziewczęta śmiały się, szczebiotały, skakały, biegały jak zwiewne motylki. To przykre i gorzkie uczucie wzmagало się coraz bardziej. Wtem weszła służąca z pudełkiem kwiatów. Zanim zdołała przemówić, Anusia zdjęła pokrywę i wszystkie wykrzyknęły, ujrawszy w środku śliczne róże i paprocie.

— Ma się rozumieć, że to dla Belli. Jerzy zawsze jej przysyła, ale te są szczególnie ładne! — wykrzyknęła Anna.

— Człowiek, który przyniósł te kwiaty, powiedział, że one są dla pani March. Jest też list — rzekła dziewczyna, oddając wszystko Małgosi.

— Zabawna rzecz, od kogóż to? Nie wiedzieliśmy, że masz wielbiciela! — wołały panny, kręcąc się wkoło niej z najwyższą ciekawością i zdziwieniem.

— List od mamy, a kwiaty od Artura — odrzekła z prostotą, przejęta wdzięcznością, że nie zapomniał o niej.

Szczęście

Bogactwo

Dom

Bieda

List

— Doprawdy? — powiedziała Anusia z figlarną minką, gdy Małgosia wsunęła list do kieszeni jak talizman przeciw zazdrości, próżności i fałszywej dumie, bo te kilka serdecznych słów sprawiło jej wielką ulgę, a śliczne kwiaty rozweseliły humor.

Czując się znowu prawie szczęśliwa, odłożyła parę róż i paproci dla siebie, a z reszty porobiła naprędce zgrabne bukietki do staników, włosów i sukni swych towarzyszek, ofiarując je tak uprzejmie, że Klara, najstarsza z sióstr, powiedziała, iż jest „najmilszą istotką, jaką kiedykolwiek spotkała”, a wszystkie oczarowane były jej drobną przysługą. Tym grzecznym znalezieniem się położyła koniec swojej rozpacz i gdy inne panienki poszły się pokazać pani Moffat, ujrzała w zwierciadle uszczęśliwioną i promienną twarz, przypinając sobie paprocie do ufryzowanych włosów, a róże do sukni, która już jej się nie wydawała tak bardzo licha.

Szczęście

Zabawiła się doskonale tego wieczora, bo natańczyła się do woli, wszyscy byli dla niej grzeczni i usłyszała trzy komplementy. Najpierw, gdy Anusia poprosiła ją o śpiew, ktoś powiedział, że ma szczególnie piękny głos, potem major Lincoln zapytał, kto jest „ta świeża dziewczynka z ładnymi oczkami”, a wreszcie pan Moffat, nalegając żeby z nim tańczyła, wyraził się pochlebnie, że się nie suwa, tylko porusza jakby na sprężynie. Bardzo się dobrze bawiła, póki jej uszu nie doszedł urywek pewnej rozmowy, która ją niezmiernie zmieszała.

Zabawa

Siedziała właśnie w ciepłarni, czekając, by jej tancerz przyniósł lody, kiedy jakiś głos odezwał się z drugiej strony kwiatowej ściany:

— Ile ma lat?

— Szesnaście lub siedemnaście, jak mi się zdaje — odpowiedziano.

— Z łatwością przyszłoby to któreś z nich, prawda? Salusia mówi, że są teraz w bardzo bliskich stosunkach i że ten stary gentleman całkiem za nimi szaleje.

— Pewna jestem, że pani March ma swoje plany i że dobrze zarzuca sieć, chociaż jeszcze wcześniej — rzekła pani Moffat.

— Musi o tym wiedzieć i dlatego ułożyła tę naiwną bajeczkę o matce, a gdy nadeszły kwiaty, tak się ślicznie zarumieniła. Biedaczka! Byłaby bardzo ładna, gdyby mogła się ubierać z elegancją.

— Czy myślicie, że obraziłaby się, gdybyśmy jej pożyczyły suknię na czwartek? — spytał inny głos.

— Wprawdzie jest dumna, lecz sądzę, że nie odmówi, bo przywiozła ze sobą tylko tę lichą tarlatanową sukienkę. Może ją dziś podrze, to będzie dobry pozór, żeby jej ofiarować przyzwoitszą.

— Zobaczmy. Zaproszę Artura, żeby jej pochlebić, a potem będziemy z tego miały wyborną zabawę.

W tej chwili zjawił się tancerz Małgosi i zastał ją bardzo rozpaloną i wzburzoną. Rzeczywiście miała w sobie wiele dumy i teraz jej się przydała, bo łatwiej było skryć upokorzenie, gniew i niesmak. Chociaż była niewinna i niepodejrzliwa, musiała jednak zrozumieć gadaninę tych panienek. Starła się zapomnieć, lecz daremnie, i ciągle sobie powtarzała: „Pani March ma plany”, „wymyśliła naiwną bajeczkę o mamie” i „licha tarlatanowa suknia”. Chciałaby się rozplakać, pobiec do domu, opowiedzieć swe troski i prosić o radę, ale nie mogąc tego zrobić, udawała wesołość, a wskutek zgorączkowania tak jej się to powiodło, że nikt nie odgadywał przymusu. Jednak bardzo się ucieszyła, gdy zabawa się już skończyła, ona zaś leżała spokojnie w łóżku i mogła wreszcie zastanawiać się, rozważać i gniewać tak długo, aż ją głowa rozboleła, a rozpalone policzki ochłodziły od serdecznych łez. Te niemądre, choć rozmyślnie słowa otworzyły przed nią nowe horyzonty i zakłóciły spokój dawnego świata, w którym żyła dotąd szczęśliwa jak dziecko. Jej niewinna przyjaźń z Arturem została zatruta, a wiara w matkę nadwyrężona przez podejrzenie pani Moffat, sądzącej innych po sobie. Rozsądna chęć poprzedstawiania na skromnym ubraniu, najwłaściwszym dla ubogiej panienki, osłabła przez niepotrzebną litość dziewcząt, którym licha suknia wydawała się największą klęską na świecie.

Duma, Bieda

Biedna Małgosia miała niespokojną noc i wstała z ciężącymi powiekami, nieszczęśliwa, na pół rozżalona na swe towarzyszek, na pół zawstydzona za siebie, że nie odezwała się szczerze i nie wyjaśniła rzeczy od razu. Wszyscy tego ranka ziewali i dziewczęta dopiero w południe zdobyły się na energię, by wziąć się za robotki z włóczki. Małgosię od razu uderzyło coś w ich zachowaniu: okazywały więcej względów, grzeczniej słuchały, co mówi,

i patrzyły na nią ciekawie. To wszystko ją dziwiło i cieszyło, chociaż nic nie rozumiała, póki miss Bella nie odezwała się sentymentalnie, podnosząc oczy od pisania:

— Droga stokrotko, posłałam zaproszenie na czwartek twemu przyjacielowi, panu Laurence'owi. Chcielibyśmy go poznać, zresztą to tylko zwykła grzeczność dla ciebie!

Małgosia zarumieniła się, ale przez złośliwą chęć dokuczenia paniąkom, rzekła śmiało:

— To bardzo grzecznie z pani strony, ale obawiam się, że nie przyjedzie.

— Dlaczego, *chéri*<sup>55</sup>? — zapytała miss Bella.

— Nie dosyć dorosły na to.

— Co przez to rozumiesz, moje dziecko? Ile ma lat? Chciałabym wiedzieć — wykrzyknęła miss Klara.

— Zdaje mi się, że prawie siedemnaście — odpowiedziała Małgosia, licząc ścięgi, żeby ukryć rozbawienie w oczach.

— Ty chytra istoto! Mówmy o tym, który jest zupełnie dorosły! — zawołała miss Bella ze śmiechem.

— Taki nie istnieje. Artur jest młodym chłopczykiem — odrzekła, śmiejąc się także, bo siostry rzuciły na siebie jakieś dziwne spojrzenie, usłyszawszy opis jej domniemanego wielbiciela.

— A więc jest prawie w jednym wieku z tobą.

— Nie ze mną, ale z moją siostrą Ludką. Ja skończę siedemnaście lat w sierpniu — odpowiedziała, potrząsając główką.

— Bardzo się grzecznie zachował, przysyłając ci kwiaty, prawda? — odezwała się Anusia, strojącą poważne miny z lada powodu.

— Często robi nam takie podarki, bo niezmiernie lubimy kwiaty, a mają ich tam mnóstwo. Moja matka przyjaźni się z panem Laurence'em, więc to jest zupełnie naturalne, że my dzieci bawimy się z sobą.

Powiedziała to wszystko w nadziei, że dadzą jej już spokój.

— Widocznie stokrotka jeszcze nic nie wie — rzekła miss Klara do Belli, kręcąc głową.

— To zupełnie sielankowa niewinność — odparła miss Bella, wzruszając ramionami.

— Idę załatwić sprawunki dla moich dziewcząt. Czy mogłabym się czymś paniom przysłużyć? — zapytała pani Moffat, wtaczając się jak słoń w jedwabiach i koronkach.

— Dziękuję pani — odrzekła Salusia — przywiozłam na czwartek nową suknię z różowej materii, więc nie brak mi niczego.

— Mnie także — przemówiła Małgosia, lecz zaraz umilkła, bo jej przyszło na myśl, że potrzebuje wielu rzeczy, ale nie może ich kupić.

— Co włożysz na siebie? — spytała Salusia.

— Tę samą białą suknię, jeżeli ją tak naprawię, żeby uszła, bo ją wczoraj bardzo podarłam — odrzekła Małgosia, usiłując mówić swobodnie, chociaż było jej bardzo niemiło.

— Czemu nie pošlesz do domu po inną? — rzekła niezbyt delikatnie Salusia.

— Nie mam innej — powiedziała Małgosia z wielkim przymusem, którego jednak tamta nie spostrzegła i z niegrzecznym zadziwieniem wykrzyknęła:

— Masz tylko tę jedną? Jakże śmieszne...

Nie skończyła zdania, Bella skinęła bowiem na nią i przerwała, mówiąc uprzejmie:

— To wcale nie śmieszne, bo na cóż by jej się zdało mieć dużo sukien, kiedy nigdzie nie bywa. Nie potrzebujesz posyłać do domu, stokrotko, chociażbyś ich miała dwanaście, bo mam odłożoną śliczną niebieską jedwabną sukienkę, z której wyrosłam, i włożysz ją, żeby mi sprawić przyjemność. Zrobisz to, moja droga?

— Dziękuję za tę dobroć, ale jeżeli pani nie będzie się wstydzić mojej starej sukni, to ja się za nią rumienić nie będę, bo jest w sam raz dla tak młodej dziewczyny jak ja — powiedziała Małgosia.

— Pozwól, żebym miała tę przyjemność, ubierając cię modnie. Przepadam za tym i jak ci włożę tę i ową drobnostkę, będziesz całkiem piękna. Nikomu nie dam cię zobaczyć, póki nie będziesz gotowa. Wówczas wpadniemy jak Kopciuszek z matką wybrane na bal — rzekła Bella przekonującym tonem.

<sup>55</sup>*chéri* (fr.) — droga, kochana. [przypis edytorski]

Małgosia nie zdołała odmówić jej uprzejmej propozycji, tak była bowiem ciekawa, czy „będzie piękna, gdy włoży tę i ową drobnostkę”, że przyjęła stroje i zapomniała o swej niechęci do Moffatów.

We czwartek wieczorem Bella zamknęła się ze swą pokojówką i we dwie zrobiły z Małgosią piękną pannę. Ufryzowały, wyczłokowały głowę, wygładziły szyję i ręce pachnącym pudrem, posmarowały koralową pomadką usta, żeby były czerwieńsze, a Hortensja miała ochotę dodać jeszcze *souçon*<sup>56</sup> różu, ale Małgosia oparła się temu. Zasznurowały ją w niebieską jedwabną suknię, tak ciasną, że jej trudno było oddychać, i tak wyciętą, że się zarumieniła, spojrzawszy w zwierciadło. Dodały srebrne filigranowe bransolety, naszyjnik, broszkę, nawet kolczyki, bo Hortensja zawiesiła je na niewidzialnym kawałku różowego jedwabiu. Bukiet z herbacianych róż przy staniku pogodził Małgosię z pokazaniem pięknych białych ramion, a niebieskie jedwabne buciki na wysokich obcasach zaspokoili ostatnie życzenie jej serca. Koronkowa chusteczka, wachlarz z piór i bukiet ze srebrną rączką dopełniły stroju — i miss Bella przyglądała się jej z taką przyjemnością jak dziewczynka lalce w nowym ubraniu.

— *Mademoiselle est charmante, très jolie*<sup>57</sup>, nieprawdaż? — wykrzyknęła Hortensja, klaszcząc w ręce z przesadnym uniesieniem.

— Chodź się pokazać — rzekła miss Bella, prowadząc ją do pokoju, gdzie wszyscy na nią czekali.

Gdy Małgosia szła, szeleściły za nią i wlokły się długie spódnice, dzwoniły kolczyki, powiewały loki, a serce biło i zdawało jej się, że zaczynają się nareszcie jej „rozkosze”, bo zwierciadło wyraźnie jej powiedziało, że jest piękna. Panienki powtarzały to przyjemne zdanie z zapałem i przez kilka minut stała jak kawka w bajce, ciesząc się pożyczanymi piórami, podczas gdy inne szczebiotały jak gromada srok.

— Teraz pójdę się ubierać, a ty, Maniu, naucz ją układać suknię i chodzić na tych wysokich obcasach, bo się przewróci. Klaro, przypnij srebrnego motylka na środku białej koronki i podnieś ten długi lok z lewej strony głowy. Nie zszpecicie tu ślicznego dzieła moich rąk! — rzekła Bella z zadowoleniem, iż się jej powiodło.

— Boję się zejść na dół. Zdaje mi się, że taka dziwna, sztywna, na wpół rozebrana — rzekła Małgosia do Salusi, gdy odezwał się dzwonek i pani Moffat przysłała po panienki, żeby się zaraz pokazały.

— Niepodobna jesteś do siebie, ale dobrze wyglądasz. Zupełnie niknę przy tobie. Bella ma dużo smaku i wierz mi, że masz dziś wygląd Francuzki. Nie ruszaj kwiatów, niech opadają, nie poprawiaj ich ciągle. Uważaj, żebyś nie upadła... — Tak ją nauczała Salusia, skrywając żal, że sama gorzej wygląda.

Z przestrogami w pamięci Małgorzata ostrożnie zeszła ze schodów i udała się do pokoju bawialnego, gdzie byli państwo Moffat i nieco wczesnych gości.

Wkrótce miała się przekonać, że piękny strój ma powab, który przyciąga pewną klasę ludzi i zapewnia ich szacunek. Panny, które przedtem nie zwracały na nią uwagi, nagle stały się bardzo przyjazne. Panowie, którzy jej się tylko przyglądali na poprzednim przyjęciu, nie ograniczając się już do tego, prosili, by ich przedstawiono i prawili niedorzeczne, ale przyjemne słówka. Panie, siedzące na kanapach i krytykujące całe towarzystwo, pytały o nią ciekawie i słyszała, jak pani Moffat odpowiedziała jednej z nich:

— To „stokrotka” March. Jej ojciec jest pułkownikiem w wojsku. Jedna z pierwszych naszych rodzin, ale pani wie, przeciwieństwa losu... Serdecznie przyjaźnią się z Laurence'ami. To miła istotka, zapewniam panią. Mój Ned całkiem za nią szaleje.

Stara lady przyłożyła do oczu lornetkę, by drugi raz przyjrzeć się Małgosi, która udawała, że nie słyszy, i trochę była obrażona gadaniną pani Moffat.

Nie przestawało jej być dziwnie, ale wyobraziła sobie, że gra rolę pięknej damy, i odtąd była swobodniejsza, chociaż cisnęła ją ciasna suknia, ogon plątał się pod nogami i ciągle bała się, że kolczyki się odcepiają, zginą lub połamią. Bawiąc się wachlarzem, śmiała z nieudolnych żartów młodego gentlemana, który usiłował być dowcipny, lecz nagle przestała się śmiać i zmieszal ją stojący nieopodal Artur. Patrzył na nią z nieskrywanym zaskoczeniem i dezaprobata, pomyślała, chociaż bowiem uklonił się i uśmiechnął, było coś

<sup>56</sup>*souçon* (fr.) — szczypta. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*Mademoiselle est charmante, très jolie* (fr.) — panienka jest czarująca, bardzo urocza. [przypis edytorski]

Radość

Strój

takiego w jego uczciwych oczach, że się zarumieniła i żałowała, że nie ma na sobie swej starej sukni. Na domiar pomieszczenia zobaczyła, że Bella trąca Annę i obie spoglądają to na nią, to na Artura, który, chociaż rada go była widzieć, wydawał jej się jakoś niezwykle dziecinny i nieśmiały.

— Jakież to niedorzeczne istoty, że nasuwają mi takie myśli! Nie będę na to zważać i nie zmienię się wcale — powiedziała sobie i przesunęła się z szelestem przez pokój, żeby ucisnąć rękę przyjacielowi.

— Cieszę się, że przyjechałeś, bo obawiałam się, że nie przyjmiesz zaproszenia — rzekła, strojąc minę dorosłej osoby.

— Ludka sobie tego życzyła, abym jej mógł opowiedzieć, jak wyglądałaś — odrzekł, nie odwracając od niej oczu, chociaż uśmiechnął się trochę na jej macierzyński ton.

— Cóż jej powiesz? — spytała zaciekawiona, co o niej myśli, ale po raz pierwszy poczuła się przy nim nieswobodnie.

— Powiem, że cię nie poznałem, bo tak wyglądasz na dorosłą pannę i tak jesteś niepodobna do siebie, że się ciebie boję — rzekł, szarpiąc guzik od rękawiczki.

— Jakiś ty niedorzeczny! Panienki ubrały mnie dla zabawy, a mnie to się raczej podoba. Czy Ludka dziwiłaby się moim widokiem? — zapytała, chcąc go zmusić, by przyznał, jakie wrażenie na nim wywarła.

— Tak się zdaje — odrzekł poważnie.

— Nie podobam ci się?

— Nie! — odparł śmiało.

— Dlaczego? — zapytała z niepokojem.

Spojrzał na jej ufryzowaną głowę, nagie ramiona i fantastycznie przybraną suknię z takim wyrazem twarzy, który zawstydził ją bardziej niż jego odpowiedź, w której nie było ani odrobiny jego zwykłej uprzejmości.

— Nie lubię pretensjonalności.

Tego było za wiele na chłopca młodszego od niej! Odeszła więc, rzekłszy porywczo:

— Nigdy w życiu nie widziałam takiego gbura!

Bardzo wzburzona stanęła w cichym kącie przy oknie, by ochłodzić policzki, nieznośnie czerwone z powodu ciasnej sukni. Po chwili przeszedł pułkownik Lincoln i usłyszała, jak rzekł do swej matki:

— Robią błazna z tej panienki. Chciałem, żebyś ją zobaczyła, ale całkiem ją zepsuli. Wygląda dziś jak lalka.

— Ach, Boże! — westchnęła Małgosia. — Żałuję, że nie miałam dosyć rozsądku, żeby się ubrać we własne rzeczy. Teraz budzę w ludziach niesmak i sama jestem nieswoja i zawstydzona.

Oparła czoło o chłodną szybę i stała na pół ukryta za firanką, nie zwracając uwagi, że się zaczął jej ulubiony walc. Wtem ktoś dotknął jej ręki i odwróciwszy się, zobaczyła Artura, który ze skruszoną miną uklonił się nisko, wyciągnął rękę i rzekł:

— Daruj mi gburowatość i chodź tańczyć.

— Boję się sprawić ci tym zbyt wiele przykrości — odparła, daremnie usiłując przybrać obrażoną minę.

— Bynajmniej. Nie mogę się doczekać, żeby z tobą zatańczyć, i szczerze ci powiem, że nie podobała mi się tylko twoja suknia, lecz ty sama wyglądasz prześlicznie! — odrzekł, gestykulując żywo, jak gdyby słowami nie zdołał dostatecznie wyrazić uwielbienia.

Małgosia z uśmiechem przyjęła zaproszenie i gdy stali, czekając, żeby pochwycić takt, szepnęła:

— Nie potknij się o ogon od sukni! To moje skaranie, byłam gąską, że się w nią ubrałam.

— Upnij ją sobie wokół szyi, nie będzie zbyt czyny — rzekł Artur, spoglądając w dół na niebieskie buciki, które mu się wyraźnie podobały.

Oboje tańczyli lekko, z wdziękiem, ponieważ ćwiczyli w domu, i przedstawiali miły widok, wirując wkoło, jeszcze bardziej zaprzyjaźnieni po małej sprzeczce.

— Arturze, chciałabym, żebyś mi wyświadczył przysługę, czy zechcesz? — spytała Małgosia, gdy stał, chłodząc ją wachlarzem, prędko się bowiem zdyszała, lecz nie zdradziła przyczyny.

— Czyż mógłbym nie chcieć! — wykrzyknął żywo.

Strój

Strój

— Proszę cię, nie mów w domu o moim dzisiejszym stroju. Nie zrozumieją żartu i mama się zmartwi.

„Dlaczego się tak ubrałaś?” — spytały tak wyraźnie oczy Artura, że dodała prędko:

— Wszystko im opowiem i wypowiadam się mamie, jaka byłam niemądra, ale wolę, żeby się tego dowiedziały ode mnie. Nie powiesz?

— Daję ci słowo. Ale co mam powiedzieć, kiedy się zapytają?

— Powiedz, że ładnie wyglądałam i dobrze się bawiłam.

— Z całego serca godzę się na pierwsze, ale co robić z drugim? Nie wyglądasz na to, żebyś się dobrze bawiła. Czy bawisz się? — zapytał, patrząc na nią w taki sposób, że odrzekła po cichu:

— Nie bardzo. Nie myśl, że jestem taka płocha, chciałam tylko trochę się rozerwać, ale ten tryb życia nie podoba mi się i nuży mnie.

— Nadchodzi Ned Moffat. Czego on może chcieć? — rzekł Artur, ściągając czarne brwi, jakby młody gospodarz był dla niego nieprzyjemnym dodatkiem do całego towarzystwa.

— Zapisał swoje nazwisko do trzech tańców i pewnie po nie przychodzi, cóż to za męka! — rzekła Małgosia z mdlejącą miną, która ogromnie rozbawiła Artura.

Nie rozmawiał już z nią aż do kolacji, gdy zobaczył, że pije szampana z Nedem i jego przyjacielem Fisherem, którzy zachowywali się „jak błazny”, według jego zdania. Poczuwając się niejako do braterskiego prawa, by czuwać nad pannami March i w razie potrzeby stawać w ich obronie, rzekł:

— Jutro głowa ci pęknie z bólu, jak będziesz tyle pić. Chciałbym, żebyś przestała, Małgosiu. Wiesz, że mama byłaby niezadowolona — szepnął, nachyliwszy się nad jej krzesłem, gdy Ned odwrócił się, by napełnić kieliszek, a Fisher podnosił z ziemi wachlarz.

— Nie jestem dziś Małgosią, tylko „lalką”, która robi różne szaleństwa. Jutro odrzucę moją „pretensjonalność” i będę znowu rozpaczliwie cnotliwa — odpowiedziała z nienaturalnym uśmiechem.

— Chciałbym, żeby już nastąpiło jutro — rzekł Artur i odszedł niezadowolony ze zmiany jej usposobienia.

Małgosia tańczyła, mizdrzyła się, kręciła, jak inne panny. Po kolacji o mało nie przerwóciła w walcu swego tancerza przez długi ogon i tak dokazywała, że Artur patrzył ze zgorzaniem i układał w myśli kazanie; ale nie miał kiedy przemówić do Małgosi, bo trzymała się z daleka aż do chwili pożegnania.

— Pamiętaj! — rzekła, przymuszając się do uśmiechu, już ją bowiem dręczył nieznośny ból głowy.

— *Silence à la mort*<sup>58</sup> — odparł z melodramatycznym akcentem i odszedł.

Ta krótka komedyjka obudziła wielką ciekawość w Anusi, ale Małgosia była nadto zmęczona, żeby rozmawiać i położyła się z takim wrażeniem, jakby wróciła z maskarady, gdzie było mniej wesoło niż sobie obiecywała. Nazajutrz cały dzień była słaba, a w sobotę pojechała do domu, zupełnie znużona dwutygodniową zabawą i przesycona przepychem.

— Jak to przyjemnie żyć w spokoju i nie krygować się ciągle! W domu tak miło, chociaż nie wystawnie — rzekła w niedzielę wieczorem i z zadowoleniem rozglądała się wokoło, siedząc między matką i Ludką.

— Ciesz się mnie, że to mówisz, moja droga, bo się bałam, że ci się tu wyda smutno i ubogo po tamtym pięknym apartamencie — odparła matka, która tego dnia rzuciła na nią niejedno niespokojne spojrzenie, bo matczyne oczy szybko spostrzegają zmiany w twarzach swych dzieci.

Małgosia wesoło opowiedziała swe przygody, ciągle powtarzając, że się wybornie bawiła, lecz widocznie coś jej jeszcze ciążyło i gdy młodsze dziewczęta położyły się spać, siedziała przy kominku zadumana, wpatrzona w dał, małowólna i zmęczona. Gdy zegar wybił dziewiątą i Ludwisia wybierała się spać, nagle podniosła się z miejsca, usiadła na stołeczku Elizy, oparła łokcie na kolanach matki i rzekła odważnie:

— Mamo, chciałabym ci się wypowiadać.

— Domyślałam się tego. O co chodzi, moja droga?

— Czy mam odejść? — zapytała Ludka dyskretnie.

<sup>58</sup>*Silence à la mort* (fr.) — milczenie jak w grobie. [przypis edytorski]

— Bynajmniej, czyż ci się nie zwierzam ze wszystkim? Wstydziałam się mówić przy dzieciach, ale co się tyczy ciebie, to chcę, żebyś wiedziała, jak okropnie dokazywałam u państwa Moffat.

— Jesteśmy na to przygotowane — rzekła pani March z uśmiechem, lecz wydawała się trochę niespokojna.

— Wiecie już, że mnie tam panny wystroiliły, ale nie mówiłam, że byłam upudrowana, ściśnięta, ufryzowana i podobna do malowanki. Zauważyłam, że Arturowi wydawało się to niestosowne, chociaż nic nie powiedział, a jeden pan nazwał mnie „lalką”. Wiem, że to było szaleństwem, ale mnie tak odurzyły różnymi bredniami, że pozwoliłam się ośmieszyć.

— Czy nic więcej? — spytała Ludka, gdy pani March patrzyła w milczeniu na spuszczoną twarzyczkę ładnej córki i w głębi serca nie mogła zdobyć się na to, by ją potępiać za te drobne winy.

— Owszem, piłam szampana, dokazywałam, mizdrzyłam się, jednym słowem byłam ohydna — rzekła ze skruchą.

— Zdaje mi się, że znajdzie się jeszcze coś więcej — rzekła pani March, głaszcząc miłą dziewczynkę, która się nagłe zarumieniła, i powiedziała cicho:

— Prawda, jeszcze coś... Wprawdzie to niemądre, ale wolę powiedzieć, bo nie chcę, żeby ludzie mówili i myśleli w ten sposób o nas i o Arturze.

Gdy opowiedziała gadaninę zasłyszaną u państwa Moffat, Ludka spostrzegła, że matka mocno zaciska usta, jakby z niezadowolenia, iż rozbudzo takie idee w niewinnym umyśle Małgosi.

— Czyż to nie największa bzdura na świecie?! — wykrzyknęła Ludwisia z oburzeniem. — Trzeba było się niespodzianie pokazać i natychmiast wyjaśnić sprawę.

— Nie mogłam, to by mnie za wiele kosztowało. Z początku mimo woli słyszałam, co mówią, a potem z gniewu i wstydu zapomniałam, że wypada mi odejść.

— Poczekaj, niech no ja zobaczę Anusię Moffat, to ci pokażę jak się załatwia podobne sprawy. A więc mamy „plany” i sprzyjamy Arturowi dlatego, że bogaty i że kiedyś się może z nami ożenić. To się uśmieje, gdy mu opowiem, co te niedorzeczne istoty prawią o nas, biednych dzieciach.

— Nigdy ci nie wybaczę, jeżeli powtórzysz to Arturowi! Prawda mam, że nie powinna powiedzieć? — zapytała strwożona Małgosia.

— Nie powtarzajcie nikomu tych bredni i zapomnijcie o nich jak najprędzej — rzekła pani March z powagą. — Byłam bardzo nierozsądna, puszczając cię między tak mało znanych mi ludzi. Może są uczciwi, ale zbyt światowi, źle wychowani i mają niskie wyobrażenie o młodzieży. Niezmiernie mi przykro, że te odwiedziny mogły ci wyrządzić taką krzywdę, Małgosiu.

— Nie martw się mam, bo się nie dam tym skrzywdzić. Zapomnę o złu, a zapamiętam samo dobro. Doskonale się zabawiłam i wdzięczna jestem, żeś mi pozwoliła jechać. Ta wycieczka nie uczyni mnie sentymentalną i niezadowoloną. Wiem, że jeszcze ze mnie niemądre dziecko, będę się ciebie trzymać, póki nie nauczę się dbać o siebie. Muszę jednak przyznać, że to miłe być chwaloną, podziwianą i że mi to sprawiało wielką przyjemność — rzekła Małgosia, zawstydzona tym wyznaniem.

— To jest naturalne i całkiem niewinne, jeżeli się upodobanie nie staje namiętnością i nie prowadzi do niemądrych lub niewłaściwych dla panienki postępów. Naucz się odróżniać i oceniać pochwałę, o którą warto się starać, wzbudzaj uwielbienie w zacnych ludziach, nie tylko urodą, ale i skromnością.

Małgosia przez chwilę siedziała zamyślona, a Ludka stała z rękami założonymi do tyłu, z zaciekawioną i nieco zmieszaną twarzą, była to bowiem dla niej nowość, że Małgosia rumieni się, mówi o zalotności, o wielbicielach i tym podobnych rzeczach. Zdawało jej się, że siostra dziwnie prędko stała się dorosłą panną przez te dwa tygodnie i odsunęła się w jakiś świat, gdzie nie może za nią podążyć.

— Mam, czy ty masz „plany”, jak mówiła pani Moffat? — spytała nieśmiało Małgosia.

— Mam, moje dziecko, mam ich bardzo wiele. Wszystkie matki układają plany, ale zdaje mi się, że ta pani przypisuje mi inne. Powiem ci o niektórych, bo przyszedł czas, kiedy jednym słowem można naprowadzić na dobrą drogę tę romantyczną główkę i serce. Jesteś młoda, Małgosiu, ale jesteś już w tym wieku, że możesz mnie zrozumieć,

Strój

Pozycja społeczna

Krzywdza

Siostra



a matka najlepiej umie mówić o takich rzeczach do podobnych dziewcząt. Ludko, twoja kolej przyjdzie może z czasem, więc posłuchajcie obie moich „planów” i pomóżcie je skutecznie, jeżeli są dobre.

Ludka przysunęła się i usiadła na poręczy fotela z taką miną, jakby się zabierała do bardzo ważnej sprawy. Pani March, trzymając córki za ręce i patrząc na nie zamyślonym wzrokiem, mówiła po swojemu poważnie, lecz wesoło:

— Pragnę, żeby moje córki były piękne, wykształcone i dobre; żeby je podziwiano, kochano i szanowano; żeby dobrze i rozumnie wyszły za mąż i wiodły pożyteczne, przyjemne życie, mając tak mało trosk i zmartwień, jak tylko Bóg pozwoli. Najmilsza i najlepsza rzecz, jaka się może trafić kobiecie, to być kochaną i wybraną przez zanego człowieka. Mam nadzieję, że moje dziewczęta zdobędą sobie ten skarb. Małgosiu, to naturalne myśleć o tym, słuszne spodziewać się i wyczekiwać, a mądre przygotowywać się tak, abyś, gdy nadejdą pomyślne czasy, była gotowa do obowiązków i godna szczęścia. Moje drogie córeczki, jestem za was ambitna, ale nie chodzi mi o to, byście błyszczały w świecie i poślubiły bogatych ludzi tylko dlatego, że są bogaci lub że mają wykwintne domy, które nieogrzane miłością, nie mogą stanowić prawdziwych ognisk domowych. Pieniądze są potrzebną i cenną rzeczą, ale nie chciałabym, żebyście myślały, że są pierwszym i jedynym celem naszych dążeń. Wolałabym was widzieć żonami ubogich ludzi, byleście były szczęśliwe, kochane, zadowolone, niż królowkami na tronach bez szacunku dla siebie i bez spokoju.

— Bella powiada, że ubogie dziewczęta nie mają żadnych widoków, jeżeli ich same nie stworzą — rzekła z westchnieniem Małgosia.

— To zostaniemy starymi pannami — odezwała się Ludka z dumą.

— Masz słuszność, Ludwisiu, lepiej być szczęśliwą w staropanieństwie niż nieszczęśliwą żoną lub panią polującą na męża — powiedziała pani March stanowczym tonem. — Nie troszcz się, Małgosiu, ubóstwo rzadko zraza prawdziwie zakochanego. Spomiędzy najlepszych i najbardziej szanowanych kobiet, jakie znałam, wiele było ubogimi dziewczętami, lecz tak zasługiwały na miłość, że nie dano im pozostać w staropanieństwie. Zostawcie te rzeczy czasowi. Uprzejmniajcie rodzicielski dom, żebyście umiały prowadzić własny, jeżeli go wam ktoś ofiaruje, lub żebyście były z naszego domu zadowolone, jeżeli was inny nie czeka. Pamiętajcie jedną rzecz, dziewczęta: że matka jest zawsze gotowa zostać waszą powiernicą, a ojciec przyjacielem, i że oboje ufamy i spodziewamy się, że czy nasze córki pójdą za mąż, czy zostaną pannami, będą chlubą i pociechą rodziców.

— Będziemy pamiętać, mamo, będziemy! — zawołały z całego serca, gdy im życzyła dobrej nocy.

## ROZDZIAŁ X. KLUB PICKWICKA

Kiedy nastala wiosna, weszły w modę nowe rozrywki i z powodu dłuższych dni więcej było czasu na rozmaite zabawy. Trzeba było uporządkować ogród i każda z siostr miała kawałek ziemi, który uprawiała według upodobania. Anna zwykle mówiła, że nawet w Chinach poznałyby ogródek każdej z nich, i mogło tak być, bo się różniły nie tylko charakterem, ale i smakiem. Małgosia miała u siebie róże, heliotropy, mirty<sup>59</sup> i pomarańczowe drzewka. Ludka co rok zmieniała wygląd swojej grządki, robiąc ciągle nowe doświadczenia. Obecnie hodowała słoneczniki, a ziarno tej wesołej i eleganckiej rośliny miało żywić całą gromadkę kurcząt. U Elizy rosły staroświeckie, pachnące kwiaty, jak groszek, rezedy, bratki i mokrzyca dla ptaszków. Amelka urządziła altankę, nieco małą i niską, ale bardzo ładną dla oka, z powojami zwieszającymi barwne kwiatki i dzwoneczkami w wieńcach pełnych wdzięku. Miała też duże białe lilie, delikatne paprocie i wszystkie jaskrawe i barwne rośliny, jakie tylko chciały tam kwitnąć. W pogodne dni zajmowały się ogrodnictwem, przechadzką, pływaniem po rzece, zrywaniem kwiatków, a podczas deszczy miały domowe rozrywki, stare i nowe, a wszystkie mniej lub bardziej oryginalne. Jedną z nich był „Klub Pickwicka”. Ponieważ tajne stowarzyszenia były w modzie,

<sup>59</sup>*mirt* — krzew śródziemnomorski o wonnych liściach; mirtowy wianek stanowił tradycyjny element stroju panny młodej. [przypis edytorski]

Miłość, Małżeństwo,  
Pieniądz, Bieda, Pozycja  
społeczna

Dom, Rodzina

Ogród

osądziły, że im także wypada mieć swoje, i na cześć Dickensa<sup>60</sup> nazwały je „Klubem Pickwicka”. Trwał on cały rok z małymi przerwami i co sobotę wieczorem schodziły się na duże poddasze, by odbywać następujące ceremonie: ustawiały rzędem trzy krzesła przy stole, na którym stała lampa i leżały cztery białe bilety z wielkimi literami „K.P.”, dla każdej odmiennego koloru, oraz tygodnik zwany „Teką Pickwicka”, do której wszystkie pisywały, Ludka zaś, zamiłowana w piórach i atramencie, była jego główną redaktorką.

O godzinie siódmej szły do klubu, przywiązywały bilety do głowy i siadały z wielką powagą. Małgosia, jako najstarsza, była Samuelem Pickwickiem<sup>61</sup>, Ludka, mająca zdolności literackie, Augustem Snodgrassem, różowa i okrągła Eliza Tracym Tupmanem, Amelka zaś, chcąc zawsze robić to, czego nie umie, Natanielem Winkle'em. Prezes Pickwick czytał gazetę, którą zapełniały oryginalne powieści, poezje, miejscowe wiadomości, delikatne wytykanie wzajemnych wad i usterek. Pewnego razu pan Pickwick wziął okulary bez szkieł, uderzył w stół, chrząknął i spojrzawszy ostro na pana Snodgrassa, który się kręcił na krześle, chcąc się dobrze usadowić, zaczął czytać:

*Teka Pickwicka*

20 maja 18... r.

Niechaj smutek z serca znika,  
Radość twarze niech spromienia,  
Dzisiaj bowiem Klub Pickwicka  
Liczy kopę lat istnienia.

Dziś swobodnie i wesoło  
Czas upływa w naszym gronie,  
Przyjacieli widzimy<sup>62</sup> koło  
I ściskamy bratnie dłonie.

Pickwick na swym posterunku,  
Żyjąc latek szereg długi,  
Zyskał prawo do szacunku  
Przez przymioty i zasługi.

Dziś, gdy z pismem wszedł do sali,  
Wycierając okulary,  
Wszyscy chórem zawołali:  
„Niechaj żyje Pickwick stary!”

Bo choć kaszle i katar  
Utrudzają mu wymowę,  
Pickwick stary — ale jary,  
Nie dla kształtu nosi głowę.

Snodgrass na sześć stóp<sup>63</sup> wysoki,  
Piękny, miły i powabny,  
Złotowłosy, modrooki,  
Jak żółw chybki, jak słoń zgrabny.

Ulubiony w naszym kole,  
Wesół mimo walki z losem,  
Klamrę myśli ma na czole,  
I... olbrzymi kleks pod nosem.

<sup>60</sup>Dickens, Charles (1812–1870) — angielski pisarz, jeden z czołowych twórców powieści społeczno-obyczajowej 2. połowy XIX w.; autor m.in. powieści: *Klubu Pickwicka*, *Oliver Twist*, *Dawid Copperfield*, *Magazyn osobliwości* i *Wielkie nadzieje*. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>Samuel Pickwick, August Snodgrass, Tracy Tupman, Nataniel Winkle — bohaterowie humorystycznej powieści Dickensa *Klub Pickwicka*, członkowie tytułowego klubu, którzy wspólnie podróżują po kraju i przeżywają rozmaite przygody. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>przyjacieli widzimy — dziś popr.: przyjaciół widzimy. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>stopa — anglosaska miara długości wynosząca ok. 30,5 cm; sześć stóp to ok. 180 cm. [przypis edytorski]

Dalej idzie Tupman, który  
Do powagi ma pretensję,  
A powtarza kalambury  
I ze śmiechu wciąż się trzęsie.

Za to Winkle niewzruszenie  
Siedzi, patrząc wciąż do góry,  
Nie chce bowiem przez wstrząśnienie  
Zepsuć pięknej koafiury<sup>64</sup>.

Wszyscy nieraz chwilę miłą  
Tu spędzamy wśród zabawy,  
Udeptując wspólną siłą  
Kamienistą ścieżkę sławy.

Jeśli zawód nas spotyka,  
Lżej go znosić z przyjaciół<sup>65</sup>,  
Niech więc żyje Klub Pickwicka  
Pożyteczny i wesoły!

---

*Ślub w maskach*  
Powieść wenecka

Jedna gondola po drugiej przyływały pod marmurowe schody, zostawiając tam swe lube ciężary, które pomnażały błyszczące tłumy gości hrabiego de Adelon. Królowie i damy, karły i paziowie, mnichy i kwiaciarki — wszyscy wesoło płasali. Słodkie głosy i dźwięczne melodie napępniały powietrze; maskarada zaczęła się więc od wesołości i muzyki.

— Czy Wasza Wysokość widziała dziś lady Violę? — zapytał grzeczny trubadur, prowadząc przez salę piękną królową wspartą na jego ramieniu.

— Widziałam. Czy nie ładna mimo smutku? Ubrała się odpowiednio do swego usposobienia, bo za tydzień poślubi hrabiego Antonia, którego nienawidzi z całego serca.

— Klnę się życiem, że mu zazdroścę. Oto nadchodzi w stroju pana młodego, ale w czarnej masce. Gdy ją zdejmie, zobaczymy, jak się wpatruje w piękną dziewczę, której serca nie może zdobyć, chociaż otrzymał jej rękę od srogięgo ojca — odrzekł trubadur.

— Ktoś mi tu szepnął, że ona kocha młodego Anglika, artystę, który ciągle stara się zbliżyć do niej, ale stary hrabia go odsuwa — powiedziała dama, po czym przyłączyli się do tańczących.

Zabawa szła w najlepsze, kiedy się ukazał ksiądz i poprowadziwszy oblubieńców do alkowy zasłoniętej pąsową aksamitną firanką, kazał im ukłęknać. Wesoły tłum umilkł i tylko szmer fontann i szelest pomarańczowych gajów drzemających przy świetle księżycy przerywały tę ciszę, gdy hrabia Adelon przemówił:

— Panowie i panie, darujcie, że was tu podstępnie zgromadziłem, żebyście byli świadkami ślubu mojej córki. Czekaemy na obrzęd, ojcze!

Wszystkie oczy zwróciły się ku weselnej parze i cichy szmer zdziwienia przebiegł przez całe grono, bo oblubieńcy nie zdjęli masek. Ciekawość i zdumienie ogarnęły serca, lecz uszanowanie powstrzymywało języki, póki nie skończył się obrzęd religijny. Wówczas zaintrygowani widzowie zebrali się wokół hrabiego, prosząc o objaśnienie.

---

<sup>64</sup>koafiura (daw.) — fryzura, uczesanie. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>z przyjaciół — dziś: z przyjaciółmi. [przypis edytorski]

— Chętnie bym go wam udzielił, ale wiem tylko tyle, że moja nieśmiała Viola wyjawiała takie życzenie i musiałem ulec jej kaprysowi.

— Skończcie już tę komedię, moje dzieci, zrzućcie maski i przyjmijcie me błogosławieństwo.

Nie zgięli kolan, tylko maska, która spadła oblubieńcowi, odkryła szlachetną twarz Ferdynanda Devereux, zakochanego artysty, a na piersi, polyskującej gwiazdą angielskiego hrabi, zwiesiła się piękna Viola, promienna radością i urodą.

— Mój lordzie — rzekł oblubieniec tonem, który przeraził wszystkich — wzgardliwie powiedziałeś, że pozwolisz mi starać się o twą córkę, gdy będę się mógł pochłubić równie wielkim nazwiskiem i równie wielką fortuną, jak hrabia Antonio. Mogę uczynić więcej, bo nawet twoja ambitna dusza nie zdoła odmówić hrabiemu Devereux i de Vere, oddającemu starożytne imię i olbrzymi majątek w zamian za ukochaną rękę tej pięknej damy, obecnie mojej małżonki.

Hrabia jak skamieniały spojrział na zdumiony tłum, a Ferdynand dodał z wesołym, triumfującym uśmiechem:

— Tego wam mogę tylko życzyć, moi przyjaciele, żebyście poszli za moim przykładem i zdobyli tak piękną oblubienicę jak ja dzięki temu ślubowi w maskach.

S. *Pickwick*

Pozycja społeczna

---

— Dlaczego K. P. jest jak wieża Babel?

— Bo mieści w sobie pełno niekarnych członków.

---

*Historia o dyni*

Pewnego razu był sobie ogrodnik, który zasiał w swym ogrodzie małe ziarenko, a ono wkrótce wyrosło na krzew obciążony dyniami. Gdy już były dojrzałe, w październiku, zerwał z nich jedną i zaniósł na targ, a korzennik nabył ją do swego sklepu. Tego poranka młoda dziewczynka w ciemnym kapeluszu i niebieskiej sukni, z okrągłą twarzą i przyplaszczonym noskiem, kupiła ją dla matki. Przyniósłszy do domu, pokrajała i w dużym garnku ugotowała kawałek z masłem i z solą na obiad, do reszty zaś dodała kwartę<sup>66</sup> mleka, dwa jajka, cztery łyżki cukru, muszkatołową gałkę i kilka biszoptów. Wylała potem na głęboki talerz i piekła, póki się nie zarumieniło, a nazajutrz rodzina March zjadła tę potrawę.

T. *Tupman*

---

*Do pana Pickwicka*

Piszę do pana z powodu przestępstwa winowajcy nazwiskiem Winkle, który śmiechem sprawia zamieszanie w klubie i czasami nie chce pisać swych utworów na tym pięknym papierze mam nadzieję że mu pan wybaczysz nieudolność i przyślesz mu francuską bajkę bo nie może pisać z głowy mając dużo lekcji do odrabiania a mało mózgu na przyszłość postaram się skorzystać z wolnej godziny i przygotuję jakie dzieło zupełnie *comme il faut*<sup>67</sup> to jest jak się należy. Spieszę się bo niedługo czas pójść do szkoły.

*Z uszanowaniem N. Winkle*

---

<sup>66</sup>kwarta — dawna miara objętości; w oryginale: anglosaska *pinta*, równa ok. pół litra. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*comme il faut* (fr.) — jak należy; właściwy; na odpowiednim poziomie. [przypis edytorski]

Powyższe pismo jest pięknym i odważnym przyznaniem się do win. Gdyby nasz młody przyjaciel przykładał się do znaków pisarskich, wszystko byłoby w porządku.

---

#### *Smutny Wypadek*

Zeszłego piątku przestraszył nas gwałtowny wstrząs w piwnicach, a potem krzyki rozpacz. Zbiegliśmy tam wszyscy i zastaliśmy ukochanego prezesa leżącego na ziemi, gdyż zaplątał się i upadł, biorąc drewno na domowy użytek. Naszym oczom przedstawił się straszny obraz, bo upadając, pan Pickwick zanurzył głowę i ramiona w beczce z wodą, wylał beczułkę szarego mydła na swą męską postać i szkaradnie podarł ubranie. Gdyśmy go uwolnili z tak niebezpiecznego położenia, okazało się, że nic mu się nie stało, tylko się w paru miejscach zadrasnął trochę. Miło nam dodać, że obecnie cieszy się dobrym zdrowiem.

*Ed.*

---

#### *Powszechna strata*

Poczuwamy się do przykrego obowiązku, by opisać nagle i tajemnicze zniknięcie naszej kochanej przyjaciółki, pani „Śnieżna łapka”. Ta miła i ulubiona kotka była pieśczołą wielkiego koła gorących wielbicieli. Pięknością pociągała oczy, a wewnętrzne przymioty czyniły ją drogą wszystkim sercom i dlatego całe społeczeństwo głęboko odczuło jej stratę.

Gdy widziano ją po raz ostatni, siedziała przed bramą i przyglądała się wózkowi rzeźnika. Zachodzi zatem obawa, że jakiś nikczemnik, zwabiony jej wdziękami, ukradł ją podstępnie. Kilka tygodni minęło, a nie odkryto jej śladów, utraciwszy więc wszelką nadzieję, przywiązemy czarną wstążkę do jej koszyka, odstawimy jej miseczkę i oplakiwać ją będziemy jako straconą na zawsze.

Kot

Współczujący przyjaciel przesyła, co następuje:

#### *Lament za „Śnieżną Łapkę”*

Zniknęła nasza pieśczołka mała,  
My nad jej smutnym losem wdychamy.  
Nie będzie łapek przy piecu grzała,  
Nie będzie igrac przy progu bramy.

Jej dziecię leży w naszym ogródku,  
A ona znikła dziwnym sposobem,  
Więc nie możemy na domiar smutku  
Nad faworytki zapłakać grobem.

Już jej miauczenia nikt nie usłyszy,  
Próżne posłanie, piłka beczynna.  
Jest inna kotka, co łowi myszy,  
Lecz nie tak zgrabna, lecz nie tak zwinna.

Chociaż jej ruchy ciche, spokojne,  
Nie ma miłego wdzięku postaci.  
Psom wytoczyła okropną wojnę,  
I ich warczenie — drapaniem płaci.

Lecz, ukochana, twoje wspomnienie  
Dzielnie poskramia myszy bezprawia,

Kot

Robi, co może, dobre stworzenie,  
Dotąd nam jeszcze serce zakrwawia.

---

#### Ogłoszenia

Panna Oranthy Bluggage, światła i rozumna prelegentka, wygłosi swą sławną prelekcję *Kobieta i jej pozycja* w sali Pickwicka, w przyszłą sobotę wieczorem, po dokonaniu zwykłych formalności.

\*

Tygodniowe zebranie będzie miało miejsce w kuchni, aby młode pan-ny uczyły się gotować. Anna Brown będzie przydywała i publiczność jest proszona, by się tamże zgromadziła.

\*

Towarzystwo zamiataczy będzie się ćwiczyć w swym rzemiośle w przyszły wtorek, na wyższym piętrze klubowego gmachu. Członkowie przyjdą w mundurach i zarzucą miotły na ramiona punktualnie o dziesiątej.

\*

Pani Elżbieta Bouncer zamierza otworzyć w przyszłym tygodniu nowy magazyn strojów dla lalek. Nadeszły już najświeższe mody paryskie i publiczność jest proszona o łaskawe zamówienia.

\*

W teatrze Barnville w ciągu kilku tygodni ukaże się nowa sztuka. Przewyższy ona wszystko, co było dotąd widziane na amerykańskiej scenie. *Grecy ki niewolnik, czyli Konstantyn Mściciel*, oto tytuł tego straszego dramatu.

---

#### Przymówki

Gdyby S. P. nie używał tyle mydła do rąk, nie spóźniałby się ciągle na śniadanie. A. S. jest proszony, by nie gwizdał na ulicy. T. T., proszę nie zapomnieć o ręczniczku Amelki. N. W. nie powinien grymasić o to, że nie ma przy sukni dziewięciu falbanek.

---

#### Sprawozdanie tygodniowe

Małgosia — dobrze.

Ludka — źle.

Eliza — bardzo dobrze.

Amelka — średnio.

---

Gdy prezydent skończył czytać gazetę (która, wiercie mi, czytelniczki, jest *bona fide*<sup>68</sup> kopią gazety pisanej niegdyś przez *bona fide* dziewczętą), nastąpiły grzmiące oklaski, po czym pan Snodgrass powstał:

— Panie prezesie i wy, panowie — odezwał się z parlamentarną postawą i tonem. — Podaję wniosek o przyjęcie nowego członka, wysoce zasługującego na ten zaszczyt. Zapewniam was, że będzie szczerze wdzięczny za ten wybór, podniesie ducha naszego klubu i literacką wartość gazety, przy tym jest to gentleman miły i grzeczny. Proponuję pana Teodora Laurence'a na honorowego członka K. P. i proszę o jego przyjęcie.

<sup>68</sup>*bona fide* (łac.) — w dobrej wierze. [przypis edytorski]

Nagła zmiana w tonie Ludki pobudziła dziewczęta do śmiechu, ale wszystkie były jakieś nieswoje i nic nie odrzekły, podczas gdy Snodgrass na powrót zajmował swoje miejsce.

— Będziemy głosować — rzekł wreszcie prezes. — Kto jest za przyjęciem wniosku, niech powie „tak”.

Po głośnej odpowiedzi Snodgrassa nastąpił nieśmiały głos Elizy, co zadziwiło wszystkich członków.

— Osoby przeciwnego zdania powiedzą „nie”.

Małgosia i Amelka były przeciwnego zdania, a pan Winkle podniósł się i powiedział z wielką elegancją:

— Nie życzymy sobie chłopców, bo oni lubią tylko żarty i wrzawę. To jest damski klub, więc chcemy, żeby cichy był i przyzwoity.

— Gotów wyśmiać gazetę, a potem nas — odezwał się Pickwick, szarpiąc loczek nad czołem, bo taki miał zwyczaj przy każdej wątpliwości.

Snodgrass podskoczył w górę z zapalem i rzekł:

— Daję słowo honoru, że Artur nie zrobi nic podobnego. On lubi pisać, pokieruje naszą pracą i powstrzyma nas od sentymentalności. Tak mało możemy dla niego zrobić, on zaś tak wiele robi dla nas, że sądzę, że nawet wypada zaprosić go i dobrze przyjąć, gdy przyjdzie.

Ta zręczna wzmianka sprawiła, iż Tupman zerwał się na nogi, bo widocznie zmienił zdanie.

— Tak, powinniśmy to zrobić, nawet gdybyśmy mieli powód do obaw. Ja powiadam, że może przychodzić i jego dziadek również, jeżeli zechce.

Ten energiczny wybuch Elizy zelektryzował cały klub. Ludka powstała z miejsca, żeby jej za to uściśnąć rękę.

— Głosujemy jeszcze raz! Kto sobie przypomni, że idzie o naszego Artura, ten powie „tak” — wykrzyknął Snodgrass z uniesieniem.

— Tak! Tak! Tak! — zawołały trzy głosy.

— Niech was Bóg błogosławi! A teraz pozwólcie przedstawić nowego członka. — Ku niezadowoleniu reszty klubu Ludka otworzyła drzwi od kryjówki i ujrzano Artura, który siedział na worku ze starzyzną, czerwony i mrugający oczami od powstrzymywanego śmiechu.

— Niegodziwa Ludko, jak mogłaś to zrobić! — krzyczały dziewczęta, gdy Snodgrass triumfalnie przyprowadził przyjaciela i zainstalował go, podawszy krzesło i bilet wejścia.

— Te lotry mają dziwnie zimną krew — odezwał się Pickwick, marszcząc się surowo, chociaż mimo woli uśmiechał się mile.

Nowy członek umiał stanąć na wysokości zadania i powstawszy z ukłonem pełnym wdziękiem, rzekł ujmująco:

— Panie prezesie i wy, moje panie... przepraszam, chciałem powiedzieć: moi panowie... pozwólcie, abym się przedstawił jako Sam Weller, pokorny sługa klubu.

— Dobrze, dobrze! — wykrzyknęła Ludka, tłukąc rączką starej patelni, o którą się opierała.

— Wierny towarzysz i szlachetny protektor, który mnie przedstawił w tak szlachetnych słowach, nie zasługuje na naganę za dzisiejszy podstęp, albowiem moje to dzieło, on zaś uległ tylko moim silnym naleganiom — mówił Artur, wskazując ręką na Ludkę.

— Nie bierz wszystkiego na siebie, bo to był mój pomysł — przerwał Snodgrass, rozweselony tym figlem.

— Nie zwracaj pan uwagi na jego mowę, ja tu jestem winowajcą — rzekł nowy członek, kłaniając się Pickwickowi. — Jako Weller klnę się jednak honorem, że już tego nigdy nie zrobię i odtąd poświęcać się będę sprawom tego nieśmiertelnego klubu.

— Słuchajcie, słuchajcie! — wołała Ludka, uderzając w pokrywę patelni jak w cymbały.

— Mów dalej, mów dalej! — dodali Winkle i Tupman, a prezes łaskawie skłonił głowę.

— Powiem tylko, że chcąc okazać wdzięczność za otrzymany zaszczyt i dla utrzymania przyjaznych stosunków z sąsiednimi narodami urządziłem w płocie od ogrodu biuro pocztowe, z południowej strony. Jest to piękny i obszerny budynek z kłódką u drzwi

i z wszelkimi wygodami. Niegdyś służył za klatkę zimorodkowi, lecz zatarasowałem drzwi i zrobiłem okno w dachu, więc pomieści się tam wiele rzeczy i oszczędzimy sobie dużo czasu. Możemy wkładać listy, rękopisy, książki i paczki, a ponieważ każdy naród otrzyma klucz, zdaje mi się, że będzie bardzo wygodnie. Teraz składam klucz klubowy, dziękuję za otrzymaną zaszczyt i śpieszę zająć wyznaczone mi miejsce.

Nastąpiły wielkie oklaski, gdy pan Weller usiadł, złożywszy kluczyk na stole. Patelnia brzęczała gwałtownie i nieprędko przywrócono porządek. Wiedli potem długie dyskusje i wzajemnie budzili w sobie podziw, bo każdy starał się mówić jak najlepiej. To ożywione posiedzenie trwało do późna, przerwały je wreszcie trzy wesołe głosy, obwołując radośnie nowego członka.

Nie pożałowano w klubie przyjęcia Samuela Wellera, bo trudno znaleźć członka, który byłby bardziej oddany, przyzwoity i wesoły. Wlał on nowego ducha w zebrania i w gazetę, wymową przenikał słuchaczy do głębi i pisał artykuły patriotyczne, klasyczne, komiczne lub dramatyczne, nigdy się nie wdając w sentymentalne. Ludce zdawały się godne Bacona<sup>69</sup>, Milтона<sup>70</sup> lub Szekspira i korzystnie wpływały na jej dzieła, przynajmniej według jej sądu.

K. P. był wyborną instytucją i dobrze się powiódł. Przez jego pocztę przeszło prawie tyle dziwnych rzeczy, co przez prawdziwą: tragedie i krawaty, poezje i konfitury, nasiona ogrodowe i długie listy, nuty i pierniki, kalosze, zaproszenia, połajanki i cacka. Staremu gentlemanowi bardzo podobała się ta zabawa i dla przyjemności wysyłał dziwaczne przesyłki: tajemnicze listy lub dowcipne telegramy. Jego ogrodnik, ujęty wdziękami Anny, przesłał list miłosny pod adresem Ludki. Ile było śmiechu, gdy wyszła na jaw jego tajemnica, nigdy bowiem nie przyszło im na myśl, że ich poczta będzie w przyszłości przechowywać tak wiele miłosnych listów!

List

## ROZDZIAŁ XI. PRÓBY

— Mamy dziś pierwszy czerwca, Kingsowie jadą jutro nad morze, a ja jestem wolna! Trzy miesiące wakacji! Jakże ich będę używać! — wołała Małgosia, wróciwszy do domu w upalny dzień.

Ludka leżała na sofie strasznie znużona, Eliza zdejmowała zakurzone buciki, Amelka zaś przyrządzała lemoniadę, żeby ochłodzić całą gromadkę.

— Jakże się cieszę, że ciotka March dziś wyjechała! — rzekła Ludka. — Śmiertelnie się bałam, że zechce mnie wziąć ze sobą. Gdyby nalegała, nie mogłabym odmówić, a w Plumfield jest niewiele weselej niż na cmentarzu. Jak się cieszę, że się uwolniłam! Dużo było krzątania, zanim stara jejmość się wybrała, i ogarniał mnie strach, ile razy się do mnie odezwała, bo od gorącej chęci wykręcenia się od tej podróży byłam tak niezwykle usłużna i słodka, że się aż obawiałam, czy nie będzie jej żal rozstać się ze mną. Krzątałam się, póki nie usiadła wygodnie w powozie, ale i wówczas zdjęła mnie jeszcze obawa, bo wychyliwszy na odjezdnym głowę, zapytała: „Ludwiko, czy nie chcesz pojechać?”. Więcej już nic nie słyszałam, bo się odwróciłam i jak tchórz biegłam bez tchu, aż do zakrętu drogi, tam dopiero czując się bezpieczna.

— Biedna Ludka! Wpadła do domu, jak gdyby ją niedźwiedzie gonily — rzekła Eliza, głaszcząc siostrze nogi z macierzyńską czułością.

— Co będziesz robiła przez wakacje? — spytała Amelka.

— Będę długo leżeć w łóżku i próżnować — odparła Małgosia z głębi kołyszącego się fotela. — Musiałam całą zimę wcześniej wychodzić z domu i pracować dla innych, więc teraz chcę wypocząć i nabawić się do syta.

— Hm — rzekła Ludka — takie drzemające życie nie przypadłoby mi do gustu. Ja będę przesiadywać z książką, na gałęzi starej jabłoni.

— Elizo, my także przerwijmy lekcje, bawmy się tylko i wypoczywajmy — odezwała się Amelka.

— I owszem, jeżeli mama pozwoli. Chciałabym się nauczyć kilku piosenek i oporządzić moją działkę na lato, bo strasznie obdarta i potrzebuje sukienek.

<sup>69</sup>Bacon, Francis (1561–1626) — angielski filozof, reprezentant empiryzmu. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>Milton, John (1608–1674) — angielski pisarz; twórca najsłynniejszego poematu epickiego nowożytnej Anglii: *Raj utracony*. [przypis edytorski]



— Co mama na to powie? — spytała Małgosia, zwracając się do pani March, która szła w tak zwanym „kąciku mamy”.

— Poświęćcie tydzień na próbę. Zdaje mi się, iż w sobotę wieczorem przyznacie, że rozrywka bez pracy jest równie uciążliwa jak praca bez rozrywki.

— O nie, będzie nam wyśmienicie, jestem pewna! — rzekła Małgosia z radością.

— Wnoszę toast wiecznych rozrywek bez mozołów! — wykrzyknęła Ludka, wstając ze szklanką w ręku, gdyż właśnie piły lemoniadę.

Po ogólnym wesołym toaście zaczęły próbę od wałęsania się przez cały dzień. Nazajutrz Małgosia zeszła na dół dopiero o dziesiątej. Samotne śniadanie jej nie smakowało, a pokój wydał się smutny i nieporządnym, bo Ludka nie napełniła wazonów kwiatami, Eliza nie starła kurzu, Amelka zaś nie poukładała rozrzuconych książek. Prócz „kącika mamy”, który wyglądał jak zwykle, wszystko było w przykrym nieładzie, usiadła tam więc, żeby „czytać i wypoczywać”, to jest ziewać i marzyć o ładnych letnich sukniach, które chciała sobie kupić za otrzymaną pensję. Ludka spędziła rano nad rzeką z Arturem, a po południu z płaczem czytała *Szeroki, szeroki świat*<sup>71</sup>, siedząc wysoko na jabłoni. Eliza zaczęła wszystko wyciągać ze skrytki, gdzie mieszkała jej diamentowa, ale zmęczony się przed dokończeniem dzieła, zostawiła swój apartament w największym nieładzie i poszła grać, zadowolona, że nie musi zmywać talerzy. Amelka uporządkowała altankę, włożyła swą najładniejszą białą suknię, uczesała się w loki i usiadła pod powojami rysować, mając w nadzieję, że ktoś ją zobaczy i zapyta: „Kim jest ta młoda artystka?”. Ponieważ tylko jakiś podstarzały jegomość z zainteresowaniem przyglądał się jej pracy, poszła na przechadzkę, ale się zaziębiła na deszczu i wróciła do domu zmoknięta.

Przy herbacie podzieliły się wrażeniami i zgodnie uznały, że dzień był rozkoszny, chociaż niezwykle długi. Małgosia, która kupiła po południu śliczną suknię z niebieskiego muślinu i pocięła ją w bryty, przekonała się, że nie można jej prac, a ten zawód sprawił, że nieco się zdenerwowała. Ludka spaliła sobie skórę na nosie, pływając po rzece, i głowa ją rozboleła od zbyt długiego czytania. Elizę zmęczyło porządkowanie gabineciku i uczenie się kilku piosenek naraz. Amelka była zasmucona, że zniszczyła sobie suknię, bo nazajutrz miało być zebranie u Kasi Brown i biedna nie miała się w co ubrać. Ale były to tylko drobnostki i dziewczęta zapewniały matkę, że próba idzie doskonale. Uśmiechała się, nic nie mówiąc, i wraz z Anną robiła za nie wszystko, chcąc, żeby dom był przyjemny i żeby maszyna gospodarska nie ustawała. Dziwna rzecz, jak nieznośny i niemiły stał się ten czas przeznaczony na zabawę i próżnowanie. Dni były coraz dłuższe, a pogoda ciągle się zmieniała, tak samo jak nastroje. Jakieś kapryśne usposobienie ogarnęło je wszystkie, szatan podsuwał ich beczynnym ręką rozmaite figle. Małgosia, chcąc się znaleźć u szczytu rozkoszy, odrzuciła szycie, ale tak się jej czas dłużył, że zaczęła krajać i psuć suknie, by mieć takie jak panna Moffat. Ludka czytała tak wiele, że oczy wypowiedziały jej służbę, książki obrzydły i przez zbyt dużą drażliwość poróżniła się nawet z pocziwym Arturem. Stan jej był tak niemiły, iż wolałaby już pojechać z ciotką March. Elizie było bardzo dobrze, bo zapominając ciągle, że się ma „tylko bawić i wcale nie pracować”, wracała chwilami do dawnych zwyczajów. Mimo to i dla niej atmosfera była ciężka i nieraz bywała tak zakłócona wewnętrznie, że nawet szarpnęła biedną chorą Joannę i nazwała ją „straszydłem”. Amelce było gorzej niż innym, bo nie umiała sobie radzić. Ile razy siostry zostawiły ją samą, zaraz jej doskonała i ważna osobka stawała się dla siebie wielkim ciężarem. Lalek nie lubiła, czarodziejskie bajki wydawały jej się dziecinne, rysować bez ustanku nie mogła. „Wieczorne zebrania i pikniki sprawiają wielką przyjemność, gdy są dobrze urządzone — myślała sobie. — Gdybym miała piękny dom i pełno miłych panierek w gościnie lub gdybym podróżowała, byłoby cudownie, ale ponieważ siedzę na miejscu z trzema samolubnymi siostrami i z jednym wyrostkiem, musiałam stracić cierpliwość”. Oto jej wrażenia po kilku dniach rozrywek, kaprysów i nudów.

Żadna nie chciała przyznać, że jest zmęczona próbą, ale w piątek wieczorem zadowolone były, że tydzień się kończy. Pani March, chcąc by nauka wywarła głębsze wrażenie, postanowiła w dowcipny sposób położyć koniec próbom. Dała Annie wolne na cały dzień, by się dziewczętom dał we znaki system samych rozrywek.

<sup>71</sup>*Szeroki, szeroki świat* (ang. *The Wide, Wide World*) — sentymentalna powieść Elizabeth Wetherell z roku 1850, często uważana za pierwszy amerykański bestseller. [przypis edytorski]

Gdy wstały w sobotę rano, nie palił się ogień w kuchni, nie było śniadania w pokoju jadalnym, a matka nie pokazywała się wcale.

— Boże mój, co się stało? — wykrzyknęła Ludka, patrząc wokół siebie z rozpaczą.

Małgosia pobiegła na górę i wkrótce wróciła spokojniejsza, lecz jakoś nieswoja i jakby zawstydzona.

— Mama nie jest słaba, tylko bardzo zmęczona i przesiedzi cały dzień w swoim pokoju, a nam pozwala radzić sobie, jak chcemy. Dziwi mnie to, bo jej się to nigdy nie zdarza, ale mówi, że ten tydzień był bardzo ciężki, więc zamiast narzekać, powinniśmy sobie radzić.

— Cóż w tym trudnego? Podoba mi się ten pomysł, bo mi już tęskno do zajęcia, a to będzie nową rozrywką — dodała spieszenie Ludka.

W rzeczy samej, to małe zajęcie przyniosło im ogromną ulgę i chętnie wzięły się do dzieła, lecz przekonały się wkrótce, że „gospodarowanie wcale nie jest zabawą”, jak słusznie mówiła często Anna. W spiżarni było dużo zapasów, więc gdy Eliza i Amelka nakryły stół, Małgosia z Ludką przyniosły śniadanie. Zrobiwszy to, dziwiły się, że służącym praca wydaje się ciężka.

— Zaniosem coś мамie, chociaż powiedziała, że sama będzie o sobie pamiętać — rzekła Małgosia i z powagą matrony<sup>72</sup> usiadła na głównym miejscu za imbrykiem.

Zanim się wzięły do jedzenia, Ludka zaniósła na górę tacę, z ukłonem od kucharki. Herbata była bardzo gorzka, bo się przegotowała, omlet się przypalił, ale pani March przyjęła wszystko z podziękowaniem i uśmieła się serdecznie po jej wyjściu.

„Biedne duszyczki, boję się, że im ciężko, ale nie będą się dłużej męczyć i wyjdzie im to na dobre” — pomyślała, kładąc obok nieudanego śniadania smaczniejsze mięsiva, w jakie się zaopatrzyła, a ten matczyny podstęp bardzo im był na rękę.

Dużo było narzekań na dole i wielkie niepowodzenia trapiły naczelną kucharkę.

— Nie kłopotz się, ja zrobię obiad i będę służącą, a ty bądź panią: szanuj ręce, przyjmuj gości i wydawaj rozkazy — rzekła Ludka, znająca się jeszcze mniej od Małgosi na kuchennych sprawach.

Ta uprzejma propozycja została chętnie przyjęta i Małgorzata poszła do pokoju bawialnego, a chcąc go naprędce uporządkować, zmiotła śmiecie pod sofę i otworzyła okno, by sobie oszczędzić ścierania kurzu.

Ludka, z wiarą w swoje siły, dla zakończenia sporu natychmiast zaniósła na pocztę bilecik zapraszający Artura na obiad.

— Lepiej trzeba było się zastanowić nad tym, co podasz, zanim pomyślałaś o gościach — rzekła Małgosia, dowiedziawszy się o tym grzecznym, lecz nierozważnym kroku.

— Jest peklowana<sup>73</sup> wołowina i mnóstwo ziemniaków, dodam szparagów i homara<sup>74</sup> „dla smaku”, jak mówi Anna. Będziemy też mieli sałatę. Nie umiem wprowadzić jej przyprawić, ale nauczę się z książki. Jeżeli chcesz elegancji, to podam nawet *blanc-manger*, poziomki i kawę.

— Nie rób tyle potraw Ludko, bo tylko pierniki i konfitury potrafisz tak zrobić, że da się zjeść. Umywam ręce od tego obiadu i skoro zaprosiłaś Artura, weź na siebie odpowiedzialność i zajmij się nim.

— Proszę cię tylko, żebyś była dla niego uprzejma i żebyś mi pomogła zrobić budyń. Przecież mi poradzisz, jak w czymś pobłądzę, prawda? — rzekła Ludka trochę urażona.

— Dobrze, ale ja wiem tylko tyle, że trzeba podać chleb i parę drobiazgów. Spytaj lepiej mamy o pozwolenie, zanim coś zamówisz — powiedziała roztropnie Małgosia.

— Oczywiście, że tak, przecież nie jestem niemądra — i pobiegła, rozgniewana, że jej siostra nie ufa.

— Podaj, co chcesz, i daj mi spokój. Zjem obiad na mieście, bo nie chcę się trudzić domowymi sprawami — rzekła pani March, gdy Ludwisia poszła z nią porozmawiać. Nigdy nie lubiłam zajmowania się domem i dziś będę sobie świętować, czytać, pisać, składać wizyty i bawić się.

Widząc, że matka, zwykle zajęta, leży dziś wygodnie na sofie i czyta od rana, Ludka

<sup>72</sup>matrona (łac.) — żona, gospodyni domu; dziś: starsza, przeważnie zamężna kobieta, ciesząca się poważaniem. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>peklowany — konserwowany w roztworze soli z saletrą i przyprawami. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>homar — morski skorupiak, podobny do raka. [przypis edytorski]

Matka

Jedzenie

Matka

doznała wrażenia, jakby miała przed sobą niezwykle zjawisko natury. Zaćmienie słońca, trzęsienie ziemi czy wybuch wulkanu nie zdziwiłyby jej bardziej.

„Jakoś wszystko dziwnie idzie — myślała, schodząc na dół. — Eliza płacze, na pewno jej lalkom stało się coś złego. Jeżeli Amelka będzie się uprzykrzać, to zaraz się jej pozbędzie”.

Źle usposobiona Ludka wbiegła do pokoju bawialnego i zastała Elizę płaczącą nad kanarkiem Pipem, który leżał w klatce martwy, z łapkami rozpaczliwie wyciągniętymi, jakby prosił o pożywienie.

— Sama jestem temu winna, zapomniałam o nim, nie miał już ani jednego ziarnka, ani kropli wody.... Ach, Pipie, Pipie! Jak mogłam być taka okrutna! — wołała Eliza, biorąc biedaka w ręce, żeby go wskrzesić.

Ludka zajrzała w na wpół otwarte oczki, dotknęła serduszka, a widząc, że jest zimny i sztywny, potrząsnęła głową i zaferowała swoje pudełko od domina na trumnę.

— Włóż go do pieca, może się rozgrzeje i ożyje — powiedziała Amelka, nie tracąc jeszcze nadziei.

— Zagłodził się już, nie należy go piec, kiedy nie żyje. Zrobię mu całun, pochowam w grobie i nigdy nie będę mieć innego ptaka, nigdy mój Pipie! Bom tego nie warta — szeptała Eliza, siedząc na ziemi z ulubieńcem w rękach.

— Pogrzeb odbędzie się dziś po południu i wszyscy pójdziemy. Nie płacz Elizo. Szkoda go, ale wszystko się jakoś nie wiezie w tym tygodniu, a Pipowi najgorzej dała się odczuć próba. Zrób całun i połóż go w moim pudełku, a po obiedzie urządzimy ładny pogrzeb — rzekła Ludka, zaczynając odczuwać, że zbyt wiele rzeczy wzięła na swoją odpowiedzialność.

Zostawiła Elizę siostram, by ją pocieszały, i udała się do kuchni, gdzie panował rozpaczliwy nieład. Przypasała duży fartuch, przygotowała stos talerzy do zmycia — wtem spostrzegła, że ogień wygasł.

— Miły początek! — mruknęła, zamykając drzwiczki od pieca, i energicznie zabrała się za rozżarzanie węgla.

Rozpaliwszy ogień, postawiła wodę i poszła na targ. Ożywiona przechadzką, przyniosła do domu bardzo młodego homara, bardzo stare szparagi i dwa garnuszki kwaśnych poziomek, w przekonaniu, że wszystko jest doskonale. Wróciwszy, zastała piec rozgrzany do czerwoności. Anna zostawiła bochenek chleba do upieczenia, a Małgosia postawiła go, żeby wyrósł, i zapomniała o tym. Właśnie była zajęta przyjmowaniem Salusi Gardiner w pokoju bawialnym, gdy drzwi otworzyły się szeroko, ukazała się postać pokryta sadzami i mąką, spocona, rozczochrana i spytała z przerażeniem:

— Czy chleb dosyć już wyrósł, gdy wychodzi z miski?

Salusia zaczęła się śmiać, Małgosia skinęła głową i uniosła brwi tak wysoko, jak tylko możliwe, skutkiem czego zjawisko znikło i nie zwlekając dłużej, wstawiło chleb do pieca. Pani March zeszła na dół, zajrzała tu i ówdzie, co słyhać, i rzuciła słowo pociechy Elizie, szyjącej całun przy ukochanym nieboszczyku, położonym uroczyście w pudełko od domina. Dziwne uczucie osamotnienia ogarnęło dziewczęta, gdy jej szary kapelusz znikł za rogiem domu, i ogarnęła je rozpacz, kiedy w kilka minut potem nadeszła na obiad panna Crocker.

Była to osoba chuda i żółta jak pajak, miała spiczasty nos i ciekawskie oczy, którym nic nie umknęło. Przy tym z zamilowaniem roznosiła plotki. Dziewczęta jej nie lubiły, ale uczono je, by były dla niej grzeczne z powodu jej podeszłego wieku, ubóstwa i osamotnienia. Małgosia przysunęła fotel i starała się ją zabawić, a panna Crocker sypała pytaniami, ganiła wszystko i opowiadała historie o swych znajomych.

Mowa ludzka nie zdoła oddać trosk i męczarni, jakie przeszła Ludka tego ranka. Jej obiad był powodem bezustannych żarcików. Wstydząc się już zasięgać rady, wywiązywała się ze swego zadania sama, jak mogła najlepiej, lecz okazało się, że na kucharkę trzeba czegoś więcej niż energii i dobrej woli. Szparagi gotowała całą godzinę i martwiła się, że chociaż główki są miękkie, reszta coraz twardsza. Chleb się przypalił, bo porzuciła wszystko inne, żeby zająć się przyprawieniem sałaty, która się tak nie udała, że nie można jej było podać na stół. Homar był dla niej szkarłatną tajemnicą, więc póty w niego stukała, póki nie pozbawiła go skorupy. Wówczas jego chude członki ukryła w gaju liści sałaty.

Śmierć

Jedzenie

Ziemniaki były niedogotowane, bo się z nimi spieszyła, żeby nie czekały szparagi. *Blanc-manger* zbiło się w grudki, a poziomki okazały się niedojrzałe.

„Mogą jeść peklowane mięso i chleb z masłem, jeżeli są głodni, tylko żałuję, że się daremnie przemęczyłam cały ranek” — myślała Ludka, dzwoniąc na obiad o pół godziny później niż zwykle. Zgrzana, zmęczona, znękana, patrzyła na ucztę przygotowaną dla Artura, przyzwyczajonego do wykwintu, i dla panny Crocker, której ciekawskie oczy zaraz spostrzegały wady, a gadatliwy język roznosił wszystko po świecie.

Biedna Ludka chętnie schowałaby się pod stół, gdy kosztowano jedną potrawę po drugiej, a żadnej nie dawało się zjeść. Amelka chichotała, Małgosia miała zrozpaczoną minę, panna Crocker wykrzywiła wzgardliwie usta, Artur śmiał się i rozmawiał, ile tylko mógł, żeby nadać wesoły ton tej śmiesznej scenie. Ludka najbardziej liczyła na owoce, ocukrzyła je bowiem dobrze i przygotowała do nich garnuszek śmietanki. Twarz ochłonięła jej trochę i odetchnęła z głębi piersi, gdy ładne kryształowe talerzyki krążyły wkoło i wszyscy z przyjemnością spoglądali na różowe wysepki, pływające w morzu ze śmietanki. Panna Crocker skosztowała pierwsza, ale skrzywiła się okropnie i czym prędzej napiła się wody. Ludka, która nie chciała jeść poziomek z obawy, że ich zabraknie, bo bardzo ich ubyło po oczyszczeniu z gałązek, spojrzała na Artura. Jadł odważnie, chociaż wykrzywił trochę usta i nie odrywał wzroku od talerza. Amelka, zamiłowana w przysmakach, wzięła czubatą łyżkę, zakrztusiła się, schowała twarz w serwetę i pospiesznie wstała od stołu.

— Co to jest? — wykrzyknęła drżąca Ludka.

— Wzięłaś sól zamiast cukru, a śmietanka jest skwaśniała — odparła Małgosia z tragicznym gestem.

Ludka z jękiem rzuciła się na krzesło, gdyż przypomniała sobie, że na samym końcu posypała poziomki solą, która stała na stole w kuchni, a śmietankę zapomniała wstawić w wodę. Kolory wystąpiły jej na twarz i była już bliska łez, ale napotkała wzrok Artura, który mimo bohaterskich wysiłków miał tak radosne spojrzenie, że nagle uderzyła ją komiczna strona całej sprawy i serdecznym śmiechem pociągnęła wszystkich za sobą, nawet pannę Crocker. Nieszczęsny obiad skończył się zatem na chlebie z masłem i oliwkach, wśród żartów i wesołości.

— Nie mam teraz odwagi sprzątać, więc się zajmijmy pogrzebem — rzekła Ludka, gdy wstali od stołu, a panna Crocker gotowała się do wyjścia, by czym prędzej opowiedzieć nową historię innym znajomym przy obiedzie.

Pogrzeb

Przez wzgląd na Elizę wszyscy przybrali poważne miny. Artur wykopał grób pod pa-prociami. Pip został w nim ze łzami złożony przez swą panią i przykryty mchem. Zawiesili wieniec z fiołków i mokrzyca na kamieniu z napisem ułożonym przez Ludkę podczas przyrządzania obiadu:

Tu leży Pip March,  
Zmarły siódmego czerwca,  
Kochany, srodze żalowany,  
I nieprędkiem zapomniany.

Po skończonym obrzędzie Amelka usunęła się do swego pokoju, podziałało na nią bowiem wzruszenie i homar. Nie miała się jednak gdzie położyć, bo łózek nie posłano. Zauważyła, że jej smutek bardzo zmniejszyło trzepanie poduszek i porządkowanie rzeczy. Małgosia pomagała Ludce sprzątać po obiedzie, co trwało do połowy popołudnia, i tak się tym zmęczyły, że zamiast kolacji chciały się ograniczyć do herbaty z grzankami. Artur zrobił miłosierny uczynek i zabrał Amelkę na przejażdżkę, bo skwaśniała śmietanka widocznie miała zły wpływ na jej nastrój.

Pani March, przyszedłszy po południu do domu, zastała starsze dziewczęta strasznie zapracowane, a spojrzenie rzucone na kredens dało jej wyobrażenie, jak się powiodła próba.

Zanim gosposie wypoczęły, przybyli goście, musiały się więc gorączkowo spieszyć, żeby ich przyjąć. Trzeba było potem zrobić herbatę, załatwić sprawunki i uszyć kilka ściągów odkładanych do ostatniej chwili. Gdy zapadł mglisty, cichy zmrok, zeszły się jedna po drugiej w altanie, gdzie pięknie kwitły czerwcowe róże, a siadając, każda westchnęła, jakby ze zmęczenia lub ze smutku.

— Jakież to był okropny dzień — powiedziała Ludka, bo zwykle pierwsza się odzywała.  
— Wydawał się krótszy niż inne, ale taki niemiły — rzekła Małgosia.  
— Zdawało się, żeś nie jesteśmy u siebie w domu — dodała Amelka.  
— Nie mogło być inaczej bez mamy i Pipa — rzekła z westchnieniem Eliza, spoglądając łzawymi oczami na pustą klatkę.

— Mama już jest, moja droga, a ptaszka będziesz miała jutro, gdy zechcesz.

To mówiąc, pani March zajęła miejsce wśród nich z takim wyrazem twarzy, jak gdyby i jej wakacje nie były przyjemne.

— Powiedzcie mi, dziewczęta, czy macie już dosyć tej próby, czy chcecie ją przedłużyć jeszcze o tydzień? — zapytała, gdy Eliza przytuliła się, a pozostałe zwróciły do niej pogodnie twarze, jak kwiaty kierujące się za słońcem.

— Ja więcej nie chcę — zawołała Ludwisia stanowczo.

— Ja także! — zawtórowały pozostałe.

— Uważacie zatem, że lepiej mieć trochę obowiązków i żyć nieco dla innych, czy tak?

— Nie oplaca się próżnować i wałęsać się — zauważyła Ludka, potrząsając głową. — Jestem tym zmęczona i wezmę się porządnie do nauczania się czegoś.

— Przypuśćmy, że uczyłybyś się gotować proste potrawy. To pożyteczna umiejętność, bez której trudno obejść się kobiecie — rzekła pani March, śmiejąc się w duchu z obiadu Ludki. Spotkała bowiem pannę Crocker i dowiedziała się od niej szczegółów.

— Mamo, czy ty umyślnie wyszłaś i porzuciłaś wszystko, żeby zobaczyć jak sobie poradzimy? — zawołała Małgosia, która ją o to podejrzewała cały dzień.

— Tak, chciałam was przekonać, na ile wygodna ogółu zależy od sumiennego pełnienia przez każdego swoich obowiązków. Pókiśmy z Anną wszystko za was robiły, było dobrze wam, chociaż nie zdawałyście się szczęśliwe ani zadowolone. Dla nauczki chciałam wam pokazać, jakie skutki stąd wynikają, gdy każdy myśli tylko o sobie. Czy nie czujecie, że przyjemniej jest pomagać sobie nawzajem, mieć obowiązki, czyniące wypoczynek pożądanym, i starać się, żeby dom był wygodny i przyjemny dla wszystkich?

— Będziemy się starać, mamo! Będziemy się starać! — wykrzyknęły dziewczęta.

— Jeżeli tak, to wam radzę dźwignąć znowu swe małe brzemia, bo chociaż niekiedy wydają się zbyt ciężkie, jednak są pożyteczne i stają się nawet lżejsze, gdy je umiemy nosić. Praca jest zbawienną rzeczą i każdy może jej mieć dużo. Powstrzymuje nas od nudów i przewinień, jest zbawienna dla zdrowia i dla umysłu i budzi uczucie siły i niezależności, lepsze od blasku czy pieniędzy.

— Będziemy pracować jak pszczołki i z upodobaniem — powiedziała Ludka. — Przez wakacje nauczę się gotować i następnego obiad już pójdzie jak z płatka.

— A ja wyręcę mamę w zrobieniu koszul dla ojca. Wprawdzie nie bardzo lubię szyć, ale to będzie lepsze niż tracić czas na przerabianie sukien, które i tak ujdą! — rzekła Małgosia.

— Ja nie będę się tyle zajmować lalkami i fortepianem, za to co dzień odrobię lekcje. Jestem głupiutka, więc powinnam się uczyć, nie bawić — postanowiła Eliza.

Amelka poszła za jej przykładem, bohatercko oznajmiając:

— Ja będę pracowała nad dziurkami od guzików i nad starannym wysławianiem się.

— Bardzo dobrze. Kiedy tak, jestem zupełnie zadowolona z próby i sądzę, że nie musimy jej powtarzać. Tylko nie wpadnijcie w drugą ostateczność i nie pracujcie jak niewolnice. Wyznaczcie sobie godziny na zabawę, żeby każdy dzień był pożyteczny i przyjemny, a dobrym spożytkowaniem czasu udowodnijcie, że cenicie jego wartość. W ten sposób młode lata upłyną wam rozkosznie, starość nie będzie wzbudzać żalu, a wasze życie przedstawi piękny obraz pomyślności mimo ubóstwa.

— Zapamiętamy t, o mamo! — rzekły, i tak istotnie uczyły.

## ROZDZIAŁ XII. OBÓZ ARTURA

Eliza utrzymywała pocztę, bo najwięcej siedząc w domu, mogła ją regularnie obsługiwać. Z wielką przyjemnością co dzień otwierała biuro, by rozdawać przesyłki. Pewnego dnia w czerwcu przyszła stamtąd z pełnymi rękami i chodziła po mieszkaniu, rozdając listy i paczki.

Obowiązek

Trud

Praca

List

— Oto bukiet dla mamy, Artur nigdy o nim nie zapomina — rzekła, kładąc kwiaty do wazonu, który codziennie w „kąciku mamy” był napelniany przez kochającego chłopca.

— Dla panny Małgorzaty March list i rękawiczka — mówiła dalej, wręczając te przedmioty siostrze, która obok matki stebnowała mankiety do koszuli.

— Ależ ja zostawiłam całą parę, a tu jest tylko jedna — rzekła Małgosia, spoglądając na szarą bawełnianą rękawiczkę. — Czy nie upuściłaś drugiej w ogrodzie?

— Nie, jestem pewna, że na poczcie była tylko jedna.

— Nie cierpię nieparzystych rękawiczek, ale mniejsza o to, może się znajdzie druga. To nie list, tylko przekład niemieckiej piosenki, którego sobie życzyłam. Zapewne dzieło pana Brooke’a, bo to nie pismo Artura.

Pani March spojrzała na Małgorzatę, która bardzo ładnie wyglądała w perkalikowym szlafrocuku, z loczkami spadającymi na czoło, i z miną dorosłej kobiety szyła przy stoliku pełnym białych kłębków ułożonych w porządku. Nieświadoma myśli przebiegającej po głowie pani March, śpiewała, podczas gdy jej paluszki przemykały się. Jej umysł zajmowały panieńskie marzenia, tak niewinne i świeże jak bratki w jej ogródku. Matka uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Dla doktora Ludwika dwa listy, książka i jakiś dziwny stary kapelusz, który zakrył całą pocztę — rzekła Eliza, wchodząc ze śmiechem do pracowni, gdzie Ludka pisała.

— Co za złośliwy chłopiec! Odezwałam się kiedyś z żalem, że wołałabym, aby w mo-  
dzie były większe kapelusze, bo w gorące dni opalam sobie twarz. Odpowiedział wów-  
czas: „Dlaczego zważasz na modę? Noś duży kapelusz, jeżeli ci z tym wygodniej”. Ponie-  
waż odpowiedziałam, że nie mam takiego, więc przysłał to straszidło, żeby mnie wypró-  
bować. Założę go dla żartu i pokażę mu, że nie dbam o modę.

Powiesiwszy staroświecki kapelusz o szerokich skrzydłach na popiersiu Platona<sup>75</sup>, od-  
czytywała listy. Jeden z nich, od matki, rozognił jej policzki i napenił oczy łzami, brzmiał  
bowiem jak następuje:

Moja droga!

Piszę słówko, żeby oznajmić ci, że z wielkim zadowoleniem widzę, jak usiłujesz poskramiać swój temperament. Nie mówisz nic, ile cię to kosztuje prób, upadków, jak cię raduje powodzenie, i myślisz, że je widzi tylko ten Przyjaciel, którego co dzień prosisz o pomoc — jak wskazuje zniszczona okładka twego Przewodnika. Ja także widzę i mocno wierzę w twe szczerą chęć, bo zaczynają przynosić owoce. Moja droga, postępuj dalej tą drogą cierpliwie, odważnie, i ufaj, że nikt z tobą tak tkliwie nie dzieli wszystkiego, jak kochająca cię

Matka

— To mi skarb! To warte więcej niż litanie pochwał. Ach, mamó, tak się będę starać! Wytrwam w próbach i nie znużę się nimi, mając twoją pomoc.

Oparłszy głowę na rękach, Ludka zrosiła swoją romantyczną opowieść błogimi łzami. Myślała bowiem, że nikt nie widzi i nie ocenia jej wysiłków. Te słowa były podwójnie drogie i zachęcające, gdyż się ich nie spodziewała i pochodziły od osoby, której pochwała była dla niej najmiłsza. Czując większe siły do walki z wadami, schowała list za stanikiem jako tarczę i przypomnienie, gdyby się dała zniemacka zaskoczyć, po czym przystąpiła do otwarcia drugiego listu, przygotowana na złe i na dobre wiadomości. Oto co napisał Artur dużymi, eleganckimi literami:

Spodziewam się jutro panienek i chłopców znanych mi z Anglii, chciał-  
bym więc urządzać wesołą zabawę. Jeżeli będzie ładnie, rozłożę namiot na  
Longmeadow, gdzie popłyniemy wszyscy na przekąskę i krokieta. Rozpali-  
my ogień, żeby się raczyć przysmakami na sposób cygański, i zabawimy się

<sup>75</sup>Platon (427–347 p.n.e.) — filozof grecki, kluczowa postać w rozwoju filozofii; uczeń Sokratesa, nauczyciel Arystotelesa. [przypis edytorski]

Moda

List

Matka, Trud

List

doskonale. Moi goście lubią takie rzeczy i są bardzo weseli. Brooke będzie trzymał chłopców w karności, a Kasia Vaughn posłuży dziewczętom za wzór. Bardzo pragnę, żebyście się z nami także wybrały. Elizy ani myślę się wyrzec i zapewniam, że jej się nikt nie będzie narzucał. Nie obciążajcie się zapasami, bo sam zajmę się wszystkim, tylko przybądźcie do

*waszego na zawsze Artura*

— Wspaniale! — zawołała Ludka, biegnąc z tą wiadomością do Małgosi. — Oczywiście, nie masz nic przeciw tej wycieczce, mam? Takie będziemy pomocne Arturowi! Ja umiem wiosłować, Małgosia przyrządzi podwieczorek, a dziewczynki też mogą coś robić.

— Mam nadzieję, że ci Vaughnowie nie są ani zbyt wykwintni, ani całkiem dorośli. Czy słyszałaś o nich, Ludko? — zapytała Małgosia.

— Wiem tylko, że jest ich czworo: Kasia, starsza od ciebie, bliźnięta Fred i Franek, prawie w twoim wieku, i mała Gracja, podobno dziesięcioletnia. Artur poznał ich za granicą i polubił tych chłopców, ale Kasią musi się nie bardzo zachwycać, bo zauważyłam, że zaciska wargi, mówiąc o niej.

— Jak to dobrze, że mam czystą perkalową suknię, bo taka jest najwłaściwsza — powiedziała Małgosia z radością. — A ty, Ludko, co masz stosownego?

— Czarna w pąsowe kwiaty będzie w sam raz, bo nie będę musiała się krępować i myśleć o sobie przy wiosłowaniu. Czy wybierzesz się z nami, Elizo?

— Jeżeli nie pozwolicie, żeby chłopcy do mnie mówili.

— Żaden się nie odezwie.

— Chciałabym sprawić przyjemność Arturowi. Pana Brooke'a się nie boję, bo on taki dobry, ale z innymi nie chcę się bawić ani rozmawiać, ani śpiewać. Znajdę sobie zajęcie, żeby nikogo sobą nie kłopotać, a ty, Ludko, się mną zaopiekujesz. Wtedy wybiorę się z wami.

— Dobra z ciebie dziewczyna — rzekła pani March. — Starasz się zwalczać nieśmiałość i kocham cię za to. Wiem z doświadczenia, że niełatwo walczyć z wadami i że dobre słowo dodaje otuchy.

— Dziękuję ci, mam! — rzekła Ludka, składając na chudym policzku matki wdzięczny pocałunek, droższy dla niej niż gdyby jej przywróciła różową krągłość młodości.

— Otrzymałam pudełko czekolady i obrazek, który chciałam skopiować — rzekła Amelka, pokazując paczkę z poczty.

— A do mnie napisał pan Laurence, z prośbą, żebym przyszła grać o zmroku, i pójde — dodała Eliza, której przyjaźń ze starym gentlemanem pięknie się rozwijała.

— Teraz trzeba się krzątać i pracować podwójnie, żebyśmy jutro mogły się swobodnie bawić — powiedziała Ludka, biorąc miotłę w miejsce pióra.

Gdy nazajutrz słońce zajrzało do pokoju dziewcząt z obietnicą pięknej pogody, ujrzało komiczny obraz, bo każda z nich uczyniła pewne przygotowania do zabawy. Małgosia dodała jeden szereg papilotów nad czołem, Ludka obficie namaściła twarz kremem, Eliza wzięła ze sobą Joasię do łóżka, żeby jej wynagrodzić zbliżającą się rozłąkę, Amelka zaś prześcignęła wszystkie: ścisnęła sobie nos spinaczami, podobnymi do tych, jakich używają artyści do mocowania papieru na desce. Chciała bowiem w ten sposób podnieść w górę szpecący ją nos. Zdaje się, że słońce bawiło się tym śmiesznym widokiem, bo wniknęło z takim blaskiem, że Ludka ocknęła się i obudziła siostry, śmiejąc się serdecznie z pomysłu Amelki.

Promienie słoneczne i śmiech były dobrymi wróżbami dla wycieczki i wkrótce w obu domach rozpoczął się wesóły ruch. Eliza, która pierwsza była gotowa, donosiła, co się dzieje w sąsiedniej bramie, a jej telegramy, przesyłane od okna, uprzyjemniały siostrom czas ubierania się.

— Idzie człowiek z namiotem — mówiła. — Pani Barkes układa przekąski w dużych koszykach, Pan Laurence przygląda się niebu i chorągiewce. Chciałabym, żeby się wybrał z nami. Teraz pokazał się Artur, wygląda jak marynarz, jaki ładny chłopiec! Ach, mój Boże! Jakiś powóz pełen gości! Siedzi w nim dorosła panna, dziewczynka i dwóch dużych chłopców. Jeden z nich kaleka, biedak, bierze kule! Artur nam o tym nie mówił. Spieszcie

Strój

Pocałunek

się, dziewczęta! Już późno! Jak to, Ned Moffat, doprawdy! Patrz, Małgosiu, czy to nie ten sam co się uklonił, jakeśmy dziś chodzili po sprawunki?

— Tak, dziwne, że on też będzie. Myślałam, że pojechał w góry. Otóż i Salusia! Cieszę się, że wróciła na czas. Czy się dobrze ubrałam? — spytała Małgosia z pośpiechem.

— Prawdziwa z ciebie stokrotka. Podciągnij trochę sukienkę i załóż prosto kapelusz, bo wygląda sentymentalnie przekrzywiony w ten sposób i gotów polecieć w górę za pierwszym powiewem wiatru. Chodźcie już!

— Ludko, przecież nie włożysz tego szkaradnego kapelusza. To zbyt niedorzeczne! Nie możesz z siebie robić straszdyła — przekonywała Małgosia, widząc, że siostra przywiązuje czerwoną wstążką wielki, staroświecki słomkowy kapelusz, który Artur przysłał dla żartu.

— Właśnie, że załóż! Jest doskonały, daje tyle cienia, jest taki lekki i duży! Mniejsza o to, że wyglądam jak straszdyło, kiedy mi będzie wygodnie.

Powiedziawszy to, Ludka ruszyła naprzód, a siostry w ślad za nią. Wszystkie ładnie wyglądały w lekkich sukienkach, z wesołymi twarzyczkami pod rondami kapeluszy.

Artur wybiegł na spotkanie i uprzejmie przedstawił im gości. Łąka służyła im za salon i od kilku minut panowało tam wielkie ożywienie. Małgosia była zadowolona, że miss Katarzyna, mając lat dwadzieścia, ubrała się jednak tak skromnie, że amerykańskie panny mogłyby z niej brać wzór. Bardzo jej też pochlebilo zapewnienie pana Neda, że przybył specjalnie po to, żeby ją zobaczyć.

Ludka zrozumiała, czemu Artur zaciskał usta, mówiąc o Kasi, miała bowiem minę: „Nie zbliżaj się do mnie!”, co silnie kontrastowało ze swobodnym zachowaniem się innych dziewcząt. Eliza, przyjrawszy się nowym chłopcom, zdecydowała, że ten chromy wcale nie jest „okropny”, owszem miły i słaby, więc będzie dla niego uprzejma. Gracja wydała się Amelce osobką dobrze ułożoną i wesołą; wpatrywały się w siebie pewien czas w milczeniu i nagle zawiązały wielką przyjaźń.

Namiot, przekąska i sprzęt do krokieta<sup>76</sup> były już wysłane przodem, więc się gromadka prędko wybrała i dwie łodzie odbiły razem od brzegu, a pan Laurence został nad rzeką, powiewając kapeluszem. Artur z Ludką wiosłowali na jednej łódce, pan Brooke i Ned na drugiej.

Śmieszny kapelusz Ludwisi zasłużył na wotum dziękczynne, oddał bowiem tę ogólną przysługę, że wywołując śmiech, przełamał lody zapoznawania się, sprawiał przyjemny wietrzyk, powiewając tam i z powrotem, gdy wiosłowała, i jak powiedziała, byłby w razie deszczu doskonałym parasolem dla całego towarzystwa. Kasia z pewnym zdziwieniem przyglądała się zachowaniu Ludki, zwłaszcza gdy upuściwszy wiosło, wykrzyknęła: „Krzysztofie Kolumbie!” lub gdy Artur zapytał: „Czy zrobiłem ci krzywdę, drogi kolego?”, nadepnął jej bowiem na nogę, zajmując jej miejsce przy wiosle. Ale przyjrawszy się parę razy przez szkło „tej osobliwej dziewczynie”, zawyrokowała, że wprawdzie jest dziwaczna, ale ją bawi, i uśmiechała się potem do niej z daleka.

Małgosia siedziała w drugiej łodzi, naprzeciw wiosłarzy, którzy wpatrywali się w nią z uwielbieniem, bardzo zręcznie wiosłując. Pan Brooke, poważny, milczący młodzieniec, miał pięknie ciemne oczy i przyjemny głos. Małgosia lubiła jego spokojne maniery i uważała go za encyklopedię pożytecznych wiadomości. Niewiele do niej mówił, ale często się w nią wpatrywał, i była pewna, że czyni to bez niechęci. Ned, będący w kolegium, jak każdy nowicjusz przejął naturalnie miejscowe zwyczaje. Nie był zbyt rozumny, ale poczciwy, wesoły i urządzał wyborne pikniki. Salusie Gardiner pochłaniało czuwanie nad białą pikową suknią i rozmowa z ruchliwym Fredem, którego figle wprawiały Elizę w ciągły strach.

Do celu nie było daleko, a jednak przybywszy, zastali namiot już rozstawiony i wszystko gotowe. Była tam ładna łąka, po środku rozłożyste dęby i równy kawałek ziemi przeznaczony na krokieta.

— Witam was w obozie Laurence'a! — rzekł młody gospodarz, gdy wylądowali z okrzykami radości. — Brooke będzie naczelnym dowódcą, ja głównym intendentem<sup>77</sup>, reszta chłopców oficerami, a wy, moje panie, szeregowcami. Namiot służy wyłącznie do

<sup>76</sup>krokiet — gra, w której uderza się specjalnymi młotkami w drewnianą kulę, aby przeprowadzić ją przez bramki na drugi koniec boiska. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>intendent — pracownik administracyjny zajmujący się zaopatrzeniem i innymi sprawami gospodarczymi. [przypis edytorski]



waszego użytku. Pod jednym dębem będzie salon, pod drugim jadalnia, a pod trzecim kuchnia obozowa.

— Zagrajmy partię krokieta, póki nie gorąco, a potem pomyślimy o obiedzie.

Franek, Eliza, Amelka i Gracja usiedli, żeby się przyglądać grze. Pan Brooke wybrał Małgosię, Kasię i Freda, Artur Salusią, Neda i Ludkę. Anglicy grali dobrze, ale Amerykanie jeszcze lepiej i tak silnie bronili każdej piędzi ziemi, jak gdyby ich ożywiały duch roku siedemdziesiątego szóstego<sup>78</sup>. Ludka z Fredem mieli kilka małych utarczek, i nawet wyrwały im się raz ostre słowa. Ludka doszła do ostatniej bramki i nie trafiła w kulę, co ją mocno rozgniewało. Fred był tuż za nią i jego kolej wypadła przed jej. Wykonał uderzenie, kula uderzyła w bramkę i zatrzymała się o cal<sup>79</sup> po niewłaściwej stronie. Nikt nie stał w pobliżu, skorzystał więc z tego, pobiegł i ukradkiem przesunął ją nogą na właściwą stronę.

— Pobję cię teraz, panno Ludwiko, i wejść pierwszy — wykrzyknął wywijając młotkiem, by znowu uderzyć.

— Pchnąłeś kulę, widziałam. Teraz moja kolej — cierpko odezwała się Ludka.

— Daję słowo, że nie pchnąłem. Może się trochę potoczyła, ale to dozwolone, więc proszę mi ustąpić, żebym mógł celować do słupka.

— Amerykanie nie oszukują, ale ty możesz, jeżeli ci się podoba! — rzekła Ludka gniewnie.

— Jankesi to daleko więksi oszuści, każdy to wie. Odejdź stąd! — odpowiedział Fred, odpychając jej kulę.

Ludka otworzyła usta, by powiedzieć coś ostrego, ale się powstrzymała w porę, zarumieniła się po czoło i stała przez chwilę, tłukąc z całej siły w bramkę, podczas gdy Fred uderzył w słupek i z wielkim triumfem ogłosił swą wygraną. Ludka poszła podnieść swoją kulę. Długo szukała jej w krzakach, ale wróciła z chłodną, spokojną miną i cierpliwie czekała na swą kolej. Wystarczyło kilka uderzeń, żeby odzyskać stracone miejsce, i gdy tam dotarła, druga strona prawie wygrała, bo kula Kasi była przedostatnia i leżała blisko słupka.

— Na Jerzego, wygraliśmy! Żegnaj, Kasiu! Panna Ludwika winna mi jedną, więc skończyście! — wykrzyknął Fred z podnieceniem, gdy się wszyscy przysunęli, żeby się przyjrzeć, jaki będzie obrót gry.

— Jankesi mają zwyczaj zachowywać się szlachetnie w stosunku do swych nieprzyjaciół — rzekła Ludka z takim spojrzeniem, że się chłopiec zaczerwienił — zwłaszcza gdy ich pobiją — dodała i nie dotykając kuli Kasi, wygrała zręcznym uderzeniem.

Artur podrzucił w górę kapelusza, lecz przypomniawszy sobie, że nie wypada cieszyć się niepowodzeniem gości, powstrzymał się w połowie żartu i szepnął do przyjaciółki:

— Gratuluję, Ludko, widziałem, że oszukiwał. Wprawdzie nie można mu tego powiedzieć, ale daję ci słowo, że więcej sobie na to nie pozwoli!

Małgosia wzięła siostrę na bok pod pozorem upinania luźnego warkocza i rzekła z pochwałą:

— Strasznie cię prowokował, ale zachowałeś panowanie nad sobą, co mnie bardzo cieszy.

— Nie chwał mnie, bo niewiele brakowało, żebym mu dała policzek. Byłabym z pewnością wybuchła, gdybym nie powstała w zaroślach, póki mi się nie udało poskromić wściekłości na tyle, by powstrzymać język. Jeszcze cała się gotuję i wołałabym, żeby mi schodził z drogi — odrzekła Ludka i przygryzła wargi, zapalczywie spoglądając na Freda spod wielkiego kapelusza.

— Czas na przekąskę — odezwał się pan Brooke, patrząc na zegarek. — Intendencie, rozpal ogień i przynieś wody, a panna March, panna Salomea i ja nakryjemy stół. Kto umie robić dobrą kawę?

— Ludka — odrzekła Małgosia z zadowoleniem, że może polecić siostrę.

Ludka, pewna siebie po lekcjach gotowania, wzięła się za imbryczek. Dziewczynki poszły zbierać suche gałęzie, a chłopcy rozpalili ogień i przynieśli wody z pobliskiego

<sup>78</sup>*duch roku siedemdziesiątego szóstego* — nawiązanie do uchwalonej w 1776 roku Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych, dzięki której Amerykanie uzyskali niezależność od Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*cal* — dawna miara długości: 2,4 cm. [przypis edytorski]

źródła. Miss Katarzyna szkicowała, a Franek rozmawiał z Elizą, która wyplatała małe maty z sitowia, mające służyć za półmiski.

Naczelný wódz z pomocnikami wkrótce ustawili na przykrytym obrusem stole pełne pokarmy i napoje, pięknie ozdobione w zielone liście. Ludka oznajmiła, że kawa już gotowa, i wszyscy zasiedli do wesołej uczty, bo ruch rozwija apetyt w młodzieży. Było to bardzo ożywione śniadanie, wszystko bowiem wydawało się nowe, zabawne, i częste wybuchy śmiechu wystraszały sędziwego konia, pasącego się w pobliżu. Z powodu nierównych nóg u stołu szklankom i talerzom przytrafiały się nieszczęśliwe wypadki; żołądźcie wpadały do mleka, czarne mrówki, bynajmniej nieproszone, częstowały się chłodnikiem, a kosmate gąsienice spuszczały się z drzewa, żeby zobaczyć co się dzieje. Troje jasnowłosych dzieci zagłądało przez płot, a kłótlivy pies szczekał na nie z całej siły po drugiej stronie rzeki.

— Proszę, to sól, jeżeli chcesz — rzekł Artur, podając Ludce salaterkę z poziomkami.

— Dziękuję, wołę pająki — odparła, łowiąc dwa nierozważne, które znalazły śmierć w śmietance. — Jak śmiesz przypominać mi ten okropny obiad, kiedy twój tak się udał pod każdym względem — dodała i śmiejąc się, jedli we dwoje z jednego talerza, bo zabrakło porcelany.

— Dzisiejszy dzień jest dla mnie szczególnie miły, a jeszcze nie koniec przyjemności. Nie moja w tym zasługa, bo nic sam nie robię, tylko ty, Małgosia i Brooke umilacie czas, za co jestem nieskończenie wdzięczny. Co będziemy robić po jedzeniu? — zapytał.

— Możemy bawić się w gry, póki nie jest gorąco. Proponuję „autorów”, a miss Katarzyna pewnie zna coś nowego i zabawnego. Idź ją zapytać. Jest gościem, więc powinieneś więcej przy niej siedzieć.

— A czy ty nie jesteś gościem? Sądziłem, że spodoba się Brooke’owi, ale on cały czas rozmawia z Małgosią, a Kasia właśnie wpatruje się w nich przez te swoje śmieszne szkła. Pójdę, ale przestań prawić morały o przyzwoitości, bo nie powinnaś.

Miss Katarzyna istotnie знаła różne nowe gry i ponieważ dziewczęta nie chciały już jeść, a chłopcy nie mogli, zgromadzono się w pokoju bawialnym, żeby się bawić w „klepaninę”, co odbywa się w ten sposób, że ktoś zaczyna opowiadać cokolwiek i mówi, póki mu się podoba, dopiero w jakim znaczącym miejscu milknie nagle, a druga osoba podchwytuje słowo i opowiada dalej. To bardzo zabawne, jeśli dobrze idzie, robi się bowiem śmieszna mieszanina rzeczy komicznych i dramatycznych.

— Panie Brooke, proszę zacząć — rzekła Kasia z rozkazującym gestem, który zaskoczył Małgosię, bo ona traktowała nauczyciela z takim samym szacunkiem, jak każdego innego gentlemana.

Leżąc na trawie u nóg dwóch pańienek, pan Brooke posłusznie zaczął opowiadanie, wpatrzony pięknymi ciemnymi oczyma w połyskującą rzekę.

— Dawno, dawno temu pewien książę wyruszył się w świat, żeby szukać szczęścia, bo nic nie miał prócz miecza i tarczy. Podróżował długo, prawie dwadzieścia osiem lat, i ciężkie chwile przeżywał, aż nareszcie trafił na pałac dobrego i starego króla, który obiecał nagrodę temu, kto zdoła ujeździć jego ulubione źrebię, ładne, lecz krnąbrne. Książę zgodził się na odbycie próby i zaczął jeździć powoli, lecz śmiało. Dzielny rumak prędko pokochał swego pana, chociaż był kapryśny i dziki. Książę, dając codzienną lekcję ulubieńcowi króla, objeżdżał miasto i rozglądał się za piękną twarzą, którą widział nieraz we śnie, lecz nigdy na jawie. Pewnego dnia na jakiejś cichej ulicy w zrujnowanym zamku zobaczył w oknie te urocze rysy. Rozradowany, spytał, kto tam mieszka. Odpowiedziano, że kilka księżniczek uwięzionych czarami i że cały dzień przędą, żeby zebrać pieniądze i kupić sobie wolność. Książę gorąco zapragnął je wyzwolić, ale był ubogi i mógł tylko przejeżdżać co dzień, przyglądać się lubej twarzy i tęsknić za chwilą, kiedy ją zobaczy w blasku słonecznym. Nareszcie postanowił wejść do zamku i zapytać, w jaki sposób może im pomóc. Poszedł i zapukał... wielka brama otworzyła się na oścież i ujrzał...

— ...prześliczną damę, która wykrzyknęła z radością: „Nareszcie!” — ciągnęła dalej Kasia, czytana we francuskich romansach i rozmiłowana w ich stylu. — „To ona!”, zawołał hrabia Gustaw i padł jej do nóg w radosnym uniesieniu. „Ach, powstań!”, rzekła, wyciągając marmurowo białą rękę. „Nie wstanę, póki mi nie powiesz, w jaki sposób mogę cię uwolnić”, przysięgał książę, klęcząc ciągle. „Niestety, srogi los skazał mnie na to więzienie, póki mój tyran nie zostanie zgładzony ze świata”. „Gdzie jest ten nikkzemnik?”

Zabawa

„W błękitnej sali. Idź, zacny człowieku i wyrwij mnie z rozpacz”. „Odchodzę, wrócę zwycięski lub zginę”. Po tych przesywających słowach wybiegł i otwierając drzwi od błękitnej sali, już miał wejść, kiedy uderzył go...

— ...gruby leksykon grecki, którym rzucił w niego pewien jegomość w czarnym ubraniu — rzekł Ned. — Sir Jak-Mu-Tam natychmiast doszedł do siebie, wyrzucił tyrana przez okno i powrócił do damy z triumfem, lecz i z guzem na czole. Zastawszy drzwi zamknięte, podał firanki na pasy, zrobił z nich drabinę, zszedł do połowy, ale drabina pękła i padł głową w rów głęboki na sześćdziesiąt stóp. Ponieważ pływał jak kaczka, okrążył zamek, aż dotarł do furtki, strzeżonej przez dwóch wielkich drabów. Uderzył ich głowami o siebie, aż pękły jak orzechy, potem niewielkim wysiłkiem swych olbrzymich sił wyłamał drzwi, wszedł na kilka kamiennych schodów pokrytych gęstym kurzem, ropuchami dużymi jak pięść i pajęczyną, która przyprawiła by pannę March o konwulsyjny strach. Na szczycie schodów uderzył go widok, który mu zatamował oddech i ściął krew.

— Była to wielka postać w bieli, z zasłoną na twarzy i z lampą w wychudłej ręce — mówiła dalej Małgosia. — Skinęła głową, przesunawszy się przed nim cicho po korytarzu ciemnym i zimnym jak grób. Ponure postacie w zbrojach stały z jednej i z drugiej strony wśród śmiertelnej ciszy i przy płomieniach jednej lampy, a upiór ciągle się zwracał ku niemu, ukazując blask strasznych oczu przez białą zasłonę. Doszli do zasłoniętych drzwi, za którymi brzmiała przyjemna muzyka. Skoczył naprzód, żeby wejść, lecz widmo, pchnawszy go w tył, groźnie potrząsało...

— ...tabakierką — rzekła Ludka grobowym głosem, który przeraził słuchaczy. — „Dziękuję ci”, grzecznie powiedział książę, biorąc niuch tabaki i kichnął siedem razy tak gwałtownie, że mu głowa odpadła. „Ha, ha!”, roześmiał się duch, spojrzawszy przez dziurkę od klucza na księżniczkę, przedającą ciągle, żeby wykupić drogie życie. Szatan chwycił swą ofiarę i włożył ją do wielkiej cynowej skrzyni, gdzie już było jedenastu książąt upakowanych bez głów, jak sardynki. Powstali oni wszyscy i...

— ...rozpoczęli taniec angielski — wtrącił się Fred, gdy Ludka przerwała, żeby zaczerpnąć tchu — a kiedy tańczyli, zniszczony, stary zamek przemienił się we fregatę pod pełnymi żaglami. „Zrefować foka, uzbroić działa!”, zawołał kapitan, ujrawszy portugalski statek piratów z powiewającą na maszcie flagą czarną jak atrament. „Naprzód, po zwycięstwo!”, krzyknął znowu kapitan i rozpoczęła się okropna bitwa. Ma się rozumieć, że Brytyjczyk zwyciężył, bo oni zawsze biorą górę, a wzięwszy do niewoli kapitana piratów, podpłynął do szkunera, którego pokład był pokryty ciałami i spływał krwią, bo rozkaz brzmiał: „Na noże i bądźcie twardzi!”. „Bosmanie, weź kawał tego łopoczącego foka i zastraszc złoczyńcę, jeżeli się nie wypowiada prędko z grzechów!”, rzekł kapitan. Portugalka poprowadzono po desce, ale chytry pies zanurkował pod fregatą, przedziurawił ją i pod pełnymi żaglami poszła na dno morza, morza, morza, gdzie...

— Ach, mój Boże, co ja powiem? — wykrzyknęła Salusia, gdy Fred skończył swą „klepaninę”, w której pomieszał marynarskie wyrażenia i fakty wzięte z ulubionej książki. — Poszli więc na dno, gdzie zostali przyjęci przez miłą rusalkę, ale się bardzo zmartwiła, znalazłszy skrzynię z książętami bez głów. Przejęta litością, zamarynowała ich w wodzie morskiej, spodziewając się, że odkryje związaną z nimi tajemnicę, gdyż jako kobieta była ciekawa. Wkrótce zszedł na dno nurek, a rusalka powiedziała: „Dam ci tę skrzynię pereł, jeżeli ją wyniesiesz na powierzchnię morza”, chciała bowiem przywrócić do życia tych biedaków, a nie mogła sama podnieść tak wielkiego ciężaru. Nurek wydobył skrzynię z głębin i bardzo się zawiodł, bo otworzywszy, nie znalazł pereł. Zostawił ją na wielkim, pustym polu, gdzie została znaleziona przez...

— ...małą gęsiarkę, która pasła stado tłustych gęsi na polu — rzekła Amelka, gdy Salusi skończyły się już pomysły. — Małej dziewczynce żal się ich zrobiło i zapytała pewnej staruszki, w jaki sposób mogłaby ich wskrziesić. „Twoje gęsi ci to powiedzą”, odparła stara. Zapytała je zatem, z czego ma zrobić nowe głowy w miejsce utraconych, a całe stado, otworzywszy dzioby, krzyknęło...

— „Z kapusty!” — prędko dopowiedział Artur. — „Dobra myśl!”, odparła dziewczynka i pobiegła do ogrodu po tuzin pięknych sztuk. Gdy tylko je przyłożyła, książęta zaraz ożyli, podziękowali, ruszyli w drogę z radością i nigdy się nie dowiedzieli o zamianie, bo tak wiele było podobnych głów na świecie, że nie zwracali uwagi. Nasz książę wrócił szukać pięknej damy i dowiedział, że księżniczki wyprzedły sobie wolność i wszyst-

kie prócz jednej wyszły za mąż. Wsiadł na źrebaka, który go nie odstępował w szczęściu i nieszczęściu, i podążył do zamku, żeby się przekonać, która pozostała. Zaglądając przez żywopłot, zobaczył królową swych uczuć, zrywającą kwiaty w ogrodzie. „Czy dasz mi pani różę?”, zapytał. „Musisz wejść i sam ją wziąć. Nie mogę pójść do ciebie, bo to byłoby nieprzyzwoite”, rzekła z miodową słodyczą. Próbował się wspiąć na żywopłot, który zdawał się rosnać coraz wyżej i wyżej. Rozpacz go ogarniała, lecz cierpliwie odłamywał gałązkę po gałązce, aż wreszcie zrobił mały otwór, przez który zajrzał, mówiąc błagalnie: „Wpuść mnie, wpuść!”, lecz piękna księżniczka zdawała się nie rozumieć, bo spokojnie rwała różę, zostawiając go samego, by wywalczył sobie drogę. Czy się ta praca powiodła, opowie nam Franek.

— Nie mogę, nie gram, ja nigdy nie gram — powiedział Franek, nie mając ochoty wyprowadzać tej niedorzecznej pary z tak sentymentalnego położenia. Eliza schowała się za Ludkę, a Gracja usnęła.

— A więc biedny książę skazany jest na utknięcie w żywopłocie, nieprawdaz? — zapytał pan Brooke, który patrzył ciągle na rzekę, bawiąc się dziką różą zatkniętą w butonierkę<sup>80</sup>.

— Domyślam się, że księżniczka dała mu bukiet i otworzyła furtkę po jakimś czasie — powiedział Artur, uśmiechając się do siebie, i rzucił żołędziem w swego nauczyciela.

— Jakie brednie pletliśmy! Przy wprawie można by stworzyć coś dobrego. Czy znacie „prawdę”? — zapytała Salusia, gdy się uśmiechali ze swej powieści.

— Tak mi się zdaje — rzekła Małgosia.

— Zapewne mówisz o grze?

— Co to jest? — zapytał Fred.

— Każde z was wybierze jakąś liczbę. Włożycie wszyscy ręce do koszyka z numerami i po kolei będziecie je wyciągać. Komu dostanie się wybrany przez niego numer, ten będzie musiał odpowiadać prawdziwie na pytania reszty towarzystwa. To bardzo zabawne!

— Spróbujmy! — rzekła Ludka, lubiąca wszelkie nowości.

Miss Katarzyna i pan Brooke, Małgosia, Ludka i Artur ułożyli ręce piramidalnie i ciągnęli. Los padł na Artura.

— Kto są twoi bohaterowie? — spytała Ludka.

— Mój dziadek i Napoleon.

— Która dama wydaje ci się najpiękniejsza? — rzekła Salusia.

— Małgorzata.

— Którą najbardziej kochasz? — spytał Fred.

— Ma się rozumieć, że Ludkę.

— Jakie niedorzeczne pytania zadajecie — wykrzyknęła Ludka, wzgardliwie wzruszając ramionami, gdy inni śmieli się ze stanowczego tonu Artura.

— Próbujmy jeszcze, „prawda” jest niezłą grą — rzekł Fred.

— Bardzo dobra dla ciebie — z cicha odparła Ludka.

Następnie na nią przysła kolej.

— Jaką masz największą wadę? — spytał Fred.

— Żywy temperament.

— Czego sobie najbardziej życzysz? — rzekł Artur.

— Pary sznurowadeł — odparła, chcąc zniweczyć cel, który odgadywała.

— To nieszczera odpowiedź, musisz wyznać, czego sobie życzysz.

— Geniuszu, czy nie chciałbyś mi go dać czasem? — rzekła z figlarnym uśmiechem, widząc zawód na jego twarzy.

— Jakie cnoty najbardziej cenisz w mężczyźnie?

— Odwagę i uczciwość.

— Teraz moja kolej — rzekł Fred, gdy na koniec wy dobył swą rękę.

— Odpląć mu się — szepnął Artur do Ludki, która skinęła głową i zapytała Freda:

— Czy oszukiwałeś w krokiecie?

— Trochę.

— Dobrze. Czy historia, którą opowiadałeś, nie jest wyjęta z *Morskiego lwa*?

<sup>80</sup>butonierka — dziurka od guzika w lewej klapie marynarki; do butonierki wkłada się niewielki żywy kwiat. [przypis edytorski]

— Po części.

— Czy nie sądzisz, że naród angielski jest doskonały pod każdym względem? — spytała Salusia.

— Wstyd by mi było nie uznawać tego!

— To prawdziwy John Bull<sup>81</sup>. Miss Salomeo, na ciebie teraz kolej. Obrażę cię zapytaniem, czy nie jesteś cokolwiek zalotna? — rzekł Artur, a Ludka skinęła głową Fredowi na znak zgody.

— Niegrzeczny chłopcze! Ma się rozumieć, że nie! — wykrzyknęła Salusia z minką dowodzącą, że rzecz ma się inaczej.

— Czego najbardziej nie cierpisz?

— Pająków i budyniu z ryżu.

— Co najbardziej lubisz?

— Taniec i francuskie rękawiczki.

— Zdaje mi się, że „prawda” jest bardzo głupią grą, zabawmy się w rozsądniejszych „autorów” dla odświeżenia umysłu — odezwała się Ludka.

Tym razem połączyli się Ned, Franek i małe dziewczynki, a starsi rozmawiali na osobności. Miss Katarzyna wzięła się znów za rysowanie, Małgosia się jej przyglądała, a pan Brooke leżał na trawie z książką, której nie czytał.

— Jak pani to pięknie robi, chciałabym umieć rysować — rzekła Małgosia głosem, w którym podziw mieszał się z żalem.

— Czemu się nie uczysz? Zdaje mi się, że miałabyś smak i zdolność — uprzejmie odparła miss Krystyna.

— Nie mam czasu.

— Zapewne mama woli, żebyś się oddawała innym naukom, tak samo jak i moja, ale ją przekonałam, że mam talent. Przez jakiś czas brałam lekcje potajemnie, a potem zgodziła się z chęcią, bym dalej pracowała. Czy nie mogłabyś tak zrobić ze swoją guwernantką<sup>82</sup>?

— Nie mam guwernantki.

— Zapomniałam, że w Ameryce panienki częściej pobierają naukę w szkołach niż u nas. Papa mówi, że tu są bardzo dobre. Zapewne chodzisz do prywatnej?

— Nigdzie nie chodzę, ja sama jestem guwernantką.

— Doprawdy! — odrzekła miss Katarzyna, ale takim tonem, jakby powiedziała: „Boże mój, jakież to straszne!”, i przybrała taki wyraz twarzy, że Małgosia zarumieniła się i pożałowała swej otwartości.

Pan Brooke podniósł oczy i rzekł:

— W Ameryce panienki tak kochają niezależność, jak ich prababki, i są wielbione i szanowane za to, że utrzymują się z własnej pracy.

— O tak, naturalnie! To bardzo ładnie i właściwie z ich strony. U nas także jest wiele poważnych i zacnych panien, które robią to samo i są poszukiwane przez domy z wyższego towarzystwa, bo jako córki gentlemanów są wykształcone i dobrze wychowane — rzekła miss Katarzyna protekcyjnym tonem.

Zraniło to dumę Małgosi i zdawało jej się, że przyjęte przez nią obowiązki są nie tylko przykre, ale nawet poniżające.

— Czy pannie March podobał się niemiecki poemat? — zapytał Brooke, przerywając krótkie milczenie.

— Bardzo ładny i wdzięczna jestem osobie, która go przetłumaczyła. — Przy tych słowach przygnębiona twarz Małgosi ożywiła się.

— Czy nie umiesz czytać po niemiecku? — spytała miss Katarzyna ze zdziwieniem.

— Nie bardzo dobrze. Mój ojciec, który mnie uczył, wyjechał, a sama nie mogę robić postępów, bo nie ma komu poprawiać wymowy.

— Spróbuj pani teraz, jest tu *Maria Stuart*<sup>83</sup> Schillera<sup>84</sup> i nauczyciel lubiący uczyć — rzekłszy to, pan Brooke położył jej książkę na kolanach z zachęcającym uśmiechem.

<sup>81</sup>*John Bull* — stereotypowa postać rzeczowego i porywczego Anglika. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*guwernantka* (daw.) — prywatna nauczycielka. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*Maria Stuart* — dramat Friedricha Schillera wydany po raz pierwszy w roku 1800 w języku niemieckim, ukazujący ostatnie dni przed śmiercią Marii I z dynastii Stuartów, królowej Szkotów. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*Schiller, Friedrich* (1759–1805) — niemiecki poeta, pisarz, historyk i filozof. [przypis edytorski]

— To tak trudne, boję się próbować — powiedziała Małgosia z wdzięcznością, ale oneśmiała ją obecność wykształconej panny.

— Przeczytam trochę, żeby ci dodać odwagi — odezwała się miss Katarzyna i przeczytała jeden z najpiękniejszych ustępów bardzo poprawnie, ale bez duszy.

Pan Brooke nie zrobił żadnej uwagi, gdy oddała książkę Małgosi, która powiedziała naiwnie:

— Myślałam, że to poezja.

— Miejscami są wiersze. Spróbuj tego fragmentu.

Dziwny uśmiech przeszedł po ustach pana Brooke'a, kiedy trafił na miejsce, gdzie biedna Maria lamentuje.

Małgosia podążając za długim źdźbłem trawy, której używał jej nowy nauczyciel do wskazywania, czytała wolno i nieśmiało, bezwiednie tworząc poezję z twardych słów miękkim dźwiękiem melodyjnego głosu. Zielona wskazówka dotarła do końca stronicy, a Małgosia, zapominając o swej słuchaczce pod wpływem uroku tej pięknej sceny, czytała jak gdyby dla siebie, nadając lekko tragiczny ton słowom nieszczęsnej królowej. Gdyby wówczas widziała ciemne oczy, umilkłaby zaraz, lecz nie spojrzała w górę ani razu i lekcja nie została niczym przerwana.

— Bardzo dobrze, doprawdy! — rzekł pan Brooke, gdy ucichła, nie wiedząc zupełnie o swych licznych pomyłkach, i z taką miną, jakby wierzyła, że istotnie „lubił uczyć”.

Miss Katarzyna przyłożyła szkło do oka i przyjrząwszy się temu obrazkowi, zamknęła album z rysunkami, łaskawie mówiąc:

— Masz ładny akcent i z czasem czytałabyś dobrze. Radzę ci się uczyć, gdyż język niemiecki cennym jest nabytkiem dla nauczycieli, ale muszę się obejrzyć za Gracją, bo okropnie dokazuje. — Po czym odeszła i wzruszając ramionami, rzekła w duchu: „Nie przyjechałam tu po to, żeby matkować guwernantce, chociaż jest młoda i ładna. Jacy dziwni ludzie z tych jankesów! Boję się, żeby nie zepsuli Artura”.

— Zapomniałam, że w Anglii odwracają się od guwernantek i nie obchodzą się tak z nimi jak u nas — rzekła Małgosia, patrząc za odchodzącą z niechętnym wyrazem twarzy.

— Nauczyciele mają tam nie mniej ciężkie życie, wiem o tym na nieszczęście. Najlepszym miejscem dla pracowników jest Ameryka, miss Małgorzato! — mówiąc to, miał twarz tak zadowoloną i pogodną, że Małgosia zawstydzila się, iż ubolewa nad swym twardego losem.

— Kiedy tak, to się cieszę, że mi tu dano żyć. Nie lubię swoich obowiązków, ale mam poza nimi bardzo wiele przyjemności, więc przestanę narzekać. Chciałabym tylko uczyć z takim upodobaniem jak pan.

— Sądzę, że pani miałabyś je także, gdyby Artur był twym uczniem. Z wielką przykrością utracę go na przyszły rok — powiedział, pilnie wierząc dziury w darni.

— Zapewne wstąpi do kolegium? — zapytała ustami, oczy zaś dodały: „A co się stanie z panem?”

— Tak, najwyższy czas, bo już jest prawie gotowy, a jak tylko odejdzie, wstąpię do wojska.

— Ciesz się mnie to! — wykrzyknęła Małgosia. — Moim zdaniem każdy młodzieniec powinien tego chcieć, chociaż ciężko jest matkom i siostrom zostającym w domu — dodała ze smutkiem.

— Ja nie mam wcale rodziny, a bardzo mało przyjaciół, którzy by dbali, czy żyję, czy umarłem — rzekł Brooke z pewną goryczą. Przez roztargnienie włożył zwiędłą różę w dołek i przykrył go niczym mały grób.

— Artur i jego dziadek bardzo by dbali, i my wszyscy zmartwilibyśmy się, gdyby się panu coś złego stało — odrzekła serdecznie.

— Dziękuję pani, to bardzo miłe — odezwał się Brooke wypogadzając znowu twarz, ale zanim dokończył zdanie, nadjechał Ned na starym koniu, by się popisać przed panienkami, i nie było już spokojnej chwili do rozmowy.

— Lubisz jazdę konną? — zapytała Gracja Amelki, gdy wypoczywały po wyścigach wokół łąki prowadzonych przez Neda.

— Szalenie! Moja siostra Małgosia jeździła konno, jak papa był bogaty, ale teraz nie mamy koni, prócz Heleny Drzewo — powiedziała Amelka ze śmiechem.

— Co to za Helena Drzewo, czy to osiołek? — spytała Gracja ciekawie.

Nauczyciel

Rodzina

— Widzisz, Ludka przepada za końmi, ja także, ale mamy tylko stare damskie siodło, a konia ani jednego. W naszym ogrodzie jest jabłoń z nisko rosnącą gałęzią, więc kładę na niej siodło, przyczepiam cugle w miejscu, gdzie się zagina w górę, i pędzimy, gdzie się nam podoba.

— Jakie to zabawne! — rzekła ze śmiechem Gracja. — Ja mam kucyka w domu, jeżdżę prawie co dzień po parku z Fredem i Kasią. Jest bardzo miło, bo i nasze przyjaciółki się przyłączają, więc jest szereg dam i panów.

— Mój Boże, jakież to śliczne! Mam nadzieję, że pojedę kiedyś za granicę, ale wolałbym widzieć Rzym niż szereg — rzekła Amelka, która nie miała najmniejszego pojęcia, co to jest szereg, a za nic w świecie nie chciałyby się spytać.

Franek, siedzący tuż za dziewczynkami, słyszał ich rozmowę i odrzucił niecierpliwie kulę, widząc różne sztuczki gimnastyczne żwawych chłopaków.

Eliza, która zbierała rozrzucone kartki „autorów”, podniosła oczy i rzekła nieśmiało, lecz przyjaźnie:

— Obawiam się, że jesteś zmęczony, mogę ci się czymś przysłużyć?

— Porozmawiaj ze mną, jeżeliś tak dobra. Nudno mi siedzieć samemu — odpowiedział Franek, widocznie przyzwyczajony, że się nim bardzo zajmowano w domu.

Gdyby prosił o łacińską orację<sup>85</sup>, lęklivej Elizie nie wydałoby się to trudniejszym zadaniem, ale nie miała gdzie uciec, nie było w pobliżu Ludki, żeby się za nią schować, a biedny chłopiec patrzył tak smutno, że odważnie postanowiła spróbować.

— O czym lubisz rozmawiać? — zapytała, zbierając kartki, i upuściła połowę, chcąc je związać razem.

— Lubię słuchać o pływaniu statkiem, o polowaniach — rzekł Franek, który się jeszcze nie nauczył dopasowywać rozrywek do swych sił.

„Co tu robić, dla mnie to wszystko obce” — myślała Eliza i zapominając w tym kłopotcie o kalectwie chłopca, rzekła w nadziei, że go rozrusza: — Nigdy nie byłam na polowaniu, ale ty musiałeś je nieraz widzieć.

— Kiedyś tak, ale już nigdy nie będę polował, bo się połamałem, przeskakując przekłętą barierę o pięciu szczeblach. Już nie istnieją dla mnie konie ani psy gończe — rzekł z westchnieniem, a Eliza zniechęciła się do mimowolnej nieuwagi.

— Wasze jelenie są dużo piękniejsze od naszych brzydkich bawołów — powiedziała, szukając ratunku na łące i w ulubionej książce Ludki, napisanej dla chłopców.

Wzmianka o bawołach ożywiła rozmowę i Eliza, chcąc rozerwać biedaka, zapomniała o sobie tak dalece, że nie widziała, jak siostry cieszą się i dziwią tym niezwykle widokiem, że rozmawia z jednym ze starszych chłopców, przeciw którym prosiła o opiekę.

— Pocziwe serce, z litości zajmuje się nim! — powiedziała Ludka, spoglądając na nią z placu, gdzie grano w krokieta.

— Zawsze mówiłam, że to mała święta — odrzekła Małgosia takim tonem, jakby to nie ulegało wątpliwości.

— Dawno nie słyszałam Franka śmiejącego się tak dużo — powiedziała Gracja do Amelki, gdy rozmawiały o lalkach i robiły z żółdziowych czapeczek filiżanki do herbaty.

— Moja siostra Eliza ma dużo dowcipu, jak jej przyjdzie humor — powiedziała Amelka ucieszona jej powodzeniem.

Zaimprovizowany cyrk, lis i gęsi oraz przyjacielska gra w krokieta uwieńczyły popołudnie. O zachodzie słońca namiot został rozebrany, kosze upakowane, bramki wykopane z ziemi, łodzie załadowane i nasza gromadka popłynęła, śpiewając na całe gardło. Ned zrobił się sentymentalny i zaśpiewał serenadę z melancholijną zwrotką:

Bolesny ciężar duszę mą przygniata,  
Jestem samotny wśród całego świata.

A przy słowach:

Dlaczegoż, kiedy w sercach wrą uczuć płomienie,  
Los okrutny skazuje nas na oddalenie!

<sup>85</sup>oracja — przemowa. [przypis edytorski]

spoglądał na Małgorzatę z tak rozmarzoną twarzą, że roześmiała się wreszcie na cały głos i przerwała mu pieśń.

— Jak możesz być dla mnie tak okrutna? — szepnął pod osłoną wesołego chóru. — Trzymałaś się cały dzień tej wykrochmalonej Angielki, a teraz szydzisz ze mnie.

— Wcale nie miałam takiego zamiaru, ale wyglądałaś tak zabawnie, że doprawdy nie mogłam się powstrzymać — odparła Małgosia, pomijając pierwszą część wymówki, gdyż istotnie unikała go, pamiętając zabawę w domu państwa Moffat i rozmowę po niej.

Ned obraził się i szukał pociechy u Salusi.

— Prawda, że nie ma ani odrobiny zalotności w tej pannie? — rzekł trochę gburowato.

— Ani trochę, ale milutka — odpowiedziała, broniąc przyjaciółki, chociaż przyznała, że ma tę wadę.

— Nie jest rannym łosiem<sup>86</sup>, w każdym razie — mówił dalej Ned, usiłując być dowcipny, a tak mu się powiodło, jak się zwykle zdarza bardzo młodym ludziom.

Na tej samej łące, gdzie się zebrano rano, rozeszło się to małe grono po serdecznym życzeniu dobrej nocy i pożegnaniu, bo rodzina Vaughan udawała się do Kanady. Gdy nasze panienki szły do domu przez ogród, miss Katarzyna, śledząc je wzrokiem, rzekła głosem pozbawionym protekcyjnego tonu:

— Amerykańskie panny są bardzo miłe przy bliższym poznaniu, chociaż mają rażące zachowanie.

— Zupełnie się z panią zgadzam — odezwał się pan Brooke.

### ROZDZIAŁ XIII. ZAMKI NA ŁODZIE

W pewien gorący czerwcowy dzień Artur kołysał się rozkosznie w hamaku. Brała go ciekawość, co robią sąsiadki, ale przez lenistwo nie poszedł się dowiedzieć. Miał bardzo zły humor, zmarnował bowiem dzień i chciałby go przeżyć na nowo. Upał czynił go ociężałym, więc niedbale odbył lekcję, wymęczył pana Brooke'a, rozgniewał dziadka kilkugodzinnymi ćwiczeniami na fortepianie, wystraszył służącą pomysłem, że pies się wściekł, wyłajał stajennego za urojone zaniedbanie konia, potem rzucił się na hamak, żeby rozmyślać nad głupotą całego świata — i nareszcie, wśród ciszy tego pięknego dnia, uspokoił się wbrew sobie. Patrząc na zielone głębie indyjskiego kasztana, zwieszającego nad nim gałęzie, marzył o różnych rzeczach, i właśnie wyobrażał sobie, że przebywa ocean w podróży naokoło świata, kiedy posłyszane głosy sprowadziły go na ziemię. Wyrzawszy przez oko siatki, zobaczył panny March ubrane jak na dalszą wycieczkę.

„Co one zamierzają robić?” — pomyślał, otwierając szeroko oczy, żeby się przyjrzeć, bowiem wyglądały szczególnie. Każda miała kapelusz z wielkimi skrzydłami, ciemny płócienny płaszcz i w ręku kij. Małgosia niosła poduszkę, Ludka książkę, Eliza koszyczek, Amelka tekę. Przeszły spokojnie przez ogród, wymknęły się boczną furtką i zaczęły wchodzić na pagórek dzielący dom od rzeki.

„Pięknie! — pomyślał Artur. — Urządzają piknik, a mnie nie proszą! Łodzią popłynąć nie mogą, bo nie wzięły klucza. Może zapomniały? Zaniosę go i dowiem się, co to wszystko znaczy”.

Sporo czasu upłynęło, zanim znalazł kapelusz, chociaż ich miał pół tuzina; potem znowu polował na klucz, który miał u siebie w kieszeni — i dziewczęta znikły, nim przeskoczył ogrodzenie i udał się w pogoń. Wybrawszy krótszą drogę do łodzi, czekał, żeby się ukazały, a gdy żadna nie przyszła, wszedł na szczyt pagórka, by się stamtąd rozejrzeć. Gaj sosnowy zasłaniał część widoku, lecz z zieleni dochodził dźwięk wyraźniejszy od słabego westchnienia sosen i sennego ćwierkania świerszczy.

„To mi widok!” — pomyślał Artur, zaglądając przez krzaki, całkiem rozbudzony i odzyskawszy już dobry humor.

Był to rzeczywiście ładny obrazek, bo dziewczynki siedziały ukryte wśród drzew, słońce i cienie migotały nad głowami, wonny wietrzyk rozwiewał ich włosy i chłodził rozpalone policzki, a mieszkańcy lasu swobodnie oddawali się swym sprawom, nie uciekając

<sup>86</sup> *Nie jest rannym łosiem* — odniesienie do znanych słów z dramatu Szekspira: „Niech ryczy z bólu ranny łos, / Zwierz zdrów przebiega knieje, / Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś. / To są zwyczajne dzieje” (*Hamlet*, akt III, scena 2, tłum. J. Paszkowski), wypowiedzianych przez Hamleta, kiedy sam uważany za szalonego, skutecznie sprowokował stryja-bratobójcę do gwałtownej reakcji na sceniczną aluzję do jego zbrodni i uciezki do swych komnat. [przypis edytorski]



od starych przyjaciółek. Małgosia siedziała na poduszce, szyjąc pilnie białymi rączkami, i w różowej sukience pośród zieleni wyglądała jak śliczna, świeża róża. Eliza wyrabiała z szyszek różne ładne rzeczy, Amelka rysowała grupę paproci, a Ludka robiła pończochę, czytając głośno.

Spojrząwszy, chłopiec zachmurzył się, czuł bowiem, że mu nie wypada pójść do nich bez zaproszenia. Wahał się jednak, bo w domu było tak pusto, a to spokojne grono, siedzące wśród drzew, bardzo nęciło jego skolataną duszę. Stał tak cicho, że wiewiórka, która zajęta swymi zbiorami, zbiegła z sosny, zobaczyła go nagle i wskoczyła na powrót krzycząc tak przeraźliwie, że Amelka spojrzała w górę, spostrzegła smutną twarz za gałęziami i ukloniła się z uśmiechem, który mu dodał otuchy.

— Czy mogę do was przyjść? Nie będę przeszkadzał? — zapytał Artur, zbliżając się powoli.

Małgosia podniosła brwi, ale Ludka zmarszczyła się groźnie i rzekła prędko:

— Naturalnie, że możesz, byłybyśmy cię zaprosiły od razu, ale sądziłyśmy, że cię nie obchodzi takie dziewczęce rozrywki.

— Lubię wasze rozrywki, ale odejdę, jeżeli Małgosia mnie nie chce.

— Nie mam nic przeciw temu, jeżeli też się czymś zajmiesz, bo tutejsze przepisy nie pozwalają próżnować — odparła z powagą, lecz uprzejmie.

— Bardzo jestem wdzięczny i będę robił, co zechcecie, bylebym tylko mógł tu zostać choć na chwilę, bo na dole jest nudno jak na Saharze. Mam szyć, czytać, zbierać szyszki, rysować, czy robić to wszystko naraz? Włóżcie na mnie swe brzemiona, wyręczę was chętnie — mówiąc to, usiadł z tak pokorną minką, że je rozśmieszył.

— Dokończ powieść, a ja zrobię piętę — rzekła Ludka, podając mu książkę.

— Dobrze — odpowiedział pokornie i starał się czytać jak najlepiej, odwdzięczając się za przyjęcie do „Towarzystwa Pracowitych Pszczółek”. Powieść nie była długa, a gdy ją skończył, w nagrodę ośmielił się zadać parę pytań.

— Czy mogę zapytać, czy ta wysoce pouczająca, czarująca instytucja jest nowa?

— Powiecie mu? — odezwała się Małgosia do siostr.

— Będzie się śmiał — przestrzegła Amelka.

— Kogo to obchodzi? — rzekła Ludka.

— Mnie się zdaje, że może mu się to podobać — dodała Eliza.

— Naturalnie! Daję wam słowo, że nie będę się śmiał. Powiedz, Ludko, nie bój się.

— Skąd ci przyszło do głowy, że bym się ciebie bała! Widzisz, bawimy się w „pielgrzymki” i nie przestawałyśmy całą zimę i całe lato.

— Wiem — rzekł Artur z poważnym skinieniem głowy.

— Kto ci powiedział? — spytała Ludka.

— Duchy.

— Nie, to ja. Chciałam go rozerwać jednego wieczoru, kiedy był trochę smutny, a was nie było w domu, i podobał mu się ten pomysł, więc nie beształ, Ludko — powiedziała pokornie Eliza.

— Nie umiesz dochować tajemnicy, ale mniejsza o to, będzie teraz mniej kłopotu.

— Dopowiedz resztę, proszę cię — rzekł Artur, gdy z trochę niezadowoloną minką zajęła się robotą.

— Czy nie mówiła ci o nowym planie? Otóż, aby nie marnować wakacji, postanowiliśmy, że każda wybierze sobie jakąś pracę. Wakacje już prawie skończone, zadania prawie osiągnięte, a my zadowolone, że czas nie upłynął nam na ziewaniu.

— Rozumiem — rzekł Artur i smutno zamyślił się nad swoim próżniactwem.

— Mama lubi, żebyśmy przebywały jak najwięcej na świeżym powietrzu, więc przynosimy tu robotę i bawimy się doskonale. Dla żartu ładujemy prace w worki, bierzemy stare kapelusze i kije do wspinania się na pagórek i odgrywamy role pielgrzymek, jak przed laty. To miejsce nazywa się „Rozkoszną Górą”, bo można daleko sięgać okiem i widzieć okolicę, gdzie się spodziewamy kiedyś mieszkać — rzekła Ludka, wskazując palcem.

Artur usiadł, żeby się przyjrzeć, i przez lukę między drzewami ujrzał szeroko rozlaną, niebieskawą rzekę po drugiej stronie łąki, dalej zarysy wielkiego miasta i zielone góry, sięgające niebios. Słońce zachodziło, obłoki czerwieniły się od jego jesiennych blasków, złociste i purpurowe obłoki opierały się na szczytach gór, a srebrzyste wierzchołki,

wznoszące się wysoko w jaskrawym świetle, błyszcząły jakby napowietrzne szczyty niebiańskiego grodu.

— Jakie to cudowne — rzekł Artur cicho, bo był wrażliwy na wszelkie piękno.

— Często tak bywa i z przyjemnością się przyglądamy, bo widok nigdy się nie powtarza, a zawsze jest wspaniały — odpowiedziała Amelka, żałując, że nie potrafi tego narysować.

— Ludka mówi o tej wsi, gdzie mamy nadzieję kiedyś mieszkać, o prawdziwej wsi, z krowami, kurczętami i sianozbiorem. To byłoby miłe! Ale chciałabym, żeby się już stało rzeczywistością i żebyśmy mogły tam jeździć — powiedziała Eliza w zamyśleniu.

— Jest jeszcze piękniejsze miejsce, gdzie udamy się kiedyś, jak na to zasłużymy — odpowiedziała Małgosia słodkim głosem.

— Tak długo trzeba na to czekać, tak ciężko pracować! Ja bym chciała wlecieć zaraz, jak te jaskółki, i wejść w te wspaniałe podwoje.

— Wejdiesz tam, Elizo, prędzej czy później, nie bój się — powiedziała Ludka. — Co do mnie, wołałabym walczyć, pracować, mozolić się i czekać, a nawet nigdy się tam nie dostać.

— Miałabyś we mnie towarzysza, jeżelibyś chciała, bo muszę odbyć dużo podróży, zanim przybędę do waszego niebieskiego grodu. Jeżeli się spóźnię, to powiesz za mną dobre słowo, Elizo, zgoda?

Mówił to z takim wyrazem twarzy, że jego mała przyjaciółka zaniepokoiła się. Rzekła jednak wesoło, patrząc spokojnym okiem na zmieniające się obłoki:

— Jak ktoś szczerze chce, to niezawodnie się tam dostanie. Nie przypuszczam, żeby zamykano te podwoje lub strzeżono tych bram.

— Czy to nie byłoby zabawne, gdyby nasze zamki na lodzie stały się rzeczywistością i gdybyśmy mogli w nich mieszkać? — rzekła Ludka po krótkim milczeniu.

— Ja ich tak wiele narobiłem, że byłby trudny wybór — powiedział Artur. Leżał na wznak i rzucał szyszkami w wiewiórkę, która go zdradziła.

— Zająłbyś swój najbardziej ulubiony. Jaki on jest? — spytała Małgosia.

— Jeżeli powiem, czy będziesz równie szczerą?

— Dobrze, ale niech i dziewczęta opiszą swoje.

— I owszem. Mów Arturze.

— Jak się już dosyć napatrzę świata, chciałbym się osiedlić w Niemczech, słuchać do syta muzyki i zostać sławnym artystą, żeby wszystko, co żyje, tłoczyło się, by mnie usłyszeć. Nie zajmowałyby mnie nigdy pieniądze, interesy, bawiłbym się tylko i żył, jak by chciał. Oto mój ulubiony zamek. A twój, Małgosiu?

Małgorzacie widocznie zdawało się trudne powiedzieć, co ma w duszy. Zasłoniła twarz gałązką paproci, jak gdyby dla odpędzenia urojonych komarów, i mówiła z wolna:

— Chciałabym mieszkać w ładnym, wykwintnym domu, mieć smaczne jedzenie, piękne suknie, śliczne meble, miłych gości i dużo pieniędzy. Chciałabym panować, rządzić według woli i mieć liczną służbę, żeby nigdy nic nie robić. Jakżebym tego używała! Ale nie byłabym próżniaczką, spełniałabym dobre uczynki i sprawiała, że wszyscy by mnie kochali.

— Czy nie chciałabyś mieć gospodarza w tym zamku na lodzie? — zapytał Artur figlarnie.

— Przecież mówiłam, że chcę miłych gości — powiedziała, pilnie zawiązując trzewik, żeby nikt nie widział jej twarzy.

— Czemu nie dodajesz, że pragnęłabyś mieć znakomitego, mądrego, dobrego męża i kilkoro anielskich dzieciaczek? Przecież twój zamek nie byłby doskonały bez tego — rzekła śmiało Ludwisia, która nie miała jeszcze czułych myśli i pogardzała romansami, z wyjątkiem drukowanych.

— Ty w swoim będziesz miała tylko konie, atrament i powieści — odpowiedziała porywczo Małgosia.

— Bardzo bym chciała mieć stajnię pełną arabskich rumaków, pokoje wypełnione książkami i magiczny atrament, żeby moje dzieła były tak sławne jak muzyka Artura. Ale zanim obejmę w posiadanie zamek, pragnę dokonać jakiejś rzeczy wspaniałej, bohater-skiej lub niezwyklej, która by nie została zapomniana nawet po mojej śmierci. Nie wiem jeszcze, co to będzie, ale ciągle na to czekam i chcę was wszystkich kiedyś zadziwić. Zdaje

Wieś

Zamek

Marzenie

Zamek

mi się, że będę pisała książki i tą drogą pozyskam bogactwo i sławę. To by mi się podobało i takie jest moje ulubione marzenie.

— Ja pragnę zostać spokojnie w domu z ojcem i mamą i służyć mej rodzinie — rzekła Eliza słodko.

— Nie życzysz sobie niczego więcej? — spytał Artur.

— Odkąd mam fortepianik, jestem zupełnie zadowolona, chciałabym tylko, żebyśmy wszyscy byli zdrowi i zawsze razem, więcej niczego nie pragnę.

— Ja mam mnóstwo życzeń, ale najmiłsze, to żeby pojechać do Rzymu, robić piękne obrazy i być najlepszą artystką na całym świecie — oto skromne życzenie Amelki.

— Ambitna z nas gromadka, nieprawdaż? Wszyscy prócz Elizy chcemy być bogaci, sławni i znakomici pod każdym względem. Ciekaw jestem, czy się komuś spełnią te życzenia? — powiedział Artur, gryząc trawę jak zadumane cielę.

— Mam już wprawdzie klucz do mojego zamku, ale czy będę mogła otworzyć nim drzwi, o tym się przekonamy — odezwała się dwuznacznie Ludka.

— Ja także mam klucz, ale nie wolno mi go wypróbować. Bodaj to kolegium! — krzyknął Artur z niecierpliwym westchnieniem.

Amelka, wskazując ołówek, rzekła:

— To mój klucz!

— Ja nie mam żadnego — rozpaczliwie powiedziała Małgosia.

— Owszem, masz — żywo odparł Artur.

— Jaki?

— Swoją twarz.

— Brednie, to się na nic nie zda.

— Poczekaj, zobaczysz, czy ona ci nie sprowadzi czegoś takiego, co warto posiadać — odparł, śmiejąc się na myśl ślicznej tajemnicy, którą posiadał, jak mu się zdawało.

Małgosia zarumieniła się za gałązką paproci, lecz nie spytała o nic i patrzyła za rzekę z tym samym wyrazem oczekiwania, jaki przybrał pan Brooke, opowiadając historię o księciu.

— Jeżeli będziemy żyli za dziesięć lat, zjeżdźmy się, aby się przekonać, czy się komuś ziściły życzenia albo na ile się ktoś zbliżył do swego celu — rzekła Ludka, mająca zawsze na pogotowiu jakiś plan.

— Mój Boże, jaka ja będę stara! Dwadzieścia siedem lat! — wykrzyknęła Małgosia, która jako siedemnastoletnia panna uważała się już za dorosłą.

— My oboje będziemy mieli po dwadzieścia sześć lat, Arturze. Eliza dwadzieścia cztery, a Amelka dwadzieścia dwa! Jakie szanowne grono! — odezwała się Ludwisia.

— Spodziewam się, że do tego czasu dokonam czegoś zaszczytnego, ale taki jestem ociężały, że się boję, moja Ludko, czy nie przeproźnięję życia.

— Mama mówi, że ci potrzeba podniety, ale gdy ją znajdziesz, z pewnością będziesz doskonale pracował.

— Doprawdy? Na Jowisza, stanie się tak, nie inaczej, jeżeli znajdę sposobność! — wykrzyknął Artur, siadając z nagłą energią. — Powinienem być zadowolony z losu, żeby dogodzić dziadkowi. Spróbuję, ale wiecie, że to przeciwne mojej naturze i będzie mnie wiele kosztować. Jego życzeniem jest, bym został indyjskim kupcem, jak on sam był, a ja wolałbym się raczej zastrzelić! Nienawidzę herbaty, jedwabi, korzeni i rozmaitych rupieci sprowadzanych na jego starych okrętach i nie dbałbym o to, czy pójdą na dno, gdybym je posiadał. Powinien poprzestać na tym, że wstąpię do kolegium, bo jeżeli mu poświęcę cztery lata, to niechże mnie za to uwolni od handlu. Ale się uparł i ja tak zrobię, aż na koniec zerwę z nim stosunki i będę żył według własnej woli. Tak samo uczynił mój ojciec. Zrobiłbym to jutro, gdyby ktoś mógł pozostać przy staruszku.

Mówił gorączkowo i zdawał się gotów przy najmniejszym zadrażnieniu spełnić groźbę, dorósł bowiem bardzo prędko i pomimo pozornej ociężałości z młodzieńczą siłą pragnął uzyskać niezależność i puścić się w świat.

— Radzę ci odpłynąć na jednym z tych okrętów i nie wracać do domu, póki nie zakosztujesz życia na własny sposób — rzekła Ludka, której wyobraźnia zapaliła się do tak śmiałego przedsięwzięcia, a serce przejęło się współczuciem wobec tego, co nazywała „krzywdą Artura”.

Zamek

— Nie masz racji, Ludko. Nie wypada mówić w ten sposób, a Artur nie powinien słuchać złej rady. Spełnij życzenie dziadka, mój drogi chłopcze — rzekła Małgosia macierzyńskim tonem. — Dokładaj wszelkich starań w kolegium, a jak dziadek zobaczy, że chcesz mu się przypodobać, jestem pewna, że nie będzie twardy i niesprawiedliwy. Sam mówisz, że nie ma nikogo, kto by z nim mieszkał i kochał go, więc miałbyś sobie do wyrzucenia, gdybyś go opuścił bez jego woli. Nie bądź smutny, rozdrażniony, tylko pełnij obowiązki, a zostaniesz nagrodzony, tak samo jak pan Brooke, którego wszyscy szanują i kochają.

— Co o nim wiesz? — zapytał Artur, który wdzięczny był za dobrą radę, lecz niechętny kazaniu, więc po swoim niecodziennym wybuchu pragnął odwrócić rozmowę od siebie.

— Twój dziadek opowiadał mamie, że z oddaniem dbał o matkę, póki nie umarła, i nie chciał wyjechać zagranicę jako nauczyciel do jakiegoś zamożnego domu, żeby jej nie opuścić; że dotąd wspiera staruszkę, która jej doglądała, i nikomu o tym nie mówi, że jest szlachetny, cierpliwy i dobry, jak tylko to w mocy człowieka.

— To prawda — rzekł Artur serdecznie, gdy Małgosia umilkła z rozpaloną twarzą po swym poważnym opowiadaniu. — Jakie to podobne do mego dziadka, że się wszystkiego dowiedział, nie mówiąc mu o tym, i rozgłasza jego przymioty, żeby go ludzie kochali. Brooke nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego wasza matka jest taka dobra dla niego, zaprasza go razem ze mną i obchodzi się z nim tak przyjaźnie, jak to jest jej pięknym zwyczajem. On też widzi w niej doskonałość, co dzień ją wspomina i was też zachwala. Jeżeli moje marzenia kiedyś się urzeczywistnią, to zobaczycie, co dla niego zrobię.

— Zaczynaj od tego, by go nie dręczyć teraz — rzekła cierpko Małgosia.

— Skąd wiesz, że się tego dopuszczam, moja panno?

— Odgaduję z jego twarzy, gdy odchodzi do domu. Jeżeli się dobrze zachowałeś, ma zadowoloną minę i prędko idzie; jeżeli go wymęczyłeś, ma surową twarz i powolny chód, jak gdyby miał ochotę wrócić i poprawić swoją pracę.

— To mi się podoba! Więc prowadzisz rachunki moich dobrych i złych znaków na twarzy Brooke'a, czy tak? Widziałem, że się kłania i uśmiecha przechodząc koło waszych okien, ale nie sądziłem, żeście sobie urządzili telegraf.

— Nie mamy żadnego, nie gniewaj się i pamiętaj, nie mów mu tego! Chciałam ci tylko pokazać, że zależy mi na tym, jak postępujesz, i powiedziałam to w zaufaniu! — wykrzyknęła bardzo zaniepokojona tym, co mogłyby wynikać z jej nieostrożnych słów.

— Nigdy nie roznoszę plotek — odparł Artur, strojąc imponującą minę, tak nazywała Ludka pewien wyraz jego twarzy — Tylko jeżeli Brooke ma być termometrem, muszę się mieć na baczności i zawsze przynosić mu piękną pogodę.

— Proszę cię, nie obrażaj się. Nie chciałam ci prawić morałów i niemądrze cię przestrzegać, tylko mi się zdawało, że Ludka zachęca cię do trwania w uczuciu, którego byś później żałował. Taki jesteś dobry dla nas, że uważamy cię za brata i mówimy wszystko, co nam przejdzie przez myśl. Daruj mi, bo miałam dobre chęci — mówiąc te słowa, podała mu rękę przyjaźnie, lecz nieśmiało.

Zawstydzony chwilowym rozdrażnieniem, Artur uściśnął życzliwą rączkę i rzekł szczerze:

— To raczej ja proszę o przebaczenie. Jestem cierpki z natury, a dziś od rana byłam nieswój, ale mi się to podoba, żeś mi wytknęła winy jak siostra. Nie zważaj na to, że czasem jestem szorstki, bo się pod tą powłoką kryje wiele wdzięczności.

Chcąc pokazać, że nie jest obrażony, starał się być bardzo usłużny: przecinał bawełnę dla Małgosi, deklamował wiersze dla Ludki, strząsał szyszki dla Elizy, pomagał Amelce układać paprocie, a to wszystko na dowód, że warto go dopuszczać do „Towarzystwa Pracowitych Pszczółek”. Gdy wiedli ożywioną rozmowę o domowych zwyczajach synogarlic<sup>87</sup>, bowiem jedna z tych miłych istotek przybłąkała się właśnie od strony rzeki, słaby głos dzwonka ostrzegł, że Anna postawiła herbatę, żeby „naciągnęła”, i że im czas iść na kolację.

— Czy będzie mi wolno tu przychodzić? — spytał Artur.

Brat

Siostra

<sup>87</sup>*synogarlica* — gatunek średniego ptaka z rodziny gołębiowatych. [przypis edytorski]

— Odpowiem ci jak małemu chłopczykowi: jeżeli będziesz grzeczny i polubisz książeczkę z abecadłem — odrzekła Małgosia z łagodnym uśmiechem.

— Będę się starał.

— W takim razie możesz przychodzić, a ja cię nauczę robót na drutach, jak robią to Szkoci, a właśnie teraz potrzebne są skarpetki — dodała Ludka, potrząsając swoją jak wielką chorągwią wojenną. Po chwili rozstali się przy bramie.

Tego wieczoru, gdy o zmroku Eliza grała panu Laurence'owi, Artur ukryty za firanką przysłuchiwał się małemu Dawidowi, którego pełna prostoty muzyka zawsze koła jego kapryśne usposobienie. Stojąc tam, przyglądał się starcowi, który siedział z siwą głową wspartą na ręku, tkliwie zamyślony o ukochanej, nieżyjącej już wnuczce. Przypomniawszy sobie popołudniową rozmowę, Artur postanowił poświęcić się ochoczo i powiedział sobie: „Wyrzeknę się mego zamku na lodzie i zostanę z tym drogim starcem, któremu jestem potrzebny, bo prócz mnie nikogo nie ma na całym świecie”.

Zamek

## ROZDZIAŁ XIV. TAJEMNICE

Ludka wiele pracowała na poddaszu, październikowe dni zaczynały bowiem być chłodne, a popołudnia krótkie. Przez dwie czy trzy godziny pałace promienie słońca zaglądały do wysokiego okna, ukazując ją piszącą gorliwie na starej sofie. Przed nią leżały rozrzucone na kufrze papiery, a ukochany szczur przechadzał się po górnych belkach wraz z najstarszym synem, pięknym młodzieńcem, widocznie dumnym ze swych wąsów. Ludwisia, zupełnie oddana swej pracy, skończyła nareszcie ostatnią stronicę, podpisała z zawijaszem nazwiskiem, i rzuciła pióro, wołając:

— Ukończyłam swe najlepsze dzieło! Jeżeli publiczność w nim nie zasmakuje, to będzie musiała długo czekać, żebym się zdobyła na udatniejsze.

Leżąc na sofie, pilnie czytała rękopis, wykreślała to i owo i dodawała mnóstwo wykrzykników, wyglądających jak baloniki. Potem związała arkusze czerwoną wstążeczką i patrzyła na nie chwilę surowym, zamyślonym okiem, co jasno dowodziło, jaką wagę przywiązuje do swego dzieła. Za biurko służyła jej stara skrzynka. W niej trzymała papiery i kilka książek, starannie schowanych przed szcurem, który również będąc literackiego usposobienia, lubił robić ruchomą księgarnię z napotykanymi tomów i zjadać kartki. Z tej to skrzynki Ludka wydobyla drugi rękopis i włożywszy oba do kieszeni, zeszła cicho ze schodów, pozwalając swym przyjaciołom, by jej pogryźli pióra i skosztowali atramentu.

Ubrała się w kapelusz i kaftanik, jak mogła najciszej, i przez tylne okno wymknęła się na dach niskiego portyku<sup>88</sup>. Następnie zsunęła się po pokrytej trawą pochyłości i poszła krętą ścieżką ku drodze. Tam ochłonęła, wsiadła w omnibus<sup>89</sup> i pojechała do miasta z miną bardzo wesołą i tajemniczą.

Gdyby jej się ktoś przyglądał, wydałoby mu się, że zachowuje się bardzo dziwnie: wysiadłszy, szła szybkim krokiem, póki nie znalazła określonego numeru na pewnej ruchliwej ulicy. Potem z pewną trudnością weszła w korytarz, spojrzała na brudne schody, i postawszy chwilę, nagle wyskoczyła znów na ulicę i uciekła równie prędko, jak przyszła. Powtarzało się to kilka razy, ku wielkiej uciesze czarnookiego młodzieńca, który się przyglądał z przeciwległego okna. Przy trzecim powrocie zapanowała nad sobą, nasunęła kapelusz na oczy i weszła na schody z taką miną, jak gdyby jej miano wyrwać wszystkie zęby.

Przy wejściu pomiędzy innymi znakami był napis dentysty i ów młody gentleman, popatrzwszy chwilę na parę sztucznych szczęk, które z wolna otwierały się i zamykały, żeby ściągnąć uwagę na szereg pięknych zębów, ubrał się w płaszcz, wziął kapelusz, zszedł na dół i stanął naprzeciwko w korytarzu, myśląc sobie z uśmiechem, chociaż dreszcz go przechodził:

„Jakie do niej podobne, że przyjechała tu sama! Ale jeżeli ból da się we znaki, to będzie potrzebowała kogoś, kto by ją odwiózł do domu”.

<sup>88</sup>portyk — frontowa część budynku z filarami, otwarty ganek kolumnowy. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>omnibus (łac. dosł.: dla wszystkich) — dawny środek komunikacji (XVII–XIX w.), duży, kryty pojazd konny o wielu miejscach, kursujący w miastach lub między miastami. [przypis edytorski]

Po dziesięciu minutach Ludka zbiegła ze schodów bardzo zaczerwieniona i widać było, że przeszła jakąś ciężką próbę. Zobaczywszy młodego gentlemiana, wcale się nie ucieszyła i minęła go z ukłonem, ale on podszedł, pytając ze współczuciem:

— Czy to było bardzo przykre?

— Nie bardzo.

— Prędko przez to przeszłaś.

— Dzięki Bogu.

— Czemu przyjechałaś sama?

— Nie chciałam, żeby ktoś wiedział.

— Dziwne z ciebie stworzenie! Ilu się pozbyłaś?

Ludka spojrzała na przyjaciela, jak gdyby nie rozumiejąc go, lecz po chwili parsknęła śmiechem.

— Chciałam się pozbyć dwóch, ale muszę zaczekać jeszcze tydzień.

— Czego się śmiejesz? Splatałaś jakiegoś figła, Ludwisiu! — rzekł zaciekawiony.

— To prędzej ty, mój panie. Cóż tam robił w sali bilardowej?

— Przepraszam panią, to nie sala bilardowa, tylko gimnazjum, i brałem lekcję fechtunku<sup>90</sup>.

— Cieszy mnie to.

— Dlaczego?

— Bo mnie nauczysz tej sztuki, a potem będziemy mogli grywać Hamleta. Ty będziesz Laertesem i pięknie przedstawimy scenę z bronią.

Artur wybuchnął tak serdecznym i młodym śmiechem, że kilku przechodniów uśmiechnęło się mimo woli.

— Nauczę cię tak czy owak, czy będziemy grać Hamleta czy nie, bo to bardzo zabawne i znakomicie wzmacnia siły. Ale nie sądzę, żebyś tylko z tego powodu powiedziała w tak stanowczy sposób: „Cieszy mnie to”. Przyznaj, nie miałaś innego?

— Ucieszyłam się, że nie byłeś na bilardzie, bo spodziewałam się, że nie chodzisz w takie miejsca. Czy chodzisz?

— Nieczęsto.

— Chciałabym, żebyś wcale nie chodził.

— Nie ma w tym złego, Ludko. Mam przecież bilard w domu, ale to bawi tylko wtedy, gdy się ma dobrych graczy. Ponieważ lubię grać, przychodzę czasem na partię z Nedom Moffatem lub z inną młodzieżą.

— Ach, mój drogi, tak mi przykro, bo zaczniesz to coraz bardziej lubić, będziesz tracił czas i pieniądze, i taki się zrobisz jak ci szkaradni chłopcy. Miałam nadzieję, że cię będą mogły szanować i kochać osoby, które blisko obchodzisz — rzekła, potrząsając głową.

— Czyż młody chłopiec nie może czasem zażywać trochę niewinnej rozrywki bez utraty szacunku? — zapytał Artur z uraźoną miną.

— Zależy od tego, w jaki sposób i w jakim miejscu jej zażywa. Nie lubię Neda i jego towarzyszy i chciałabym, żebyś się trzymał od nich z dala. Mama nie życzy sobie, żeby u nas bywał, chociaż on chce przychodzić, więc jeżeli wyrośniesz na takiego jak on, to nie pozwoli nam bawić się z tobą.

— Nie pozwoli? — spytał się Artur niespokojnie.

— Z pewnością. Mama nie znosi modnych paniczów i prędzej zamknie nas w pudełkach niż się zgodzi, byśmy się z nimi zadawały.

— Nie potrzebuje wydobywać tych pudełek, bo nie jestem modnym światowcem, i nie myślę nim zostać, ale czasem lubię nieszkodliwie pohulać.

— Ja także. Nie ma w tym nic złego, hulaj sobie, ale nie zdiczey, dobrze? Bo inaczej będzie koniec naszym zabawom. Bądź naturalnym, uczciwym, zycznym chłopcem, to cię nigdy nie odstępimy. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdybyś postępował tak jak syn pana Ringa. Miał dużo pieniędzy, a nie umiał ich używać: pił, grał, a w końcu uciekł, podobno sfalszował nazwisko ojca i zhańbił się zupełnie.

— Czy myślisz, że byłbym zdolny do takich rzeczy? Bardzo dziękuję.

— Ach mój drogi! Nie myślę tak, ale słyszę od ludzi, że pieniądze są taką pokusą! Czasem chciałabym, żebyś był ubogi, bo wówczas nie martwiłabym się.

<sup>90</sup>*fechtunek* (z niem.) — szermierka, sztuka władania bronią białą. [przypis edytorski]

— Martwisz się o mnie, Ludko?  
— Trochę, gdy cię widzę smutnego lub niezadowolonego, jak to bywa czasami, bo z taką siłą chwytasz się zła, że mam obawę, iż byłoby cię trudno powstrzymać.

Artur siedł w milczeniu przez kilka minut, ona zaś spoglądała na niego, żalując, że nie poskromiła języka, bo oczy miał gniewne, chociaż usta uśmiechały się jeszcze jak gdyby z jej przestrogi.

— Czy przez całą drogę do domu będziesz prawić morały? — zapytał nagle.

— Ma się rozumieć, że nie. Czemu?

— Jeżeli masz taki zamiar, to wsiądę do omnibusu, a jeżeli nie, chętnie pójdę z tobą i powiem ci bardzo ciekawą rzecz.

— Nie będę prawić kazania i ogromnie ciekawa jestem nowiny.

— Bardzo dobrze, chodźmy. To tajemnica i jeżeli ci to powiem, musisz mi także wyjawiać swoją.

— Nie mam żadnej — odezwała się, lecz nagle umilkła, przypomniawszy sobie jedną.

— Owszem, masz. Nie możesz jej ukryć, więc wyznaj, bo inaczej nic nie powiem.

— Czy twoja tajemnica jest przyjemna?

— I to jak! Dotyczy osób, które znasz, i taka zabawna! Powinnaś ją poznać i od dawna pragnąłem odkryć ją przed tobą. Zacznij.

— Nie powiesz w domu?

— Ani słowa.

— I nie będziesz mnie dręczył potajemnie?

— Nigdy cię nie dręcę.

— Owszem. Wydobywasz wszystko, co chcesz. Nie wiem, jakie masz sposoby, ale doskonały z ciebie zwodziciel.

— Dziękuję! Wystrzelże w końcu.

— A więc zostawiłam dwie powieści u redaktora gazety i obiecał mi odpowiedź w przyszłym tygodniu — szepnęła do ucha swemu powiernikowi.

— Niech żyje panna March! Słynna amerykańska autorka! — wykrzyknął Artur, to podrzucając, to chwytając kapelusz, ku wielkiej ucieście dwóch psów, czterech kotów, pięciu kur i pół tuzina małych Irlandczyków, byli bowiem za miastem.

— Cicho. Powiadam ci, że z tego nic nie będzie, ale nie miałam spokoju, póki nie spróbowałam, i umyślnie milczałam, żeby nikt się nie rozczarował.

— Ależ to nie chybi! Wszakże twoje powieści są szekspirowskie w porównaniu z ramotami<sup>91</sup> drukowanymi codziennie. Jak to będzie miło widzieć tę książkę i jacy będziemy dumni z autorki!

Ludce oczy błyszczały z radości, że ktoś w nią wierzy. Zresztą pochwała przyjaciela zawsze miłsza od tuzina gazetowych zachwyty.

— Teraz kolej na twoją tajemnicę. Dotrzymaj zobowiązania, Arturze, bo inaczej nigdy nie będę ci wierzyć — rzekła, usiłując stłumić świetne nadzieje, rozbudzone jego słowem zachęty.

— Mogę narobić sobie kłopotu. Ale nie przyrzekałem milczenia, więc powiem, bo dopóty nie mam spokoju, póki się z tobą nie podzielę wszystkim, co dochodzi moich uszu. Otóż... wiem, gdzie jest rękawiczka Małgosi!

— Nic więcej? — odezwała się Ludka z zawiedzioną miną.

Artur skinął głową i mrugnął tajemniczo, mówiąc:

— To wystarczy jak na teraz, sama przyznasz, jak ci powiem, gdzie się znajduje.

— Powiedzże.

Artur pochylił się i szepnął jej trzy słowa do ucha, co wywołało komiczną zmianę. Przystanęła i przez chwilę patrzyła na niego zdziwiona i niezadowolona, potem poszła dalej, pytając ostro:

— Skąd o tym wiesz?

— Widziałem.

— Gdzie?

— W kieszeni.

— Cały ten czas?

Tajemnica

Tajemnica

<sup>91</sup>ramota — rodzaj pracy pisemnej bez większej wartości literackiej. [przypis edytorski]

— Tak. Czy to nie romantyczne?

— Raczej szkaradne.

— Nie lubiłabyś tego?

— Ma się rozumieć, to śmieszne. Nie pozwoliłabym nigdy. Ale zobaczymy, co powie Małgosia.

— Nie powiesz nikomu? Pamiętaj.

— Nie obiecywałam wcale.

— To się miało rozumieć, zaufałem ci.

— Nie chciałabym powiedzieć nikomu, za nic w świecie, ale jestem zrażona i żałuję, że się dowiedziałam.

— Myślałem, że ci sprawię przyjemność.

— Tym, że ktoś przyjdzie zabrać Małgosię? Dziękuję ci.

— Wolalabyś, żeby przyszedł po ciebie?

— Chciałabym widzieć, żeby ktoś spróbował! — wykrzyknęła gniewnie.

— Ja także — powiedział Artur i parsknął śmiechem na tę myśl.

— Widać, że tajemnice nie przypadają mi do smaku. Jestem do niczego, odkąd mi to powiedziałaś — rzekła niewdzięczna.

— Zbiegnij ze mną z pagórka na wyścigi, to całkiem przyjdiesz do siebie.

Nikogo nie było widać, gładka droga rozwijała się przed nią zachęcająco, pokusa była nie do zwalzenia, więc się puściła w bieg i wkrótce zgubiła kapelusz, grzebień i szpilki od włosów. Artur pierwszy dotarł do celu i był zupełnie zadowolony ze swego lekarstwa, bo Ludka nadbiegła zdyszana, roztargana, z wesołym wzrokiem, czerwoną twarzą i bez śladu rozdrażnienia.

— Żałuję, że nie jestem koniem, bo przebiegałabym całe mile w tym rozkosznym powietrzu, nie tracąc oddechu. Doskonale mi teraz, ale patrz, co się ze mną zrobiło! Idź, cherubinku, i pozbieraj moje rzeczy — rzekła Ludka, padając pod klonem, zaścielającym stoki wzgórza czerwonym liściem.

Artur chętnie poszedł po zgubione rzeczy, ona zaś plotła warkocze, pewna, że nikt nie przejdzie, póki sobie nie uporządkuje głowy. Tymczasem przeszła pewna osoba, a była to Małgosia, wyglądająca zupełnie na dorosłą pannę w swej poważnej świątecznej sukni, wracała bowiem z odwiedzin.

— Co ty tu robisz? — zapytała, patrząc na rozczochraną głowę siostry z zadziwieniem właściwym pannie dobrze wychowanej.

— Zbieram liście — pokornie odpowiedziała Ludka, układając różową wiązkę, którą podniosła z ziemi.

— I szpilki do włosów — dodał Artur, rzucając ich pół tuzina na kolana Ludce. — Rosną na drodze, Małgosiu, tak samo jak grzebienie i kapelusze z ciemnej słomy.

— Pewno biegałaś! Jak mogłaś? Kiedyż ty przestaniesz dokazywać? — rzekła Małgosia z naganą w głosie, poprawiając sobie mankietki i gładząc włosy, z którymi wiatr ośmielił się igrać.

— Jak zeszywnieję, zestarzeję się i chodzić będę o kiju. Nie próbuj zrobić ze mnie przed czasem dorosłej panny. Dostyc złego, żeś się sama tak nagle zmieniła, a mnie pozwól zostać jak najdłużej dziewczynką.

Mówiąc to, Ludka wzięła się do swej pracy, żeby ukryć drżenie ust, czuła bowiem w ostatnich czasach, że Małgosia wyrasta na kobietę, a tajemnica Artura groziła rozstaniem, które wprawdzie musiało nastąpić prędzej lub później, lecz wówczas zdawało się bardzo bliskie. Zobaczywszy zmieszanie na jej twarzy, Artur odwrócił uwagę Małgosi, pytając żywo:

— Gdzie chodziłaś tak wystrojona?

— Do Gardinerów. Salusia opowiadała mi o weselu Belli Moffat: odbyło się bardzo wspaniale i pojechali na całą zimę do Paryża. Cóż to musi być za rozkosz!

— Zazdrościsz jej, Małgosiu? — zapytał Artur.

— Obawiam się, że tak.

— Cieszę się — mruknęła Ludka, szarpiąc kapelusz, który zawiązywała.

— Dlaczego? — spytała z zadziwieniem Małgosia.

— Jeżeli tak bardzo dbasz o bogactwo, to nie pójdiesz za ubogiego — odrzekła Ludka, mrugając na Artura, który ostrzegł ją znakami, żeby była ostrożna w słowach.

Tajemnica

Dorosłość

Tajemnica



— Za nikogo nie pójdę — powiedziała Małgosia, odchodząc z wielką godnością. Tamci dwoje szli za nią, śmiali się, szeptali, ciskali kamieniami, zupełnie „jak małe dzieci”, przynajmniej tak myślała Małgosia. Choć ją coś ciągnęło do nich, nie mogła jednak ulec pokusie, mając na sobie najładniejszą suknię.

Przez parę tygodni zachowanie Ludki było tak szczególne, że siostry nie mogły się nadziwić. Biegła żywo do drzwi, ile razy listonosz zadzwonił, szorstko odzywała się do pana Brooke’a, przyglądała się Małgosi z rozżaloną twarzą, czasem przyskakiwała, żeby ją szarpnąć, to znów całowała jakos tajemniczo. Z Arturem dawali sobie znaki, zamieniali niezrozumiałe słowa, aż nareszcie dziewczęta zawyrokowały, że oboje stracili rozum. W drugą sobotę po dniu, w którym Ludka wysła oknem, Małgosia, siedząc nad szyciem, zgorszyła się, że Artur gonił Ludkę po całym ogrodzie i wreszcie schwycił ją w altanie Amelki. Co się tam działo, nie mogła widzieć, ale dochodziły ją wybuchy śmiechu, potem szmer głosów i szeleszczenie gazetami.

— Co tu począć z tą dziewczyną? Ona się nigdy nie zechce zachować, jak przystoi panience — rzekła Małgosia z westchnieniem, przyglądając się wyścigom z niezadowoloną twarzą.

— Cieszy mnie ta nadzieja, że się nie zmieni, bo taka wesoła i miła! — powiedziała Eliza, nie zdradzając przykrości, iż Ludka ma tajemnice z kimśkolwiek prócz niej.

— To bardzo nieprzyjemne, ale jej nigdy nie uczynimy *comme il faut* — dodała Amelka, zajęta szyciem nowych fryzek<sup>92</sup>, uczesana w pięknie upięte warkocze, z których to dwóch powodów uważała się za bardzo elegancką i dorosłą osobę.

W kilka minut wpadła Ludka i położyła się na sofie, udając, że czyta.

— Czy masz coś ciekawego? — spytała Małgosia łaskawie.

— Tylko powieść. Zdaje mi się, że będzie nieszczególna — odparła, pilnie ukrywając gazety.

— Czytaj głośno, to my się zabawimy, a ty się powstrzymasz od figłów — rzekła Amelka tonem dorosłej panny.

— Jaki tytuł? — spytała Eliza mocno zaciekawiona, czemu Ludka chowa twarz za gazetę.

— Współzawodnictwo malarzy.

— To dobrze brzmi, czytaj — powiedziała Małgosia.

Ludka odchrząknęła głośno i zaczęła czytać z wielkim pośpiechem. Dziewczęta słuchały ciekawie tej romantycznej i nieco wzruszającej powieści, bo większa część osób umarła przy końcu.

— Podobają mi się tu świetne obrazy — pochlebnie odezwała się Amelka, gdy siostra ucichła na chwilę.

— Ja wołę miłosną stronę. Viola i Angelo to twoje ulubione imiona, czy to nie dziwne? — rzekła Małgosia, ocierając oczy, bo „miłosna strona” była tragiczna.

— Kto to napisał? — spytała Eliza, która spostrzegła nagły błysk w oczach Ludki.

Czytająca szybko wstała, odrzuciła gazetę, ukazując zarumienioną twarz i z zabawną mieszaniną uroczystej powagi i zgorączkowania rzekła donośnym głosem:

— Wasza siostra!

— Ty! — wykrzyknęła Małgosia, upuszczając robotę.

— To bardzo dobre — powiedziała Amelka tonem krytyka.

— Ja odgadłam! Odgadłam!! Ach, moja Ludko, taka jestem dumna! — zawołała Eliza, biegnąc uściskać siostrę i powinszować jej świetnego sukcesu.

Boże mój, jakież były uradowane. Małgosia nie chciała wierzyć, póki nie zobaczyła słów „miss Ludwika March” rzeczywiście wydrukowanych w gazecie. Amelka łaskawie analizowała artystyczne ustępy i częstowała uwagami względem dalszego ciągu, które na nieszczęście nie mogły być spożytkowane, gdyż bohaterowie poumierali. Eliza skakała i śpiewała z radości. Anna wydawała okrzyki z wielkiego zdziwienia, że to „Ludka zrobiła”. Pani March przejęta była dumą. Ludka śmiała się ze łzami w oczach, mówiąc, że wyjdzie na zarozumiałego pawia — a gazeta przechodziła z rąk do rąk.

<sup>92</sup>fryza — marszczony kołnierz; falbana noszona dawniej przy kobiecych kołnierzach i czepcach. [przypis edytorski]

— Powiedz nam coś o tym! Kiedy ci przysłano? Co też ojciec powie? To się Artur uśmieje! — wołały wszystkie razem, cisnąc się wokół Ludki, bo dla tych szalonych, kochających istot każda domowa uciecha stawała się uroczystością.

— Przestańcie szczebiotać, dziewczęta, to wam opowiem wszystko — rzekła Ludwisia, zadając sobie pytanie, czy panna Burney<sup>93</sup> czuła się znakomitsza po swej *Ewelinie* niż ona po *Współzawodnictwie malarzy*. Opowiedziawszy, jak rozporządziła powieściami, dodała: — Kiedy poszłam po odpowiedź, pan redaktor powiedział mi, że obie są dobre, ale że nie płaci początkującym osobom, tylko pozwala, by, drukując w jego piśmie, zaznajamiały publiczność ze swymi utworami. „To korzystna praktyka”, rzekł, a gdy początkująca osoba nabierze wprawy, wówczas jej się zaczyna płacić. Zostawiłam więc obie prace i dziś mi tę jedną przysłano. Artur zastał mnie z nią w ręku i uparł się, żeby mu ją pokazać. Bardzo ją chwalił, zachęcał mnie do dalszego pisani, i obiecał postarać się, żeby za następną zapłacono. Ach, taka jestem szczęśliwa, bo z czasem będę mogła się utrzymywać i dopomagać dziewczętom.

Tu Ludce zabrakło tchu i chowając głowę w gazetę, zrosiła szczerymi łzami to krótkie opowiadanie, gdyż najdroższym życzeniem jej serca była niezależność i uznanie ukochanych osób — a ta chwila wydawała jej się pierwszym krokiem ku wymarzonemu celowi.

Marzenie

## ROZDZIAŁ XV. TELEGRAM

— Najmniej przyjemnym miesiącem w roku jest listopad — rzekła Małgosia, stojąc raz po południu w ponury dzień przy oknie, skąd się przypatrywała ogrodowi, pokrytemu szronem.

— Dlatego ja się w nim urodziłam — powiedziała Ludka z zadumą, nie wiedząc, że ma kleks na nosie.

— Gdyby się zdarzyło teraz coś przyjemnego, to by się nam ten miesiąc wydał rozkoszny — odezwała się Eliza, gdyż wszystko brała z dobrej strony, nawet listopad.

— Zapewne, ale u nas nie zdarza się nic przyjemnego — powiedziała Małgosia, będąca w złym usposobieniu. — Pracujemy ciężko bez żadnej odmiany ani rozrywki, zupełnie jak we młynie.

— A toś kwaśna! — wykrzyknęła Ludka. — Nie bardzo mnie to dziwi, biedaczko, bo widzisz, że inne dziewczęta doskonale się bawią, a ty się męczysz rok po roku. Ach, czemuż nie mogę urządzić twego życia tak samo, jak moim bohaterkom! Jesteś już dosyć ładna i dobra, więc chciałabym tylko, żeby jacyś bogaci krewni zapisali ci niespodzianie majątek. Wówczas błyszczałabyś jak dziedziczka, z pogardą traktowałabyś każdego, co cię lekceważył, pojechałabyś zagranicę i wróciłabyś do domu jako pani X., odznaczająca się blaskiem, świetnością i elegancją.

Pozycja społeczna

— Dziś inaczej zdobywa się majątek. Mężczyźni muszą pracować, a kobiety wychodzą za mąż dla pieniędzy. Świat jest bardzo niesprawiedliwy! — rzekła Małgosia z goryczą.

— My obie z Ludwisią zrobimy fortunę dla was wszystkich. Poczekaście tylko dziesięć lat, zobaczycie — rzekła Amelka, która siedziała w kącie robiąc „gliniane paszteciki”, jak nazywała Anna jej modele ptaków, owoców i twarzy.

— Nie mogę czekać i obawiam się, że nie bardzo ufam atramentowi i glinie, lecz wdzięczna jestem za dobre chęci.

Westchnąwszy, zwróciła się znów do ogrodu, pokrytego szronem. Ludka, jęcząc, oparła łokcie na stole w rozpaczliwej pozycji, Amelka lepiła dalej energicznie, a Eliza, która siedziała przy drugim oknie, rzekła z uśmiechem:

— Zaraz przytrafią się dwie przyjemne rzeczy. Mama już idzie ulicą, a Artur biegnie przez ogród, jakby miał powiedzieć coś dobrego.

Gdy weszli oboje, pani March zapytała jak zwykle:

— Dziewczęta, czy nie ma listu od ojca?

Artur zaś rzekł swym ujmującym tonem:

— Może któraś z was przejedzie się ze mną? Tak się zmęczyłem matematyką, że kręci mi się w głowie i chcę sobie odświeżyć umysł przejażdżką. Wprawdzie jest pochmurno,

<sup>93</sup>Burney, Frances (1752–1840) — angielska pisarka, autorka powieści *Ewelina*, uznawanej za kluczowy etap rozwoju powieści obyczajowej, oraz wielu listów i pamiętników. [przypis edytorski]

ale pogoda nie jest brzydka; odwiozę Brooke'a do domu, więc w każdym razie będzie nam wesoło. Ludko, pojedziecie obie z Elizą, prawda?

— Naturalnie.

— Ja bardzo dziękuję, lecz jestem zajęta — rzekła Małgosia, porządkując koszyczek do robótki, bo się umówiły z matką, żeby nie wyjeżdżała często z tym młodzieńcem.

— My trzy będziemy gotowe za chwilę — wykrzyknęła Amelka i poszła umyć ręce.

— Czy mogę czymś służyć, pani matko? — spytał Artur, opierając się o fotel pani March z tkliwością w spojrzeniu i w tonie, jaką jej zwykle okazywał.

— Dziękuję ci, chyba tym, że wstąpisz na pocztę, jeżeliś tak dobry, mój drogi. Dziś powinien nadejść list, a dotąd go nie ma. Ojciec jest punktualny jak słońce, ale może zaszło opóźnienie w drodze.

Głośny dzwonek przerwał jej, a po chwili weszła Anna z listem.

— To wygląda jak jeden z tych okropnych telegramów — rzekła, podając kopertę w taki sposób, jakby się bała, że wystrzeli i wyrządzi jakąś szkodę.

Usłyszawszy słowo „telegram”, pani March pośpiesznie przeczytała przesłane dwa wiersze i padła na fotel błada jak ten papier, który ugodził ją w samo serce.

Artur zbiegł na dół po wodę, Małgosia z Anną podtrzymały ją, a Ludka przeczytała głośno co następuje:

Do pani March

Mąż pani bardzo chory — przybądź natychmiast.

S. Hale,

w Waszyngtonie

Jakaż cisza panowała w pokoju, gdy słuchały, wstrzymując oddech. Jak soseniało na dworze! I jak nagle cały świat zdawał się zmieniony, gdy dziewczęta zgromadziły się wkoło matki z uczuciem, jakby im miały być odebrane szczęście i podpora ich życia. Pani March zaraz doszła do siebie, przeczytała powtórnie telegram i wyciągnęła ręce do córek, mówiąc tonem, którego nigdy nie zapomniały:

— Pojadę natychmiast, ale może już być za późno! Ach, dzieci, dzieci, dopomóżcie mi to znieść!

Przez kilka minut było słychać w pokoju tylko szlochanie, przerywane słowa pociechy, tklive obietnice pomocy i szept nadziei, zamierające we łzach. Biedna Anna przyszła do siebie pierwsza i bezwiednym rozumem dała wszystkim dobry przykład, bo według niej praca jest lekarstwem na wszelkie zmartwienia.

— Niechaj Bóg ma w swojej opiece biedaka! Nie będę tracić czasu na łzy, tylko przygotuję rzeczy pani do drogi — rzekła serdecznie, obcierając twarz fartuchem. Uścisnęła mocno dłoń pani March swą twardą ręką i poszła pracować co najmniej za trzy kobiety.

— Anna ma słuszność, nie ma czasu na łzy. Uspokójcie się, dziewczęta, i dajcie mi zebrać myśli.

Biedaczki usiłowały być spokojniejsze, podczas gdy matka, siedząc błada, lecz spokojna, odsuwała smutek, żeby zebrać myśli i ułożyć plan dla dzieci.

— Gdzie Artur? — zapytała po chwili, zastanowiwszy się, co ma zrobić.

— Jestem tu, pani. Pozwól mi się czymś przysłużyć! — zawołał, przybiegając z sąsiedniego pokoju, gdzie się usunął, czując, że ich pierwsze zmartwienie jest zbyt święte, aby nawet jego przyjazne oczy mogły na nie patrzeć.

— Wyślij telegram, że jadę niezwłocznie. Najwcześniejszy pociąg odjeżdża jutro rano, więc się tym wybiorę.

— Co więcej? Konie są gotowe, mogę wszędzie pojechać i wszystko zrobić! — rzekł z taką miną, jak gdyby chciał lecieć na koniec świata.

— Oddaj kartkę ciotce March. Ludko, podaj mi pióro i atrament.

Oderwawszy czystą stronę od arkusza, na którym właśnie pisała, Ludka przysunęła stół do matki. Dobrze wiedziała, że trzeba będzie pożyczyć pieniędzy na tę długą i smutną podróż, i miała poczucie, że i ona powinna dodać choćby małą sumkę dla ojca.

List

Smutek

Praca

— Wybierz się już, mój drogi, ale się nie zabijaj zbyt prędką jazdą, bo to niepotrzebne. Prestroga pani March widocznie poszła w niepamięć, gdyż Artur takim pędem przeleciał wkrótce koło okna na swoim wierzchowcu, jak gdyby mu szło o życie.

— Ludko, pobiegnij powiedzieć pani King, że nie mogę przyjść. Po drodze kup te rzeczy, które zapiszę, bo mogą być potrzebne. Muszę pojechać zaopatrzona we wszystko, co może się przydać choremu. Szpitale nie zawsze są dobrze zaopatrzone. Elizo, idź poprosić pana Laurence o parę butelek starego wina; duma nie powstrzyma mnie, żebym prosiła o coś dla ojca, jemu się należy wszystko, co najlepsze. Amelko, zaleć Annie, żeby przyniosła z góry czarny kufer, a ty, Małgosiu, chodź mi pomóc w szukaniu rzeczy, bo jestem tak nieprzytomna.

Biedna kobieta łatwo mogła stracić przytomność, jednocześnie pisząc, myśląc i wydając polecenia. Małgosia uprosiła ją, żeby spokojnie posiedziała w swoim pokoju, chcąc wszystko sama załatwić. Dziewczęta rozbiegły się jak liście strząsane wiatrem, a ten cichy, szczęśliwy dom został nagle rozbity, jak gdyby ów papier rzucił złe czary.

Zacny pan Laurence przyszedł spiesźnie z Elizą, przynosząc wszystko, co tylko mógł obmyślić dla wygody chorego; obiecał przy tym opiekować się dziewczętami w czasie nieobecności matki. Nie było rzeczy, której by nie ofiarował, począwszy od szlafroka, aż do swej osoby do towarzystwa w podróży, ale to ostatnie było niemożliwe. Pani March nie chciała słyszeć, aby starzec podejmował takie trudy, jednakże było widać ulgę na jej twarzy, gdy o tym mówił, bo niepokój źle usposabia do drogi. Gdy zrozumiał, co znaczy ta zmiana fizjonomii, ściągnął gęste brwi, zatarł ręce i nagle odszedł, mówiąc, że zaraz powróci. Nikt nie miał czasu o nim pomyśleć, kiedy Małgosia, biegnąc koło drzwi, z kaloszami w jednej ręce, a z filiżanką herbaty w drugiej, wpadła nagle na pana Brooke'a.

— Z wielką przykrością posłyszałem o tym co tu zaszło, miss March — rzekł przyjaznym i spokojnym tonem, który sprawił bardzo miłe wrażenie na jej skołatany umyśle, i przyszedłem ofiarować się matce pani, jako towarzysz podróży. Pan Laurence ma dla mnie zlecenia do Waszyngtonu, a przy tej sposobności będzie mi prawdziwie miło oddać się jej na usługi.

Kalosz spadły na ziemię, a herbata o mało nie poszła za nimi, gdy Małgosia wyciągnęła rękę, a jej twarz wyrażała taką wdzięczność, że pan Brooke czułby się wynagrodzony za daleko większe poświęcenie niż to drobne, jakie chciał uczynić z czasu i wygody.

— Jacyście wy wszyscy dobrzy. Mama przyjmie tę propozycję, jestem pewna, taka to będzie ulga dla nas, że ktoś się o nią troszczy! Dziękuję panu bardzo, bardzo!

Tak była przejęta tym, co mówi, że zupełnie zapomniała o sobie. Dopiero gdy ciemne oczy spojrzwały jakoś dziwnie, przyszła jej na myśl stygnąca herbata i poprowadziła pana Brooke'a do pokoju bawialnego, obiecując, że wywoła matkę.

Wszystko było gotowe, gdy Artur wrócił od ciotki March z potrzebną sumą i bilecikiem, w którym powtórzyła raz jeszcze, iż według niej pan March okazał się niedorzeczny, idąc do wojska, że zawsze przepowiadała stąd złe skutki i że w przyszłości zapewne będzie lepiej słuchać jej rad. Pani March rzuciła kartkę w ogień, pieniądze schowała do woreczka i zaczęła gotować się do podróży, zaciskając tak mocno usta, że Ludka zrozumiałaby ją, gdyby była przy tym obecna.

Prędko minęło krótkie popołudnie. Gdy wszystkie interesy zostały załatwione, Małgosia z matką zajęły się jakimś pilnym szyciem, Eliza i Amelka robiły herbatę, Anna kończyła prasowanie, jednej Ludki tylko nie było, i zaczęto się niepokoić. Artur poszedł jej szukać, bo nigdy nie było wiadomo, jaki pomysł przyjdzie jej do głowy. Nie znalazł jej, wróciła sama za jakimś dziwnym wyrazem twarzy: była to mieszanina figlarności i obawy, zadowolenia i żalu. Wszystkich zadziwiła jej mina, podobnie jak zwitek banknotów, który położyła przed matką, mówiąc drżącym głosem:

— To mój wkład na zapewnienie wygód ojcu i sprowadzenie go do domu.

— Skąd to wzięłaś, moja droga? Dwadzieścia pięć dolarów! Ludko, mam nadzieję, że nie zrobiłaś niczego pochopnego.

— Nie, są uczciwie zdobyte. Nie wybrałam ich, nie pożyczylam, nie ukradłam, tylko zarobiłam, i nie sądzę, żebyś chciała mnie łącać, mamu, bo tylko sprzedałam swą własność. — Mówiąc to, zdjęła kapelus, a wszystkie wykrzyknęły, gdyż jej gęste włosy zostały krótko obcięte.

Dom

Poświęcenie, Trud

— Twoje włosy! Twoje piękne włosy! Ach, Ludko, jak mogłaś! Pozbyłaś się jedynej swojej ozdoby! Moja droga córeczko, to niepotrzebne! Nie wyglądasz na moją dawną Ludkę, ale cię serdecznie kocham za to.

Gdy wszystkie wydawały okrzyki, a Eliza czule ścisnęła ostrzyżoną głowę, Ludwisia przybrała obojętną minę i rzekła, potrząsając ciemną czuprynką, jak gdyby sprawiała jej przyjemność:

— Nie zmienia się od tego losy narodu, więc nie lamentuj, Elizo. To zbawienna rzecz nawet, bo robiłam się zbyt dumna z mojej grzywy, i mózg skorzysta, że się pozbyłam tej mioty. Tak mi będzie przyjemnie, lekko i chłodno! Fryzjer powiedział, że wkrótce urośnie mi kędzierzawa czupryna, zupełnie jak chłopcu. Będzie mi z nią do twarzy i głowę utrzymam w porządku. Nie żałuję tego wcale, proszę cię zatem, mamó, weź pieniądze i chodźmy na kolację.

— Opowiedz mi to ze szczegółami, Ludko. Niezupełnie jestem zadowolona, lecz nie mogę cię ganić, widząc, jak chętnie poświęciłaś próżność dla przywiązania. Ale to było niepotrzebne, moja droga, i boję się, że kiedyś pożałujesz — rzekła pani March.

— Nigdy! — stanowczo odparła Ludka, doznając wielkiej ulgi, że jej postępek nie został całkiem potępiony.

— Co cię do tego skłoniło? — spytała Amelka, której równie prędko przyszło by na myśl uciąć sobie głowę, jak piękne włosy.

— Opanowała mnie chęć przysłużenia się czymś ojcu — odpowiedziała Ludwisia, gdy się zebrały przy stole, bo zdrowe i młode osoby mogą jeść nawet w zmartwieniu. — Nie cierpię pożyczać, podobnie jak mama, i wiem, że ciotka March gderałaby: ona zawsze gdera, gdy ją prosić chociażby o parę groszy. Małgosia oddała kwartalną pensję na opłatę komornego, a ja za moją kupiłam tylko kilka sukien, więc czułam się winna i postanowiłam zdobyć pieniądze, choćby mi przyszło sprzedać nos.

— Niepotrzebnie poczuwałaś się do winy, moje dziecko. Nie miałaś zimowego ubrania i kupiłaś jak najskromniejsze, za ciężko zapracowane pieniądze — rzekła pani March z takim spojrzaniem, że Ludce rozplywało się serce.

— Nie miałam tego od razu na myśli, ale idąc, zastanawiałam się, co by zrobić, i pomyślałam, żeby wpaść do któregoś z bogatych sklepów i sobie poradzić. W oknie u fryzjera zobaczyłam warkocze z przypiętą ceną. Jeden z nich czarny, dłuższy od mego, ale nie tak gruby, miał napis: „czterdzieści dolarów”. Nagle przyszło mi do głowy, że mam rzecz, za którą mogę wziąć pieniądze, i bez namysłu weszłam, by zapytać, czy kupiono by włosy i ile dano by za moje.

— Nie rozumiem, jak się na to zdobyłaś — rzekła Eliza z przestraszeniem.

— To był jakiś mały człowieczek, który wyglądał, jakby całe życie tylko smarował sobie włosy olejkiem. Zdziwił się z początku, bo widać nieprzyzwyczajony, żeby panny wchodziły do jego sklepu z zapytaniem, czy kupi ich włosy. Powiedział, że nie podobają mu się moje, gdyż nie są w modnym kolorze, i że niewiele płaci za towar z pierwszych rąk, bo dopiero wyrób stanowi cenę, i tym podobne rzeczy. Już zmrok zapadał i bałam się, że wszystko przepadnie, jeżeli zaraz tego nie zrobię. Przy tym wiecie, że jak sobie coś ułożę, to muszę dokonać, więc poprosiłam, żeby wziął włosy, objaśniając, dlaczego mi tak pilno. Wiem, że to było niemądre, ale wpłynęłam na niego, bo się jakoś rozgorączkowałam i opowiedziałam całą historię bez ładu, jak to jest moim zwyczajem. Jego żona, która także słuchała, rzekła z taką dobrocią: „Weź je, Tomaszu, i przysłuż się tej pani. Ja bym to samo zrobiła dla naszego Jasia, gdyby mój warkocz miał jaką wartość”.

— Któż to był ten Jaś? — spytała Amelka, lubiąca wiedzieć wszystko ze szczegółami.

— Mówiła, że to jej syn, który poszedł do wojska. Prawda, jak to łączy z sobą obcych ludzi? Cały czas, gdy mąż obcinał włosy, zabawiała mnie uprzejmie rozmową.

— Czy nie było ci straszno za pierwszym cięciem? — spytała Małgosia i dreszcz ją przeszedł.

— Rzuciłam ostatnie spojrzanie, gdy szukał przyrządów, i nic więcej. Nigdy się nie zastanawiam nad takimi drobiazgami. Jednak muszę wyznać, że było mi dziwnie, gdy ujrzałam te drogie włosy na stole i poczułam tylko ostre i krótkie końce na głowie. Doznałam prawie takiego uczucia, jak gdyby mi ucięto rękę lub nogę. Ta pani, spostrzegłszy, że na nie spoglądam, zostawiła mi jeden długi pukiel. Tobie go dam, mamó, żebyś pa-

Poświęcenie

miętała moją dawną świetność, bo czuprynka jest tak wygodna, że wątpię, czy wrócę kiedyś do grzywy.

Pani March zwinęła kręcący się kasztanowaty pukiel i położyła w stoliku, obok innego, który był krótki i siwy. Rzekła tylko: „Dziękuję ci, moja droga”, ale było coś takiego w jej twarzy, że dziewczęta zaczęły wesoło rozprawiać o tym, jaki pan Brooke dobry, jaka piękna pogoda zapowiada się na jutrzejszy dzień i jak szczęśliwe będą czasy, kiedy ojciec wróci do domu i zacznie wracać do zdrowia.

Nikomu nie chciało się spać, ale o dziesiątej pani March, skończywszy ostatnie zajęcie, rzekła: „Chodźcie, dziewczęta”. Eliza usiadła do fortepianu, by zagrać ulubiony hymn ojca, i wszystkie podniosły odważnie głosy, lecz jedna po drugiej milkła, i nareszcie ona sama tylko śpiewała z głębi serca, dla niej bowiem muzyka była zawsze słodką pocieszycielką.

— Połóżcie się i nie rozmawiajcie, musimy się wyspać i wstać jutro wcześniej. Dobranoc, moje kochane! — rzekła pani March, gdy hymn się skończył, bo żadna nie miała ochoty próbować drugiego.

Pocałowały ją spokojnie i położyły się tak cicho, jak gdyby ich drogi chory leżał w przyległym pokoju. Amelka i Eliza prędko usnęły pomimo wielkiego strapienia, ale Małgosia leżała rozbudzona, myśląc pierwszy raz w swym krótkim życiu o tak ważnych rzeczach. Zdawało jej się, że Ludka śpi, tak nieruchomo leżała, dopiero usłyszawszy przytłumiony jęk, krzyknęła i dotknęła się zroszonego policzka.

— Ludwisiu droga, co ci jest? Czy z powodu ojca płaczesz?

— Teraz nie!

— Więc cóż ci się stało?

— Moje... moje włosy! — wybuchnęła biedaczka, daremnie usiłując skryć wzruszenie w poduszce.

Małgosi nie wydało się to śmieszne. Czule całowała i pieściła zasmuconą bohaterkę.

— Wcale nie żałuję! — zapewniała Ludka, szlochając. — Gdybym mogła, jutro zrobiłabym to samo. Tylko próżna, samolubna cząstka mego „ja” narzeka i płacze tak nie-dorzecznie. Proszę cię, nie mów o tym, już przeszło. Myśląc, że śpisz, jęknęłam po cichu za moją jedyną ozdobą. Jakim sposobem się obudziłaś?

— Nie mogę spać, taka jestem niespokojna — rzekła Małgosia.

— Myśl o czymś przyjemnym, to prędko uśniesz.

— Próbowałam, ale mnie to jeszcze bardziej rozbudziło.

— O czym myślałaś?

— O ładnych twarzach, a w szczególności o oczach — odpowiedziała Małgosia, uśmiechając się do siebie w cieniach nocnych.

— Jakiego koloru najlepiej je lubisz?

— Ciemne, to jest, czasami, niebieskie są ładne.

Ludka roześmiała się, a siostra surowo zakazała jej mówić, potem mile obiecała związać jej loczki, i gdy usnęła, śniło jej się, że mieszka w swym zamku na lodzie.

Zegary były północ i w pokojach było bardzo cicho, kiedy jakaś postać zaczęła przesuwać się od łóżka do łóżka, to gładząc którąś koldrę, to poprawiając poduszkę, i zatrzymywała się długo, by czule przyrzeć się każdej z tych uspionych twarzyczek, złożyć pocałunek z cichym błogosławieństwem i zasłać do nieba tak gorącą modlitwę, jak tylko matki umieją. Gdy podniosła firankę, aby spojrzeć na posępną noc, księżyc wysunął się nagle spoza chmur i zajaśniał nad nią jak pogodna, promienna twarz, która zdawała się szeptać wśród ciszy: „Pociesz się, drogie serce, zawsze jest światłość za chmurami”.

## ROZDZIAŁ XVI. LISTY

O zimnym, szarym świetle dziewczęta zapaliły lampę i przeczytały przypadający na ten dzień werset z takim przejęciem jak nigdy jeszcze, bo cień rzeczywistego zmartwienia dał im poznać, jak bogate było ich życie przy promieniach słonecznych. Książeczki okazały się skuteczne i kojące, bo ubierając się, dziewczęta postanowiły, że pożegnanie ich będzie pełne otuchy i że wyprawią matkę w tę przykrą podróż niezasmuconą ich łzami ani skargą. Wszystko wydawało im się bardzo dziwne, gdy zeszły na dół, tak mgliście i cicho było na dworze, tak jasno i ruchliwie w domu. Śniadanie o wczesnej porze stanowiło także niezwykłą rzecz, i nawet znana twarz Anny wyglądała nienaturalnie, gdy się

krzątała po kuchni w nocnym czepku. Duży kufer stał w pogotowiu w sieni, szal matki i kapelusz leżały na sofie, ona sama siedziała, zmuszając się do jedzenia, lecz była tak blada i znużona bezsennością i trwogą, że dziewczętom ciężko było dotrzymać postanowienia. Małgosi mimo woli oczy napelniały się łzami, Ludka musiała nieraz chować twarz, a małe dziewczynki były tak poważne i zmieszane, jak gdyby zmartwienie było dla nich czymś nowym.

Mało się odzywały. Dopiero gdy zbliżyła się chwila odjazdu i czekały na powóz, zaczęły się wszystkie zajmować matką: jedna składała szal, druga prostowała szarfę od kapelusza, trzecia kładła kalosze, czwarta zamykała podróży worek — ona zaś przemówiła:

— Powierzam was, moje dzieci, staraniom Anny i opiece pana Laurence'a. Anna jest uosobieniem wierności, a nasz dobry sąsiad będzie was strzegł jak własne córki. Nie obawiam się o was, ale pragnę, byście należycie przyjęły to strapienie. Nie martwcie się ani gryźcie po moim wyjeździe, i niech wam się nie zdaje, że was może pocieszyć próżniactwo i chęć zapomnienia. Zajmujcie się jak zwykle, będzie to wielką ulgą. Ufajcie i pracujcie, a cokolwiek nastąpi, pamiętajcie, że zawsze będziecie miały ojca.

— Przyrzekamy ci to, mamo.

— Małgosi droga, bądź roztropna, czuwaj nad siostrami, zasięgaj rad Anny i w każdym kłopotcie udawaj się do pana Laurence'a. Ty, Ludko, bądź cierpliwa, nie zrażaj się i unikaj nierozwagi. Pisuj do mnie często, bądź jak zawsze mężną dziewczynką, gotową nas wszystkich pocieszać i rozweselać. Elizo, ty uprzyjemnij sobie czas muzyką i bądź wierna drobnym domowym obowiązkom. Amelka zaś niech pomaga wszystkim, o ile będzie w jej mocy, niech będzie posłuszna i siedzi bezpiecznie w domu.

— Usłuchamy cię, mamo, usłuchamy!

Turkot nadjeżdżającego powozu przestraszył je; wszystkie się wśluchały. Była to bolesna chwila, lecz wytrzymały ją dobrze. Żadna się nie rozpląkała, żadna nie uciekła, nie wydała jęku, chociaż było im ciężko na sercach, gdy przesyłając pozdrowienia ojcu, przypominały sobie, że może już ich nie odbierze. Ucałowały matkę spokojnie, przytuliły się do niej tkliwie i przesyłały rękami wesołe znaki, gdy odjeżdżała.

Artur z dziadkiem przyszedł ją pożegnać. Twarz pana Brooke'a przejawiała tyle siły, czułości i dobroci, że dziewczęta nazwały go panem „Wielkie serce”.

— Bądźcie zdrowe, moje najdroższe! Niech nas Bóg błogosławi i ma w swej opiece! — szeptała pani March, całując drogie twarzyczki, i pospieszyła do powozu.

Gdy odjeżdżała, słońce się pokazało, i spojrzawszy poza siebie, spostrzegła, że błyszczy jakby na dobrą wróżbę nad gromadką stojącą przed bramą. Dzieci także to zobaczyły i z uśmiechem pozdrawiały ją rękami. Skręcając na rogu ulicy, zobaczyła cztery pogodne twarze, a za nimi jakby straż przyboczną: starego pana Laurence'a, wierną Annę i przywiązanego Artura.

— Jak wszyscy dobrzy są dla nas — powiedziała, zwracając się do młodzieńca, i znalazła świeży tego dowód w jego pełnym szacunku współczuciu.

— Czy mogłoby być inaczej? — odparł z tak udzielającym się śmiechem, że pani March mimo woli rozjaśniła twarz.

Tak więc ta długa podróż zaczęła się od dobrych wróżb: od promieni słonecznych, uśmiechów i wesołych słówek.

— Czuję się jak po trzęsieniu ziemi — odezwała się Ludka, gdy sąsiedzi poszli do domu na śniadanie, zostawiając je, by wypoczęły i otrzeźwiły się.

— Zdaje się, jakby pół domu ubyło — dodała Małgosia ze smutkiem.

Eliza otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz zdołała tylko wskazać stos starannie pocerowanych pończoch, które leżały na stoliku matki, na dowód, że nawet w ostatnich gorączkowych chwilach były przedmiotem jej pracy i myśli. Ta drobnostka przeniknęła ich serca i pomimo mężnych postanowień upadły na duchu i rozpląkały się gorzko.

Roztropna Anna pozwoliła, by ulżyły uczuciom, i dopiero zauważywszy, że się atmosfera rozpozadza, przysłała na pomoc z imbryczkiem kawy.

— Proszę pamiętać, drogie panienki, co mama powiedziała, i nie smuć się. Chodźcie wypić po filiżance kawy, a potem weźcie się do roboty, żeby być chlubą rodziny.

Kawa stanowiła dla nich rzadki przysmak i Anna okazała wiele taktu, robiąc ją tego ranka. Nie mogły się oprzeć jej zaproszeniu i woni, wydobywającej się z dziobka od im-

bryczka. Przysunęły się do stołu, schowały chustki do nosa, a położyły przed sobą serwety, i w dziesięć minut przyszły zupełnie do siebie.

— Ufajcie i pracujcie! To jest nasze hasło. Zobaczmy, która je najlepiej zapamięta. Ja pójdę do ciotki March, jak zwykle. Ach, będzie prawić morały — rzekła Ludka i popijała wesoło kawę, odzyskawszy humor.

— A ja pójdę do moich Ringów, chociaż wołałabym mieć nadzór w domu — odezwała się Małgosia, żałując, że ma tak zaczerwienione oczy.

— To niepotrzebne, możemy doskonale gospodarować we dwie z Elizą — powiedziała Amelka bardzo serio.

— Anna powie, co mamy robić, i wszystko zastaniecie w porządku — dodała Eliza, biorąc zaraz szczotkę i misę do zmywania.

— Zdaje mi się, że niepokój jest bardzo zajmującą rzeczą — zauważyła Amelka, jedząc cukier z zamyśleniem.

Dziewczęta nie mogły się powstrzymać od śmiechu i ulżyło im to, chociaż Małgosia potrząsała głową nad panią znajdującą pociechę w słoju z cukrem.

Widok jabłek smażonych w cieście zupełnie otrzeźwił Ludkę, a gdy we dwie poszły do codziennych zajęć, smutno obejrzały się na okno, gdzie zazwyczaj ukazywała się twarz matki. Nie było jej, ale Eliza zapamiętała ten mały obrządek domowy i stała, kłaniając się jak mandaryn<sup>94</sup> z różową twarzączką.

— Jakie to podobne do mojej Elizy — rzekła Ludka, powiewając kapeluszem z wdzięcznym wyrazem twarzy. — Bądź zdrowa, Małgosiu, mam nadzieję, że małe Kingsy nie będą cię dziś dręczyć. Nie smuć się o ojca, moja droga — dodała przy rozstaniu.

— A ja się spodziewam, że ciotka March nie będzie gderać. Do twarzy ci z tymi włosami, wyglądasz jak chłopiec, i bardzo ci ładnie — powiedziała Małgosia, wstrzymując się od śmiechu z tej kędzierzawej głowy, która się zdawała komicznie mała na wysokich ramionach Ludki.

— To moja jedyna pociecha — odrzekła i dotykając kapelusza *à la*<sup>95</sup> Artur, poszła dalej, czując się ten wietrzny dzień jak ostrzyżona owca.

Wiadomości od ojca bardzo pocieszyły dziewczęta, bo chociaż był niebezpiecznie chory, obecność najlepszej i najtkliwszej żony już przyniosła polepszenie. Pan Brooke codziennie przysyłał wiadomości, a Małgosia, jako głowa rodziny, upierała się, by jej przypadło prawo odczytywania depesz, które po upływie tygodnia stawały się coraz weselsze. Z początku było im wszystkim pilno pisać i grube koperty były starannie wkładane do skrzynki na listy przez którąś z siostr, bardzo przejętych waszyngtońską korespondencją. Ponieważ jedna z tych przesyłek zawierała charakterystyczne listy od całego grona, okradniemy tę wyobrażoną pocztę, aby je przeczytać:

#### Najdroższa Matko!

Nie zdołam wypowiedzieć, jak nas uszczęśliwił twój ostatni list. Przesłałaś tak pomyślnie wiadomości, że nie mogliśmy wstrzymać się od śmiechu i łez. Jaki też pan Brooke jest zacny i jak to szczęśliwie, że interesy pana Laurence'a zatrzymają go tak długo, kiedy jest pożyteczny tobie i ojcu. Dziewczęta są dobre jak złoto. Ludwisia pomaga mi żyć i wszystko, co najtrudniejsze, chce koniecznie brać na siebie. Dręczyłaby mnie obawa, że się zapracowuje, ale wiem, że jej moralny „napad” niedługo potrwa. Eliza wykonuje swoje zadania regularnie jak w zegarku i nigdy nie zapomina twoich zaleceń. Martwi się o ojca i ma smutną minę, z wyjątkiem chwil spędzanych przy fortepianie. Amelka słucha mnie grzecznie, i pilnie jej doglądam. Sama się czesze, uczę ją robić dziurki do guzików i cerować pończochy. Bardzo jest pilna i sądzę, że po powrocie ucieszysz się z jej postępów. Pan Laurence czuwa nad nami po macierzyńsku jak stara kokosz, według wyrażenia Ludki. Artur jest bardzo serdeczny i przyjacielski. Oboje z Ludką podtrzymują w nas wesołość, bo czasem bywamy bardzo kwaśne, i zdaje mi się, żeśmy sieroty, kiedy jesteś tak daleko. Anna, jakby święta: nigdy nie laje,

List

Szczęście

<sup>94</sup>mandaryn — urzędnik w cesarskich Chinach. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>à la (fr.) — na sposób, w stylu. [przypis edytorski]



nazywa mnie „miss Małgorzatą”, czym dowodzi wielkiego taktu, i traktuje mnie z szacunkiem. Jesteśmy zdrowe, zajęte i marzymy dzień i noc o twoim powrocie. Przekaż ojcu moje przywiązanie i ufaj mi, zawsze twoja

*Małgosia*

Ten list, pięknie napisany na wonnym welinie<sup>96</sup>, bardzo różnił się od następnego, który został nagryzmołony na dużym arkuszu cienkiego, zagranicznego papieru, pełen kleksów i nierównych liter.

Moja droga Mamo!

Trzykrotne pozdrowienie dla drogiego ojca!

Pocziwy chłopiec z Brooke’a, że zaraz telegrafował, by nas zawiadomić o polepszeniu. Gdy nadszedł list, pobiegłam na poddasze, chcąc podziękować Bogu, że taki dobry dla nas, ale zdołałam tylko powtarzać ze łzami: „Ciesz się! Ciesz się!” Czy to nie zastąpiło modlitwy według reguł, kiedy miałam przepelnione serce? Miewamy bardzo przyjemne chwile i mogę ich teraz używać, bo wszyscy są tak rozpaczliwie dobrzy, że się zdaje, iż żyjemy w gniazdku synogarlic. Śmiałyś się, widząc, jak Małgosia siedzi z macierzyńską miną na głównym miejscu przy stole. Co dzień robi się ładniejsza i czasem bywam w niej zakochana. Dzieci to zupełnie archanioły, a ja, no ja jestem Ludką i nigdy nie będę czymś innym. Ach, muszę ci powiedzieć, że się prawie poróżniłam z Arturem. Odezwałam się raz szczerze o jakiejś drobnostce i obraził się. Wprawdzie miałam słuszność, ale nie należało mówić w taki sposób. Poszedł do domu z groźbą, że się nie zjawi, póki go nie przeproszę. Na co odrzekłam, że to nie nastąpi, ale potem ogarnął mnie zupełny szal.

Trwało to cały dzień; źle mi było i bardzo żałowałam, że ciebie nie ma. Oboje z Arturem jesteśmy tak dumni, że trudno nam się przeprosić. Myślałam, że przyjdzie, skoro *miałam* słuszność. Nie przyszedł jednak. W nocy przypomniały mi się słowa, które powiedziałaś do mnie, gdy Amelka wpadła do rzeki. Czytałam moją książeczkę i doznawszy stąd ulgi, postanowiłam nie dać słońcu zajść nad moim gniewem i pobiec do Artura, by mu wyznać skruchę. Spotkałam go przed bramą, idącego do mnie w tym samym celu. Ze śmiechem przeprosiliśmy się wzajemnie i znowu było nam dobrze i miło. Uściśnij ode mnie najczulej ojca i siebie ucałuj dwanaście razy od twej roztrzepanej

*Ludki*

*Pieśń z pralni*

Królując nad balią, wciąż śpiewam wesoło,  
Wyżymam i płuczę od rana,  
A zawsze pogodą jaśnieje me czoło,  
Myśl moja jak pianka mydlana.

Na sznurach bieliznę rozwiewam i suszę,  
Gdy słońko przygrzewa złociste,  
I pragnę, by ludzkie sumienia i dusze  
Tak były bielutkie, tak czyste.

<sup>96</sup>welin — rodzaj luksusowego, gładkiego i cienkiego papieru. [przypis edytorski]

List

Dobro

Dusza

Lecz próżne marzenia! Na ścieżce żywota,  
Gdy serce od bólu nam pęka,  
Gdy duszę ogarnia niepokój, tęsknota,  
Niech pracą zajmuje się ręka.

Przy pracy myśl smutna bez śladu ulata,  
A ufność w swe siły się budzi,  
Bo praca wywalcza szacunek u świata  
I miłość zaskarbia u ludzi.

Więc śpiewam wesoło, zajęta robotą,  
Wesoło nad balią króluję.  
Ty, serce, snuć możesz marzenia nić złotą,  
Lecz ręka niech zawsze pracuje.

#### Droga matko!

Tylko tyle jest miejsca, bym przesłała pozdrowienie i kilka suszonych bratków z krzaku, który przechowałam dla ojca. Czytuję co rano, staram się być dobra cały dzień i śpiewam sobie do snu pieśń ojca. Wszyscy są bardzo dobrzy i jesteśmy szczęśliwe, na ile to może być bez ciebie. Amelka prosi o resztę stronicy, więc muszę położyć pióro. Nie zapomniałam dać wierzchu na mankietach; co dzień nastawiam zegar i wietrzę pokoje. Ucałuj drogiemu ojcu ten policzek, który nazywa moim. Ach, wróćcie prędko do kochającej was

*małej Elizy*

#### *Ma chere mamma!*<sup>97</sup>

Wszystkie jesteście zdrowe zawsze odrabiam lekcje, nigdy nie opieram się dziewczętom. Małgosia jest dla mnie wielką pociechą i co wieczór daje mi galaretę do herbaty, co jest bardzo dobre bo Ludka mówi że mnie to czyni słodką. Artur okazuje mi za mało poszanowania bo wszakże jestem już prawie dorosła. Nazywa mnie kurczątkiem i rani moje uczucia, mówiąc bardzo prędko po francusku, gdy powiem *merci* albo *bon jour* jak Helenka King. Rękawy u mojej niebieskiej sukienki były zupełnie podarte i Małgosia wyszyła nowe ale wierzch źle wypadł i są bardziej niebieskie jak suknia. Źle mi jest lecz nie narzekam i cierpliwie znoszę troski ale chciałabym, żeby Anna brała więcej krochmalu do moich fartuszków i żebym miewała co dzień pszenne placuszki, czy można? Czy nie ładnie zrobiłam ten znak zapytania, Małgosia mówi że nie znam się na znakach pisarskich i na ortografii, martwi mnie to ale mam tyle rzeczy do zrobienia a nigdy nie ma końca. *Adieu*, przesyłam czule pozdrowienia dla papy, kochająca was córka

*Amelka Curtis March*

<sup>97</sup>*Ma chere mamma!* (fr.) — Moja droga mamo. [przypis edytorski]

Droga pani March!

Ja także dodaję kilka wierszy, by donieść, żeśmy wszystkie zdrowe. Dziewczęta są grzeczne i krzątają się bardzo. Z panny Małgorzaty robi się prawdziwie dobra gospodyni. Wszystko robi się ochoczo i dziwnie prędko. Ludka ciągle coś tłucze przez pośpiech i nad niczym się nie zastanawia, dlatego nigdy nie wiadomo, co zrobi. Prała suknie w poniedziałek, ale je nakrochmaliła przed wyżęciem i tak zafarbowała niebieską suknię, że myślałam, iż umrę ze śmiechu. Eliza jest najlepszą w świecie istotką i stara się pomagać, a taka jest roztropna i poslušna! Wszystkiego chciałaby się nauczyć i nad wiek dobrze kupuje na targu. Przy mojej pomocy robi także rachunki zupełnie zadziwiająco. Jesteśmy bardzo oszczędne: daję dziewczętom kawę raz na tydzień stosownie do życzenia pani i żywię je tylko prostymi i zdrowymi potrawami. Amelka trochę się gniewa, chciałaby co dzień nosić najładniejsze sukienki i jadać łakocie. Pan Artur jest żartobliwy jak zwykle i bardzo często robi zamęt w całym domu, ale rozwesela dziewczęta, więc mu pozostawiam swobodę. Stary pan przysłał mnóstwo rzeczy. Jest trochę męczący, ale ma dobre chęci, i nie mogę nic mówić przeciw niemu. Chleb mi wyrasta, więc tym razem będzie dosyć. Przesyłam ukłony panu March.

*Z uszanowaniem  
Anna Mullet*

#### Pielęgniarka naczelna oddziału II

Wszystko idzie dobrze nad Rappahannock<sup>98</sup>; pułk w pożądanym stanie, wydział komisyjny dobrze prowadzony, domowa straż pod pułkownikiem Teodorem zawsze na swym posterunku. Naczelny dowódca, generał Lawrence, robi co dzień przegląd wojska. Kwatermistrz Mullet utrzymuje obóz w porządku, a major Lion odbywa straż nocną. Dobre wiadomości z Waszyngtonu zostały przyjęte wystrzałami z dwudziestu czterech dział, a w kwaterze głównej odbyła się wielka parada.

Naczelny dowódca przesyła najserdeczniejsze życzenia, do których przyłącza się szczerze,

*pułkownik Teodor*

Droga pani!

Wszystkie dziewczynki są zdrowe; od Elizy i mojego chłopca odbieram codziennie sprawozdania. Anna jest wzorową służką i strzeże pięknej Małgosi jak smok. Cieszy mnie to, że się utrzymuje ładna pogoda. Proszę korzystać z usług Brooke'a, i liczyć na mnie, jeżeli wydatki przekroczą szacunki. Niech mężowi pani na niczym nie zbywa. Dzięki Bogu, że powraca do zdrowia.

*Szczery przyjaciel i służka,  
James Lawrence*

<sup>98</sup>*Rappahannock* — rzeka we wsch. części stanu Wirginia w Stanach Zjednoczonych; miejsce licznych działań wojennych podczas wojny secesyjnej. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ XVII. NIEWIERNE PRYZRZECZENIOM

Przez cały tydzień panowała w starym domu taka ilość cnoty, że można by nią obdzielić całą okolicę. Było to coś prawdziwie zdumiewającego, gdyż wszyscy zdawali się w niebiańskim nastroju ducha i wyrzeczenie się siebie weszło w modę. Lecz uwolnione od pierwszego niepokoju o ojca, dziewczęta zaczęły niepostrzeżenie ustawać w chwalebnych usiłowaniach i wracać do dawnego trybu życia. Nie zapomniały swego hasła, lecz obok ufności i pracy, dawały jednak wakacje przymusowi, który je kosztował tak wiele swobody.

Ludka, nie zakrywając ostrzyżonej głowy, dostała kataru, i otrzymała rozkaz siedzenia w domu, póki się jej nie polepszy, bo ciotka March nie lubiła słuchać czytania zakatarskiej osoby. Odpowiadało jej to, gdyż energicznie krzątała się po domu, od poddasza do piwnicy, a potem zasiadła na sofie, żeby się leczyć z kataru proszkiem i książkami. Amelka zauważyła, że gospodarowanie w domu i sztuka nie dadzą się pogodzić, więc wróciła do „pasztecików z gliny”. Małgosia chodziła co dzień do Kingów lub szła w domu, albo raczej tak jej się zdawało, bo dużo czasu poświęcała pisaniu długich listów do matki i odczytywaniu depeš z Waszyngtonu. Eliza dobrze się trzymała, czasem tylko popadając w próżniactwo lub smutek. Wszystkie drobne obowiązki spełniała co dzień wiernie za siebie i często za siostry, które o swoich łatwo zapominały, i prowadziła dom tak regularnie, że podobny był do zegara, którego wahadło poszło w odwiedziny. Gdy jej było ciężko na sercu z tęsknoty za matką lub z obawy o ojca, szła do jakiejś kryjówki, chowała twarz w fałdach pewnej drogiej, starej sukni, płakała trochę i cicho, w głębi duszy odmawiała krótką modlitwę. Nikt nie wiedział, co ją rozwesela po napadzie smutku, ale wszyscy czuli, jak jest słodka i uczynna, i weszło w zwyczaj udawać się do niej po pociechę lub radę w drobniejszych sprawach.

Dziewczęta nie wiedziały, że ten czas smutku jest próbą ich charakterów, i po pierwszym podnieceniu nabrały pewności, że dobrze sobie poradziły i zasługują na pochwałę. Tak było istotnie, lecz błąd ich tkwił w tym, że przestały dobrze postępować, o czym się przekonały kosztem wielkiego niepokoju i cierpienia.

— Małgosiu, chciałabym, żebyś poszła odwiedzić Humłów. Wiesz, że mama powiedziała, żebyśmy o nich nie zapomniały — rzekła Eliza w dziesięć dni po wyjeździe pani March.

— Jestem dziś nadto zmęczona — odparła Małgosia, kołysząc się wygodnie w fotelu, z szyciem w ręku.

— A ty, Ludko, nie możesz? — spytała Eliza.

— Dla mnie zbyt wietrznie, bo mam katar.

— Zdaje mi się, że prawie ustał.

— Jestem już dosyć zdrowa, żeby wyjść z Arturem, ale nie tyle, żeby się wybrać do Humłów — powiedziała Ludka ze śmiechem, lecz widać było, że się trochę wstydzi swej niekonsekwencji.

— Czemu sama nie idziesz? — zapytała Małgosia.

— Bywałam co dzień, ale najmłodsze dziecko jest słabe i nie wiem, jakby mu radzić. Humlowa chodzi do roboty, a nad nim czuwa Karolinka, ale coraz jest słabsze i słabsze. Zdaje mi się, żeście wy powinny pójść albo Anna.

Eliza powiedziała te słowa tak serio, że Małgosia obiecała pójść nazajutrz.

— Poproś Annę o coś dobrego do jedzenia i zanieś im sama, Elizko, powietrze ci posłuży — odezwała się Ludka i dodając dla wytłumaczenia się: — Poszłabym, ale chcę skończyć powieść.

— Mnie głowa boli i jestem zmęczona, więc myślałam, że któraś z was pójdzie — powiedziała Eliza.

— Amelka zaraz wróci, to pobiegnie za nas wszystkie — odezwała się znów Małgosia.

— Odpocznę trochę i zaczekam na nią.

Eliza położyła się więc na sofie, siostry wróciły do swych zajęć, a Humlowie poszli w zapomnienie. Godzina minęła, Amelki jeszcze nie było. Małgosia udała się do swego pokoju, żeby przymierzyć nową suknię, Ludkę pochłonięła powieść, Anna spała przy kominie, gdy Eliza ubrała się po cichu w kapturek, napełniła koszyk okrawkami i resztkami dla biednych dzieci i wyszła na chłodne powietrze z ociężałą głową i smutną miną.

Wróciła późno i niespostrzeżona zamknęła się w pokoju matki. W pół godziny potem Ludka poszła po coś do „szafki mamy” i zastała tam Elizę przy skrzynce z lekarstwami. Miała twarz bardzo smutną, oczy zaczerwienione, w rękę trzymała fiolkę kamfory.

— Krzysztofie Kolumbie! Co się stało? — zawołała Ludwisia, gdy Eliza wyciągnęła rękę, jak gdyby dla odsunięcia jej, i zapytała żywo:

— Miałaś już szkarlatynę<sup>99</sup>, prawda?

— Kilka lat temu, razem z Małgosią. Dlaczego?

— Powiem ci... Ach, Ludko, umarło dziecko!

— Jakie dziecko?

— Humlowej. Zmarło u mnie na kolanach, zanim wróciła do domu! — wykrzyknęła Eliza, łkając.

— Biedaczko! Jakże to straszne dla ciebie! Powinnaś być pójsz sama — powiedziała Ludka i usiadłszy w wielkim fotelu matki, ze skruszoną twarzą wzięła siostrzyczkę na kolana.

— To nie było straszne, Ludko, tylko takie smutne! Od razu spostrzegłam, że jest słabsze, ale Karolinka powiedziała, że matka poszła po doktora, więc wzięłam dziecko, żeby ona wypoczęła. Zdawało się, że śpi, lecz nagle wydało krótki krzyk, drgnęło, a potem leżało bardzo spokojnie. Próbowałam rozgrzać nóżki, a Karolinka dawała mu trochę mleka, ale się nie poruszyło, i poznałam, że nie żyje!

— Nie płacz, droga! I co zrobiłaś?

— Siedziałam, trzymając dziecko ostrożnie, dopóki Humlowa nie przysłała z doktorem. Powiedział, że umarło, i obejrzał Heinricha i Minnę, chorych na gardło. „To szkarlatyna, moja pani, trzeba mnie było wcześniej wezwać”, rzekł szorstko. Humlowa powiedziała mu, że jest uboga i sama próbowała wyleczyć dziecko, ale teraz już za późno, więc prosi tylko o pomoc dla dwojga żyjących i liczy na miłosierdzie ludzkie, żeby mu zapłacić. Uśmiechnął się wówczas i stał się uprzejmiejszy, ale bardzo tam było smutno i płakałam z nimi, aż nagle obrócił się, kazał mi pójść do domu i wziąć zaraz belladonny<sup>100</sup>, bo inaczej dostanę szkarlatyny...

— Nie dostaniesz! — wykrzyknęła Ludka, ściskając mocno siostrę z przestraszoną twarzą. — Ach, Elizo, gdybyś miała chorować, nigdy bym sobie nie darowała! Cóż my pocniemy?

— Nie bój się, może to nie będzie ciężka choroba. Zajrzałam do książki mamy i zobaczyłam, że się zaczyna od bólu głowy, gardła i tak dziwnego usposobienia jak moje, więc wzięłam trochę belladonny i już mi lepiej — rzekła Eliza, przykładając zimne rączki do gorącego czoła i udając weselszą minę.

— Żeby choć mama była w domu! — wykrzyknęła Ludka i schwyciła książkę. Wówczas dopiero uczuła, jak daleko jest Waszyngton.

Przeczytawszy stronicę, przyglądała się Elizie, dotknęła jej głowy, zajrzała do gardła, a potem rzekła z przejęciem:

— Co dzień przebywałaś z tym dzieckiem i z tamtymi, które teraz dostają szkarlatyny, więc boję się, że i ty ją przejdiesz, Elizo. Zawołam Annę, bo ona się zna dobrze na chorobach.

— Nie pozwalaj przychodzić Amelce, ona nie miała szkarlatyny, więc mogłaby się zarazić. A ty i Małgosia, czy nie możecie jej mieć powtórnie? — zapytała z niepokojem.

— Sądzę, że nie. Ale mniejsza o to. Choćby jej dostała, byłabym słusznie ukarana za samolubstwo, kiedy ciebie tam puszczałam, sama przez ten czas gryzmołąc brednie — pomrukiwała Ludka, idąc do Anny po radę.

Ta pocziwa dusza otrzeźwiała w jednej chwili i natychmiast wstała, zapewniając Ludkę, że się nie ma czego smucić, bo każdy przechodzi szkarlatynę i nie umiera na nią, kiedy jest dobrze leczony. Ludka wierzyła w to wszystko i z wielką już ulgą poszła z Anną do Małgosi.

<sup>99</sup>szkarlatyna — płonica, ostra choroba zakaźna wieku dziecięcego, której towarzyszy czerwona drobna wysypka na całym ciele. Przed upowszechnieniem penicyliny po II wojnie światowej szkarlatyna była najczęstszą chorobą wieku dziecięcego o bardzo ciężkim przebiegu, jej śmiertelność wynosiła 25%. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>belladonna (łac. *Atropa belladonna*) — inaczej: pokrzyk wilcza jagoda; roślina trująca, stosowana w medycynie. [przypis edytorski]

— Powiem wam, co zrobimy — rzekła Anna po obejrzeniu i wybadaniu Elizy. — Wezwiemy doktora Banga, żeby cię zobaczył, moja droga, i żeby osądził, czyśmy się dobrze wzięły do rzeczy. Potem wyprawimy Amelkę na jakiś czas do ciotki March, by ją stąd oddalić, a jedna z was, moje panienki, może zostać w domu i zabawiać Elizę dzień czy dwa.

— Ma się rozumieć, że ja zostanę jako najstarsza — odezwała się Małgosia z widocznym niepokojem i z wyrzutami sumienia.

— Z mojej przyczyny jest chora, więc ja zostanę przy niej. Obiecałam mamie spełnić jej zlecenie, a nie dotrzymałam słowa — rzekła Ludka stanowczo.

— Którą z nich wolisz, Elizo? Tylko jednej tu potrzeba — powiedziała Anna.

— Chciałabym Ludkę — rzekła Eliza z zadowoloną twarzą i oparła się główką o siostrę, rozstrzygając tym kwestię.

— Pójdę powiedzieć Amelce — odezwała się Małgosia trochę obrażona, lecz zadowolona przy tym, bo nie lubiła opiekować się chorymi, a Ludka miała w tym upodobanie.

Amelka z uporem i z gwałtownym uniesieniem odpowiedziała, że woli mieć szkarlatynę niż pójść do ciotki March, Małgosia przekonywała ją, prosiła i rozkazywała, ale wszystko daremnie, zapewniała, że nie pójdzie. Zrozpaczona Małgosia udała się do altany z pytaniem, co robić. Nim powróciła, Artur wszedł do pokoju bawialnego i zastał szlochającą Amelkę, z głową schowaną w poduszkach sofy. Opowiedziała mu całą historię, spodziewając się pociechy, ale on z rękami w kieszeniach chodził tylko wkoło po pokoju, gwizdał z cicha i ściągał brwi w głębokim zamyśleniu. Następnie usiadł obok niej i rzekł przymilnie:

— Bądź rozsądną kobietką i zrób, o co cię proszą. Zamiast płakać, posłuchaj, jaki mam wesoły plan. Pójdiesz do ciotki March, a ja co dzień będę cię zabierał na przejażdżkę lub na przechadzkę i będziemy się doskonale bawić. Czy to nie lepiej niż smuć się tutaj?

— Nie chcę, żeby mnie stąd wyprawiano w taki sposób — odezwała się Amelka z urazą.

— Bóg z tobą, moje dziecko, to dla twego dobra. Przecież nie chciałabyś chorować?

— Nie chciałabym, ale wiem, że się rozchoruję, bo ciągle byłam z Elizą.

— Powinnaś się natychmiast oddalić, żeby tego uniknąć. Jestem pewny, że przy zmianie powietrza i ostrożności ochronisz się, jeżeli nie od choroby, to przynajmniej od ciężkiego jej przebiegu. Radzę ci usunąć się jak najprędzej, bo ze szkarlatyną nie ma żartów, moja panno.

— U ciotki March tak nudno i ona taka przykra — rzekła Amelka z przestradchem.

— Nie będzie nudno, jak co dzień zajrzę, przyniosę wiadomości o Elizie, i wezmę cię na pohulanekę. Stara jejmość mnie lubi i będę się starał być dla niej tak grzeczny, że nam nie będzie dokuczać, choćbyśmy nie wiedzieć co robili.

— Czy będziesz mnie woził omnibusem?

— Daję ci na to słowo gentlemana.

— Co dzień przyjdiesz?

— Przekonasz się, czy kiedyś nie dopiszę.

— I zabierzesz mnie, jak tylko Eliza będzie zdrowa?

— W tej samej chwili.

— A do teatru będziesz mnie brał?

— Do dwunastu teatrów, jeżeli się da.

— Kiedy tak, zdaje mi się, że pójdę — rzekła z cicha.

— Pocziwa z ciebie dziewczyna! Powiedz Małgosi, że jej usłuchasz — rzekł Artur, poklepując ją na zachętę, co ją obraziło jeszcze bardziej niż słowa „że jej usłuchasz”.

Małgosia i Ludka zbiegły na dół, żeby się przyjrzeć cudowi, a Amelka, której się zdawało, że nabiera wielkiego znaczenia i że się poświęca, obiecała pójść do ciotki, jeżeli doktor powie, że Eliza będzie chora.

— Jak się ma to drogie dziecko? — spytał Artur, bo Eliza była jego pieszczotką i więcej czuł niepokojem niż go okazywał.

— Leży na łóżku mamy i czuje się lepiej. Śmierć tego dziecięcia zrobiła na niej wrażenie i musiała się zaziębić, biedna siostrzyczka; Anna tak samo sądzi, ale wydaje się tak osłabiona, że mnie to zatrzaża — powiedziała Małgosia.

— Jakże męczący jest świat! — rzekła Ludka, niecierpliwie nastrzępiając sobie włosy. — Zaledwie wydobyliśmy się z jednego zmartwienia, następuje drugie. Nie ma się nawet na kim wesprzeć, odkąd mama pojechała; czuję się, jak gdyby mną kołysało morze.

— Nie róbże ze siebie jeża, to do niczego niepodobne. Wyglądź perukę, moja Ludko, i powiedz, czy mam telegrafować do mamy, czy zrobić coś innego? — spytał Artur, który się nie mógł pogodzić z tym, że jego przyjaciółka pozbyła się swojej jedynej ozdoby.

— To mnie właśnie trapi — powiedziała Małgosia. — Według mnie, powinnyśmy ją zawiadomić, jeżeli Eliza jest rzeczywiście chora, ale Anna utrzymuje, że nie trzeba, bo mama nie może odjechać od ojca, więc tylko przysporzymy im niepokoju. Eliza nie będzie długo chorować, Anna wie, co przy niej robić, a mama powiedziała, żeby jej słuchać; musimy więc iść za jej zdaniem, ale mnie się ono nie wydaje trafne.

— Hm, sam nie wiem co powiedzieć. A gdybym spytał dziadka po wizycie doktora?

— Dobrze. Ludko, idź zaraz po pana Banga — rozkazała Małgosia. — Nie możemy nic postanowić, póki on nie przyjdzie.

— Zostań, Ludko, ja będę waszym posłańcem — rzekł Artur, chwytając kapelusz.

— Obawiam się, że jesteś zajęty — odezwała się Małgosia.

— Wcale, bo już odrobiłem dzisiejsze lekcje.

— Czy uczysz się podczas wakacji? — spytała Ludka.

— Idę za dobrym przykładem sąsiadek — odpowiedział, wybiegając z pokoju.

— Pokładam wielkie nadzieje w moim chłopcu — rzekła Ludka, przyglądając się z zadowolonym uśmiechem, jak Artur przeskakuje płot.

— Bardzo dobrze postępuje, jak na chłopca — odpowiedziała Małgosia niezbyt mile, bo niewiele ją to obchodziło.

Doktor Bang przyszedł i powiedział, że Eliza ma objawy szkarlatyny, lecz może ją przejść łatwo. Miał jednak niezadowoloną minę, słuchając historii o Humlach. Zalecił natychmiast usunąć Amelkę i zaopatrzył ją w środki ochronne. Wyszła zatem jak najspieszniej z domu pod strażą Ludki i Artura.

Ciotka March przyjęła ich ze zwykłą sobie gościnnością.

— Czego znowu chcecie? — zapytała, spoglądając ostro sponad okularów, a papuga siedząca na poręczy jej krzesła, krzyknęła:

— Idź precz! Tu nie wolno przychodzić chłopcom!

Artur odsunął się do okna, Ludka zaś opowiadała, co u nich zaszło.

— Mogłam się tego spodziewać, kiedy wolno wam włóczyć się do ubogich. Amelka może zostać i być tu użyteczna, jeżeli nie zachoruje; ale nie wątpię, że się tak stanie, zupełnie na to wygląda. Nie płacz dziecko, nie cierpię szlochania.

Amelka była bliska płaczu, ale Artur zniemacka pociągnął papugę za ogon, skutkiem czego Polly wrzasnęła z takim zdumieniem i tak zabawnie: „Niech będą błogosławione moje buty!”, że dziewczynka musiała się roześmiać.

— Co matka donosi? — mrukliwie zapytała jejmość.

— Ojciec dużo zdrowszy — odpowiedziała Ludwisia, powstrzymując śmiech.

— Doprawdy? Sądzę, że to nietrwale polepszenie, bo March nigdy nie miał wiele żywotnych sił — odpowiedziała mile.

— Ha, ha! Nie mów nigdy o śmierci, zażyj niuch tabaki, bądź zdrowa! — wrzeszczała Polly, tańcząc na grzędzie i gryząc czepek jejmości, gdy Artur szczypał ją z tyłu.

— Powstrzymaj język, ty zuchwały ptaku! A Ludka niech zaraz pójdzie do domu, bo nieprzyzwoicie jest włóczyć się o późnej godzinie z takim pustym chłopcem jak...

— Powstrzymaj język, ty zuchwały stary ptaku! — krzyknęła znów Polly, spadając na krzesło, i zaczęła dziobać „pustego chłopca”, który trząsał się ze śmiechu, posłyszawszy te słowa starej jejmości.

— Zdaje mi się, że nie wytrzymam tutaj, ale spróbuję — pomyślała Amelka, zostawszy sama z ciotką March.

— Idź sobie, straszdyło! — wrzasnęła Polly, a biedna Amelka nie mogła się powstrzymać od chlupnięcia, słysząc tę gburowatą mowę.

## ROZDZIAŁ XVIII. PONURE DNI

Eliza dostała szkarlatyny daleko cięższej niż ktokolwiek przypuszczał, oprócz Anny i doktora. Dziewczęta nie były obeznane z chorobami, a pana Laurence'a nie wpuszczano. Anna robiła zatem, co chciała, zwłaszcza, że doktor Bang zajęty praktyką, czynił wprawdzie, co mógł, lecz w wielu rzeczach zdawał się na doskonałą pielęgniarkę. Małgosia nie chodziła do państwa Kingów, żeby nie zarazić ich dzieci, i prowadziła gospodarstwo; bardzo była niespokojna i czuła się trochę winna, że nie wspomina w listach o chorobie Elizy. Nie mogła uważać za właściwe, że oszukuje matkę, ale miała zalecone być posłuszną Annie, która słuchać o tym nie chciała, by „zawiadomić panią March i nabawić ją trwogi dla takiego drobiazgu”. Ludka dni i noce poświęcała siostrze. Nie był to ciężki trud, bo Eliza była bardzo cierpliwa i znosiła ból bez skargi, póki mogła panować nad sobą. Lecz przyszedł czas, kiedy w paroksyzmach<sup>101</sup> gorączki zaczęła mówić chrypliwym, urywanym głosem, grała na kołdrze, jakby na swym ulubionym fortepianie, i próbowała śpiewać z tak zapuchniętym gardłem, że nie wydobywał się z niego dźwięk. Nie poznawała nikogo, nie nazywała otaczających osób właściwymi imionami i błagalnie wołała matkę. Wówczas Ludka złękła się, Małgosia prosiła o pozwolenie napisania prawdy, i nawet Anna mówiła, że „pomyśli o tym, chociaż nie ma jeszcze niebezpieczeństwa”. List z Waszyngtonu powiększył ich niepokój, pan March miał bowiem nawrót choroby i nie mógł myśleć o prędkim powrocie do domu.

Jakże ponure wydawały się teraz dni, jak smutny i opuszczony był dom i jak ciężko było dziewczętom na sercach, gdy im czas schodził na pracy i oczekiwaniu, a cień śmierci unosił się nad ogniskiem tak niegdyś szczęśliwym. Małgosia często w samotności skrapiała robotę łzami, myśląc nad tym, jak była bogata w rzeczy cenniejsze niż zbytki otrzymywane za pieniądze: w miłość, opiekę, spokój i zdrowie, te błogosławione dary życia. Ludka pędziła życie w przyciemnionym pokoju cierpiącej siostrzyczki i smutny jej głos ciągle brzmiał jej w uszach. Nauczyła się oceniać piękną i słodką naturę Elizy. Przekonała się jak głębokie i tklive miejsce zajmuje we wszystkich sercach, z jakim wyrzeczeniem się siebie żyje dla innych i uszczęśliwia cały dom, objawiając te proste cnoty, które każdy może posiadać i powinien miłować więcej niż talent lub urodę. Amelka na swym wygnaniu serdecznie pragnęła być w domu, żeby coś zrobić dla Elizy, czuła, iż żadna praca nie byłaby zbyt ciężka i nużąca. Przypominała sobie z żalem i smutkiem, jak wiele zaniedbanych robót wykonywała za nią chętnie siostrzyczka. Artur błąkał się po domu jak pokutująca dusza, a pan Laurence zamknął wielki fortepian, bo nie mógł znieść wspomnienia młodej sąsiadki, która mu tak uprzyjemniała szarą godzinę. Wszyscy tęsknili za Elizą: mleczarz, piekarz, korzennik i rzeźnik zapytywali o jej zdrowie. Biedna Humlowa przysłała usprawiedliwić swą nieuważność i prosić o całun dla Miny; sąsiedzi przysyłali pozdrowienie i życzenia, i nawet osoby znające najlepiej Elizę dziwiły się, że mimo nieśmiałości zjednała sobie tak dużo przyjaciół.

Tymczasem ona leżała na łóżku ze starą Joanną, bo nawet będąc nieprzytomna pamiętała o swej nieszczęśliwej *protégée*<sup>102</sup>. Tęskniła do kotów, ale nie chciała, żeby je przynoszono z obawy, że zachorują, i w spokojniejszych chwilach trwożyła się o Ludkę. Przesyłała czułe pozdrowienia Amelce, prosiła, aby pisano do matki, że wkrótce odbierze od niej list, i często kazała sobie podać ołówek i papier na próbę, żeby ojciec nie przypuszczał, że go zaniedbała. Lecz niedługo ustały nawet te krótkie błyski przytomności i godzinami leżała, rzucając się w tę i w ową stronę z bezładnymi słowami na ustach, lub wpadała w ciężki i nieorzewiający sen. Doktor Bang bywał dwa razy dziennie, Anna siadywała po nocach, Małgosia miała w stoliku przygotowany telegram do wysłania w każdej chwili, a Ludka nie ruszała się od łóżka Elizy. Pierwszy grudnia był dla nich prawdziwie zimowym dniem, dął bowiem silny wiatr, padał gęsty śnieg i rok zdawał się chylić ku śmierci. Gdy doktor Bang przyszedł owego ranka, długo patrzył na Elizę, trzymał chwilę gorącą rączkę i położył ją ostrożnie, mówiąc cichym głosem do Anny.

— Jeżeli pani March może odstąpić od męża, to lepiej ją wezwać.

Anna skinęła głową w milczeniu, bo usta jej drgały nerwowo. Małgosia padła na krzesło, jakby ją opuściły siły. Ludka stała chwilę z bladą twarzą, potem wybiegła do pokoju

<sup>101</sup>paroksyzm — nasilenie choroby. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>protégée (fr.) — protegowana, otaczana opieką. [przypis edytorski]

List

Dom

Bogactwo

Siostra



bawialnego, schwyciła telegram i zarzuciwszy na siebie ubranie, wyszła żywo na wzburzone powietrze. Wkrótce wróciła i gdy po cichu zdejmowała okrycie, nadszedł Artur z listem donoszącym, że panu March znowu się polepszyło. Przeczytała go z wdzięcznością, lecz ciężar przygniatający jej serce był tak widoczny i twarz tak zgnębiona, że Artur zapytał z niepokojem:

— Co się dzieje? Czy Eliza ma się gorzej?

— Wezwałam mamę — rzekła Ludka, ściągając gwałtownie gumowe kalosze, z tragicznym wyrazem twarzy.

— Bóg z tobą, Ludko! Czyś to zrobiła sama przez się? — zapytał Artur, po czym posadził ją na krześle w sieni i zdjął uparte obuwie, widząc, że ręce jej drżą.

— Nie, doktor zalecił.

— Ach, Ludko, chyba nie jest tak źle! — wykrzyknął z przerażeniem.

— Owszem. Nie poznaje nas, nawet nie mówi o stadach zielonych gołąbków, jak nazywała zazwyczaj liście na ścianach. Niepodobna jest do siebie, a tu nie ma znikąd pomocy: rodzice odjechali, a Bóg zdaje się tak daleko, że nie mogę go znaleźć.

Łzy spływały po licu biednej Ludki i wyciągnęła rękę bezsilnie, jak gdyby szukając czegoś w ciemności. Artur ujął ją w swe dłonie, szepcząc, na ile pozwalało ściśnięte gardło:

— Ja tu jestem, wspieraj się na mnie, Ludko droga!

Nie mogła mówić, ale „wsparała się”, ciepły uścisk przyjaznej ręki ludzkiej pocieszył zbolale serce i zdawał się prowadzić ją bliżej do boskiego ramienia, które jedyne mogło ją wesprzeć w strapieniu. Artur pragnął powiedzieć coś tkliwego i pocieszającego, ale nie znajdował odpowiednich słów, stał więc w milczeniu, mile głaszcząc jej spuszczone głowę, jak matka zwykła czynić. Nie mógł zrobić nic lepszego, to ją ukoilo daleko bardziej niż najwymowniejsze słowa, bo odczuła niemą sympatię i poznała słodką pociechę, jaką przywiązanie przynosi w smutku. Prędko obtarła łzy, które przyniosły jej ulgę, spojrzała z wdzięcznością i rzekła:

— Dziękuję ci, Teodorku, teraz mi lepiej. Już nie jestem tak zgnębiona i będę się starała przyjąć z poddaniem ten cios, jeżeli nastąpi.

— Miej lepszą nadzieję, to ci sprawi ulgę, Ludko. Mama niedługo przybędzie, a wówczas wszystko dobrze pójdzie.

— Taka jestem uszczęśliwiona, że ojciec zdrowszy! Teraz nie będzie jej tak przykro odjechać! Ach, mój Boże! Czuję się, jakby się tu wszystkie niedole nagromadziły, a najwięcej na moich barkach — rzekła Ludka z westchnieniem, rozciągając wilgotną chustkę na kolanach, żeby wyschła.

— Czy Małgosia nie jest ci pomocna? — zapytał Artur z oburzeniem.

— Owszem, usiłuje; ale ona nie kocha tyle Elizę i nie będzie tęsknić tak jak ja. Eliza jest moim sumieniem i nie mogę jej się wyrzec, nie mogę, nie mogę!

Chowając twarz w mokrej chustce, Ludka płakała rozpaczliwie, choć dotąd była mężna i nie wylała ani jednej łzy. Artur przecierał oczy, ale nie mógł przemówić, póki nie przeszło dławienie w gardle i póki usta nie przestały drgać. Może to nie przystawało mężczyźnie, ale się nie zdołał powstrzymać. Gdy szlochanie Ludki zaczęło ustawać, rzekł, dodając jej otuchy:

— Nie sądzę, żeby umarła. Taka jest dobra, i wszyscy ją tak bardzo kochamy, że jeszcze jej Bóg nie zabierze.

— Dobre i kochane osoby zawsze umierają — rzekła z jękiem Ludka, lecz przestała płakać, bo słowa przyjaciela ukoili ją mimo zwątpienia i obawy.

— Biedna dziewczynko, zmęczona jesteś! Taka rozpacz nie leży w twoim charakterze. Prześń płakać, ja cię czymś wzmocnię.

Pobiegł na górę, przeskakując po dwa schody, a Ludka oparła znużoną głowę na ciemnym kapturku Elizy, którego nie zdjęto ze stołu, gdzie go położyła. Musiał mieć w sobie magiczną siłę, bo uległe usposobienie jego łagodnej właścicielki zdawało się wstępować w Ludkę. Gdy Artur powrócił spiesźnie z kieliszkiem wina, przyjęła go z uśmiechem i rzekła pewnym głosem:

— Piję zdrowie mojej Elizy! Dobry z ciebie doktor i pocieszający przyjaciel! Teodorku, jak ja ci się odplączę? — dodała, gdy wino orzeźwiło jej ciało, tak jak życzliwe słowa uspokoiły wzburzoną duszę.

Choroba

Przyjaźń

Dobro

Przyjaźń

— Przyślę kiedyś rachunek, a dziś wieczorem dam ci coś takiego, co lepiej rozgrzeje skorupę twego serca niż kwarta wina — odpowiedział Artur i patrzył na nią z jakąś poskramianą radością.

— Co to jest? — wykrzyknęła zdziwiona, zapominając w jednej chwili o swej boleści.

— Telegrafowałem wczoraj po mamę, a Brooke odpowiedział, że niezwłocznie wyjedzie i będzie tu dziś wieczorem. Teraz już wszystko dobrze pójdzie. Czy się nie cieszysz, że tak zrobiłem?

Artur wypowiedział to wszystko bardzo szybko i w jednej chwili zaczerwienił się i rozgorączkował, taił bowiem swój spisek z obawy, że dziewczęta będą niezadowolone lub że to zaszkodzi Elizie. Ludka zbladła, zerwała się krzesła i gdy mówiąc, nachylił się, zelektryzowała go, obejmując za szyję, i wołając:

— Ach, Arturze! taka jestem uszczęśliwiona!

Przestała płakać, jak gdyby straciła zmysły skutkiem tej nagłej wiadomości. Artur, chociaż niezmiernie zdumiony, zachował się bardzo przytomnie, głaskał jej rękę dla uspokojenia i widząc, że przychodzi do siebie, lękliwie pocałował parę razy, co ją zaraz otrzeźwiło. Chwyciwszy się poręczy, odsunęła go łagodnie i rzekła, ciężko oddychając:

— O, przestań! Ja tego nie chciałam! To było okropne z mojej strony, ale okazałeś tyle dobroci, uczyniwszy to mimo woli Anny, że się nie mogłam powstrzymać i rzuciłam ci się na szyję. Powiedz mi wszystko i nie dawaj już wina, bo gdyby nie ono, z pewnością nie postąpiłabym w ten sposób.

— Wcale się nie gniewam — odrzekł Artur ze śmiechem, i posadził ją na krześle.

— Widzisz, zaniepokoił się obaj z dziadkiem i zdawało nam się, że Anna przekracza swe prawa i że matka powinna wiedzieć co się dzieje. Nigdy by nam nie wybaczyła, gdyby Eliza... gdyby się stało... rozumiesz. Powiedziałem zatem dziadkowi, że już najwyższy czas, byśmy coś przedsięwzięli, i wczoraj pobiegłem do biura telegraficznego, bo doktor miał ponurą minę. Anna odebrała mi do reszty otuchę, gdy zaproponowałem wysłanie depeszy, utwierdziła mnie w tym zamiarze. Mama przyjedzie z pewnością ostatnim pociągiem, który przychodzi o drugiej. Pojadę po nią, ale musisz poskramiać radość i utrzymać Elizę w spokoju, dopóki ta błogosławiona pani nie przybędzie.

— Arturze, jesteś aniołem! Jakże ci dziękuję?

— Rzuć się jeszcze raz w moje objęcia; jakoś mi się to podobało — odrzekł z figlarną minką, jakiej nie widziano u niego od dwóch tygodni.

— Nie, dziękuję ci, zrobię to przez zastępstwo, jak przyjdzie twój dziadek. Zamiast mnie dręczyć, idź do domu i połóż się, bo się nie położysz aż późno w nocy. Niech cię Bóg błogosławi, Teodorku... niech cię Bóg błogosławi!

Po tych słowach schowała się w kąt, potem szybko pobiegła do kuchni i usiadłszy, opowiadała zebranim kotom, że jest szczęśliwa, ach, taka szczęśliwa! — Artur zaś odszedł z wewnętrznym poczuciem, że dobrze postąpił.

— To największy w świecie wścibski, ale mu przebaczam i mam nadzieję, że pani March przyjedzie w samą porę — rzekła Anna z ulgą w sercu, gdy Ludka przyniosła jej tę wiadomość.

Małgosi radość była cicha; rozmyślała o liście, podczas gdy Ludka porządkowała w pokoju chorej „dla niespodzianego gościa”. Zdawało się, że powiew świeżego powietrza przeniknął cały dom, że coś lepszego niż promienie słoneczne ogrzało ciche pokoje i że wszystko odczuło tam szczęśliwą zmianę. Ptaszek Elizy znowu zaczął świergotać na oknie, róża Amelki rozwinęła się do połowy na krzaku, ogień palił się niezwykle wesoło, a pobladle dziewczęta, ile razy spotkały się z sobą, z uśmiechem ścisnęły się wzajemnie, szepcząc dla dodania sobie otuchy: „Mama przyjedzie, moja droga! Mama przyjedzie!”. Wszyscy się cieszyli prócz Elizy, która leżała w ciężkim odrętwieniu, jak gdyby nieświadoma nadziei, radości, zwątpienia i niebezpieczeństwa. Był to smutny widok: ta niegdyś różowa twarzyczka tak była zmieniona i wychudła, te niegdyś pracowite rączki tak nieruchome, a piękne i dobrze utrzymane włosy tak twarde i potargane leżały na poduszce. Cały dzień spoczywała, niekiedy budząc się tylko by szepnąć: „wody” tak spalonymi ustami, że z trudnością mogły wymówić to słowo. Cały dzień Ludka i Małgosi czuwały nad nią troskliwie, z ufnością w Boga i matkę.

Szczęście

Choroba

Śnieg ciągle padał, silny wiatr dął, a godziny powoli upływały. Wreszcie nastąpił wieczer. Ile razy zegar uderzył, siostry, siedzące cicho po obu stronach łóżka, patrzyły na siebie promiennym wzrokiem, bo każda chwila przybliżała pomoc. Doktor zapowiedział, że zmiana na złe lub na dobre nastąpi niezawodnie około północy i że sam przyjdzie o tym czasie.

Anna, zupełnie pozbawiona już sił, położyła się na sofie u stóp łóżeczka i usnęła. Pan Laurence siedział u siebie, gdyż wolałby patrzeć na buntującą się baterię u siebie niż na strwożoną twarz pani March, gdy wejdzie do domu. Artur leżał na sofie przed kominkiem, udając, że drzemie, lecz wpatrywał się w ogień z zamyśleniem w swoich słodkich, przejrzystych czarnych oczach.

Dziewczęta nigdy nie zapomniały tej nocy, bo żadna nie zasnęła, czuwając z tym strasznym uczuciem bezsilności, jakie nawiedza nas w podobnych godzinach.

— Jeżeli Bóg ocali Elizę, nie będę już nigdy narzekać — szepnęła Małgosia z głębi duszy.

— Jeżeli Bóg ocali Elizę, będę się starała kochać Go i służyć mu całe życie — powiedziała Ludka, równie szczerze.

— Wolałabym nie mieć serca, bo tak boli — rzekła Małgosia po chwili z westchnieniem.

— Jeżeli życie bywa często tak ciężkie, to nie wiem, jak je przetrwamy — dodała zrozpaczona Ludka.

Wtem zegar wybił dwunastą i zapomniały o sobie, wpatrując się w Elizę, gdyż zdawało im się, że w jej chudej twarzyczce zaszła zmiana. W domu było głucho jak w grobie, tylko jęk wiatru przerywał głęboką ciszę. Znużona Anna spała i nikt prócz sióstr nie widział bladego cienia, który się zdawał padać na łóżeczko. Godzina minęła, a nic nie zaszło, tylko Artur po cichu udał się na stację. Druga godzina — jeszcze nic, biedne dziewczęta zaczęły lękliwie przewidywać zwłokę z powodu burzy lub, co gorsza, wskutek wielkiego nieszczęścia w Waszyngtonie.

Już było po drugiej, kiedy Ludka, stojąc przy oknie zamyślona nad tym, jak strasznie wygląda świat w tym śnieżnym całunnie, usłyszała ruch przy łóżku i obróciwszy się żywo, ujrzała Małgosię klęczącą z ukrytą twarzą, przy fotelu matki. Straszna trwoga przeniknęła ją zimnym dreszczem, gdy pomyślała: „Eliza umarła, a Małgosia boi się mi powiedzieć”.

W jednej chwili wróciła na swoje miejsce i zdawało jej się, że w chorej zaszła wielka zmiana, gorączkowe rozpalenie i wyraz bóleści znikły, a ukochana twarzyczka była tak blada, cicha i głęboko spokojna, że Ludka nie uczuła pociągu do łez ani do żalu. Pochyliwszy się nad najdroższą ze swych sióstr, serdecznie pocałowała wilgotne czoło i po cichu rzekła:

— Żegnam cię moja Elizo, żegnam cię.

Jak gdyby przebudzona tym poruszeniem, Anna pośpieszyła do łóżka, spojrzała na Elizę, dotknęła jej rękę, pochyliła się nad ustami, a potem, zarzuciwszy fartuch na głowę, usiadła, kołysząc się w tę i z powrotem, i wykrzykiwała stłumionym głosem:

— Gorączka ustała, sen naturalny, skóra wilgotna i oddech lekki. Bogu niech będzie chwała! Ach! Boże, zmiłuj się nade mną.

Zanim dziewczęta zdołały uwierzyć w radosną prawdę, doktor przyszedł ją potwierdzić. Był to pospolity mężczyzna, lecz jego twarz wydawała im się niebiańska, gdy patrząc na nie po ojcowsku, rzekł z uśmiechem:

— Tak moje drogie, sądzę, że dziewczyna wydobędzie się z biedy. Czuwajcie nad tym, żeby tu było cicho. Niechaj śpi, a gdy się obudzi, dajcie jej...

Co miały dać, żadna nie usłyszała, bo wymknęły się do ciemnej sieni i siedząc na schodach, ścisnęły jedna drugą, zbyt uradowane, by się zdobywać na słowa. Wróciwszy po pieszczoty i pocałunki wiernej Anny, zastały Elizę leżącą jak zwykle z twarzą wspartą na rączce. Straszna bladeść znikła, a oddech miała spokojny, jak gdyby dopiero co usnęła.

— Żeby to mama teraz przyjechała! — rzekła Ludka, gdy zimowa noc zaczęła ustępować.

— Patrz — powiedziała Małgosia, zbliżając się do białej, na wpół rozkwitłej róży — myślałam, że raczej się nie rozwinie na jutro, żeby ją można dać w rękę Elizie, gdyby odeszła od nas. Ale otworzyła się w nocy, a teraz włożę ją do wazonika, żeby nasza pieszczotka po przebudzeniu się zobaczyła najpierwej różyczkę i twarz mamy.

Bóg

Trud

Śmierć

Radość

Nigdy słońce nie wschodziło tak pięknie i nikomu świat nie wydał się tak miły, jak ociężałym oczom Małgosi i Ludki, gdy wyglądały o świcie przez okno po długim i smutnym czuwaniu.

— To zupełnie czarodziejski widok — rzekła Małgosia z uśmiechem, patrząc spoza firanki na olśniewający widnokrąg.

— Słyszysz? — krzyknęła Ludka, zrywając się na nogi.

Tak, przy drzwiach na dole odezwał się najpierw dźwięk dzwonek, okrzyk Anny, a potem głos Artura, który szeptał radośnie:

— Dziewczęta! Przyjechała! Przyjechała!

## ROZDZIAŁ XIX. TESTAMENT AMELKI

Podczas gdy się to działo w domu, u ciotki March Amelka przeżywała ciężkie chwile. Głęboko odczuwała swe wygnanie i pierwszy raz w życiu przekonała się, jak ją rodzina kochała i pieściła. Ciotka March nie miała dla nikogo pieśzchot i nie pochwałała ich w ogólności, lecz starała się być dobra dla grzecznej dziewczynki, która jej się bardzo podobała. Zresztą w jej starym sercu był cichy kącik dla dzieci siostrzeńca, chociaż nie uznawała za właściwe zdradzać się z tym. Istotnie robiła wszystko, co było w jej mocy, żeby uszczęśliwić Amelkę, ale, Boże mój, jakże się nietrafnie brała do rzeczy! Niejedna stara osoba przechowuje młodość serca mimo zmarszczek i siwizny, umie brać udział w drobnych troskach i w uciechach dzieci, potrafi urządzić dom w ten sposób, żeby się czuły jak u siebie, i ukrywać mądre nauki pod przyjemną zabawą; kocha i jest najtkliwiej kochana. Ale ciotka March nie miała tego daru, jej rozkazy, kaprysy i długie, nudne przemowy zamęczały Amelkę prawie na śmierć. Widząc, że jest bardziej uległa i łagodna niż siostra, stara jejmość poczuwała się do obowiązku wystawiać ją na próbę i, na ile się da, oddziaływać przeciw złym wpływom domowej wolności i pobbłazania. Wzięła więc Amelkę w swe ręce i tak ją prowadziła, jak prowadzono ją samą przed sześćdziesięciu laty. To postępowanie nękało biedaczkę i czuła się jak muszka w gęstej sieci pajęczej.

Co rano musiała zmywać filiżanki, czyścić staroświeckie łyżki, pękaty srebrny imbryk do herbaty i szklanki, póki nie błyszcząły jak nowe. Potem odkurzała pokoje, a jakież to przykre było zadanie! Żaden pyłek nie uszedł oka ciotki March, wszystkie meble miały rzeźbione nogi i dużo było dywanów, które nigdy nie dały się dostatecznie odkurzyć. Następnie karmiła Polly, czesała pieska i dwanaście razy przenosiła z góry na dół różne rzeczy i rozkazy, bo stara jejmość, bardzo kulejąc, rzadko wstawała z fotela. Po tych męczących zajęciach odrabiała lekcje, a to stanowiło co dzień probierz<sup>103</sup> jej cnoty. Potem wolno jej było godzinę ćwiczyć na fortepianie; a jakże tego używała! Artur co dzień przychodził i póty przymilał się ciotce March, póki nie pozwoliła Amelce wyjść z nim. Wówczas chodzili sobie lub jeździli, bawiąc się wybornie. Po obiedzie czytywała głośno, potem musiała siedzieć cicho w czasie drzemki starej jejmości. Trwało to zwykle godzinę, gdyż zaczynała się kiwać przy pierwszej stronie. Następnie wydobywano bieliznę do naprawy i serwety do obrębiania. Amelka szła do zmroku, na pozór uległa, lecz buntowała się w duchu. Do samej herbaty wolno jej było bawić się według upodobania. Wieczory schodziły najgorzej, bo ciotka March zaczynała opowiadać o swej młodości, a te długie historie były tak niewypowiedzianie nudne, że Amelka chętnie położyłaby się do łóżka, żeby popłakać nad swym twardym losem, lecz zazwyczaj ogarniał ją sen, zanim uroniła jedną łzę.

Gdyby nie Artur i stara służąca Estera, czuła, że nigdy by nie mogła przetrwać tego okropnego czasu. Sama papuga doprowadziłaby ją do szału, bo wkrótce, poznawszy, że Amelka się nią nie zachwyca, mściła się z największą złośliwością. Targała ją za włosy, ile razy biedaczka się zbliżała. Gdy już klatka była prawie oczyszczona, wylewała mleko z chlebem, żeby jej dokuczyć; pobudzała Mopa do szczekania, dziobiąc go, gdy pani drzemała; wymyślała jej przy gościach i dokuczała we wszystkim. Amelka nie mogła również znieść psa, tłustego złośliwego zwierzaka, który warczał i skowytał, gdy go myła i czesała, kładł jej się na plecach z łapami w powietrzu i stroił idiotyczną minę, gdy był głodny, a powtarzało się to dwanaście razy dziennie. Kucharka była zła, stary woźnica głuchy i tylko jedna Estera zwracała jakąś uwagę na „panienkę”.

<sup>103</sup>probierz — miernik, punkt odniesienia, służący za podstawę oceny. [przypis edytorski]

Estera była Francuzką, która zostawała od bardzo dawna przy „*madame*”, tak bowiem nazywała swoją panią, i tyranizowała nieco starą jejmość, nie mogącą się bez niej obejść. Naprawdę miała na imię Estella, ale gdy ciotka March kazała je zmienić, usłuchała pod warunkiem, że nigdy nie zmusi jej do przyjęcia innej religii. Polubiła „*mademoiselle*” i bawiła ją opowiadaniem o swym pobycie we Francji, robiąc koronki dla „*madame*”. Pozwalała jej też błąkać się po dużym domu i oglądać ciekawe i ładne rzeczy, zamknięte w wielkich szafach lub w starych skrzyniach, ciotka March zbierała bowiem skrzętnie jak sroka. Największą rozkosz sprawiał Amelce gabinet indyjski, pełen dziwacznych komód, szufladek i skrytek, gdzie ciotka trzymała rozmaite ozdoby: niektóre kosztowne, inne tylko osobliwe, a wszystkie mniej lub bardziej starożytne. Amelka niezmiernie lubiła przeglądać i układać te rzeczy, zwłaszcza pudełka z klejnotami, które przed czterdziestu laty zdobiły elegantkę, a dziś spoczywały na pąsowych, aksamitnych poduszkach. Był tam komplet z granatów, który wkładała, wychodząc z domu, perły, otrzymane od ojca w dzień ślubu; diamenty od narzeczonego, pierścionki i szpilki z dżetu<sup>104</sup>, dziwaczne medalioniki, w których z wierzchu był portret zmarłej osoby, a w środku płacząca wierzba wykonana z włosów, małe bransoletki, noszone przez jej jedyną córeczkę, duży zegarek stryja March z czerwoną pieczętką, którą się bawiło tyle dziecinnych rączek, i w osobnym pudełku ślubny pierścionek ciotki March, teraz za mały na jej tłusty palec, lecz starannie schowany, jako najcenniejszy ze wszystkich klejnotów.

— Co by wybrała *mademoiselle*, gdyby to od niej zależało? — spytała Estera, która siedziała zawsze blisko, by mieć oko na kosztowności i zamykać je w pudełkach.

— Najbardziej podobają mi się diamenty, ale nie ma naszyjnika, a to taka ładna rzecz. Gdybym mogła, wybrałabym to — odrzekła, patrząc z uwielbieniem na wieniec ze złotych i hebanowych pereł z takimże ciężkim krzyżem.

— Ja także miałabym na to ochotę, ale nie służyłby mi jako naszyjnik, o nie! Dla mnie, dobrej katoliczki, to jest różaniec — powiedziała Estera, patrząc smutno na ten piękny przedmiot.

— Czy to służy do tego, co twój wianek z pachnących drewnianych kulek, który wieszasz nad lustrem?

— Tak, na tym odmawia się modlitwy.

— Zdaje mi się Estero, że cię modlitwa bardzo pociesza i uspokaja. Ja też bym chciała się tak modlić.

— Gdyby *mademoiselle* była katoliczką, znajdowałaby w tym prawdziwą pociechę, ale ponieważ jest innego wyznania, byłoby dobrze, aby się co dzień usuwała na chwilę rozmyślenia i modlitwy, jak moja dobra pani, u której służyłam przed *madame*. Miała kapliczkę i w niej szukała osłody na wiele zmartwień.

— Byłoby dobrze, gdybym i ja tak robiła? — spytała Amelka, której w osamotnieniu potrzeba było jakiejś pomocy. Zauważyła bowiem, że łatwo zapomina o swej książeczce, odkąd Eliza nie przypomina jej tego obowiązku.

— Byłoby ślicznie, doskonale, i chętnie urzędę kącik, jeżeli panienka zechce. Nie trzeba mówić *madame*, tylko jak śpi, może panna tam pójść, posiedzieć sama, oddać się dobremu myślom i prosić Boga, żeby ocalił siostrę.

Estera była prawdziwie pobożna i szczerze dawała tę radę, bo mając kochające serce, dzieliła niepokój z pannami March.

Amelce spodobała się ta myśl i w nadziei, że będzie jej z tym lepiej, przystała na urządzenie gabineciku obok jej pokoju.

— Chciałabym wiedzieć, gdzie się podzieją te wszystkie ładne rzeczy, gdy ciotka March umrze? — powiedziała, z wolna kładąc na miejsce błyszczący różaniec i zamykając jedno po drugim pudełka z klejnotami.

— Przejdą do rąk panienki i jej siostr. Wiem to z pewnością, bo *madame* mi się zwierzyła, i byłam obecna, gdy pisała testament — szepnęła Estera z uśmiechem.

— Jak to miło! Ale chciałabym, żeby darowała nam je teraz. Odkładanie jest nieprzyjemne — zauważyła Amelka, spoglądając ostatni raz na diamenty.

— Jeszcze za wcześnie, żeby panienki nosiły takie rzeczy. Pierwsza, która się zaręczy, dostanie te perły, *madame* tak powiedziała. A ten pierścionek z turkusem, o ile mi się

<sup>104</sup>dżet — błyszczący czarny kamień ozdobny. [przypis edytorski]

zdaje, panienska otrzyma na odchodnym, bo *madame* bardzo zadowolona z jej postępowania i uroczych manier.

— Tak myślisz? Ach, będę barankiem, byle bym tylko miała ten ładny pierścionek! O wiele piękniejszy od brylantu Kasi! Jednak kocham ciotkę March — mówiąc to, przy mierzyła niebieski pierścionek z promienną twarzą i z silnym postanowieniem, że na niego zasłuży.

Od owego dnia była wzorem posłuszeństwa i stara jejmość łaskawie podziwiała skutki swej metody. Estera postawiła w gabinecie podnózek i stolik, a nad nim obraz, wzięty z jednego z zamkniętych pokojów. Wydawał jej się niewiele wart, ale ponieważ okazał się stosowny, pożyczyła go, dobrze wiedząc, że *madame* nigdy się o tym nie dowie, a w każdym razie nie będzie się gniewać. Była to jednak bardzo cenna kopia obrazu sławnego na cały świat i Amelka, rozmiłowana w pięknie, nigdy nie mogła się dosyć napatrzeć słodkiej twarzy Matki Boskiej, podczas gdy tkliwe myśli o własnej matce przejmowały jej duszę. Na stoliku umieściła mały Testament, książkę z hymnami i wazon, zawsze pełen najpiękniejszych kwiatów, które przynosił jej Artur. Chodziła tam co dzień oddawać się zbawiennym myślom i prosić Boga, by ocalił siostrę. Estera dała jej różaniec z czarnych pereł ze srebrnym krzyżem, lecz powiesiła go i nie używała, mając wątpliwości, czy to się nie sprzeciwia protestanckiej modlitwie.

Bardzo była szczerą w tym wszystkim, gdyż z dale od bezpiecznego gniazda tak boleśnie czuła potrzebę życzliwej i wspierającej ręki, że instynktownie zwróciła się do silnego i tklivego Przyjaciela, który swą ojcowską miłością najbardziej otacza małe dzieci. Brakowało jej matki do rozumienia siebie i kierowania swym postępowaniem, lecz gdy ją nauczono, gdzie zwracać spojrzenia, robiła co mogła, by znaleźć drogę i postępować nią z ufnością. Ale była młodą pielgrzymką i bardzo dawała jej się odczuć dźwigane brzemiona. Próbowwała jednak zapomnieć o sobie, być wesołą, zadowolona z tego, że dobrze postępuje, chociaż jej nikt nie widzi i nie chwali. Chcąc być bardzo, bardzo dobra, postanowiła za przykładem ciotki March napisać testament, aby w razie choroby i śmierci jej mienie zostało sprawiedliwie i szlachetnie podzielone. Ale dużo ją kosztowała sama myśl wyrzeczenia się małych skarbów, które w jej oczach były tak cenne jak klejnoty starej jejmości.

W czasie przeznaczonym na zabawę napisała ten ważny dokument, jak mogła najlepiej, z niejaką pomocą Estery co do pewnych wyrażen prawnych. Gdy poczciwa Francuzka podpisała swe nazwisko, Amelce zrobiło się lżej i odłożyła testament, oczekując Artura, który miał być drugim świadkiem. Ponieważ był to dżdżysty dzień, poszła z Polly na górę, do wielkiej sali. Była tam duża szafa, pełna staroświeckich ubiorów, którymi Estera często pozwalała jej się bawić. Kładła na siebie spłowiałe brokatele<sup>105</sup>, paradowała przed lustrem i robiła poważne ukłony, z szelestem zachwycającym jej uszy wlokąc za sobą ogon. Owego dnia tak była przejęta, że Artur zadzwonił i wszedł niepostrzeżenie. Przechadzała się wzdłuż i w szerz, chłodziła się wachlarzem, poruszała głową strojną w duży różowy turban, zabawnie kontrastujący z niebieską brokatelową suknią i żółtą pikowaną spódnicą. Musiała bardzo ostrożnie chodzić z powodu wysokich obcasów i, jak jej później powiedział Artur, było to arcyzabawne widzieć, jak się przechadza w jaskrawym stroju, z tyłu zaś Polly puszy się i kołysze z nogi na nogę, chcąc ją naśladować jak najlepiej; czasem zatrzymuje się ze śmiechem lub krzyczy: „czy nie jesteśmy nie piękne? Idź precz, straszyl! Powstrzymaj język! Pocałuj mnie, droga! Ha, ha!”

Artur powstrzymywał się od śmiechu, żeby nie obrazić majestatu Amelki, lecz wreszcie zapukał i łaskawie został przyjęty.

— Usiądź i odpoczywaj, póki nie zdejmę tych rzeczy, a potem poradzę się ciebie w jednej bardzo ważnej kwestii — rzekła Amelka, gdy się już popisała swym blaskiem i zapędziła Polly do kąta. — Ten ptak jest udręką mego życia — mówiła dalej, zdejmując różową górę z głowy, podczas gdy Artur siadał na krzesło jak na konia. — Wczoraj, kiedy ciotka usnęła, chciałam się zachować cicho jak myszka, tymczasem Polly zaczęła krzyczeć i szamotać się w klatce, więc poszłam ją wypuścić i znalazłam dużego pająka. Gdy go stamtąd wyjęłam, poleciał zaraz pod szafę z książkami. Polly poszła za nim, nachyliła się, zajrzała i krzyknęła z triumfem: „Wyjdź i przespaceruj się, mój drogi.” Nie mogłam

Matka Boska

Modlitwa

Bóg, Modlitwa

Trud

Testament

<sup>105</sup>brokatela — tkanina dekoracyjna przetykana jedwabiem. [przypis edytorski]

powstrzymać się od śmiechu, więc Polly ze złości zaczęła wrzeszczeć, a ciotka March obudziła się i wylała nas obie.

— Czy pajak przyjął to zaproszenie? — zapytał Artur, ziewając.

— Przyjął. Wylazł spod szafy, a Polly uciekła śmiertelnie przestraszona i wskoczyła na krzesło ciotki, wołając na mnie: „Złap go! Złap go! Złap go!”, bo ja polowałam na tego pajaka.

— „To kłamstwo, mój panie” — krzyknęła Polly, dziobiąc palce Artura.

— Skręciłbym ci szyję, gdybyś była moja, ty stara wiedźmo! — zawołał Artur, grożąc pięścią papudze, która zwiesiła głowę na bok i z powagą krakała: „Alleluja, niech będą błogosławione twe guziki, mój drogi!”

— Jestem już gotowa — rzekła Amelka, gdy zamknęła szafę i wyjęła papier z kieszeni. — Jeżeli chcesz, to przeczytaj ten dokument i powiedz, czy dobrze napisany. Życie jest niepewne, więc się poczułam do tego obowiązku, nie chcąc mieć nieprzyjaciół po śmierci.

Artur przygryzł sobie usta, i odwróciwszy się trochę od zamysłonej Amelki, czytał z powagą zasługującą na pochwałę — tak śmieszna była pisownia.

Testament

#### *Moja ostatnia wola i testament*

Ja, Amelia Curtis March, będąc przy zdrowych zmysłach, daję i przekazuję własność moją jak następuje:

Ojcu najlepsze malowidła, szkice, mapy i dzieła sztuki, włączając ramy. Również 100 funtów szterlingów, żeby z nimi zrobił, co zechce.

Matce całe ubranie, wyjąwszy niebieski fartuszek z kieszeniami; także mój portret, medalion i serdeczne pozdrowienie.

Drożej siostrze Małgorzacie turkusowy pierścionek (jeżeli go dostanę), kawałek prawdziwej koronki na szyję i jej wizerunek mojej roboty, na pamiątkę po jej „małej dziewczynce”.

Ludce zostawiam moją szpilkę, tę naprawioną lakiem; brązowy kałamarz, od którego zgubiła pokrywkę, i najpiękniejszego królika z gipsu, bo mi przykro, że spaliłam jej powieść.

Elizie (jeżeli mnie przeżyje) przekazuję lalki, biurko, wachlarz, płócienne kołnierzyki i nowe pantofle, w razie gdyby je mogła nosić, bo schudnie po chorobie. Żałuję, że nieraz żartowałam ze starej Joanny.

Mój przyjaciel i sąsiad Teodor Laurence otrzyma papierową tekę i gliniany model konia, chociaż powiedział, że nie ma szyi. W nagrodę za dobroć okazywaną w ciężkich dla nas chwilach, pozostawiam mu to dzieło sztuki, które sam wybierze; Notre Dame<sup>106</sup> największą ma wartość.

Naszemu szanownemu dobroczyńcy, panu Laurence, zapisuję czerwone pudełko z lusterkiem na wierzchu; wygodne jest do piór i przypominać mu będzie zmarłą dziewczynkę, wdzięczną za łaski wyświadczone jej rodzinie, a w szczególności Elizie.

Ukochanej towarzyszce zabaw, Kasi Bryant, proszę oddać niebieski jedwabny fartuszek, pierścionek ze złotą perelką i pocałunek.

Annie przekazuję ulubione jej tekturowe pudełko i całą starzyznę, w nadziei, że będzie mnie sobie przypominać, gdy na to spojrzy.

Ponieważ rozdzieliłam najcenniejsze moje rzeczy, spodziewam się, że wszyscy będą zadowoleni i nie potępiają zmarłej. Wybaczam wszystkim i ufam, że się spotkamy, gdy nas wezwie trąba archanioła. Amen.

Do tej ostatniej woli i tego testamentu przykładam rękę i pieczętuję, dwudziestego listopada Anno Domini 1861.

*Amelia Curtis March*

*Świadkowie*

*Estella Valnor  
Teodor Laurence*

<sup>106</sup>Notre Dame (fr.) — Nasza Pani; także: nazwa słynnej gotyckiej katedry w Paryżu. [przypis edytorski]

To ostatnie nazwisko było nakreślone ołówkiem i Amelka wyjaśniła Arturowi, że ma na wierzchu napisać atramentem i zapieczętować.

— Skąd ci to przyszło do głowy? Czy ktoś ci powiedział, że Eliza rozdaje swoje rzeczy?  
— spytał Artur poważnie, gdy Amelka podała kawałek czerwonej wstążeczki, zapaloną świecę i kałamarz.

Wy tłumaczywszy mu całą rzecz, zapytała niespokojnie:

— Co się dzieje z Elizą?

— Przykro mi, że się wygadałem, ale muszę ci już dopowiedzieć resztę. Pewnego dnia tak było z nią źle, że odezwała się do Ludki, iż chce dać fortepian Małgosi, ptaszka tobie, a biedną starą lalkę Ludce, która by ją kochała przez pamięć na siostrę. Żal jej było, że ma tak mało do rozdania, więc dla nas wszystkich przekazała pukle włosów, a dla dziadka pozdrowienie. Ona nie pomyślała o testamencie.

Opowiadając to wszystko, podpisał się, zapieczętował i podniósł oczy dopiero wtedy, kiedy wielka łza spadła na papier. Amelka miała zmieszana twarz, lecz rzekła tylko:

— Czy nie można dodać przypisku do testamentu?

— Owszem, to się nazywa kodycyłem.

— Dopisz więc, że pragnę, by mi obcięto wszystkie loki i rozdano znajomym. Zapomniałam wymienić to życzenie, ale proszę je spełnić, chociaż mnie to zeszpeci.

Artur z uśmiechem dopisał tę ostatnią i największą ofiarę; po czym zabawił ją z godzinę, przejmując się jej troskami. Gdy miał odejść, Amelka wstrzymała go, szepcząc drżącymi ustami:

— Czy Eliza naprawdę jest w niebezpieczeństwie?

— Obawiam się, że tak, ale miejmy jak najlepszą nadzieję. Nie płacz, moja droga — mówiąc to, objął ją po bratersku, co ją bardzo pocieszyło.

Gdy odszedł, udała się o zmroku do swej kapliczki, modliła się za Elizę ze łzami i ze zbolowanym sercem, czując, że miliony turkusowych pierścionków nie pocieszyłyby jej po stracie lubej siostrzyczki.

Siostra

## ROZDZIAŁ XX. ZWIERZENIA

Nie znalazłabym nigdy słów, by opisać powitanie matki z córkami. Takie chwile są piękne, lecz bardzo trudne do skreślenia, więc je zostawię wyobraźni moich czytelników. Powiem tylko, że dom był pełen szczerzej radości i że się ziściła najtkliwsza nadzieja dziewcząt, gdy się bowiem Eliza obudziła z długiego i uzdrawiającego snu, jej oczy najpierw padły na różyczkę i na twarz matki. Zbyt osłabiona, by dziwić się czemukolwiek, z uśmiechem tuliła się tylko w tkliwych objęciach, czując zaspokojoną tęsknotę. Potem usnęła znowu, a dziewczynki usługiwały matce, nie chcąc puścić wychudzonej rączki, która się do niej tuliła nawet podczas snu. Anna przygotowała dla podróżnej wyborne śniadanie, dowodząc, że to najlepszy sposób na zbytnie podniecenie. Małgosia z Ludką karmiły matkę jak małe bocianki, ona zaś po cichu opowiadała o zdrowiu ojca, o obietnicy pana Brooke'a, że zostanie, by go doglądać, o burzy, która opóźniła jej przybycie do domu, i o niewypowiedzianej radości na widok pocieszającej twarzy Artura, gdy przyjechała znużona, niespokojna, zziębnięta.

Jakiż to dziwny i miły był dzień! Tak jasno i wesoło na ulicy, bo się zdawało, że cała ludność wyruszyła na powitanie pierwszego śniegu, tak cicho i spokojnie w domu, wszyscy bowiem spali, znużeni czuwaniem, i panowała uroczysta cisza, podczas gdy Anna, kiwając się, trzymała straż przy drzwiach. Z tym błogim uczuciem, iż zrzuciły z siebie ciężar, Małgosia i Ludka położyły się na spoczynek i zamknęły zmęczone oczy, jak statki skolatane burzą i bezpiecznie schronione w cichej przystani. Pani March nie chciała odejść od Elizy i wypoczywała w fotelu, budząc się często, by spojrzeniem, pieszczotą i myślą cieszyć się swym dzieckiem jak skąpiec odzyskanym skarbem.

Przez ten czas Artur pobiegł pocieszyć Amelkę i tak pięknie opowiadał, iż ciotka March rozplakała się i ani razu nie rzekła: „Mówiłam, że tak będzie”. Amelka okazała się tak mężna, że sądzi, iż rozmyślanie w kapliczce zaczynały przynosić rzeczywiste owoce. Prędko osuszyła łzy, pokonała niecierpliwą chęć zobaczenia matki i nie pomyślała nawet o turkusowym pierścionku, a stara jejmość szczerze zgodziła się z Arturem, że zachowuje się jak „dzielna kobietka”. Nawet Polly zdawała się być pod wrażeniem, nazwała ją dobrą



dziewczynką, pobłogosławiła jej guziki i prosiła najuprzejmiej, żeby się z nią wybrała na przechadzkę. Amelka byłaby chętnie skorzystała z zimowej pogody, lecz widząc, że Artur jest niewyspany, chociaż się z tym kryje, namówiła go, żeby wypoczął na sofie, podczas gdy sama napisze kartkę do matki. Zabrało jej to dużo czasu i gdy się odwróciła, spał wyciągnięty z rękami pod głową, a ciotka March, spuściwszy firankę, siedziała beczynnym, w nadzwyczajnym przystępie dobroćliwości.

Po pewnym czasie zaczęły przypuszczać, że nie zbudzi się do samej nocy, i może by się tak stało, gdyby nie radosny okrzyk Amelki, kiedy zobaczyła matkę. Zapewne w mieście było dużo szczęśliwych dziewczynek owego dnia, lecz według mnie Amelka była najszczęśliwsza ze wszystkich, gdy siedząc na kolanach matki, opowiadała swoje troski i odbierała w nagrodę uśmiech pełen zachęty i czułe pieszczoty. Siedziały w kapliczce, przeciw której matka nic nie miała, dowiedziawszy się od Amelki, jaki jest jej cel.

— Przeciwnie, moja droga, bardzo mi się tu podoba — rzekła, patrząc na zakurzony różaniec, zniszczoną książeczkę i piękny obraz uwieńczony zielenią. — To doskonała rzecz mieć takie spokojne schronienie, gdy nas coś gniewa lub martwi. Dużo jest ciężkich chwil w życiu, ale zawsze można je znieść, gdy umiemy prosić o pomoc. Sądzę, że moja córeczka uczy się tego.

— Tak, uczę się i gdy wrócę do domu, będę miała kącik w dużym gabinecie na książki i na kopię tego obrazu, którą spróbowałam zrobić. Twarz Madonny nie jest udana, ale Pan Jezus jest piękniejszy i bardzo Go kocham. Miło mi myśleć, że był kiedyś dzieckiem, ośmiela mnie to do Niego.

Gdy wskazywała to dziecicę na kolanach matki, pani March spostrzegła na podniesionej rączce rzecz, która wywołała jej uśmiech. Nie rzekła ani słowa, lecz Amelka zrozumiała spojrzenie i po chwili odezwała się poważnie:

— Chciałam ci to powiedzieć, ale zapomniałam. Dostałam dziś ten pierścionek od ciotki. Zawołała mnie do siebie, pocałowała i włożyła go na palec, mówiąc, że jestem jej pociechą i że chciałyby mnie zatrzymać na zawsze. Jest za duży, więc dla podtrzymania go dodała tę maleńką obrączkę. Czy pozwolisz mi je nosić?

— Bardzo są ładne, ale sądzą, żeś trochę za młoda na takie ozdoby — rzekła pani March, patrząc na pulchny paluszek w pierścionku z niebieskim kamieniem i w drugim, złożonym z cienkich rączek, trzymających się ze sobą.

— Będę się starała nie być próżna — rzekła Amelka — i chciałabym je nosić nie tylko dlatego, że są ładne, ale żeby mi coś przypominały, jak tej dziewczynce z powieści, która nosiła bransoletkę.

— Czy ci mają przypominać ciotkę March? — spytała matka ze śmiechem.

— Nie, tylko moje samolubstwo — odrzekła z miną tak poważną i szczerą, że matka przestała się śmiać i z szacunkiem słuchała jej planu.

— W ostatnich czasach myślałam bardzo dużo o moich grzechach i największym z nich jest samolubstwo, więc chcę dołożyć wszelkich starań, żeby się z niego wyleczyć. Eliza nie jest samolubna, dlatego wszyscy ją kochają i boją się ją stracić. Gdybym ja była chora, nikt by się bardzo nie martwił i nie zasługiwałabym na to. Chciałabym jednak, żeby mnie kochano i żalowano, więc będę usiłowała stać się podobna do Elizy. Wprawdzie łatwo zapominam o moich postanowieniach, ale mając ciągle przy sobie przedmiot, który by mi je przypominał, zdaje mi się, że postępowałabym lepiej. Czy mogę wypróbować ten sposób?

— Dobrze, lecz bardziej wierzę w kącik dużego gabinetu. Noś ten pierścionek, moja droga, i postępuj, na ile będziesz mogła najlepiej. Sądzę, że ci się powiedzie, bo mając szczerą chęć doskonalenia się, w połowie zyskałaś już zwycięstwo. Muszę teraz wrócić do Elizy. Bądź mężna, moja córeczko, bo niedługo będziemy już razem w domu.

Wieczorem, podczas gdy Małgosia pisała do ojca, donosząc o szczęśliwym przybyciu podróźnej, Ludka poszła na palcach do pokoju Elizy i zastawszy matkę na zwykłym miejscu, stała chwilę, przesuując palce po włosach z nieswobodną i niepewną siebie miną.

— Co tam, moja droga? — spytała pani March, wyciągając rękę, ze spojrzeniem zachęcającym do zwierzeń.

— Chciałabym ci coś powiedzieć, mamo!

— O Małgosi?

Szczęście

Wiara

— Jak prędko zgadłaś! Tak, o niej. Chociaż to mała rzecz, jednak mnie gniewa...

— Eliza śpi, więc nie podnoś głosu i powiedz mi wszystko. Spodziewam się, że Mofata tu nie było? — spytała pani March porywczo.

— Nie. Zamknęłabym mu drzwi przed nosem, gdyby przyszedł — powiedziała Ludka, siadając na ziemi u nóg matki. — Zeszłego lata Małgosia zostawiła parę rękawiczek u Laurence'ów, ale tylko jedną zwrócono. Zapomnialiśmy o tym, aż Teodorek mi powiada, że ma ją pan Brooke, który ją trzyma w kieszeni od kamizelki, ale raz mu wypadła i gdy z niego żartował, wyznał, że kocha Małgosię, lecz nie śmie się oświadczyć, póki ona taka młoda, a on taki ubogi. Czyż to nie *straszne rzeczy*?

— Czy myślisz, że on obchodzi Małgosię? — zapytała pani March z niepokojem na twarzy.

— Boże mój! Czy ja się znam na miłości i na tych wszystkich niedorzecznych rzeczach! — wykrzyknęła Ludka z zabawną mieszaniną ciekawości i wzdrygnięcia. — W powieściach panny zdradzają się tym, że są lękliwe, rumienią się, mdleją, chudną i we wszystkim postępują nierozsądnie, tymczasem Małgosia nie robi nic takiego: je, pije i śpi, jak rozumna istota. Patrzy mi prosto w oczy, gdy mówię o tym człowieku, i tylko się trochę czerwieni, gdy Teodorek żartuje z kochanków. Zakazałam mu tego, ale mnie nie słucha.

— Więc zdaje ci się, że Małgosia nie jest zajęta Janem?

— Kim? — wykrzyknęła Ludka z przestraszaniem.

— Panem Brooke. Przyzwyczajaliśmy się nazywać go Janem w szpitalu, bo mu to sprawa przyjemność.

— Ach, mamó, wiedziałam, że będziesz po jego stronie, dlatego że się okazał dobry dla ojca! Nie odepchniesz go, pozwolisz ożenić się z Małgosią, jeżeli ona zechce. To brzydko, był usłużny dla papy, starał się przypodobać mamie, żebyście go musieli polubić — zawołała Ludka i znowu ze złości targała sobie włosy.

— Nie gniewaj się, moja droga, opowiem ci, jak to się stało. Jan towarzyszył mi z woli pana Laurence'a i tak się poświęcił biednemu ojcu, żeśmy nie mogli go nie polubić. Co się tyczy Małgosi, okazał się zupełnie otwarty i honorowy, bo powiedział nam, że ją kocha, lecz chciałby mieć dostateczne utrzymanie, zanim poprosi o jej rękę. Prosił tylko, żeby mu wolno było ją kochać, pracować dla niej i rozbudzić w niej miłość, jeżeli potrafi. To młodzieniec wielkich zalet, więc nie mogliśmy odrzucić jego prośby, ale nie pozwolę, żeby Małgosia zaręczyła się tak młodo.

— Ma się rozumieć, to byłoby idiotycznie! Wiedziałam, że się coś złego święci, czułam to, ale jest gorzej, niż sobie wyobrażałam. Żałuję, że sama nie mogę poślubić Małgosi i w ten sposób zatrzymać jej w domu!

Ten dziwny pomysł wywołał uśmiech na twarzy pani March, rzekła jednak poważnie:

— Zwierzyłam ci się, Ludko, ale proszę, żebyś nie wspominała o tym Małgosi. Gdy Jan powróci i zobaczą ich razem, będę mogła lepiej osądzić jej uczucia.

— Wyczyta jego uczucia z tych pięknych oczu, o których często mówi, a wówczas będzie po niej. Takie teraz ma miękkie serce, że się rozplynie jak masło na słońcu, kiedy ktoś na nią spojrzy sentymentalnie. Daleko pilniej odczytywała jego krótkie sprawozdania niż twoje listy, a gdy jej to powiedziałam, uszczypnęła mnie. Lubi ciemne oczy, nie sądzi, żeby Jan było brzydkim imieniem, i zakocha się, i koniec będzie spokoju, i zabaw, i pogadank. Z góry wszystko widzę! Będą chodzić po domu, gruchając, a my się będziemy usuwać. Małgosię tak to pochłonie, że dla mnie już przestanie być siostrą. Brooke wyskrobie gdzieś majątek, wywiezie ją i zrobi szczyrbę w rodzinie, a mnie serce pęknie, i wszystko będzie mi się wydawać szkaradne i niemiłe! Ach, mój Boże, czemu nie jesteście chłopcami? Nie byłoby takich utrapień!

Oparła brodę na kolanach w rozpaczliwej postawie i wygrażała pięścią nieszczęsnemu Janowi. Pani March westchnęła, a Ludka spojrzała na nią z ulgą w sercu.

— Nie podoba ci się to, bardzo się cieszę. Odpraw go, a Małgosi nic nie mów, żeby nie przestało u nas być wesoło.

— Niepotrzebnie westchnęłam, moja Ludko, bo to rzecz naturalna i pożądana, żeby każda z was miała kiedyś własny dom. Chciałabym tylko jak najdłużej zatrzymać moje dziewczęta i przykro mi, że się to stało tak wcześnie, bo Małgosia ma dopiero siedemnaście lat, a niejeden rok upłynie, zanim Jan zdoła jej przygotować domowe ognisko. Oboje z ojcem postanowiliśmy nie dopuścić, żeby się Małgosia związała słowem lub wyszła za

Miłość romantyczna

Oświadczyń, Małżeństwo

Miłość romantyczna,  
Szczęście

mąż przed dwudziestym rokiem życia. Jeżeli kochają się z Janem, to mogą czekać i w ten sposób udowodnić swą miłość. Ona jest sumienna, nie obawiam się, żeby traktowała go niedobrze, moja ładna i tkliwa córeczka, i mam nadzieję, że znajdzie szczęście.

— Czy nie wolałabyś, żeby wyszła za bogatego człowieka? — spytała Ludka, gdy głos matki zdrzął trochę przy ostatnich wyrazach.

— Pieniądze są dobrą i użyteczną rzeczą, i spodziewam się, że moje dziewczęta nigdy nie odczują boleśnie ich braku, ale też nie będą kuszone zbyt wielką ilością. Chciałabym, żeby Jan miał tyle, aby był wolny od długów i zapewniał Małgosi wygodne życie. Nie pragnę dla moich dziewczątek świetnej fortuny, światowej pozycji ani wielkiego nazwiska. Gdyby pozycja i pieniądze szły w parze z miłością i cnotą, przyjąłabym je chętnie i cieszyłabym się waszym powodzeniem, ale wiem z doświadczenia, jak wiele prawdziwego szczęścia można znaleźć w skromnym domku przy pracy na chleb codzienny i mimo niedostatków, które czynią miłszymi rzadkie rozrywki. Cieszę się, że Małgosia zacznie od małego, bo jeżeli się nie mylę, będzie bogata w taki skarb, jakim jest serce dobrego człowieka, a to lepsze od majątku.

— Rozumiem cię, mammo, i zupełnie zgadzam się z tobą, ale to dla mnie zawód, bo sobie układałam, że Małgosia wyjdzie kiedyś za Teodorka i do końca życia opływać będzie w zbytkach. Czy to nie byłoby dobrze? — zapytała z rozjaśnioną twarzą.

— Teodor jest młodszy od niej — odezwała się pani March, lecz ona przerwała:

— To nic nie znaczy! On jest dojrzały i wysoki na swój wiek, a jak chce, to umie się zachować jak dorosły mężczyzna. Przy tym bogaty, szlachetny, dobry i kocha nas wszystkich. Doprawdy szkoda, że mój plan spełnie na niczym.

— On mi się zdaje za młody dla Małgosi i za mało jeszcze wyrobiony, żeby kobieta mogła od niego zależeć. Nie rób planów, Ludko, niech czas i własne serca stanowią o losie twych przyjaciół. Niebezpiecznie jest mieszać się w takie rzeczy i lepiej nie dopuszczać do głowy „romansowych niedorzeczności”, jak zwykłaś się wyrażać, bo to może zepsuć każdy stosunek.

— Dobrze, zaprzestanę tego, ale nie mogę patrzeć, gdy coś idzie krzywo i płacze się, kiedy można by tu pociągnąć, tam obciąć, i wszystko by się naprostowało. Chciałabym, żebyśmy nosiły żelazka na głowach, aby nie rosnąć, ale z pączków robią się róże, a z kociąt koty. Wielka szkoda!

— Co mówisz o żelazkach i o kotach? — spytała Małgosia, wsuwając się po cichu do pokoju z ukończonym listem w rękę.

— Ot, plotłam brednie po swojemu; a teraz położę się. Chodź i ty, Małgosiu — rzekła, widocznie zmieszana.

Pani March, przejrzawszy list, oddała go, mówiąc:

— Całkiem dobrze i pięknie napisany. Proszę cię, dodaj, że pozdrawiam Jana.

— Nazywasz go Janem, mammo? — spytała Małgosia z uśmiechem i rzuciła niewinne spojrzenie na matkę.

— Nie inaczej, bardzo go polubiliśmy, bo się zachował jak rodzony syn — odpowiedziała pani March, bystro na nią patrząc.

— Cieszę się, bo on taki samotny. Dobranoc, droga mammo. Jakże to niewypowiedzianie miło mieć cię tutaj — odrzekła spokojnie Małgosia.

Matka ucałowała ją bardzo czule, a po jej odejściu rzekła z zadowoleniem, ale i żalem:

— Jeszcze nie kocha Jana, lecz wkrótce się tego nauczy.

## ROZDZIAŁ XXI. ARTUR BROI, A LUDKA POJEDNUJE

Twarz Ludki przedstawiała nazajutrz ciekawe studium, bo tajemnica ciążyła jej i nie umiała się powstrzymać od znaczących min. Małgosia to zauważyła, ale nie pytała o przyczynę, wiedząc, że najlepiej radzić sobie z nią według zasady przeciwieństwa. Była pewna, że powie jej wszystko, o co zapyta, dziwiło ją więc uparte milczenie i protekcyjnalna mina Ludki, która ją irytowała, lecz udając, że nie dba o to, cała poświęciła się matce. Ludka była pozostawiona sama sobie, odkąd pani March zajęła jej miejsce przy chorej, chcąc, by ona odpoczywała, używała ruchu i bawiła się po tak długim zamknięciu. Ponieważ nie było Amelki, Artur stanowił jej jedyną ucieczkę; ale chociaż bardzo lubiła jego towarzystwo,

Bogactwo, Pieniądz,  
Pozycja społeczna,  
Szczęście, Miłość  
romantyczna

Tajemnica

bała się go wówczas, bo był z niego niepoprawny figlarz i lękała się, że wyłudzi z niej tajemnicę.

Miała zupełną słuszość. Gdy tylko ten psotny chłopiec odgadł, że skrywa sekret, postanowił go odkryć i dręczył Ludkę na wszystkie sposoby. Przymilał się, pochlebiał, szydził, groził i lajał. Udawał obojętność, żeby łatwiej wydobyć prawdę, zapewniał, że wie o wszystkim i że go to nie obchodzi, aż nareszcie wywołał zwierzenie, że sprawa dotyczy Małgosi i pana Brooke'a. Oburzony skrytością swego nauczyciela, wysilał mózg, żeby obmyślić zemstę.

Co do Małgosi, zdawało się, że zapomniała o tej kwestii i że zajmują ją tylko przygotowania do powrotu ojca, lecz nagle wyraźnie zaszła w niej jakaś zmiana i przez parę dni zupełnie była niepodobna do siebie. Lękała się każdego słowa, rumieniła się za każdym spojrzeniem i cichutko siedziała przy szyciu z nieśmiałym, zmieszonym wyrazem twarzy. Na zapytania matki odpowiadała, że jej nic nie jest, a Ludwisi zamknęła usta prośbą, aby jej dała spokój.

— Zdaje mi się, że czuję w powietrzu miłość i robi bardzo szybkie postępy. Zdradzają to różne symptomy: jest niecierpliwa, cierpka, nie je, nie sypia i płacze po kątach. Słyszałam raz, że powiedziała „Jan” za twoim przykładem, mamó, i zaczerwieniła się potem jak makówka. Co my pocniemy? — rzekła Ludka z taką miną, jak gdyby gotowa była na wszystkie środki, chociażby najgwałtowniejsze.

— Pozostaje nam tylko czekać. Przestań ją dręczyć, bądź dobra i cierpliwa, a jak ojciec przyjedzie, to się wszystko załatwi — odparła matka.

— Małgosiu, jest tu do ciebie zapieczętowany list. Jakie to dziwnie! Teodorek nigdy nie pieczętuje — rzekła Ludka nazajutrz, rozdając przesyłki z poczty.

Pani March i Ludka bardzo były czymś zajęte. Wtem uderzył je krzyk Małgosi i obróciwszy się, ujrzały, że wpatruje się w list z przestraszoną twarzą.

— Co to jest, moje dziecko? — zawołała matka, biegnąc do niej, podczas gdy Ludka próbowała wyrwać jej z rąk złowrogi papier.

— To pomyłka... on tego nie pisał. Ach, Ludko, jak mogłaś to zrobić! — mówiła Małgosa i schowała twarz w rękach, płacząc, jakby jej serce pękło.

— Ja, ja nic nie zrobiłam! Co ona mówi? — wołała Ludka ze zdumieniem.

Łagodnie oczy Małgosi zapalały gniewem, gdy wyjęła zgniecioną kartkę z kieszeni i rzuciła nią w Ludkę, mówiąc z wyrzutem:

— Napisałaś to razem z tym niegodziwym chłopcem! Jak mogłaś być tak grubiańska, tak niegodziwa i okrutna dla nas obojga?

Ludka prawie nie słyszała jej słów, bo obie z matką czytały list napisany szczególnym charakterem pisma.

Moja najdroższa Małgorzato!

Nie mogę dłużej hamować mej namiętności i zanim powrócę, muszę się dowiedzieć, jaki los mnie czeka. Nie śmiem jeszcze oświadczyć się rodzicom, ale sądzę, że daliby pozwolenie, gdyby wiedzieli, że się wzajemnie uwielbiamy. Pan Laurence pomoże mi znaleźć dobre miejsce, a wówczas, słodkie dziewczę, uszczęśliwisz mnie. Błagam cię, nie mów jeszcze o tym rodzinie, lecz prześlij słówko nadziei przez Artura

oddanemu Ci

*Janowi*

— Ach, łobuz! Chciał mi się odplącić za to, że dotrzymałam mamie słowa. Serdecznie go wyląję i sprowadzę go tu, żeby cię przeprosił! — zawołała Ludka, rwąc się do tego, by natychmiast wymierzyć sprawiedliwość; ale matka wstrzymała ją i rzekła z wyrazem twarzy, jaki jej się rzadko zdarzał:

— Zaczekaj, Ludko, musisz się wpierw wy tłumaczyć. Splatałaś już tyle figli, że boję się, czyś i do tego nie przyłożyła ręki.

— Daję słowo, że nie! Nawet nie widziałam tego listu i nie mówił mi o nim! Przysię-

Miłość

List

gam na życie! — rzekła tak serio, że jej obie uwierzyły. — Gdybym *miała* w tym udział, napisałabym lepiej i rozsądniej. Powinnaś wiedzieć, że pan Brooke nie prawilby takich niedorzeczności — dodała, wzgardliwie rzucając papier na ziemię.

— To podobne do jego pisma — bąknęła Małgosia, porównując z listem trzymany w ręku.

— Ach, Małgosiu, chyba nie odpowiedziałas! — wykrzyknęła żywo pani March.

— Owszem! — odparła Małgosia i znowu ukryła twarz, opanowana wstydem.

— To kłopot! Pozwól, mamó, żebym sprowadziła tego niegodziwego chłopca, niech się wytłumaczy i wysłucha nauki. Nie spocznę, póki go nie schwytam — rzekłszy to, zwróciła się ku drzwiom.

— Daj spokój, sama sobie z tym poradzę, bo to coś gorszego, niż myślałam. Małgorzato, opowiedz mi całą rzecz — rozkazała pani March i usiadła przy niej, trzymając Ludkę, żeby nie uciekła.

— Pierwszy list odebrałam z rąk Artura, który zdawał się o niczym nie wiedzieć — odezwała się Małgosia, nie patrząc matce w oczy. — Z początku dręczyło mnie to i chciałam ci się przyznać, ale potem przypomniałam sobie, że nadto lubisz pana Brooke'a, żeby cię miało rozgniewać, gdy przez kilka dni zachowam przy sobie tę małą tajemnicę. Taka jestem niemądra, że było mi przyjemnie, iż tylko ja o tym wiem, i wahając się, co odpowiedzieć, czułam się, jakbym była bohaterką z książki. Daruj, mamó, bo płacę teraz za swój nierozsądek. Już nigdy nie będę śmiała spojrzeć mu w oczy.

— Co mu odpowiedziałas? — spytała pani March.

— Tylko tyle, że jestem za młoda na coś podobnego, że nie chcę mieć wobec was tajemnic, że się musi rozmówić z ojcem i że jestem bardzo wdzięczna za jego dobroć, ale jeszcze przez długi czas będę dla niego tylko przyjaciółką, niczym więcej.

Pani March uśmiechnęła się z widocznym zadowoleniem, a Ludka klasnęła w ręce, wołając wesoło:

— Zachowałas się jak Karolina Percy<sup>107</sup>, wzór roztropności! Mówże, Małgosiu, co odpowiedział?

— Napisał w zupełnie inny sposób, wyjaśniając mi, że nigdy nie wysłał listu miłosnego i że mu bardzo przykro, iż moja figlarna siostra Ludka postąpiła tak zuchwale w jego imieniu. Ten list był niezmiernie grzeczny i pełen szacunku, ale jakież to dla mnie okropne! Pomyślcie tylko!

Małgosia oparła się o matkę, jak obraz rozpaczy, a Ludka biegała po pokoju, wygadując na Artura. Nagle zatrzymała się, chwyciła listy i przyjrzawszy się im uważnie, rzekła stanowczo:

— Nie wierzę, by Brooke kiedykolwiek je widział. Teodorek napisał oba i przechowuje twoje, żeby mnie dręczyć za to, że mu się nie zwierzyłam ze swojej tajemnicy.

— Nie miej żadnych tajemnic, powiedz wszystko matce i nie wikłaj się w kłopoty. I ja tak powinnam zrobić — rzekła Małgosia z przestrołą w głosie.

— Kiedy ja to wiem od mamy.

— Dostyc tego, Ludko, postaram się tu uspokoić Małgosię, a ty idź po Artura. Zgłębię tę sprawę i raz na zawsze położę koniec takim figlom.

Gdy Ludka wybiegła, pani March ostrożnie oświeciła Małgosię co do uczuć pana Brooke'a.

— Cóż ty na to, moja droga? Czy masz dostyc przywiązania, żeby czekać, póki Jan nie przygotuje domu, czy wolisz być jeszcze zupełnie wolna?

— Tak mnie to wszystko udręczyło i zmęczyło, że nie chcę słyszeć o małżeństwie długo jeszcze... a może i nigdy — odpowiedziała porywczco. — Jeżeli Jan nie wie o tych banialukach, nie mów mu i przykaż Ludce i Arturowi, by hamowali języki. Nie dam się zwodzić, dręczyć i wystawiać na śmieszność! To okropne!

Widząc, że Małgosia mimo łagodnego temperamentu jest rozjątrzona i tak żywo czuje złośliwy żart, jakim obrażono jej godność, pani March koila ją obietnicą, że wszyscy to przemilczą i będą dyskretni w przyszłości. Gdy tylko kroki Artura dały się słyszeć w sieni, Małgosia uciekła do pracowni, a matka sama przyjęła winowajcę. Ludka nie powiedziała

List

Tajemnica

Małżeństwo

<sup>107</sup> *Karolina Percy* — jedna z bohaterek poczytnej 4-tomowej powieści Marii Edgeworth pt. *Patronage* (1814). [przypis edytorski]

mu, po co jest wołany, z obawy czy pójdzie, ale zrozumiał to z twarzy pani March i stał, obracając w ręku kapelusz z tak skromną miną, że ją od razu rozbroił. Ludka została odprawiona, lecz chodziła po sieni jak żołnierz na warcie, lękając się trochę, żeby więzień nie uciekł. W pokoju bawialnym przez pół godziny głosy podnosiły się, to cichły znowu, ale co tam mówiono, nigdy się dziewczęta nie dowiedziały.

Gdy je przywołano, Artur stał przed panią March w tak pokornej postawie, że Ludka natychmiast mu wybaczyła, lecz zdawało jej się nierozsądne zdradzać się z tym. Małgosia dobrze przyjęła jego pokorne tłumaczenie się i bardzo ją pocieszyła pewność, że Brooke nie wie o tym żarcie.

— Nigdy mu nie powiem, póki żyć będę, żadna siła ludzka nie wydobyłaby tego ze mnie, więc musisz mi wybaczyć Małgosiu, a ja zrobię, co tylko będę mógł, żeby dowieść skruchy — dodał, wielce zawstydzony.

— Będę się starała; ale to rzecz niegodna gentlemana. Nie myślałam, żebyś był tak podstępny i złośliwy — odparła Małgosia, usiłując ukryć zmieszanie pod powagą wyrzutów.

— Szkaradnie postąpiłem i zasługuję, żebyś się do mnie nie odzywała przez cały miesiąc; ale nie będziesz tak okrutna, prawda? — Złożył ręce tak błagalnie, spuścił oczy z taką pokorą i skruchą, mówił tak przekonywująco, że niepodobna było się złościć, pomimo gorszącego postępku. Małgosia wybaczyła, a pani March rozjaśniła twarz, choć się zmuszała do zachowania powagi, usłyszawszy jego zapewnienie, że zada sobie różne pokuty i będzie pełzał jak robak przed Małgosią.

Ludka przez ten czas stała na uboczu, próbując zahartować serce przeciw niemu, lecz udało jej się tylko przybrać minę największego niezadowolenia. Artur spojrział parę razy, ale gdy nie łagodziła surowości, poczuł się zraniony, odwrócił się i załatwiwszy sprawę z tamtymi, złożył jej niski ukłon i odszedł, nie mówiąc ani słowa.

Kiedy tylko znikł, pożałowała swego zachowania i gdy matka z Małgosią poszły na górę, uczuła się dziwnie osamotniona i stęskniona. Po chwili wahania poszła więc za swym popędem i uzbrojona w książkę, którą miała oddać panu Laurence'owi, udała się do dużego domu.

— Czy zastałam pana? — spytała służącej, która właśnie schodziła z góry.

— Jest w domu, panienko, ale wątpię, czy można się z nim zobaczyć.

— Dlaczego? Czy chory?

— O nie! Ale miał scenę z panem Arturem, który jest w okropnym humorze i rozgniewał starego pana, więc nie chciałabym tam iść.

— Gdzie Artur?

— Zamknięty u siebie i nie odpowiada, chociaż pukałam. Nie wiem, co będzie z obiedem, bo już gotów, a nie ma komu jeść.

— Ja się ich nie boję, pójdę więc zobaczyć, co się dzieje.

Wszedłszy na górę, śmiało zastukała do gabinetu Artura.

— Przestań, bo gdy otworzę drzwi, to pożałujesz — zawołał młodzieniec groźnym tonem.

Ludka zapukała powtórnie. Drzwi się otworzyły i wpadła do pokoju, zanim Artur zdołał ochłonąć ze zdziwienia.

Widząc, że naprawdę jest rozjątrzony, Ludka, która umiała się z nim obchodzić, przybrała żalną minę i padając teatralnie na kolana, rzekła z pokorą:

— Proszę cię, daruj, że byłam taka przykra. Przyszłam po przebaczenie i nie odejdę, póki go nie otrzymam.

Oto jakie rycerskie słowo usłyszała w odpowiedzi:

— Bardzo dobrze. Wstań i nie bądź gąską.

— Dziękuję ci, wstanę. Czy wolno mi spytać, co tu zaszło? Zdajesz się jakiś nieswój.

— Szarpnął mną, a tego nie znoszę — mruknął Artur z oburzeniem.

— Kto się tego dopuścił? — spytała.

— Dziadek. Komu innemu byłbym... — obrażony chłopiec zamiast skończyć zdanie, zrobił energiczny ruch ręką.

— To drobnostka. Ja cię czasem szarpnię, a się nie gniewasz — rzekła kojącym tonem.

— Ba! Ty jesteś dziewczyną, więc mnie to tylko bawi, ale żadnemu mężczyźnie na to nie pozwolę.

— Wątpię, żeby ktoś próbował, gdy wyglądasz na burzową chmurę, jak na przykład teraz. Za co się tak obszedł z tobą?

— Nie chciałem powiedzieć, czego ode mnie żądała twoja matka. Ma się rozumieć, że nie mogłem złamać słowa, obiecawszy, że będę milczeć.

— Nie mogłeś zadowolić jego ciekawości czymkolwiek?

— Nie. Domagał się prawdy, całej prawdy, i nic innego, tylko prawdy. Byłbym wyznał cząstkę przypadającą na mnie, gdybym mógł nie wmieszać Małgosi, ale ponieważ się nie dało, przygryzłem język i znosiłem łajanie, póki mnie stary nie chwycił za kołnierz. Wówczas opanował mnie taki gniew, że uciekłem, żeby się nie zapomnieć.

— Niedobrze postąpił, ale wiem, że tego żałuje, więc idź się pogodzić, ja ci pomogę.

— Niech mnie powiesz, jeżeli to zrobić! Nie dam się łajać i poniewierać za niewinny żart. Było mi żal Małgosi, więc przeprosiłem, jak przystało mężczyźnie, lecz nie chciałem tłumaczyć się drugi raz, kiedy nie zawniłem.

— Nie wiedział tego.

— Powinien mi ufać i nie postępować jak z dzieciakiem. Nic nie pomoże, on musi się dowiedzieć, że potrafię sobą kierować i nie potrzebuję być prowadzony na pasku.

— Cierpki jesteś — rzekła Ludka wdychając. — Jak myślisz załatwić tę sprawę?

— Powinien mnie przeprosić i uwierzyć, kiedy zapewniam, że muszę to pokryć milczeniem.

— Bóg z tobą! Ależ on tego nie zrobi!

— Jednak dopiero wówczas zejdziesz na dół.

— Teodorku, bądźże rozsądny, zaniechaj tego, a ja cię wytłumaczę, jak będę mogła najlepiej. Nie możesz tu zostać, więc po co odgrywać komedię?

— Nie mam zamiaru pozostawać długo. Wybiorę się w podróż, a kiedy dziadek za tęskni, będzie wiedział, jak postąpić.

— Zapewne, ale nie powinieneś się oddalać i dawać mu powodu do zmartwienia.

— Daj mi pokój z kazaniem. Pojadę do Waszyngtonu zobaczyć się z Brooke'em. Tam jest wesoło, więc się rozerwę po tych kłopotach.

— To się zabawisz! Ja bym także chciała pofrunąć — rzekła Ludka, zapominając o roli mentora, gdy sobie wyobraziła ożywione żołnierskie życie w stolicy.

— Pojedź, czemu by nie? Ty sprawisz niespodziankę ojcu, ja rozruszam mego starego Brooke'a i zabawimy się wybornie. Zrób to, Ludwisiu! Zostawimy list zapewniający, żeśmy zdrowi, i puścimy się w drogę. Mam dosyć zebranych pieniędzy. Wycieczka ci posłuży i nie będzie nic złego, że odwiedzisz ojca.

Przez chwilę Ludka miała minę, jakby gotowa była się zgodzić. Znużyło ją pielęgnowanie chorej i życie w zamkniętym pokoju, więc pragnęła zmiany, a myśl o ojcu była kusząca, podobnie jak obozy, szpitale, wolność i rozrywki. Oczy jej zapalały i zwróciły się z zamyśleniem do okna, lecz spojrzawszy na dom z przeciwka, potrząsnęła głową ze smutnym postanowieniem i rzekła:

— Gdybym była chłopcem, pojechalibyśmy razem i bawilibyśmy się cudownie, ale ponieważ jestem dziewczyną, wypada mi być przyzwoitą i pozostać w domu. Nie kuś mnie, Teodorku, to szalony pomysł.

— W tym cała przyjemność — odparł, opanowała go bowiem gwałtowna chęć zerwania pęt w jakikolwiek sposób.

— Cicho! — wykrzyknęła Ludka zatykając sobie uszy. — Moim przeznaczeniem jest panińska skromność i muszę się do niego stosować. Przyszłam tu prawić morały, nie zaś słuchać takich rzeczy, że skaczą do góry, gdy o nich pomyślę.

— Wiedziałem, że Małgosia załapała się łzami na taką propozycję, ale sądziłem, że ty masz więcej rozumu — odezwał się Artur przekonywująco.

— Milcz, niegodziwy chłopcze! Usiądź i rozważaj swoje grzechy, a mnie do nowych nie nakłaniaj. Czy wyrzekniesz się podróży, jeżeli nakłonię dziadka, żeby cię przeprosił? — spytała z powagą.

— Dobrze, ale nie zrobisz tego — odrzekł Artur, który pragnął wprawdzie „zakończyć sprawę”, ale czuł, że jego obrażona godność musi najpierw zagoić swą ranę.

— Skoro sobie umiałam poradzić z młodym, to potrafię i ze starym — mruknęła Ludka, gdy odeszła, zostawiając Artura pochylonego nad mapą kolei żelaznych, z głową wspartą na rękach.

Gniew

Ucieczka

— Proszę wejść — odezwał się pan Laurence jeszcze chrapliwiej niż zwykle, gdy zapukała do drzwi.

— To tylko ja, przyszedłam oddać książkę — rzekła, wchodząc nieśmiało.

— Czy chcesz inną? — spytał stary gentleman, wyraźnie ponury i rozgniewany, chociaż starał się to ukryć.

— I owszem, jeśli łaska. Tak mi się spodobał stary Sam, że spróbuję przeczytać drugi tom — odrzekła w nadziei, że go ułagodzi, prosząc o drugą dawkę *Johnsona Boswella*<sup>108</sup>, ponieważ jej zalecił to pełne życia dzieło.

Najeżone brwi pana Laurence opadły trochę, gdy szedł do półki z książkami Johnsona. Ludka wskoczyła na najwyższy szczebel drabinki i usiadłszy tam, udawała, że szuka książki, lecz w rzeczywistości zbierała myśli, jak najrzęczniejszą zaczepić o główny powód swego przybycia. Stary gentleman musiał odgadnąć, że jej umysł nad czymś pracuje, bo zakręciwszy się żywo parę razy, spojrzął na nią i odezwał się tak niespodzianie, że *Rasselas*<sup>109</sup> upadł jej z rąk na ziemię.

— Co ten chłopiec tam zrobił? Musiał coś złego zbroić, kiedy tak dokazywał, wróciwszy do domu. Nie mogłem wydobyć z niego ani słowa, a gdym zagroził, że przemocą dowiem się prawdy, uciekł na górę i zamknął się w swoim pokoju.

— Wprawdzie dopuścił się winy, aleśmy już wybaczyły i obiecałyśmy nie zdradzać go przed nikim — odrzekła Ludka.

— Tak nie może pozostać, nie powinien się zaślaniać obietnicą dziewcząt o miękkich sercach. Jeżeli zrobił coś złego, musi się przyznać, przeprosić i ponieść karę. Mów prędzej, Ludko, nie chcę być trzymany w niewiedzy.

Pan Laurence miał taką straszną minę i tak surowo mówił, że Ludka najchętniej by uciekła, ale siedziała na szczycie drabinki, on zaś stał u jej stóp jak lew na środku drogi, musiała więc zostać na miejscu i udawać odwagę.

— Doprawdy nie mogę powiedzieć, bo mama zakazała. Artur przyznał się do winy, przeprosił i dostatecznie został ukarany. Nie dlatego milczymy, żeby jego bronić, lecz inną osobę, i jeżeli się pan zechce mieszać, to wyniknie gorsza bieda. Proszę tego nie robić. Po części i ja zawiniłam, ale teraz już wszystko w porządku, więc puść pan to w niepamięć i mówmy o *Wędrowcu*<sup>110</sup> lub o czymkolwiek przyjemnym.

— Nie chcę słyszeć o *Wędrowcu*, zjeżdż, i daj mi słowo, że ten łotr nie okazał się niewdzięczny ani zuchwały, bo gdyby tak było, po całej dobroci, jaka mu okazujecie, zbilbym go własnymi rękami.

Ta straszna groźba nie wywarła wrażenia na Ludce, wiedziała bowiem, że gniewliwy starzec nie podniósłby palca na wnuka, chociaż twierdził inaczej. Posłusznie więc zeszła i tyle powiedziała o psocie, ile się dało bez zdradzenia Małgosi i bez kłamstwa.

— Hm, hm, dobrze. Jeżeli milczał nie przez upór, lecz dla dotrzymania słowa, to mu wybaczam. Trzeba jednak przyznać, iż jest zacięty i trudny do prowadzenia — dodał, wypogadzając twarz, ale włosy tak sobie najeżył, jak gdyby stał na silnym wietrze.

— Ja mam zupełnie taką samą naturę, ale dobrym słowem można ze mną wszystko zrobić, chociaż żadna pogroźka by tego nie dokonała — rzekła Ludka, chcąc się przysłużyć przyjacielowi, który jak się zdawało, wyszedł z jednej biedy, żeby wpaść w drugą.

— Sądzisz, że nie jestem dobry dla niego, co? — zapytał ostro pan Laurence.

— O nie! Czasami bywasz pan zbyt dobry i tylko wówczas trochę się unosisz, gdy wystawi twą cierpliwość na próbę. Czy nie tak?

Postanowiwszy doprowadzić rzecz do skutku, udawała zupełny spokój, chociaż nie bez drżenia mówiła tak zuchwale. Ulżyło jej i zdziwiła się mocno, gdy stary gentleman tylko z hałasem rzucił na stół okulary i wykrzyknął otwarcie:

— Masz słuszność, dziewczyno, tak jest rzeczywiście! Kocham wprawdzie tego chłopca, ale mnie doprowadza do ostateczności i nie wiem, czym się to może skończyć.

<sup>108</sup> „Johnson” *Boswella* — *The Life of Samuel Johnson* (Żywot Samuela Johnsona, 1791), słynna biografia brytyjskiego pisarza, napisana przez Jamesa Boswella. [przypis edytorski]

<sup>109</sup> *Rasselas* — właśc. *The History of Rasselas, Prince of Abissinia* (Historia Rasselasa, księcia Abisynii; 1759), dydaktyczno-moralizatorski utwór Samuela Johnsona. [przypis edytorski]

<sup>110</sup> *Wędrowiec* (ang. *The Rambler*) — periodyk Samuela Johnsona z krótkimi artykułami, publikowany dwa razy w tygodniu od 1750 do 1752. [przypis edytorski]



— Powiem panu: on ucieknie. — Zaledwie wypowiedziała te słowa, już jej było przykro, chciała bowiem tylko ostrzec, że Artur nie zniesie zbytniego poskramiania, i nakłonić do większej wyrozumiałości.

Czerwona twarz pana Laurence zmieniła się nagle. Usiadł, rzucając zmieszane spojrzenie na portret pięknego mężczyzny, wiszący nad jego biurkiem. Był to ojciec Artura, który uciekł w młodości i ożenił się wbrew woli surowego ojca. Ludka byłaby sobie odgryzła język, odgadywała bowiem, że biedak myśli z żalem o przeszłości.

— Nie dopuści się tego, jeżeli go pan nie będziesz dręczył i nużył zbyteczną pracą naukową. Ja także miewam często chętkę wyfrunąć w świat, zwłaszcza odkąd noszę krótkie włosy, i jeżeli kiedyś znikniemy, możesz pan poszukiwać dwóch chłopców na okrętach zmierzających do Indii.

Ponieważ mówiła ze śmiechem, panu Laurence'owi zrobiło się lżej na sercu i zaczął brać rzecz z żartobliwej strony.

— Jak śmiesz, psotnico, tak się odzywać? Gdzież poszanowanie i przyzwoitość? Bóg z wami, dzieci! Wiele kłopotu przysparzacie, a jednak trudno się bez was obejść — rzekł, wesoło szczypiąc jej policzki.

— Idź sprowadzić chłopca na obiad, powiedz mu, że wszystko załatwione, i poradź, żeby nie przybierał tragicznych min z dziadkiem. Nie zniosę tego.

— On nie przyjdzie, bo ma żal, że mu pan nie ufasz. Uważam, że jest bardzo zniechęcony.

Usiłowała przybrać żalony wyraz twarzy, lecz widocznie jej się to nie powiodło, pan Laurence zaczął się bowiem śmiać i zrozumiała, że jej sprawa jest wygrana.

— Żałuję bardzo i zapewne powinienem mu podziękować za to, że się ze mną nie szamotał. Czego, u diabła, chce ten chłopiec? — powiedział zawstydzony trochę swą porywcznością.

— Gdybym była na pana miejscu, napisałabym do niego. Powiedział, że nie zejdzie na dół, póki nie otrzyma listu, i przebąkuje o jakiejś niedorzecznej wycieczce do Waszyngtonu. Jak pan formalnie przeprosisz, to zrozumie, że był szalony i przyjdzie do rozumu. Spróbuj pan, figlem lepiej się rzecz załatwi niż rozmową. Zaniosę mu sama list i nauczę, jak ma postąpić.

Pan Laurence spojrział na nią bystro, założył okulary i rzekł z wolna:

— Jesteś przebiegłą dziewczyną, ale pozwalam, żebyście mną powodowały obie z Elizą. Dajże mi kawałek papieru, żebyśmy skończyli z tym głupstwem.

List został napisany w formie, jakiej zwykle używa gentleman do człowieka, którego mocno obraził. Ludka w przelocie pocałowała pana Laurence w czubek łysej głowy i pobiegła pod drzwi Artura z przeprosinami w ręku. Przez dziurkę od klucza doradzała mu pokorę, przyzwoitość i kilka równie przyjemnych niemożliwości. Zastawszy znowu drzwi zamknięte, zostawiła tylko kartkę, by sama załatwiła całą sprawę, i odchodziła już spokojnie, kiedy młodzieniec, zsunąwszy się po poręczu, zaczął na nią na dole, mówiąc ze swym uczciwym wyrazem twarzy:

— Jaki z ciebie dobry koleżka, Ludko! — a potem dodał ze śmiechem: — Czy nie wypchnięto cię za drzwi?

— Nie. Bardzo był grzeczny, ogólnie rzecz biorąc.

— Ach, ja to wszystko załatwię, ale nawet ty tak mnie rozdrażniłaś na górze, że gotów byłem oddać się diabłu — rzekł, tłumacząc się.

— Nie mów tak, odwróć kartę i rozpocznij życie na nowo, Teodorku, mój synu.

— Czy mam odwracać i psuć nowe karty, jak psułem dawniej kajety<sup>111</sup> z wzorami? Będę ciągle zaczynał, a nigdy nie dojdę do końca — powiedział żałośnie.

— Idź zjeść obiad. Poczujesz się lepiej, bo mężczyźni zawsze gderają, gdy są głodni. — Po tych słowach Ludka wyszła głównymi drzwiami.

— To jest „kodycył” mojej „płci” — odpowiedział Artur, przytaczając wyrażenie Amelki, gdy pokornie szedł zjeść obiad z dziadkiem, który cały dzień obchodził się z nim cierpliwie jak święty i okazywał przemożny szacunek.

Wszyscy myśleli, że sprawa już skończona i że chmura przeszła, ale pozostały skutki, bo Małgosia nie mogła zapomnieć. Wprawdzie nigdy nie wspominała pewnej osoby, lecz

Ucieczka

List

Kochanek

<sup>111</sup>kajet (daw.) — zeszyt. [przypis edytorski]

myślała o niej bardzo wiele i marzyła coraz więcej. Pewnego razu, szukając rycin w jej stoliku, Ludka znalazła kawałek papieru zagryzłony słowami: „pani Janowa Brooke”, wskutek czego wydała tragiczny jęk i rzuciła papier w ogień, czując, że figiel Artura przyspieszył dla niej złowrogą chwilę.

## ROZDZIAŁ XXII. WESOŁE BŁONIA

Jak słońce po burzy były spokojne tygodnie, które potem nastąpiły. Chorzy przychodzili szybko do zdrowia i pan March zaczynał wspominać o powrocie na początku nowego roku. Wkrótce Eliza mogła już leżeć całe dni na sofie w pracowni, bawiąc się początkowo ulubionymi kotami, a potem szyciem dla lalek, które były w smutnym stanie zaniedbania.

Jej ruchliwe niegdyś członki tak zeszywniały i osłabły, że Ludka brała ją co dzień na swe silne ręce, by przewietrzyć po wszystkich pokojach. Małgosia chętnie narażała białe rączki na szernienie i szcerwienie, gotując delikatne przysmaki dla „ukochanej”, Amelka zaś, wierna niewolnica pierścionka, świętowała swój powrót w ten sposób, iż rozdawała siostróm tyle skarbów, ile tylko chciały przyjąć.

Gdy zbliżało się Boże Narodzenie, rozpoczęły się tajemnice i Ludka często pobudzała całą rodzinę do konwulsyjnego śmiechu, proponując całkiem niemożliwe i niedorzeczne ceremonie dla uczczenia tych niezwykle wesołych świąt. Artur okazywał się również nierozsądny: byłby urządził fajerwerki, race powietrzne, łuki tryumfalne, gdyby mu tylko pozwolono. Po wielu starciach i kpinach oboje zostawali uznawani za całkiem pokonanych, przybierali pognębione miny, ale znalazłszy się sam na sam, parskali śmiechem.

Po kilkunastu dniach wyjątkowo łagodnej pogody nastąpiło wspaniałe święto Bożego Narodzenia. Anna mówiła, że czuje przez skórę, iż to będzie niezwykle uroczysty dzień, i okazała się dobrą wróżką, bo się wszystko składało jak najlepiej. Pan March napisał, że wkrótce przybędzie, Eliza czuła się szczególnie dobrze i ubrana w podarowany przez matkę karmazynowy wełniany szlafroczek, dała się triumfalnie zanieść do okna, żeby zobaczyć podarunek Artura i Ludki. „Niewyczerpani” zrobili, co tylko było w ich mocy, żeby zasłużyć na to miano, bo jak sylfy<sup>112</sup> pracując po nocach, wywołali komiczne zdziwienie. W ogrodzie stała wysoka dziewica ze śniegu, w zielonym świerkowym wieńcu. W jednej ręce trzymała koszyk pełen owoców i kwiatów, a w drugiej duży zwitek nowych nut. Wokół zziębniętych ramion okręcony był wielobarwny jak tęcza szal, a z ust wychodziła pieśń na różowym papierze:

*Jungfrau*<sup>113</sup> do Elizy

Królowo pszczołek, Elizo miła,  
Nie znaj, co smutku cień.  
Niech Bóg ci spokój i szczęście zsyła,  
W ten uroczysty dzień.

A ja ci dzisiaj niosę w ofercie,  
Mała królowo pszczoł,  
Owoce, nuty, kwiateczki świeże  
I dywan pod twój stół.

Portret Joanny przyjmij, królowo,  
I Małgorzaty twór,  
Śmietankę mroźną, bladoróżową,  
Jak śnieg alpejskich gór.

Teraz cię żegnam, Elizko mała,  
A w chwilkach życia złych,  
Proszę, byś zawsze pamiętać chciała,  
O przyjaciółach twych.

<sup>112</sup>*sylf* — mitologiczny duch powietrza. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>*Jungfrau* — szczyt w Alpach Szwajcarskich; niem. dosł.: panna. [przypis edytorski]

Jakże się Eliza uśmieiała, gdy Artur żwawo biegł w tę i z powrotem, znosząc podarki, i z jak zabawnymi mowami rozdawała je Ludwisia!

— Jestem tak przepelniona szczęściem, że gdyby tylko ojciec tu był, nie mogłabym w sobie pomieścić ani odrobiny więcej — rzekła Eliza, wzdychając z zadowolenia, gdy Ludka zaniósła ją do pracowni, by wypoczęła i orzeźwiła się doskonałym winogronem, które jej przysłała Jungfrau.

— Ja tak samo — dodała Ludka, głaszcząc kieszeń, gdzie spoczywało dawno upragnione dziełko, *Ondyna*.

— Ja także, z pewnością! — zawołała Amelka, wpatrując się w pięknie oprawną rycinę Madonny z Dzieciątkiem, którą jej dała matka.

— Ma się rozumieć, że i ja także — wykrzyknęła Małgosia, układając srebrne fałdy pierwszej jedwabnej sukni; pan Laurence potrafił ją bowiem nakłonić do przyjęcia tego daru.

— A ja czyż mogłabym powiedzieć inaczej! — rzekła pani March, przy czym z wdzięcznością spoglądała na list od męża i na uśmiechniętą twarz Elizy, ręką zaś pieściła broszę, którą właśnie dziewczęta przypięły jej do sukni, zrobioną z włosów siwych, złotych, kasztanowatych i ciemnoblonde.

— Na tym smutnym świecie czasem się coś tak doskonale uda, jak w powieści, a jakże to cieszy! — W pół godziny potem, gdy wszystkie powiedziały, że są tak szczęśliwe, iż nie mogłyby już w sobie pomieścić ani kropli szczęścia, kropla ta zjawiła się. Artur otworzył drzwi od pokoju bawialnego i wsunął głowę niby to spokojnie, ale na jedno by wyszło, gdyby wywrócił koziołka, bo twarzą wyrażał tak powstrzymywane ożywienie, a głosem zdradzał taką radość, że wszyscy podskoczyli, chociaż powiedział tylko jakimś dziwnym, zadyszczanym głosem:

— Przybył wam jeden kołędowy dar.

Nie dokończywszy jeszcze tych słów, usunął się nieco, a na jego miejscu ukazał się wysoki mężczyzna, otulony po same oczy i wsparty na drugim wysokim mężczyźnie, który próbował coś powiedzieć, ale nie mógł.

Ma się rozumieć, że nastąpiło ogólne poruszenie i przez kilka minut zdawało się, że wszyscy stracili rozum, bo działy się najdziwniejsze rzeczy, ale nikt nie mówił ani słowa. Pan March znikł zupełnie pod czterema parami ściskających rąk; Ludka zhańbiła się prawie zupełnym omdleniem i Artur musiał ją cucić w chińskim gabinecie; pan Brooke pocałował Małgosię, przez omyłkę, jak się potem tłumaczył trochę niezręcznie; Amelka, tak bardzo szanująca swą godność, przewróciła się przez podnózek i nie wstając, z płaczem najtkliwiej ścisnęła buty ojcu. Pani March pierwsza przysła do siebie i wyciągnęła rękę, przestrzegając:

— Cicho, pamiętajcie o Elizie!

Ale już było za późno. Drzwi od pracowni otworzyły się na oścież i na progu ukazał się czerwony szlafroczek. Radość wlała siły w osłabione członki i Eliza pobięła prosto w objęcia ojca. Trudno opisać, co się później działo, gdyż przepelnione serca wylewały z siebie uczucia, wyrzucały z siebie gorzyc przeszłości, żyjąc tylko słodyczą obecnej chwili.

Nie było to wcale romantyczne. Owszem, wszystkich opanował serdeczny śmiech, bo za drzwiami odkryto Annę, szlochającą nad tłustym indykiem, którego zapomniała zdjąć z rożna, gdy wybiegła z kuchni. Skoro śmiech ustał, a pani March zaczęła dziękować panu Brooke'owi za wierną opiekę nad mężem, nagle przypomniało mu się, że pan March potrzebuje wypocząć i wyszedł, śpiesznie schwyciwszy kapelusz. Wówczas ojciec i Eliza, znużeni trochę, usiedli we dwoje na wielkim fotelu i rozmowa szła doskonale.

Pan March opowiadał, że od dawna pragnął zrobić niespodziankę, a doktor pozwolił mu korzystać z pięknej pogody, że pan Brooke bardzo mu się poświęcał i jest młodzieńcem zacyjnym i prawym. Dlaczego, mówiąc to, zatrzymał się chwilę, spojrzawszy na Małgosię, która gwałtownie rozniecała ogień, i rzucił okiem na żonę z pytającym podniesieniem brwi, zostawiam waszej domyślności, również i to, dlaczego pani March z lekka skłoniła głowę i zapytała jakoś nagle, czy by czegoś nie zjadł. Ludka zobaczyła i zrozumiała tę mimikę, wymknęła się więc po wino i rosół i mruknęła pod nosem, trzaskając drzwiami:

— Nienawidzę zacych młodzieńców z ciemnymi oczami.

Szczęście

Ojciec

Radość

Obiad udał się jak najlepiej. Thusty indyk przedstawiał rozkoszny widok, gdy Anna wyjęła go z pieca, nadziała, przyrumieniła i przystroiła. Rodzynkowy budyń rozplywał się zupełnie w ustach; galarety, którymi rozkoszowała się Amelka, udały się także.

Anna mówiła, że wszystko się powiodło tylko przez jakiś szczęśliwy traf, bo taki miała zamęt w głowie, że cudem nie upiekła budyniu, a indyka nie nadziała rodzynekami.

Pan Laurence z wnukiem byli u nich na obiedzie, również i pan Brooke, na którego Ludka spoglądała ponuro, ku wielkiej ucieście Artura. Na głównym miejscu stały przy stole dwa fotele dla Elizy i ojca, którzy skromnie raczyli się kurczętami i odrobiną owoców. Doskonale się bawili wśród wiwatów, gawędy, śpiewu i wznawianych wspomnień. Ktoś się odezwał z propozycją, by się przejechać sankami, ale dziewczęta nie chciały odstąpić ojca. Goście odeszli zatem wcześniej, a uszczęśliwiona rodzina, korzystając ze zmroku, zasiadła koło kominka.

— Właśnie rok temu utyskiwałyśmy, że nas czekają takie smutne święta, czy pamiętacie? — zawołała Ludka, przerywając krótkie milczenie.

— W ogólności był to jednak przyjemny rok — rzekła Małgosia, uśmiechając się do ognia z wewnętrznym zadowoleniem, że z godnością traktowała pana Brooke'a.

— Mnie się wydawał bardzo ciężki — zauważyła Amelka, przyglądając się błyskowi pierścionka z zadumą w oczach.

— Cieszę się, że już minął, bo mamy cię z powrotem — szepnęła Eliza, siedząc na kolanach u ojca.

— Była to dla was ciężka droga, moje małe pielgrzymki, zwłaszcza bliżej końca, aleście ją mężnie przebyły i sądzę, że brzemia wkrótce z was spadną — rzekł pan March, patrząc z ojcowskim zadowoleniem na ich cztery młode twarzyczki.

— Skąd o tym wiesz, ojczu? Czy mama ci coś powiedziała? — spytała Ludka.

— Tylko trochę, ale po żdźbłach poznaje się, skąd wiatr wieje, więc porobiłem dziś różne odkrycia.

— Ach, opowiedz o nich! — wykrzyknęła siedząca przy nim Małgosia.

— Oto jedno! — rzekł i biorąc jej rękę, opartą o poręcz fotela, wskazał pokłuty palec, sparzony wierzch ręki i parę nagniotków na dłoni. — Pamiętam czasy, kiedy ta ręka była biała, gładka, i kiedyś najwięcej zajmowała się jej pięknym utrzymaniem. Bardzo była wówczas ładna, ale w moich oczach dużo ładniejsza jest teraz, bo z zewnętrznego oszpeccenia wyczytałem całą historię. Złożyłaś ofiarę z próżności. Ta stwardniała dłoń zdobyła coś lepszego niż bąble i jestem pewien, że szycie, wykonane przez pokłute palce, będzie bardzo trwałe, kiedy tak wiele dobrej woli było w każdym ściegu. Małgosiu droga, więcej to cenię w kobiecie, gdy umie zapewnić szczęście domowi, niż kiedy ma białe ręce lub salonowe wdzięki. Z dumą ściskam tę zącną, pracowitą rączkę i mam nadzieję, iż nieprędko zażąda ktoś, bym mu ją oddał.

Jeżeli Małgosia pragnęła nagrody za cierpliwą pracę, odebrała ją w ojca serdecznym uścisku ręki i zachęającym uśmiechu.

— Teraz proszę powiedzieć coś przyjemnego o Ludce, bo czuwała pilnie nad sobą i była tak bardzo, bardzo dobra dla mnie — rzekła ojcu do ucha Eliza.

Pan March roześmiał się i spojrział na dużą pannę, siedzącą naprzeciwko z niezwykle miłym wyrazem smagłej twarzyczki.

— Pomimo tej kędzierzawej czupryny nie spostrzegam „syna Ludwika”, którego zostawiłem przed rokiem. Widzę tylko panienkę, która nosi prosto kołnierzyki, porządnie sznurkuje buciki, nie gwizdże, nie używa grubych słów, nie kładzie się na dywanie jak dawniej. Trochę zeszcupiała i zbłądła od czuwania i niepokoju, ale mi się podoba, jej twarz zrobiła się bowiem miłsza, a głos cichszy. Nie skacze, ruchy ma spokojne i nad pewną osobką czuwa po macierzyńsku, co mnie mocno cieszy. Brak mi trochę mojej dzikiej dziewczynki, ale jeżeli zdobędę w jej miejsce silną, pożyteczną, czułą kobietę, będę zupełnie zadowolony. Nie wiem, czy ostrzyżenie dodało tyle powagi naszej czarnej owieczce, ale z pewnością w całym Waszyngtonie nie znalazłbym nic wystarczająco pięknego do kupienia za te dwadzieścia pięć dolarów, przysłanych przez moją dobrą córkę.

Żywe oczy Ludki zasły łzami na chwilę, a jej szczupła twarz zarumieniła się przy świetle kominka, kiedy usłyszała pochwałę ojca, bo w części przynajmniej wydała jej się zasłużona.

— Teraz o Elizie — powiedziała Amelka, czekając cierpliwie na swoją kolej.

— Boję się za wiele powiedzieć, żeby nie uciekła, chociaż jest już mniej nieśmiała — odezwał się ojciec wesoło, lecz przypomniawszy sobie, jak bliski był jej utracenia, przycisnął ją do siebie i rzekł czule, opierając się twarzą o jej policzek: — Zostałem cię bezpieczną, moja Elizo, i mam nadzieję, że cię taką zachowam przy pomocy Bożej.

Po chwili milczenia spojrział na Amelkę, siedzącą na taborecie u jego nóg, i powiedział, głaszcząc jej błyszczące włosy:

— Zauważyłem, że Amelka gospodarowała przy obiedzie, wyręczała matkę całe popołudnie, ustąpiła Małgosi miejsca wieczorem i posługiwała wszystkim cierpliwie i wesoło. Spostrzegłem także, iż rzadko się obraża, nie mizdrzy się w lustrze i nawet nie wspomniała o bardzo ładnym pierścionku, który ma na palcu, skąd wnoszę, że postanawia tak starannie urabiać swój charakter jak figurki z gliny. Cieszy mnie to, bo chociaż byłbym bardzo dumny z pięknego posągu jej roboty, nieskończenie dumniejszy będę z czulej córki, umiejącej upiększać życie sobie i innym.

— O czym myślisz, Elizo? — spytała Ludka, gdy Amelka, podziękowawszy ojcu, opowiedziała mu dzieje pierścionka.

— Czytałam dziś w *Wędrówce pielgrzyma*<sup>114</sup>, że po wielu trudach Chrystian i Nadzieja przybyli na miłe, zielone błonia, gdzie lilie kwitły cały rok, i tam szczęśliwie spoczywali, jak my teraz, przed udaniem się do celu swej wyprawy — odrzekła Eliza, po czym dodała, idąc z wolna do fortepianu: — To godzina śpiewu, zajmę więc dawne miejsce i spróbuję pieśń pastuszka, którą ci pielgrzymi słyszeli. Dorobiłam muzykę dla ciebie, ojcze, bo lubisz te wiersze.

Usiadłszy przy fortepianie, delikatnie dotknęła klawiszy i słodkim głosem, którego już nie spodziewali się nigdy słyszeć, zaśpiewała z własną przygrywką hymn milutki i szczególnie dobrze ją malujący:

Niczym bogactwo, niczym znaczenie,  
Które nas nęca z daleka,  
Tylko wewnętrzne zadowolenie  
Stanowi szczęście człowieka.

Pracować trzeba, gdy siły służą,  
Na społeczeństwa pożytek.  
Życie jest tylko krótką podróżą,  
Pielgrzymom zawadza zbytek.

Szczęście, Praca

## ROZDZIAŁ XXIII. CIOTKA MARCH ROZSTRZYGA KWESTIĘ

Jak pszczoły, latające za swą królową, tak matka z córkami krzątały się nazajutrz koło pana March, zaniedbując wszystko, aby doglądać chorego, czuwać nad nim i słuchać jego słów — tak dalece, że go o mało nie zamęczyły czułością. Gdy siedział rozparty w dużym fotelu przy sofie Elizy, z trzema córkami tuż obok niego i Anną, wychylającą niekiedy głowę, by spojrzeć na drogiego pana, zdawało się, że im nic nie brakuje do szczęścia. Ale brakowało czegoś i starsi czuli to, chociaż się nikt nie przyznawał. Państwo March spoglądali na siebie z niepokojem, ścigając oczami Małgosię. Ludka miewała nagłe napady złości i groziła nawet pozostawionemu w sieni parasolowi pana Brooke'a. Małgosia była roztargniona, nieśmiała i milcząca, drżała na głos dzwonka i rumieniła się, gdy wspomniano imię Jana. Amelka zauważyła, że wszyscy wyglądają, jak gdyby na coś czekali, nie mogąc spokojnie usiedzieć, i bardzo ją to dziwiło, skoro ojciec już jest z nimi. Eliza naiwnie pytała, czemu sąsiedzi nie biegają do siebie jak zazwyczaj.

Artur przeszedł koło ich domu po południu i zobaczywszy Małgosię w oknie, padł teatralnie w śniegu na jedno kolano, bił się w piersi, rwał sobie włosy i załamywał ręce błagalnie, jak gdyby prosił o kawałek chleba. Gdy poleciała, żeby się opamiętał i poszedł

<sup>114</sup>*Wędrówka pielgrzyma* (ang. *The Pilgrim's Progress from This World to That Which Is to Come*) — powieść alegoryczna Johna Bunyana, wydana w 1678, jedna z najsłynniejszych i najpoczytniejszych ksiązek chrześcijańskich. [przypis edytorski]

dalej, wyżał udane łzy z chustki i chwiejnym krokiem poszedł za róg domu, niby gnany największą rozpaczą.

— Co ten chłopiec sobie myśli? — rzekła Małgosia ze śmiechem, udając, że go nie rozumie.

— Pokazuje ci, jak twój Jan będzie się zachowywał niedługo. Czy to nie wzruszające? — odpowiedziała Ludka wzdrgniętym głosem.

— Nie mów „twój” Jan, bo to ani przyzwoite, ani prawdziwe — odrzekła, jednak te słowa tak brzmiały mile, że aż głos jej zadrżał. — Proszę cię Ludko, nie dręcz mnie. Powiedziałam ci już, że on mnie mało obchodzi, więc nie ma już o czym mówić, przyjaźnijmy się tylko wszyscy i żyjmy z sobą jak dawniej.

— Nie możemy, bo coś zostało powiedziane i Artur swoją psotą odstręczył cię ode mnie. Ja to widzę i mama także. Jesteś niepodobna do siebie i tak bardzo mnie unikasz. Nie chcę cię dręczyć i zniosę mężnie twoje zamążpójście, ale chciałabym, żeby już było doprowadzone do skutku. Nie cierpię czekać; więc jeżeli masz zamiar pójść do ołtarza, to spiesz się — rzekła Ludka porywczo.

— Nie wypada mi nic mówić ani robić, póki się nie oświadczy, a nie może, bo mu ojciec powiedział, że jestem za młoda — rzekła Małgosia, nachylając się nad robotą z dziwnym uśmiechem, zdradzającym, że niezupełnie się z tym zgadza.

— Gdyby się oświadczył, odpowiedziałabyś mu tylko łzami i rumieńcem albo spełniłabyś jego życzenie, zamiast śmiało i stanowczo odrzec: „Nie”.

— Nie jestem tak nierozsądna i słaba, jak myślisz. Wiem, co powiedzieć, bo sobie wszystko ułożyłam, żeby nie być niespodzianie zaskoczoną. Trudno wiedzieć, co nas czeka, więc się lepiej przygotować.

Ludka uśmiechnęła się mimo woli z powagi siostrzyczki, z którą było jej równie ślicznie, jak z rumieńcami na twarzy.

— Powiesz mi, co byś odpowiedziała? — spytała Ludka z większym już szacunkiem.

— I owszem, masz szesnaście lat, więc jesteś wystarczająco dorosła, żeby ci się zwierzyć; wreszcie doświadczenie przyda ci się kiedyś w podobnej sprawie.

— Nie będę miała takich spraw. Zabawnie jest wprawdzie przyglądać się zakochanym, ale siebie nazwałabym szaloną, gdybym się tego dopuściła — rzekła Ludka, wyraźnie wystraszona tą myślą.

— Nie sądziłabyś tak, gdybyś kochała i była kochana — rzekła Małgosia jakby do siebie samej, spoglądając na ulicę, gdzie często widywała młode pary, przechadzające się o zmroku w letniej porze.

— Powiedzże mi, jakimi słowami odezwałabyś się do tego człowieka — rzekła Ludka, niedyskretnie przerywając siostrze zadumę.

— Powiedziałabym spokojnie i stanowczo: „Wdzięczna panu jestem za jego dobroć, ale zgadzam się z ojcem, że jestem zbyt młoda, żeby sobie zawiązywać los, więc nie mówmy już o tym i pozostajmy tylko przyjaciółmi”.

— Hm, to dosyć sztywno i zimno. Nie wierzę, żebyś to powiedziała, i wiem, że nie byłby zadowolony. Jeżeli zachowa się tak, jak wzdrgnięci kochankowie w książkach, to będziesz wołała przystać na jego prośby niż zranić mu serce.

— Nie, powiem mu, że takie jest moje postanowienie, i z godnością wyjdę z pokoju.

Mówiąc to, wstała i właśnie miała pokazać, jak to będzie wyglądało, lecz posłyszawszy kroki w sieni, poskoczyła na powrót do swego miejsca i zaczęła szyć tak pilnie, jak gdyby szło o życie, jeżeli nie skończy na czas. Ludka stłumiła w sobie śmiech, widząc tę nagłą zmianę. Gdy zapukano delikatnie, otworzyła drzwi z ponurą i wcale nie gościnną miną.

— Dzień dobry paniom. Przyszedłem po swój parasol... to jest... chciałem się dowiedzieć, jak się ma ojciec dzisiaj — rzekł pan Brooke i z pewnym zmieszaniem patrzył na ich wymowne twarze.

— Bardzo dobrze. Jest na stojaku, przyniosę go i powiem mu, że pan tu jesteś.

Pomieszawszy w odpowiedzi ojca z parasolem, Ludka wymknęła się, chcąc siostrze dać sposobność do przemowy i miny pełnej godności. Lecz zaledwie znikła, Małgosia zaczęła także zmierzać do drzwi, bąkając:

— Mamie będzie przyjemnie zobaczyć pana, proszę usiąść, zaraz ją sprowadzę.

— Nie odchodź. Czy boisz się mnie, Małgorzato? — rzekł pan Brooke tak smutno, że przyszło jej na myśl, iż zachowała się grubiańsko.

Oświadczyły

Miłość romantyczna

Zarumieniła się aż po loczki, bo nigdy jeszcze nie nazwał jej Małgorzatą, i zdziwiła się, że to brzmi tak słodko i naturalnie. Chcąc się okazać uprzejma i swobodna, ufnie wyciągnęła rękę i rzekła z wdzięcznością:

— Jakże mogłabym się bać, kiedy pan był tak dobry dla ojca? Chciałabym tylko umieć podziękować.

— Czy mam powiedzieć, jakiego pragnę podziękowania? — spytał, trzymając mocno jej rączkę w swych dużych rękach i patrząc z taką miłością w ciemnych oczach, że jej serce zaczęło bić i chciała zarazem i uciec, i zostać, żeby go słuchać dalej.

— Nie rób pan tego... nie chciałabym... — rzekła, próbując wyrwać mu rękę, widocznie wystraszona, chociaż temu przeczyła.

— Nie chcę cię trwożyć, pragnę tylko się dowiedzieć, czy cię obchodzi trochę, Małgosiu? Ja cię tak bardzo kocham, moja droga — dodał tkliwie.

Była to właściwa chwila na ową spokojną i taktowną przemowę, lecz Małgosia nie wygłosiła jej, bo zapomniała co do słowa. Schyliwszy tylko głowę, odrzekła: „Nie wiem”, tak cicho, że Jan musiał nachylić się, żeby usłyszeć tę nierozsądną odpowiedź.

Widocznie uważał, że było to warte trudu, bo uśmiechnął się do siebie, jakby z zupełnym zadowoleniem, uścisnął mile pulchną rączkę i rzekł czule:

— Czy będziesz się starała zbadać siebie? Tak bardzo zależy mi na tym, bo nie umiem brać się do dzieła, nie wiedząc, czy mnie na końcu czeka nagroda czy nie.

— Jestem za młoda — szepnęła Małgosia, zadając sobie pytanie, czemu jest tak zmieszana, kiedy się raduje w duszy.

— Będę czekał, a przez ten czas może się nauczysz mnie kochać. Czy to będzie bardzo trudna lekcja, droga moja?

— Nie, gdybym się jej chciała nauczyć... ale...

— Proszę cię, chciejże Małgosiu. Ja lubię uczyć, a to łatwiejsze od niemczyzny — rzekł, chwytając drugą rękę, żeby nie mogła zakrywać twarzy, gdy się ku niej nachylał.

Jego ton był wprawdzie błagalny, lecz spojrzawszy ukradkiem, Małgosia spostrzegła, że oczy ma wesołe, chociaż tkliwie, i że się tak uśmiecha, jak gdyby był pewny swego. To ją rozdrażniło. Przyszły jej na myśl niedorzeczne nauki Anusi Moffat i chęć panowania, drzemiąca zawsze w łonie nawet najlepszych kobiet, rozbudziła się nagle i owładnęła nią. Była jakaś rozgorączkowana, nieswoja, nie wiedziała, co robić, poszła więc za popędem kaprysu i wyrwawszy ręce z jego uścisku, rzekła porywczo:

— *Nie chcę*, proszę odejść i zostawić mnie w spokoju.

Biedny Brooke taką miał minę, jak gdyby jego piękny zamek na lodzie upadł mu na głowę. Odurzyło go to jakoś, bo jeszcze nigdy nie widział Małgosi w takim usposobieniu.

— Czy naprawdę tak myślisz? — zapytał niespokojnie, idąc za nią, gdy się oddalała.

— Tak, naprawdę. Nie chcę być dręczona takimi rzeczami. Ojciec powiedział, że to niepotrzebne, że za wcześniej jeszcze, i zresztą ja sądzę tak samo.

— Czy mogę mieć nadzieję, że z czasem zmienisz postanowienie? Będę czekał i milczał, póki się nie rozmyślisz. Nie igrzaj ze mną, Małgosiu, nie myślałem tego o tobie.

— Nie myśl pan o mnie wcale. Proszę o to — rzekła, mając w tym złośliwą przyjemność, że wystawia na próbę i cierpliwość wielbiciela i własną potęgę.

Brooke był w tej chwili tak błady i poważny, że się zrobił daleko podobniejszy do bohatera romansu, który to typ uwielbiała, ale nie bił się ręką po czole, nie biegał po pokoju, jak to bywa w książce, tylko stał, patrząc na nią tak smutno, tak tkliwie, że mimo woli serce jej zmiękło. Nie wiem, co by się potem stało, gdyby ciotka March nie wtoczyła się o kulach w tej zajmującej chwili.

— Uważam — odezwała się ciotka March, siadając. — Ale o czymże mówił przyjaciel twego ojca, że wyglądasz jak piwonია? Tu coś złego zaszło i chcę wiedzieć o wszystkim — rzekła znowu, stukając laską.

— Rozmawialiśmy tylko. Pan Brooke przyszedł po swój parasol — odpowiedziała Małgosia, pragnąc w duchu, aby się wyniósł czym prędzej wraz z parasolem.

— Brooke? Nauczyciel tego chłopca? Aa! Rozumiem teraz! Już wiem wszystko. Ludce wymknęła się wzmianka o pewnym liście waszego papy i kazałam, aby mi wszystko powiedziała. Nie przyjęłaś go, dziecię? — wykrzyknęła ze zgorzsną miną.

— Cicho, bo usłyszysz! Czy mam poprosić mamę? — spytała Małgosia, bardzo zmieszana.

Książka

— Jeszcze nie. Mam ci coś powiedzieć i zrobię to natychmiast. Wyznaj mi, czy masz zamiar poślubić tego Brooke'a? W takim razie nie dostaniesz ode mnie ani grosza. Pamiętaj o tym i bądź rozsądna — rzekła jejmość z naciskiem.

Miała szczególny dar i przyjemność w rozbudzaniu uporu w najłagodniejszych osobach. Nawet najlepsze osoby mają w sobie odrobinę złości, zwłaszcza młode i zakochane. Gdyby ciotka March prosiła Małgosię, by przyjęła oświadczyzny pana Brooke'a, pewnie odrzekłaby, że nie może o tym myśleć, ale ponieważ samowładnie *zakazała*, Małgosia natychmiast postanowiła, że go będzie kochać. Zarówno przeciwności, jak wewnętrzny pociąg, prowadzą do stanowczych kroków i dziewczę, będąc już podniecone, z niezwykłym uniesieniem stawiało opór starej jejmości.

— Pójdę, za kogo mi się podoba, ciotko March, i możesz dać swoje pieniądze, komu zechcesz — rzekła, potakując głową ze stanowczą miną.

— Czy w taki sposób przyjmujesz radę, moja panno? Pożałujesz tego, jak zakosztujecie miłości w chatce, bo to są męczarnie.

— Nie większe od tych, jakie niektóre osoby znajdują w dużych domach — odrzekła Małgosia.

Ciotka March, założywszy okulary, przyjrzała się panience, nie znała bowiem nowego jej usposobienia. Samej Małgosi trudno było siebie poznać, tak się czuła odważna, niezależna, tak uradowana, że broni Jana i że wygłasza prawo kochania go, jeśli jej się tak podoba. Ciotka March spostrzegła, że źle się wzięła do rzeczy, i po krótkim milczeniu rzekła znowu, jak mogła najmiej:

— Małgosia droga, bądź rozsądna i przyjmij moją radę. Jestem ci życzliwa i nie chciałabym, żebyś sobie skrzywiła całe życie, popełniając pomyłkę na samym jego początku. Powinnaś dobrze wyjść za mąż i dopomagać rodzinie. Twoim obowiązkiem jest zrobić bogatą partię i należy tego wymagać od ciebie.

— Rodzice myślą inaczej. Kochają Jana, chociaż jest ubogi.

— Moja droga, twój papa i twoja mama tyle mają praktycznego rozumu co dwoje niemowląt.

— Cieszę się z tego! — wykrzyknęła Małgosia z dumą.

Ciotka March nie zwróciła na to uwagi i dalej prowadziła morały.

— Ten Brooke jest ubogi, ale może ma bogatych krewnych?

— Nie, lecz za to ma dużo szczerych przyjaciół.

— Nie możecie żyć z przyjaciół. Spróbujcie tylko, a zobaczycie jak ochłodną. Czy ma jakieś zajęcie?

— Dotąd nie ma żadnego, ale pan Laurence mu pomoże.

— To nie potrwa długo, James Laurence jest kapryśny i nie można na nim polegać. Więc zamierzasz wyjść za człowieka, który nie ma pieniędzy, stanowiska ani zajęcia, i będziesz pracowała ciężiej niż teraz, kiedy mogłabyś żyć wygodnie, gdybyś chciała usłuchać i zrobić lepszy wybór. Myślałam, że masz więcej rozsądku, Małgosiu.

— Nie mogłabym zrobić lepszego wyboru, choćbym pół życia czekała! Jan jest dobry, rozumny, śmiały, pracowity i z pewnością mu się powiedzie, bo taki energiczny i śmiały. Wszyscy go kochają i szanują i dumna jestem, że zdobyłam, jego miłość chociaż jestem taka uboga, młoda i głupiuchna — rzekła Małgosia, jeszcze ładniej wyglądając z powagą na twarzyczce.

— Dziecię, on wie, że masz bogatych krewnych i zapewne w tym tkwi tajemnica jego miłości.

— Ciotko March, jak śmiesz mówić takie rzeczy. Jan jest ponad nikczemność i nie będę cię słuchała, jeżeli się chcesz tak odzywać — zawołała z oburzeniem, pomna tylko na niesprawiedliwe podejrzenia starej jejmości. — Mój Jan nie poślubiłby nikogo dla pieniędzy, tak samo jak i ja. Oboje chcemy pracować i będziemy czekali. Ja się nie boję ubóstwa, bo mi nigdy nie tamowało szczęścia, i wiem, że je znajdę także przy nim, ponieważ mnie kocha.

Tu zamilkła, przypomniawszy sobie nagle, że jeszcze nie uczyniła żadnego postanowienia, że kazała „swemu Janowi” odejść i że on może słyszy jej niekonsekwentne słowa.

Ciotka March była bardzo zagniewana, bo ułożyła sobie, że jej piękna siostrzenica zrobi świetną partię. Przy tym radosna, młoda twarzyczka dziewczęcia rozbudziła w samotnej, starej kobiecie smutek i cierpkość.

Miłość

Małżeństwo

Miłość, Pozycja społeczna



— Dobrze, umyłam ręce od tej sprawy! Jesteś upartym dzieckiem i więcej straciłaś przez to szaleństwo, niż myślisz. Nie zabawię tu już dłużej. Zawiodłam się na tobie i nie chcę się teraz widzieć z papą. Nie spodziewaj się niczego ode mnie, gdy wyjdiesz za mąż. Niech przyjaciele twego pana Brooke'a pamiętają o tobie. Między nami wszystko na zawsze skończone.

Trzasnąwszy drzwiami, odjechała w najwyższym gniewie. Zdawało się, że zabrała z sobą całą odwagę dziewczyny, bo Małgosia, zostawszy sama, stała chwilę niepewna, czy się ma śmiać, czy płakać. Zanim zdołała się rozmyślić, wszedł pan Brooke i powiedział jedynym tchem:

— Nie moja wina, że cię słyszałem Małgosiu. Tobie dziękuję, żeś mnie broniła, a ciotce March, że mnie przekonała, iż cię trochę *obchodzę*.

— Nie wiedziałam tego sama, póki pana nie skrzywdziła.

— Nie muszę odchodzić, mogę zostać i używać szczęścia? Czy pozwalasz, droga moja?

Tu znowu była piękna sposobność do surowej przemowy i taktownego odejścia, ale Małgosi nie pozostało w głowie jedno ani drugie i zhańbiła się na zawsze w oczach Ludki, gdyż szepnęła miękko:

— Tak, Janie — i ukryła twarz w jego kamizelce.

W kwadrans po odjeździe ciotki March Ludka po cichu weszła na górę, zatrzymała się chwilę pod drzwiami od pokoju bawialnego, a nie słysząc głosów, skinęła głową, uśmiechnęła się z zadowoleniem i pomyślała: „Odprawiła go, stosownie do tego, cośmy ułożyły, i sprawa już zakończona. Wejdę, to mi opowie tę komedię i uśmieję się doskonale”.

Ale biedna Ludka się nie uśmieiała. Uderzył ją taki widok, że skamieniała w progu, roztwierając szeroko oczy i usta. Szła, żeby wyśmiać zwalczonego nieprzyjaciela i pochwalić silną wolę siostry za to, że odepchnęła natręta, było więc szokiem, gdy ujrzała, że nieprzyjaciel siedzi wesoło na sofie, a na kolanach u niego, jakby na tronie, ta siostra z „silną wolą”, strojąca pokorną minkę. Ludka, widząc to, wydała jęk, jakby nagle skąpana w zimnej wodzie, bo tak nagle zmiana zupełnie odebrała jej oddech. Kochankowie obrócili się nagle, Małgosia podskoczyła z twarzą dumną i razem zaleknioną, lecz „ten człowiek”, jak go Ludwisia nazywała, roześmiał się na całe gardło i rzekł z zimną krwią, całując zadziwioną Ludkę:

— Siostrzko Ludko, powinszuj nam!

Nowa zniewaga! Tego już było za wiele! Robiąc zatem jakieś dziwne ruchy rękami, znikła, nie rzekłszy ani słowa, pobiegła na górę i przestraszyła chorych tragicznym okrzykiem:

— Niechże ktoś zjeździe zaraz na dół! Jan Brooke robi straszne rzeczy, a Małgosia jest rozradowana.

Państwo March wybiegli spiesznie z pokoju, a Ludka, rzuciwszy się na łóżko, płakała i oburzała się z uniesieniem, opowiadając okropne nowiny Elizie i Amelce. Ale dziewczątkom wydało się to bardzo ciekawym i przyjemnym zdarzeniem, więc mało doznała pociechy i poszła na poddasze, by się zwierzyć szczerom.

Dziewczęta nigdy się nie dowiedziały, co zaszło potem w pokoju bawialnym, ale narały trwały długo i cichy pan Brooke zadziwił wymowną i żywą obroną swej sprawy. Przedstawiał plany i póty przekonywał, póki wszystko nie zostało ułożone według jego życzenia.

Zanim zdążył opisać wymarzony raj dla Małgosi, dzwonek wezwał na herbatę, więc z dumą poprowadził ją do kolacji. Oboje tak tchnęli szczęściem, iż Ludka nie miała serca okazywać zazdrości i smutku.

Na Amelce wielkie wrażenie zrobiło oddanie Jana i godność Małgosi, Eliza przypatrywała się z daleka, a państwo March spoglądali na młodą parę z tak czułym zadowoleniem, że stara jejmość słusznie powiedziała, iż „są niepraktyczni jak dwoje niemowląt”. Nikt nie jadł dużo, lecz wszyscy zdawali się bardzo szczęśliwi i staroświecki pokój dziwnie się rozjaśnił, gdy się tam zaczął pierwszy romans tej rodziny.

— Nie możesz teraz powiedzieć, Małgosiu, że się u nas nie zdarza nic przyjemnego, prawda? — rzekła Amelka, która wahała się, jak ustawić grupę kochanków w obmyślanym szkicu.

Szczęście

Szczęście

— Z pewnością nie mogłabym tego powiedzieć. Jakże wiele rzeczy zaszło, odkąd wymówiłam te słowa. Zdaje się, że już rok upłynął! — odrzekła Małgosia, zajęta błogimi marzeniami unoszącymi się ponad tak przyziemną rzecz, jak chleb z masłem.

— Radość nastąpiła tuż po smutku i jakoś mi się zdaje, że to początek wszelkich zmian! — powiedziała pani March. — W wielu rodzinach przypada niekiedy rok pełen wypadków i ten był taki dla nas, ale bądź co bądź dobrze się kończy.

— Mam nadzieję, że następny skończy się lepiej! — mruknęła Ludka, której było bardzo przykro, iż Małgosia tak się zajmuje kimś obcym w jej oczach, czując bowiem serdeczne przywiązanie do niewielu osób, bała się stracić ich uczucie lub się nim z kimś dzielić.

— Spodziewam się, że trzeci rok *skończy się jeszcze lepiej*, i z pewnością tak będzie, jeżeli go dożyję, by przeprowadzić moje plany! — powiedział Brooke, uśmiechając się do Małgosi, jakby odtąd nie istniały dla niego niemożliwości.

— Czy nie zbyt odległy termin? — spytała Amelka, bo jej pilno było do wesela.

— Tak wiele mam się jeszcze przedtem nauczyć, że nie wydaje mi się odległy — odparła Małgosia ze słodką i nową powagą.

— Ty będziesz tylko czekać, a ja pracować — rzekł Jan, zaczynając swe trudy od podniesienia jej serwety, z takim wyrazem twarzy, że Ludka potrząsnęła głową.

Gdy w tej chwili zatrzasnęły się frontowe drzwi, pomyślała z ulgą w sercu:

„Idzie Artur, przynajmniej pogawędzimy rozsądnie”.

Ale się omyliła, wbiegł bowiem ożywiony, z wielkim weselnym bukietem dla „pani Janowej Brooke” i widocznie przekonany, że ta sprawa została doprowadzona do skutku dzięki jego zręcznym staraniom.

— Wiedziałem, że się stanie według życzeń Brooke’a, bo zawsze się tak kończy. Jak coś postanowi, to musi dokonać, choćby świat się miał zawalić! — rzekł po złożeniu podarunku i powinszowań.

— Bardzo jestem obowiązany za to świadectwo, które przyjmuję jako dobrą wróżbę, i nie zwlekając, proszę cię na wesele — odparł Brooke, będąc gotów w owej chwili żyć w zgodzie z całą ludzkością, nawet ze swym psotnym uczniem!

— Przybyłbym na ten dzień choćby z końca świata, bo sam widok Ludki byłby wart długiej podróży. Niewesoło wyglądasz, moja pani, o cóż ci chodzi? — spytał, idąc za nią w kąat pokoju, podczas gdy wszyscy powstali na przyjęcie pana Laurence’a.

— Nie cieszy mnie ten związek, ale postanowiłam cierpieć w milczeniu — rzekła uroczyście i dodała drżącym nieco głosem: — Nie wyobrażasz sobie, jak mi przykro wyrzec się Małgosi.

— Nie wyrzekasz się jej całkowicie, tylko w połowie — pocieszał ją Artur.

— Już nigdy nie będzie tak samo, straciłam najdroższą przyjaciółkę — rzekła z westchnieniem.

— W każdym razie masz mnie. Wprawdzie nie na wiele się przydam, ale będę przy tobie całe życie, daję ci na to słowo — rzekł z głębokim przekonaniem.

— Wiem i jestem wdzięczna. Zawsze byłeś dla mnie wielką pociechą, Teodorku — odpowiedziała, czule ściskając go za rękę.

— Nie bądźże smutna, bo to znaczy chłopiec. Jak widzisz, wszystko idzie dobrze: Małgosia jest uszczęśliwiona, Brooke prędko się urządzi, dziadek mu dopomoże i bardzo będzie miło widzieć Małgosię we własnym domku. Jak się stąd wyniesie, będziemy się doskonale bawić, bo niedługo skończę kolegium, a wówczas pojedziemy za granicę lub na jakąś ładną wycieczkę. Czy by cię to nie pocieszyło?

— Owszem, przynajmniej tak mi się zdaje, ale któż wie, co się może stać w ciągu trzech lat? — rzekła, wpadając w zamyślenie.

— Prawda! Czy nie chciałabyś sięgnąć okiem w przyszłość i przekonać się, gdzie wówczas wszyscy będziemy? Ja pragnąłbym bardzo — odparł Artur.

— A ja nie, bo mogłabym zobaczyć coś smutnego, a teraz wszyscy tak radośnie wyglądają, że nie przypuszczam, żeby im było o wiele lepiej.

Z wolna powiodła oczami po pokoju i rozjaśniała się coraz bardziej, bo widok był przyjemny.

Rodzice siedzieli razem, spokojnie przypominając sobie pierwszy rozdział swego romansu, zaczętego przed dwudziestu laty. Amelka rysowała narzeczonych, którzy się od-

Przyjaźń

osobnili we własnym, pięknym świetle, rzucającym blask na ich twarze z takim wdziękiem, że młoda artystka nie zdołała go odwzorować. Eliza leżała na sofie, rozmawiając wesoło ze starym przyjacielem, który trzymał jej rączkę, jak gdyby czuł, że ona posiada władzę prowadzenia go po cichych drogach, jakimi sama chodzi. Ludka dumiała na ulubionym niskim krzeselku, z poważnym, spokojnym wyrazem twarzy, który ją najbardziej zdołał. Artur, oparty o poręcz krzesła, z brodą na równi z jej kędzierzawą główką, uśmiechał się przyjaźnie i robił znaki głową naprzeciw dużego zwierciadła, odbijającego ich oboje.

Zasłona spada na Małgosię, Ludkę, Elizę i Amelkę ugrupowane w ten sposób. Czy się kiedyś podniesie znowu, będzie to zależeć od przyjęcia, jakiego dozna pierwszy akt domowego dramatu, nazwanego *Małe kobiety*.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/alcott-male-kobietki>

Tekst opracowany na podstawie: Alcott, Louisa May, *Małe kobiety*, Nakładem księgarni F. Hoesicka, Warszawa 1930.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Nikola Chrupek, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6174-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).